

tony
parsons



MOJA
ULUBIONA
ŽONA



Najnowszy romantyczny bestseller autora
MĘCZYZNY I CHŁOPCA.

Powieść o miłości, seksie i pożądaniu,
o tym, jak realizują się skrywane pragnienia.

ISBN 978-85-88722-38-7



9 788388 722387

FAVORITE
808
11992

tony
parsons

MOJA
ULUBIONA
ŻONA

z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA



WARSZAWA 2008

Tytuł oryginału: MY FAVOURITE WIFE

Copyright © Tony Parsons 2008 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Aleksandra i Andrzej Kuryłowicz 2008

Copyright © for the Polish translation by Izabela Matuszewska 2008

Redakcja: Barbara Nowak

Zdjęcie na okładce: Ken Seet/Corbis

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-88722-38-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALEKSANDRA I ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie II Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Yuriko, MUŽ

*Kochałem ją.
Była to miłość od pierwszego wejrzenia,
miłość do ostatniego wejrzenia,
miłość od każdego i do każdego wejrzenia**

Lolita

* przekł. Michał Kłobukowski

*Mężczyzna, który ma dwa domy, traci rozum. Mężczyzna,
który ma dwie kobiety, traci duszę.*

chińskie przysłowie

CZĘŚĆ PIERWSZA

Bądź księciem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bill musiał na chwilę przysnąć, ponieważ ocknął się raptownie, kiedy limuzyna podskoczyła na wyboju, i już byli w Szanghaju. Ciemność rozcinały wieżowce dzielnicy Pudong. Przetarł oczy i odwrócił się do żony i córki na tylnym siedzeniu. Czteroletnia Holly spała z główką na kolanach mamy, jasne loki opadały jej na buzię. Miała na sobie strój księżniczki z filmu Disneya, tylko Bill nie był pewien z którego.

— Musi jej być w tym niewygodnie — powiedział półgłosem.

Przez większą część lotu Holly nie spała lub zapadała w króciutkie drzemki. Żona Billa, Becca, zdjęła dziewczynce z głowy diadem.

— Nic jej nie będzie — powiedziała.

— Wszyscy cudzoziemcy patrzeć na to z zazdrością — oznajmił kierowca imieniem Tygrys, pokazując zarysy Pudongu na horyzoncie. — Piętnaście lat temu to wielkie bagnisko. — Tygrys miał dwadzieścia parę lat, a na sobie sztywną służbową liberię z trzema złotymi paskami na mankiecie. Pokiwał głową z ostentacyjną dumą. — Nowiutkie, szefie. Wszystko nowiutkie.

Bill uprzejmie skinął głową, ale to nie młodość Szanghaju

rzuciła mu się najbardziej w oczy, tylko jego przytłaczający ogrom. Przejżdżali właśnie przez rzekę, szerszą, niż mógł to sobie wyobrazić, na drugim brzegu widział złoty blask światła Bundu, kolonialnych zabudowań przedwojennej części miasta zapatrzonej na drapacze chmur Pudongu. Przeszłość Szanghaju patrzyła na swoją własną przyszłość.

Samochód zjechał z mostu i zaczął przyspieszać, kiedy zmniejszył się ruch na ulicy. W przeciwnym kierunku na chyboczącym się, starym rowerze bez światła jechało pod prąd trzech brudnych, czarnych mężczyzn w podartych ubraniach. Jeden siedział na kierownicy, drugi na siodełku, odchylony do tyłu, trzeci pedałowal na stojąco. Pojazdem wyraźnie zatrzęsło, kiedy samochód minął ich pędem. Po chwili zniknęli z oczu.

Wyglądało na to, że nie zauważyli go ani Becca, ani kierowca i Bill zaczął się zastanawiać, czy mu się przypadkiem ten osobliwy pojazd nie przywidział wskutek zmęczenia i podeksycytowania. Trzej mężczyźni w łachmanach na ciemnym rowerze, wlokący się pod prąd pasem szybkiego ruchu?

— Tatusiu?

Holly poruszyła się w morzu falban swojej balowej sukienki. Becca przycisnęła ją mocniej do siebie.

— Mamusia jest przy tobie — powiedziała.

Holly westchnęła niczym trzylatek, którego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Kopnęła w oparcie przedniego fotela.

— Potrzebuję was obojga — oznajmiła.

* * *

Bill otworzył drzwi i wszyscy troje wytrzeszczyli oczy na luksus swojego przyszłego mieszkania niczym turyści we własnym domu. Pomyślał o ich wiktoriańskim szeregowcu w Londynie — o ciemnych schodach, odrapanym oknie w wykuszu, piwnicy cuchnącej kilkusetletnią stęchlizną. W tym miejscu nie było nic starego ani obskurnego. Przekręcił klucz w drzwiach i jakby wkroczyli w nowy wiek.

Czekały na nich podarunki: bukiet białych lilii w celofanie, szampan w kubelku z lodem i największy kosz owoców, jaki widział świat.

Dla Billa Holdena i jego rodziny od kolegów z Butterfield, Hunt and West. Witamy w Szanghaju.

Bill wziął do ręki butelkę i popatrzył na etykietkę w kształcie herbu na tarczy.

Dom perignon, pomyślał. Dom perignon w Chinach. Podszedł do drzwi sypialni małżeńskiej i obserwował przez chwilę, jak Becca delikatnie ubiera Holly w piżamę. Dziewczynka pochrapywała cicho.

— Śpiąca Królowna — uśmiechnął się.

— Nie śpiąca królowna, tylko Piękna — sprostowała Becca.

— *Z Pięknej i bestii*. Wiesz, zupełnie tak jak my.

— Bec, jesteś dla siebie nazbyt surowa.

Becca dokończyła przebieranie dziewczynki.

— Powinna spać dzisiaj z nami — szepnęła. — Może się w nocy obudzić i nie będzie wiedziała, gdzie jest.

Bill skinął głową i podszedł do łóżka, żeby ucałować córkę na dobranoc. Poczul przyływ czułości, kiedy muskał ustami jej policzek. Potem zostawił Beccę z dzieckiem, a sam poszedł obejrzeć resztę mieszkania. Był wykończony, ale zarazem szczęśliwy. Zapalał i gasił światła, bawił się pilotem wielkiego telewizora plazmowego, otwierał i zamykał szafki. Takie ogromne mieszkanie. Czuł się prawdziwym szczęściarzem. Luksusowy apartament, nawet zastawiony skrzyniami, które przywieźli ze sobą z Londynu, sprawiał imponujące wrażenie. Numer trzydzieści jeden, blok B, osiedle Rajskie Rezydencje, ulica Hongqiao, Nowa Dzielnica Gubei, Szanghaj, Chińska Republika Ludowa. Żadne miejsce, w którym dotąd mieszkali w Anglii, nie mogło się z nim równać.

Jeśli zdecydują się tu pozostać po wygaśnięciu jego dwuletniego kontraktu, obiecano im kolejny szczebel na drabinie

szanghajskich nieruchomości — zamknięte osiedle dla ekspatriantów, z własnym polem golfowym, centrum odnowy biologicznej i basenem. Billowi jednak podobało się tutaj. Czy mogłoby być gdzieś jeszcze lepiej? Pomyślał o swoim ojcu — co też staruszek by powiedział, gdyby to zobaczył? Rozpakowywanie może poczekać do jutra. Poszedł z butelką szampana do kuchni i zaczął przeszukiwać szafki, aż znalazł dwa kieliszki. Kiedy wrócił do salonu, Becca stała przy oknie.

— Powinieneś to zobaczyć — powiedziała.

Bill podał żonie kieliszek i spojrzał z dziesiątego piętra na dziedziniec. Rajskie Rezydencje składały się z czterech bloków mieszkalnych otaczających podwórze z fontanną w kształcie matki z dzieckiem i światłami połyskującymi spod wody.

Dziedziniec zastawiony był ciasno nowiutkimi, błyszczącymi autami: bmw, audi, mercedesy, jedno dziwne porsche boxter i dwie dziewięćsetjedenastki. Silniki mruczały cicho, za kierownicami siedzieli lub stali oparci o drzwiczki elegancy, wymuskani Chińczycy. Wyglądali, jakby przybyli z innego świata niż trzej mężczyźni na rowerze, których Bill widział na moście. Między samochodami krzątał się portier i gestykulując gorączkowo, usiłował zapanować nad sytuacją. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

— To dlatego, że dzisiaj sobota — stwierdził Bill, upijając szampana.

— Nie o to chodzi — powiedziała Becca. Stuknęli się kieliszkami i Becca kiwnęła głową w stronę okna. — Patrz.

Więc Bill patrzył. Po chwili z budynków Rajskich Rezydencji zaczęły jedna po drugiej wychodzić wystrojone młode kobiety i niczym w filmie przyrodniczym o obyczajach godowych zwierząt każda podeszła do jednego z mężczyzn czekających przy samochodach. Żadna z par nie pocałowała się na przywitaniu.

Jedna z dziewcząt przyciągnęła uwagę Billa — wysoka, z kwiatem we włosach. Orchidea, pomyślał. Może orchidea.

Kobieta wyszła z bloku naprzeciwko i podeszła do dziewięćsetjedenastki. Podniosła głowę na okna ich budynku, a wtedy Becca jej pomachała. Dziewczyna jednak nie odpowiedziała. Wśliznęła swe smukłe ciało na siedzenie pasażera w porsche i poprawiła spódnicę, wciskając długie nogi. Mężczyzna siedzący za kierownicą odwrócił się do niej i coś powiedział. Był od niej o jakieś dziesięć lat starszy. Dziewczyna zatrzasnęła drzwiczki i samochód odjechał.

Bill i Becca popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

— Co to za miejsce? — Potrząsnęła głową. — Czy to jakiś...? Gdzie my trafiliśmy?

Bill nie miał zielonego pojęcia.

Popijali więc szampana i obserwowali piękne dziewczęta odjeżdżające ze swymi mężczyznami w drogich samochodach, i zanim opróżnili kieliszki, byli już nieprzytomni ze zmęczenia.

Wzięli razem prysznic, namydlali się nawzajem z intymną czułością, po czym położyli się do łóżka z Holly pośrodku. Uśmiechnęli się do siebie nad śpiącą buzią córeczki.

* * *

Bill spał aż do pierwszego brzasku, a wtedy nagle obudził się zupełnie przytomny.

Policzył rzeczy, które nie pozwalały mu ponownie zasnąć. Jego zegar biologiczny tęsknił do londyńskiego czasu. Jutro o ósmej rano kierowca Tygrys zawiezie go do biura Butterfield, Hunt and West w dzielnicy Pudong i tam Bill rozpocznie swoją nową pracę. Zżerała go ciekawość miejsca, w którym się znaleźli, i jak wygląda ich nowy świat w świetle dziennym. Więc czy mógłby spać z głową przepełnioną tyloma sprawami? Najciszej jak mógł, wstał z łóżka, ubrał się i wymknął z mieszkania.

Samochody, w których wieczorem mężczyźni wyczekiwali na swoje kobiety, zniknęły z podwórza, z wyjątkiem limuzyny Tygrysa. Chińczyk spał w środku z gołymi stopami opartymi o deskę rozdzielczą po obu stronach kierownicy. Poderwał się na widok przechodzącego Billa.

— Dokąd, szefie? — zapytał, wkładając buty.

— Przecież jest niedziela — zauważył Bill. — Nie macie w niedzielę wolnego?

Tygrys popatrzył na niego tępo. A potem zrobił urażoną minę.

— Dokąd jedziemy, szefie?

— Idę na spacer — odparł Bill. — I przestań mówić do mnie „szefie”.

Może dla Tygrysa nie istniał dzień wypoczynku, ale na ulicach Gubei czuło się taką samą niedzielę jak w Anglii — poza jakimś dziwakiem uprawiającym jogging i spacerowiczem z psem okolica była cicha i zabita okiennicami. Ponieważ zaczął się czerwiec, upał dawał już o sobie znać.

Bill szedł dalej. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy to, co nazywał w duchu „prawdziwymi Chinami”, Chinami, które nie miały nic wspólnego z plazmowymi telewizorami i dom perignonem. Gdzieś tu w pobliżu leżały prawdziwe Chiny. Musiały gdzieś tu być. Na razie jednak, jak okiem sięgnąć, wszędzie wyrastały nowoczesne wieżowce w bezładnej płataninie stylów, tu i ówdzie przetykane skrawkami starannie wypielęgnowanych zieleńców i przerośniętych pomników. Były też restauracje pod najróżniejszymi barwami: tajlandzkie, włoskie — wszystkie poza chińskimi; supermarket Carrefour, kilka międzynarodowych szkół, łącznie z tą, do której jutro rano ma pójść Holly. Niewielkie parki. Naprawdę ładna okolica, dużo bardziej zielona i czystsza niż obskurne rejony Londynu z kwitnącą przestępczością, które pozostawili za sobą. Tutaj mogą mieszkać. Jego rodzina, jego żona i córka mogą tu być szczęśliwe. Czuł ulgę i cichą satysfakcję.

Zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że ma jeszcze sporo czasu, zanim Holly i Becca się obudzą, więc ruszył w stronę wschodzącego słońca. Kiedy zostawił za sobą Nową Dzielnicę Gubei, ulice szybko zaczęły się zapełniać. Z ciemnych bocznych uliczek patrzyły na niego niewidzącym wzrokiem

kobiety sprzedające obite owoce. Ktoś go potrącił. Ktoś mu splunął pod nogi. Mimo niedzieli na budowie pracowali mężczyźni w dwuczęściowych ubraniach roboczych zalepionych grubą warstwą brudu. Zupełnie nagle ulice zaroily się od ludzi, całej masy ludzi.

Przystanął, żeby się rozejrzeć. Szerokimi ulicami ciągnął sznur pojazdów, klaksony trąbiły jak oszalałe, nikt nie zważał na światła, przechodniów ani innych użytkowników drogi. Za kierownicą srebrnego buicka excelle zauważył młodą, atrakcyjną dziewczynę w okularach przeciwsłonecznych, z włosami spiętrzonymi wysoko na głowie. Ulicami jeździły taksówki – volkswageny santana, ubłocone śmieciarki wypełnione po brzegi śmieciami i ludźmi. I ciężarówki, mnóstwo ciężarówek z ładunkami kartonowych pudeł, pomarańczowych słupków drogowych albo świń, albo samochodów, nowiuteńkich i błyszczących od salonowego wosku.

W miarę jak słońce pięło się coraz wyżej, a Bill szedł coraz dalej na wschód, ulice stawały się hałaśliwsze i coraz bardziej obce. Na chodnik wjechała jakaś kobieta na skuterze i o mały włos nie wpadła na Billa, trąbiąc wściekle klaksonem. Po chwili minęła go pędem ławica rowerzystów w wielkich czarnych goglach.

Nagle Bill poczuł różnicę czasu – oszołomienie, które następuje po długim locie, zimny pot wyczerpania. Nie zawrócił jednak. Chciał poznać to miejsce.

Szedł dalej wąskimi uliczkami, gdzie chudzi mężczyźni golili się nad starymi metalowymi miednicami, gdzie kobiety karmiły swoje grube dzieci i gdzie rozpadające się domy z czerwonymi dachówkami obwieszane były schnącą bielizną i antenami satelitarnymi. Potem, ni stąd, ni zowąd, bezładne skupiska brzydkich chałup z czerwonymi dachówkami ustąpiły miejsca nowiutkim, błyszczącym wieżowcom i centrom handlowym.

Przed wejściem do Prądy mężczyźni o skórze poczerniałej od słońca i brudu próbowali nam sprzedać fałszywe zegarki

Rolex i DVD z najnowszym filmem Toma Cruise'a. Młode kobiety osłaniały się przed słońcem parasolkami, a na ogromnych billboardach nagie zachodnie modelki reklamowały preparaty do rozjaśniania cery.

Idąc tak, Bill poczuł nagle coś, czego nigdy dotąd sobie nie uświadamiał: niemal namacalną obecność milionów ludzkich istnień. Tylu ludzi na całym świecie, tyle żywotów. Było to trochę tak, jakby po raz pierwszy uwierzył naprawdę w ich istnienie. Szanghaj nie pozostawiał pod tym względem wielkiego wyboru.

Zatrzymał jednego z volkswagenów santana, ponieważ chciał jak najszybciej zobaczyć Bund, ale kierowca taksówki nie rozumiał go ani w ząb i wysadził nad rzeką, zadowolony, że się go wreszcie pozbył. Bill wysiadł na nabrzeżu tuż przy stacji promu rzeczno, który jednak nie pełnił funkcji atrakcji turystycznej, był raczej rodzajem publicznego transportu miejskiego.

Zapłacił banknotem o najniższym nominale, jaki miał, otrzymał jakieś brudne RMB reszty, po czym dołączył do kłębiącej się ciżby czekającej na przeprawę. Próbował się zorientować, gdzie się zaczyna kolejka, ale po dłuższej chwili stwierdził, że w ogóle nie ma tu żadnej kolejki.

Kiedy prom zapełnił się ludźmi i bynajmniej wcale nie przestał zabierać następnych, aż Bill poczuł tłum napierający nań z każdej strony i naszła go natrętna myśl, że łódź jest zdecydowanie przeciążona, doszedł do wniosku, że to są właśnie prawdziwe Chiny.

Liczby. Wszędzie chodziło o liczby.

To z powodu liczb on rozpocznie nazajutrz rano nową pracę. Z powodu liczb przyszłość jego rodziny rozegra się właśnie w tym mieście, a dawne finansowe problemy odejdą w przeszłość. To liczby wypełniały sny i marzenia biznesmenów od Sydney aż po San Francisco — miliard klientów, miliard nowych kapitalistów, miliardowy rynek.

Usiłował w ścisiku poruszyć rękami, żeby sprawdzić godzinę

na zegarku. Zastanawiał się, czy zdąży wrócić do domu, zanim obudzą się Becca i Holly. Prom odbił od brzegu.

* * *

Tego popołudnia zwiedzali miasto.

Całą trójką stali w kolejkach, aby wjechać na szczyt wieży telewizyjnej Wschodnia Perła, skąd oglądali łodzie na rzece Huangpu i stwierdzili, że to miasto zdaje się ciągnąć bez końca.

Po drugiej stronie wieży zobaczyli park pełen panien młodych. Były ich tam setki — wszystkie ubrane na biało wyglądały jak stado łabędzi, kiedy stały dookoła stawów i pokarmem dla ryb o kolorze konfetti karmiły japońskie karpie koi.

Bill podniósł Holly, żeby lepiej widziała.

— Jutro idziesz do nowej szkoły — oznajmił.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Szeroko otworzyła oczy na widok tyłu panien młodych.

— Poznasz mnóstwo nowych koleżanek i kolegów — powiedziała Becca.

Złapała córeczkę za nogę w kostce i potrząsnęła nią delikatnie, żeby dodać dziecku odwagi. Holly myślała przez chwilę, gryząc dolną wargę.

— Będę bardzo zajęta — orzekła.

Chociaż obcokrajowcy już od długiego czasu nie stanowili w Szanghaju żadnej osobliwości, tego popołudnia Bill, Becca i Holly byli jedynymi nie-Chińczykami na szczycie wieży Wschodnia Perła i ludzie przyglądali im się ciekawie.

Matka i córka z jasnymi włosami, jasną skórą i błękitnymi oczami wyglądały jak pogoda. Mężczyzna trzymał dziewczynkę na rękach, ona obejmowała go rączkami za szyję, a kobieta otaczała męża ramieniem.

Takie właśnie sprawiali wrażenie — niewielka rodzinka trzymająca się razem w swoim nowym domu, okazująca sobie

niemal dziecięcą czułość, jak gdyby żadne z nich nie potrafiło żyć bez tego fizycznego kontaktu i bez siebie nawzajem.

Wszyscy wiedzieli, że ludzie Zachodu nie dbali o rodzinę tak jak Chińczycy, a zwłaszcza ci ludzie Zachodu, którzy mieszkali w Szanghaju. Ci troje wydawali się inni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wyszedł, zanim się obudziła.

Becca zostawiła Holly śpiącą w sypialni. Chodząc po mieszkaniu, omijała sterty skrzyń. W łazience pozostały ślady po branym prysznicu, zapach wody po goleniu, krawat, który po przymierzeniu został na oparciu krzesła. Wyobraziła sobie Billa w nowej pracy — siedzi przy biurku, ciężko pracuje, gorliwie marszczy brwi — i poczuła ukłucie, które pamiętała z dawnych czasów: uczucie, że coś się zaczyna.

Wybrała na chybił trafił jedną ze skrzyń i podważyła wieko. W środku leżały spakowane dziecięce sprzęty: różowe wysokie krzeselko w trzech częściach, wanienska, materacyk, kocyki, sterylizatory i pluszowe króliki. Wszystkie stare rzeczy Holly. Becca zatrzymała je i przewiozła na drugi koniec świata nie z sentymentu bynajmniej. Trzymała je dla drugiego dziecka. Po siedmiu latach ich małżeństwo osiągnęło etap, kiedy żadne z nich nie miało wątpliwości, że będzie następne dziecko.

Wróciła do sypialni i przyglądała się śpiącej Holly. Potem odkryła ją i przytrzymała stopki dziewczynki, dopóki mała nie zaczęła się kręcić. Wyprężyła się, zamruczała coś i próbowała się zwinąć dalej do snu.

— Wstawaj, śpioszku, pora budzić się po troszku — powiedziała Becca.

Stała i wsłuchiwała się w ciężki oddech Holly, świszczanie bardziej niż chrapanie, spowodowane astmą.

— Chodź, skarbie, idziesz dzisiaj do szkoły.

Podczas gdy dziewczynka się rozbudzała, Becca krzątała się po nowej, dziwnej kuchni, aby przygotować śniadanie. Po chwili Holly przysła i ziewając, usiadła przy stole.

— Trochę się martwię — powiedziała z łyżką znieruchomiałą w połowie drogi między talerzem a ustami.

Becca dotknęła jej buzi i założyła kosmyk włosów za małeńkie, odstające uszko.

— O co się martwisz, kochanie? — spytała.

— Trochę się martwię o umarłych — odparła poważnie dziewczynka, a kąciki jej ust wywinęły się do dołu.

Becca oparła się na krześle.

— O umarłych?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Boję się, że im się nie poprawi.

Becca westchnęła, bębniąc palcami o stół.

— Nie martw się o umarłych — powiedziała. — Martw się o swoje czekoladowe kulki w mleczku.

Po śniadaniu Becca przygotowała inhalator. Była to już teraz rutynowa czynność. Ustnik pomagał dziewczynce wdychać lekarstwo. Szeroko otwarte niebieskie oczy patrzyły na matkę znad urządzenia.

Tuż przed dziewiątą, trzymając się za ręce, Becca i Holly poszły do Międzynarodowej Szkoły w Gubei. Wydawało się, że chodzą tam dzieci wszystkich narodowości świata. Potem nastąpił ten niezręczny moment, kiedy trzeba się było rozstać, i Holly złapała się mamy paska od spodni. Zaraz jednak zjawiała się pulchna, mniej więcej czteroletnia dziewczynka, z wyglądu Koreanka lub Japonka, wzięła Holly za rękę i zaprowadziła ją do klasy, gdzie australijska nauczycielka zapisywała dzieci na listę, i w końcu to Becca została na korytarzu jako ta, która nie ma ochoty wychodzić.

Wszyscy rodzice spieszyli do wyjścia. Niektórzy byli ubrani do biura, niektórzy w stroje sportowe, ale wszyscy zachowywali się tak, jakby mieli niezwykle pilne i ważne sprawy do załatwienia. Obok Becki przystanęła uśmiechnięta kobieta z małym, mniej więcej rocznym dzieckiem w wózku spacerowym. Była to matka dziewczynki, która zaprowadziła Holly do klasy.

— Pierwszy dzień, prawda? — odezwała się z amerykańskim akcentem. — To trudne chwile.

Becca skinęła głową.

— Sama pani wie, jak to jest. Broda drży, łzy cisną się do oczu, ale trzeba być dzielnym. — Popatrzyła na kobietę. — To co dopiero mówić o dziecku?

Kobieta się roześmiała i wyciągnęła rękę.

— Kyoko Smith.

Becca uściśnęła wyciągniętą dłoń. Kyoko powiedziała, że jest prawniczką z Jokohamy, ale nie pracuje zawodowo. Wyszła za mąż za prawnika z Nowego Jorku. Mieszkają w Szanghaju prawie dwa lata. Becca oznajmiła, że jest dziennikarką, ale obecnie nie pracuje, że jej mąż również jest prawnikiem i ma na imię Bill. A w Szanghaju mieszkają od dwóch dni.

— Ma pani ochotę na kawę? — spytała Kyoko. — Może jutro, bo teraz muszę lecieć.

— Ja też się spieszę — odparła Becca.

— No cóż, to jest właśnie Szanghaj. Wszyscy tu się zawsze dokądś spieszą.

Idąc powoli z powrotem w stronę Rajskich Rezydencji, Becca zadzwoniła na komórkę do Billa.

— No i jak poszło?

Od razu się zorientowała, że Bill nie jest sam. Zorientowała się również, że przez cały czas myślał o Holly i jej pierwszym dniu w nowej szkole.

— Och, wszystko w porządku — odrzekła dużo bardziej beztrudnie, niż się w rzeczywistości czuła.

— Nic jej nie będzie, Bec — powiedział Bill, wiedząc, jak

trudno jej było rozstać się z córką. — Dobrze jej zrobi towarzystwo rówieśników. Prędej czy później i tak musielibyśmy puścić ją w świat, prawda?

Milczenie buczało między nimi, ale Becca nie próbowała go przerywać. Walczyła ze łzami napływającymi do oczu i była zła na siebie, że zachowuje się jak głupia gęś.

— Spróbuj się tak bardzo nie martwić — dodał Bill. — Słuchaj, zobaczymy się później, dobrze?

Becca milczała. Zastanawiała się, czy dla Holly nie byłoby lepiej, gdyby z nią została, gdyby trzymała ją blisko przy sobie i wszystko na spokojnie rozważyła.

— Powodzenia, Bill — odezwała się w końcu i pozwoliła mu wrócić do pracy.

Nie miała ochoty iść do domu, nie była jeszcze w stanie zabrać się do rozpakowywania, wzięła więc taksówkę i pojechała do Xintiandi, o którym mówiły wszystkie przewodniki. Zawsze chciała zobaczyć to miejsce, w którym podobno mieszały się ze sobą najstarsze i najnowsze elementy miasta. Mieszkanie mogło zaczekać.

*...i nagle powiew wiatru, powiew słaby, letni,
nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem
wonnego drzewa wylania się z cichej nocy —
pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy
tego nie zapomnę. Było to nieuchwytnie i znie-
walające jak czar, jak szept, co zapowiada tajem-
niczą rozkosz*.*

* przekł. Aniela Zagórska

Siedziała na stołku przy oknie, popijała kawę z kożuszkiem skondensowanego mleka i czytała Conrada. Tego właśnie szukała w Xintiandi — pierwszego podmuchu Wschodu na twarzy.

W bocznej uliczce, z dala od kawiarni i restauracji znalazła skromne, niewielkie muzeum na Huangpi Lu. W tym miejscu

po raz pierwszy spotkali się niegdyś członkowie Komunistycznej Partii Chin. Zapłaciła za wstęp trzy RMB, sumę tak małą, że nie potrafiła jej nawet przeliczyć na funty. W środku było pusto. Poza Beccą zwiedzała muzeum tylko poważnie wyglądająca studentka w grubych okularach. Stała i robiła notatki w kąciku, gdzie grupka manekinów spiskowała w celu obalenia obcych rządów i uwolnienia mas. Oczy wszystkich konspiratorów spoczywały na woskowej twarzy młodego Mao.

Becca podeszła do niewielkiego telewizora nadającego propagandowy film o Chinach sprzed rewolucji. Stare nagranie na ziarnistej kliszy trwało tylko kilka minut, ale Becca oglądając je, osłupiała.

Patrzyły na nią twarze od dawna nieżyjących, głodujących dzieci. Nigdy w życiu nie widziała takiej nędzy i nieszczęścia. Kiedy obrazy rozmyły jej się za zasłoną łez, musiała odwrócić wzrok i powiedzieć sobie: do diabła, weź się w garść, kobieto, to tylko zmiana czasu i pierwszy dzień Holly w nowej szkole.

* * *

Szanghaj był pomysłem Becki. Bill chętnie by został w Londynie. Budowałby ich wspólne życie, harował jak wół i patrzył, jak dorasta ich córka. Jednak życie w Londynie przyniosło Becce rozczarowanie, co odczuwała silniej niż Bill. Chciała spróbować czegoś nowego. W wyjeździe do Szanghaju dostrzegła szansę ucieczki od ich dawnego życia i ciągłych zmagañ z brakiem pieniędzy. Sposób, aby zacząć wszystko od nowa.

Pobrali się młodo, oboje mieli dwadzieścia cztery lata i najwcześniej spośród swoich przyjaciół rozpoczęli dorosłe życie. Nigdy tego nie żalowali.

Becca obserwowała, jak ich niezamężne koleżanki i nieznani koledzy rzucają się entuzjastycznie na kolejne romanse z osobą spotkaną przypadkiem w barze, klubie czy siłowni, po czym zrywają nieszczęśliwi, znudzeni albo kończą wpadkami i ciągłą sercową huśtawką. Krzyżyk na drogę, myślała.

Oboje od początku uznawali małżeństwo za najoczywistszą rzecz pod słońcem. Rozmawiali o nim. Jeśli trafia się na właściwą osobę i nie ma się co do tego wątpliwości, to przecież nie można być zbyt młodym, prawda? Poza tym oboje w wieku dwudziestu czterech lat czuli się za starzy na żalosny taniec siłowni, barów i klubów.

O niektórych sprawach nawet nie potrzebowali rozmawiać. Zawsze przyjmowali za oczywiste, że oboje będą pracować. Holly urodziła się tuż po ich trzeciej rocznicy ślubu, ale jej zjawienie się na świecie niczego nie zmieniło. Nie mogło. Bill pracował jako prawnik, specjalista od przedsiębiorstw w jednej z londyńskich firm, Becca jako dziennikarka finansowa w gazecie w Canary Wharf, a kredyt hipoteczny za ich mały domek w jednym z bardziej zielonych rejonów północnego Londynu wymagał dochodów obojga. Codziennie rano Bill zawoził Holly do żłobka, a po południu odbierała ją Becca.

Aż pewnego dnia wszystko się zmieniło.

Holly skończyła właśnie trzy latka, gdy nagle w środku dnia w żłobku dopadły ją duszności. „To tylko przeziębienie — orzekła jedna z opiekunek, mimo że dziecko płakało ze strachu i z trudem oddychało. — Bardzo silna infekcja”.

Kiedy Becca przyjechała po córkę do żłobka, Holly nadawała się już tylko na ostry dyżur. A gdy Bill przyjechał do szpitala, lekarz postawił już diagnozę: astma. Holly nie wróciła więcej do żłobka ani Becca do gazety.

— Nikt obcy nie zadba o nią tak jak ja — powiedziała Becca, łykając łzy wściekłości.

Bill zrozumiał. Uspokajał ją, powiedział, że naturalnie ma rację i Holly jest najważniejsza.

Astmę dziewczynki dało się stabilizować dzięki lekarzowi pediatrze ze szpitala Great Ormond Street. Przepisał jej tabletki do żucia, które Holly nawet lubiła, oraz lekarstwo do inhalacji. Mała była pogodna i dzielna, nigdy nie narzekała i Becca oraz Bill starali się nigdy nie zadawać pytania, które stawiają sobie zwykle rodzice chorych dzieci: „czemu akurat

ona”? Tyle dzieci jest w gorszej sytuacji niż Holly. Widzieli je za każdym razem, ilekroć przyjeżdżali do Great Ormond Street.

W nocy jednak, kiedy Holly spała, wydając niekiedy ten dziwny odgłos w tylnej części gardła, który nauczyli się rozpoznawać jako objaw astmy, Bill i Becca wyjmowali kalkulatory, składali podania o debety, analizowali możliwości przekredytowania i zastanawiali się, jak długo jeszcze uda im się mieszkać w tym domu.

Rozmawiali o przeniesieniu się do tańszej i brzydszej dzielnicy kilkanaście kilometrów na wschód. Rozmawiali o pozostaniu w tej samej dzielnicy, ale sprzedaniu domu i wynajęciu innego na jakiś czas. Rozmawiali o wyprowadzeniu się na przedmieście. Przygrybiało ich to wszystko, o czym rozmawiali.

Holly czuła się dobrze i rzecz jasna to było najważniejsze, lecz nagle znaleźli się w sytuacji, w której musieli walczyć o przetrwanie. Lubili swój dom i na tym polegał problem. Lubili go i potrzebowali. I to był drugi problem. Od czasu do czasu starsi wspólnicy w firmie zapraszali ich na kolację do swoich wspaniałych rezydencji. Kiedy potem ci gładkoscórzy, starzy milionerzy z czarującymi, wszystkowiedzącymi żonami składali im rewizytę, Becca i Bill życzyli sobie, aby ich gościom nie przystawiono noży do gardeł w ciemnym zaułku za butelkę margaux, którą ze sobą nieśli.

— Jeden z twoich wspólników wyprawiał ostatnio urodziny żony w Sandy Lane — zauważyła Becca. — Nie możemy ich zaprosić do kawalerki i otworzyć sześciopaku piwa.

— Nigdy nie będziemy musieli otwierać sześciopaku piwa w kawalerce — odparł Bill z urazą.

Objęła go za szyję.

— Kochanie, wiesz, co mam na myśli.

Wiedział, co miała na myśli.

Niektórzy młodszy prawnicy w firmie mieszkali już w wielkich apartamentach lub małych domkach w Notting Hill, Kensington i Islington dofinansowywani przez pobłażliwych rodziców, którzy ze sobą żyli, lub rodziców z wyrzutami

sumienia po rozwodzie. Bill i Becca od początku radzili sobie sami. Od nikogo nie dostali ani grosza.

Nagle pojawił się sposób, który mógł rozwiązać ich wszystkie finansowe troski. Życie potrafi się zmienić w ciągu jednej chwili, zdała sobie sprawę Becca. Mijają lata i zdaje ci się, że wiesz, co ci gotuje przyszłość, a pewnego dnia się okazuje, że wygląda ona zupełnie inaczej, niż sądziłeś.

Podczas corocznego przyjęcia wydawanego przez firmę Billa Becce usadzono przy stole obok nieznanego mężczyzny. Od tamtej pory nic już nie było takie samo jak dawniej.

* * *

Każdego roku w styczniu Butterfield, Hunt and West wynajmowała jeden z tych bezdusznych hangarów w luksusowym hotelu przy Park Lane, dokąd zlatywali się ludzie z biur firmy na całym świecie, aby świętować urodziny Robbiego Burnsa — pięciuset prawników w czarnych garniturach lub kiltach oraz ich żony lub, nieco rzadziej, mężowie.

Bill dostał miejsce między dwiema żonami starszych wspólników z Nowego Jorku. Panie znały się bardzo dobrze i gawędziły ze sobą beztrosko, nie zwracając uwagi na siedzącego między nimi Billa. Becce przydzielono miejsce przy sąsiednim stole. Uśmiechnęła się, widząc, jak jej mąż wznosi oczy do nieba i mówi do niej bezgłośnie: „Zabij mnie na miejscu”. Potem podniosła wzrok i zobaczyła, że po obu jej stronach siada dwóch mężczyzn. Obaj przyjechali z Szanghaju.

Jeden był potężnym, jasnowłosym Australijczykiem w kilcie. Przedstawił się jako Shane Gale. Wyglądał na byłego surfingowca. Powiedział, że jest szefem działu spraw sądowych w Szanghaju. Cierpiał na przedawkowanie szampana, ale sposób, w jaki unikał kontaktu wzrokowego, nasunął Becce myśl, że może jego problem bardziej niż w alkoholu leży w nieśmiałości.

Mężczyzna po drugiej stronie nazywał się Hugh Devlin i był Anglikiem, starszym wspólnikiem w firmie w Szanghaju. Becca zauważyła z rozbawieniem, że obydwa mężczyźni

jednym tchem wymienili swoje tytuły zawodowe razem z nazwiskami. Powstrzymała się, żeby nie powiedzieć: „Becca Holden, żona, gospodyni domowa, była dziennikarka finansowa”. Podczas gdy Shane w milczeniu ukrył twarz w burgundzie, Devlin wziął cały stolik pod swoje panowanie.

Becca uśmiechnęła się do swojego młodego przystojnego męża w smokingu. Amerykańskie żony w dalszym ciągu trąkotały nad jego talerzem. Devlin też się do niego uśmiechnął. Słyszał o Billu mnóstwo dobrych rzeczy, powiedział. Same superlatywy. Prawdziwy wół roboczy, nikt w londyńskim biurze od dwóch lat nie mógł się wykazać tyloma nadgodzinami co on. A przy tym bardzo oddany rodzinie.

— Tak — stwierdziła Becca. — To cały mój Bill.

— Tylko czemu pani mąż marnuje się w Londynie? — dopypywał się Devlin. — Jeśli naprawdę jest taki dobry, powinien przyjechać i spróbować swoich sił w najszybciej rozwijającej się gospodarce na świecie. W dwudziestym wieku taką rolę odgrywał Nowy Jork, w dziewiętnastym Londyn, teraz Szanghaj. Jeśli tylko możecie wyjechać...

Zobaczył powątpiewanie na twarzy Becki. Przeprowadzka do Trzeciego Świata? Już Londyn był wystarczająco brutalny jak na jej potrzeby.

— Mówię poważnie — naciskał Devlin. — Niższe podatki, wyższe pensje. Szybciej się tam pani mąż dochrapie wspólnika niż tu, w Londynie.

Tym stwierdzeniem udało mu się wzbudzić zainteresowanie Becki. Wspólnik — o tym marzyli wszyscy młodzi prawnicy, a także ich żony. Uciec od życia z pensji na rzecz udziałów w zyskach firmy. Kiedy człowiek zostawał wspólnikiem, nie pracował już dla firmy. Sam stawał się firmą.

Devlin opowiadał o kolonialnym luksusie rzeczy, które, jak sądziła Becca, dawno odeszły w przeszłość. Będziecie mieć dom z pokojówką, kucharzem, nianią i kierowcą. Te rzeczy są tam bardzo tanie. I na porządku dziennym. Zupełnie jakby Devlin wyczuł coś, co Becca usiłowała ukryć głęboko nawet

przed Billem — że czuła się rozczarowana ich londyńskim życiem, zawiedziona tym, że muszą walczyć o przetrwanie, podczas gdy zasługują na dużo więcej...

Ale przecież tak naprawdę nie mogą tego zrobić. Zapewne Szanghaj jest odpowiednim miejscem, lecz raczej dla samotnego mężczyzny, zasugerowała Becca. Dla kogoś, kto nie ma rodzinnych zobowiązań.

Ależ skąd, odparł Devlin. To idealne miejsce dla człowieka z rodziną — ustatkowanego, ambitnego, który kocha tych, dla których pracuje. Dla samotnego mężczyzny Szanghaj przedstawia zbyt dużą pokusę. Zbyt dużo rozrywek. Po jakimś czasie wszyscy stają się specjalistami od rozrywek Szanghaju.

Sam Devlin również jest bardzo rodzinnym człowiekiem. To powiedziawszy, pokazał Becce portfel z fotografią pięknej kobiety w średnim wieku i trzech uśmiechniętych chłopców. Oznajmił, że lubi zatrudniać w swojej firmie ludzi z rodzinami, bo tacy mają o co walczyć.

Becca odwróciła się do Shane'a, który przysłuchiwał się ich rozmowie z krzywym uśmiechem, i spytała go, czy jego żonie podoba się w Szanghaju. Shane odparł, że nie jest żonaty, i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Do sali weszli muzycy. Grali *Flower of Scotland*. Kiedy obiad dobiegał końca i Bill przyszedł do ich stolika, Becca była pewna, że zaraz usłyszy zaproszenie Devlina na śniadanie i całą tę tradycyjną gadkę „łowcy głów”: że „porozmawiają o przyszłości” i tak dalej.

Gdy jednak Bill wziął swoją żonę za rękę, szczęśliwy i zadowolony, że ma ją znowu przy sobie, Devlin zaskoczył ich oboje.

— Podoba mi się, że jest pan żonaty — powiedział do Billa.

* * *

Odebrała Holly z przedszkola dokładnie o dwunastej. Mogła ją tam wprawdzie zostawić do trzeciej, ale bała się, że córeczka będzie za nią tęsknić.

— Wszystko było w porządku. W ogóle nie tęskniła za mamusią — oznajmiła australijska wychowawczyni, obrzucając Beccę przenikliwym spojrzeniem, które mówiło: „Ciekawe, kto tu bardziej za kim tęsknił?”.

Trzymając się za ręce, szły spokojnymi ulicami Gubei w stronę domu. Potem Holly bawiła się swoimi figurkami disneyowskich księżniczek, a Becca zabrała się do rozpakowywania.

— Dlaczego nie ma tatusi? — spytała Holly.

— Dlaczego nie ma tatusia — poprawiła ją Becca.

— Właśnie myślałam o tym samym — stwierdziła dziewczynka zdziwiona tym wyjątkowym zbiegiem okoliczności.

Becca otworzyła walizkę. Garnitury. Granatowe garnitury dla przystojnego młodego prawnika.

— Tatuś jest w pracy, kochanie.

Holly uderzyła o dłoń plastikową głową Księcia z Bajki.

— Muszę z nim porozmawiać.

— Później z nim porozmawiasz — odparła Becca.

Zastanawiała się jednak, czy Bill wróci z pracy do domu, zanim dziewczynka pójdzie spać. Wiedziała, że zawsze bardzo się stara. Wiedziała też, że jest to mało prawdopodobne.

Kiedy zrobiła sobie przerwę na herbatę, podeszła do okna, ale na podwórzu było pusto. Ani śladu młodych kobiet, które widzieli w sobotę wieczorem.

Niedawno minęło południe, dziewczęta z Rajskich Rezydencji jeszcze spały.

ROZDZIAŁ TRZECI

Firma zajmowała trzy piętra w wieżowcu w dzielnicy Pudong, tak nowiutkim, że w środku pachniało jeszcze farbą. Bill siedział plecami do okna. Za nim dzielnica finansowa ciągnęła się daleko w letniej mgle.

W niebo strzelały spiczaste tolkienowskie wieże ze stali, złota i czarnego szkła. Jedna wyglądała jak stupa pagoda, na drugiej ogromny ekran zasłaniał cały jeden bok budynku, a na ekranie uśmiechnięta piękna modelka reklamowała sieć telefonii. A nad tym wszystkim, niczym prawdziwi mistrzowie krajobrazu, górowały olbrzymie żurawie.

Na biurku Billa leżała starannie ułożona sarta umów wstępnych oraz w srebrnej ramce zdjęcie jego rodziny na plaży, w falach Morza Karaibskiego. Bill trzyma na rękach dwuletnią Holly, Becca w pomarańczowej zwiewnej szacie wygląda tak bosko, że szczeka opada, a wszyscy troje uśmiechają się trochę nieśmiało do aparatu trzymanego przez przypadkową osobę poproszoną o zrobienie zdjęcia. Wyjechali wtedy na urlop, zanim Becca rzuciła pracę i zaczęły się kłopoty z pieniędzmi. Ilekroć w ciągu dnia wzrok Billa powędrował ku fotografii, zawsze mimowolnie się uśmiechał.

Przeglądał dokumentację transakcji na zabudowę terenu na obrzeżach miasta. Miejsce nosiło nazwę Zielone Łany. Po

zawarcia umowy miało tam powstać zamknięte osiedle domów dla nowych bogaczy z Szanghaju. Firma Butterfield, Hunt and West reprezentowała niemieckiego inwestora, DeutscherMonde. Bill zauważył już wcześniej, że ich firma wykonywała wiele prac dla DeutscherMonde. Podniósł głowę, kiedy w drzwiach zjawił się Shane.

— Ci Niemcy mają limit wydatków czy nie? — spytał Bill.

Shane pokręcił głową. Bill był pod wrażeniem. Klienci często naciskali na firmy prawnicze, aby ustalano limit wynagrodzeń na każdą umowę, ponieważ wiedzieli, że jeśli wystawią im rachunki od godziny, wynagrodzenia mogą być niebotyczne.

— Niebo jest limitem — powiedział Shane. — Limit jest niebem. Dlatego są tacy ważni. — Zwalisty Australijczyk wszedł do pokoju i zaczął przeglądać jakieś papiery na biurku Billa. — To miejsce, stary, to ma być cudo. Stu milionerów na powierzchni niecałych trzech kilometrów kwadratowych.

Ogrody na wzór Wersalu. Baseny, sauny, pokoje-schrony, wszystko wzorowane na Wersalu. Uzbrojona ochrona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to wszystko dla gości, którzy dopiero co przestali używać wychodków. Cycuś glancuś.

Bill oparł się na krześle. W jednym ręku trzymał plany budynku, w drugim mapę okolicy. Inwestycja miała powstać w miejscu, gdzie obecnie leżała mała wioska i otaczające ją pola uprawne.

— Wygląda na to, że budują na terenach rolniczych — zauważył, podając Shane'owi mapę.

— Tak. Wioska nazywa się Yangdong. Od pokoleń hodowały tam świnię.

Bill wertował dokumenty.

— Więc kto jest właścicielem ziemi?

Shane odłożył mapę na biurko.

— Lud — odparł.

Bill popatrzył na mapę, a potem w górę na Shane'a.

— To znaczy mieszkańcy wioski? Ci chłopcy z Yangdongu?

— Nie, nie chłopcy — zaprzeczył Shane. — „Lud”. W Chinach wszystkie tereny uprawne są wspólną własnością. Każda rodzina w wiosce ma wieloletnią umowę dzierżawy. Nasi klienci kupują ziemię od miejscowych władz.

— A co z mieszkańcami wioski? — spytał Bill.

— Dostają odszkodowanie — rzekł Shane. — Muszą się pożegnać z ziemią i świniami. Nasz klient buduje tu domy za dwa miliony dolarów dla ludzi, których na nie stać. A dużo jest takich. Wszystkie działki rozeszły się jak świeże bułeczki, prosto z deski kreślarskiej. Za rok wyrosną pałace w miejscach, gdzie stały ферmy świń. I wszyscy będą szczęśliwi.

W drzwiach pojawił się mężczyzna z jasnymi, rzadziejącymi włosami. Był może dziesięć lat starszy od Billa, nieco po czterdziestce. Bill zwrócił na niego uwagę, ponieważ wydawał się starszy od wszystkich pozostałych pracowników biura.

— Shane — powiedział mężczyzna. W jego głosie zadźwięczał północnoangielski akcent. — Pan Devlin cię szuka.

— Dzięki, Mitchell — odrzekł Shane. — Już idę.

Shane nie wykonał żadnego gestu, żeby ich sobie przedstawić, więc mężczyźni uśmiechnęli się do siebie niezręcznie, po czym tamten zniknął.

— Kto to? — spytał Bill.

— Pete Mitchell — odparł Shane. — Zwany Wściekłym Mitchem.

— Dlaczego? — zaciekawiał się Bill.

Trudno by było sobie wyobrazić cichszą i łagodniejszą duszę. Shane rzucił okiem na puste wejście do gabinetu.

— Jest po złej stronie czterdziestki i w dalszym ciągu nie dochrapał się współnika. Nie byłbyś wściekły na jego miejscu?

Bill zmarszczył brwi.

— A co z zasadą „awansujesz albo wylatujesz”?

Zasada „awansujesz albo wylatujesz” zapewniała firmie prawniczej dobrą kondycję i ciągły głód pieniądza, niczym

w maszynie do robienia pieniędzy pozbawionej zbędnego balastu. Jeśli brakowało ci tej iskry bożej, żeby zostać współnikiem, byłeś skończony. Firma nie zamierzała cię trzymać do emerytury. Albo pniesz się w górę, albo wypadasz z gry.

— Jasne — odparł Shane. — Większość naszych radców prawnych zostaje współnikami. Ci, którzy nie zostają, idą w odstawkę jak stara panna. Wiesz, niezamężna sikorka bez Hugh Granta.

Billa przeszedł dreszcz, jakby ktoś nadepnął na jego grób.

— Więc co on tu robi? — spytał. — Mam na myśli Wściekłego Mitcha.

— Mitch pracował w naszym biurze w Hongkongu, ale po przejściu przestał dotrzymywać kroku. Przez wiele lat chłopaki w Hongkongu zarabiali krocie, ale kiedy Anglicy zwinęli żagle, zrobiło się ciężko. Mitcha odesłano tutaj, kiedy jeszcze w Szanghaju był luz blues. — Shane westchnął. — Smutne, co nie, koleś? Czterdzieści lat z okładem i dalej niewolnik na pensji. A przecież długo się tak nie pociągnie. Prawnikom lata się liczą jak psom, szybciej niż u ludzi. — Wziął do ręki fotografię stojącą na biurku Billa. — Ale po tobie spodziewają się tu wielkich rzeczy — powiedział, kiwając poważnie głową.

Przez chwilę w milczeniu przyglądał się rodzinie na zdjęciu, po czym ostrożnie odstawił fotografię na miejsce.

— Szczęściarz z ciebie, stary.

— Tak — odparł Bill, poprawiając srebrną ramkę. — Wiem o tym.

* * *

Mercedes wyjechał z tunelu na Bund. Słynna droga biegła przed nimi zakrętami, po obu stronach rozciągała się wspaniała panorama krzepkich kolonialnych budowli z marmuru i granitu — pozostałość architektury imperium.

— Zachód jest skończony — oznajmił Devlin, przyglądając się mijanym zabytkom Bundu. — Przyszłość należy do

Chińczyków. Przejmują ją w swoje ręce na naszych oczach. — Odwrócił się do Billa. — Wierzysz w to?

Bill wzruszył ramionami. Nie chciał spierać się z własnym szefem, ale nie miał też ochoty przyznawać komukolwiek wyłącznego prawa do przyszłości.

— Nie wiem — odrzekł.

— Lepiej uwierz — powiedział Devlin. — Pracują ciężiej od nas, często w warunkach, na widok których my wzywalibyśmy obrońców praw człowieka albo policję. My, ludzie Zachodu, z krajów rozwiniętych, z dwudziestego wieku, wychodzimy przy nich na leniuchów i rozpieszczonych mięczaków, którzy odchodzą w przeszłość.

Jechali samochodem we czwórkę. Tygrys za kierownicą zdjął swój mundurek ołowianego żołnierzyka i miał na sobie garnitur. Bill siedział z tyłu wciśnięty między Devlina oraz Nancy Deng, miejscową prawniczkę pracującą w ich firmie. Nancy rozłożyła na kolanach aktówkę i przeglądała jakieś dokumenty. Nie odezwała się ani słowem od początku podróży. Z przodu siedział Shane. W wielkiej, mięsistej dłoni trzymał przy uchu cieniutką jak opłatek komórkę i rozmawiał przez nią spokojną, płynną chińszczyzną. Nie przypominała ona szczekliwej kantońskiej intonacji ani wiejskiego warkotu dialektu mandaryńskiego, więc Bill doszedł do wniosku, że taką chińszczyzną mówi się w Szanghaju.

— Co będzie, kiedy Chińczycy nauczą się wszystkiego, co robi się na Zachodzie? — pytał Devlin, uśmiechając się do Billa. — Nie tylko zabawki i ubrania, i tandetne ozdoby choinkowe, ale komputery, samochody, systemy telekomunikacyjne? Kiedy nauczą się to wszystko produkować za jedną dziesiątą kosztów, jakie ponosi się z naszą tłustą, leniwą siłą roboczą?

— Chcesz pojechać po naszych Niemców, czy umówić się z nimi w restauracji? — zapytał przez ramię Shane.

— Pojedziemy po nich do hotelu — odparł Devlin. — Nie chcę, żeby się zgubili w mieście. — Spojrzał z powrotem na

Billa. — Chińczycy są zjednoczeni. — Oczy mu błyszczały. — Nikt tego nie rozumie. — Mają jedną narodową wizję, której Zachodowi brakuje od czasów drugiej wojny światowej. Dzięki temu wygrają.

Shane mówił właśnie Niemcom przez telefon, że spotka się z nimi w holu hotelowym za dziesięć minut.

— Uwielbiam Chińczyków — stwierdził Shane, opierając się na fotelu. — Podziwiam ich. Zawsze wierzą, że jutro wstanie lepszy dzień. A jeśli już masz w coś wierzyć, to niegorsza myśl.

Bill obserwował Bund przesuwający się za oknami samochodu i w głębi ducha zgodził się z Shane'em.

* * *

Zobaczyli ich żebracy.

W pierwszej chwili Bill odniósł wrażenie, że każdy z nich trzyma na rękach przerośnięte niemowlę, jak gdyby żebranie bez rocznego czy kilkuletniego dziecka było zabronione przez miejscowe prawo. Potem na obrzeżach tego tłumu zobaczył trzęsących się starców z wyciągniętymi brudnymi rękoma i samotne, na wpół zdziczałe dzieci, które przemykały pod ramionami i nogami kobiet z kilkuletnimi szkrabami dźwiganymi na rękach jak niemowlęta.

Bill jednak początkowo nie zauważył starców ani większych dzieci, tylko te kilkuletnie, noszone przez matki. Być może zwrócił na nie uwagę dlatego, że były mniej więcej w wieku Holly.

Shane zaklął. Nie chciał iść do restauracji na piechotę. Poradził dwóm Niemcom, że lepiej wziąć mercedesa i taksówkę, ale oni się uparli. Chcieli się przespacerować po Bundzie, no i proszę, żebracy opadli ich ze wszystkich stron ze swoimi bezzębnymi, przymilnymi uśmiechami, cuchnącymi ciałem ubraniami i zdeorientowanymi dziećmi pod pachą.

Shane przepychał się pierwszy, krzycząc do żebraków po szanghajsku, Nancy próbowała do nich przemawiać, a Devlin

wydawał polecenia przerażonym Niemcom. Tylko Bill włókł się oszołomiony światem, w którym dzieci w wieku Holly zebrały na ulicach.

Wyciągnął portfel i natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Zamierzał dać trochę pieniędzy matkom z dziećmi, ale było ich tak dużo, wszystkich tak dużo, że po chwili został dosłownie obłożony. Monety i banknoty zaczęły wypadać mu z rąk, starsze wyrostki odpychały i tratowały kobiety z maluchami na rękach. Wyciągnięte dłonie wciskały się Billowi w twarz.

Jakiś chłopak, krótko ogolony chudzielec o twarzy podobnej do łasicy i starczych oczach, złapał go za marynarkę i nie chciał puścić. Przyłgnął do niego, kiedy Bill przepychał się przez tłum do budynku, gdzie czekali jego koledzy z Niemcami. Dopiero portier w liberii oderwał żebraka od marynarki Billa.

— Lepiej uważaj w tym mieście na swój portfel, stary — powiedział do Billa Shane.

— Nie wszyscy tu jeżdżą bmw i robią zakupy u Cartiera. Miliard tych drani w dalszym ciągu podciera sobie tyłek paluchami.

— A na Zachodzie to niby nikt nie zostaje w tyle? — zapalił się Devlin. — Nigdzie na świecie nie ma takiego pędu ku górze jak tutaj.

Bill stał zakłopotany i poruszony. Niemcy przyglądali mu się ciekawie. Jeden był łysawy i w garniturze, drugi, z długą szopą siwiejących włosów, miał na sobie skórzaną kurtkę, jaką nosi się w czasach szalonej młodości. Jednakże obydwaj zachowywali się bardzo sztywno i równie dobrze mogliby być braćmi. Rozmawiali ze sobą po cichu w swoim własnym języku.

Bill otarł pot z twarzy. Kiedy jechali windą do restauracji, Nancy dała mu chusteczkę, żeby oczyścił sobie garnitur z brudu, którym wymazał go żebrzący wyrostek. Podziękował i z rumieńcami na twarzy próbował zetrzeć plamę, szybko jednak się zorientował, że to na nic.

Idealny czarny odcisk chłopięcej dłoni pozostał na materiale.

* * *

Bill nie mógł tego zrozumieć. Ich klienci, DeutscherMonde, inwestowali miliony RMB w projekt Yangdong. Wybudowali już identyczny obiekt na przedmieściach Pekinu, a mimo to, kiedy tak siedzieli przy stole w towarzystwie swych kosztownych prawników naprzeciwko urzędników państwowych z Yangdongu — pięciu sflaczałych mężczyzn w tanich garniturach, z brzydkimi zębami, ich sześćdziesięcioletniego prawnika o ptasiej twarzy i czuprynie farbowanych, czarnych włosów oraz zwalistego osiłka wyglądającego na ochroniarza — sprawiali wrażenie pokornych suplikantów, którzy przyszli błagać o łaskę niczym żebracy na uczcie.

Przynoszono i wynoszono kolejne dania. Niemcy popijali wodę mineralną. Chińczycy palili jednego za drugim papierosy o wysokiej zawartości smoły i pili napoje. Rozmowa toczyła się nierównomiernie, raz po angielsku, raz po szanghajsku, w większości wokół tematu wspaniałych Zielonych Łanów i tego, w jaki sposób najnowsza inwestycja wzbogaci miejscową społeczność.

Najstarszy z przedstawicieli miasta mówił najmniej. Z ciężkimi powiekami, długą górną wargą i żabią twarzą przypominał Billowi miniaturowego Mao. Nazywali go przewodniczącym Sun. Palił bez przerwy, nawet kiedy drugą ręką, w której trzymał pałeczkę, dziobał coś w talerzu. Sun nie nawiązywał kontaktu wzrokowego, mimo to sprawiał wrażenie delikatnie niezadowolonego ze wszystkiego, łącznie z projektem, jedzeniem, restauracją, obecnością tylu zagranicznych czortów, a prawdopodobnie również z życia.

Pośród wszystkich obecnych tylko Bill wyłączył swoją komórkę, tak więc kolację co chwila przerywały urywki znajomych melodii — *Mission Impossible*, *Brown Sugar*,

chwytlive fragmenty Beethovena, Oasis i Faye Wang. Shane odsunął na bok swój talerz i rozłożył na stole laptopa.

— Co tam w nim trzymasz? — zapytał go Bill.

— Prawdę, kolego — odrzekł Shane. — Brutalną prawdę. Przewodniczący Sun wezwał kelnera i wydał mu polecenie.

Kelner odszedł, a po chwili wrócił z listą win. Sun wybrał alkohol. Shane uśmiechnął się przymilnie i wymamrotał po szanghajsku jakieś komplementy na temat doskonałego gustu pana przewodniczącego.

Wszyscy w milczeniu obserwowali znany rytuał: kelner powrócił z butelką burgunda, pokazał ją przewodniczącemu Sunowi, który po chwili napiętego oczekiwania ledwo zauważalnie skinął głową.

Następnie kelner wyjął korek z butelki i ostrożnie nalał niewielką ilość wina do pustego kieliszka przewodniczącego. Żabia twarz Chińczyka zadrgała podejrzliwie, kiedy powąchał napój, potem spróbował, aż wreszcie, po kolejnej zapierającej dech chwili, kiwnął głową z aprobatą.

Kelner napełnił do połowy kieliszek Suna, a wtedy przewodniczący dolał sobie do pełna sprite'a z puszki, która stała przed nim na stole, pociągnął długi łyk tego osobliwego napoju i odetchnął z rozkoszą.

Bill zerknął na Shane'a, Devlina, Nancy i dwóch Niemców, ale żadne z nich nawet nie mrugnęło okiem.

* * *

Kiedy w sobotę po południu wrócił do domu, w mieszkaniu nie było nikogo.

Położył na stole stertę dokumentów, które dźwigał, zdjął marynarkę i krawat i przeczytał wiadomość, którą Becca zostawiła mu na lodówce. Zabrała Holly do wesołego miasteczka w Fuxing Park na przejażdżkę zderzającymi się samochodzikami. Bill obiecał, że z nimi pojedzie, jeśli zdąży się wyrwać na czas. Niestety, sobota była w Butterfield, Hunt and West zwyczajnym dniem pracy.

Przez całe popołudnie siedział nad papierkową robotą z Shane'em i Nancy. Kontrakt między Niemcami i urzędnikami Yangdongu sporządzono po chińsku i zgodnie z chińskim prawem, ale umowę skonstruowano w taki sposób, że respektowała wszystkie międzynarodowe prawa handlowe, podlegała prawodawstwu Hongkongu i zawierała dokumentację w języku angielskim.

— Dzięki temu łatwiej wprowadzić umowę w życie — wyjaśniła Nancy.

— Kiedy ktoś ukradnie pieniądze — dodał Shane.

Bill wyjął z lodówki butelkę wody Evian i podszedł do okna. Podwórce było puste poza jednym zaparkowanym porsche 911. Wyglądało jak rekin czyhający na ofiarę na dnie oceanu. Dziewięćsetjedenastka, pomyślał Bill, ziewając i rozciągając się na sofie. Porsche dziewięćsetjedenastka w Chinach...

Obudziła go buzia Holly przyciśnięta mocno do jego policzka. Poczul jej słodki oddech, kiedy roześmiała się głośno z radości. W każdej ręczce trzymała zaciśniętą plastikową kolorową figurkę — w jednej księcia, w drugiej księżniczkę.

— Bądź księciem — prosiła usilnie. — No chodź, tatusiu, chodź, bądź księciem.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Holly wyciągała do niego rękę z plastikową figurką. Przeciągnął się, jęknął i z powrotem zacisnął powieki.

— Później, skarbie — usłyszał słowa Becki, dochodzące z kuchni. — Tatuś bardzo ciężko dla nas pracował.

Z ulgą usłyszał, jak drobne kroczki oddalają się powoli. Otworzył oczy. Holly klęczała na podłodze w drugim końcu pokoju i bawiła się sama. Poczul się niedobrym ojcem. Dźwignął się i oparł na łokciu.

— Holly?

— Słucham? — zapytała tym nieśmiałym i oficjalnym tonem, który zawsze poruszał go do głębi.

Opuścił nogi na podłogę i przeczesał rękami włosy.

— Co mam robić?

Holly podniosła na niego śliczną buźkę.

— Chodź, tatusiu — powiedziała, biegnąc do niego z zabawką w ręku. Podsunęła mu plastikową laleczkę pod nos: mały, nieuśmiechnięty człowieczek w złotej koronie i za ciasnych rajtuzach. — Chodź, będziesz Księżciem z Bajki.

Starął się ze wszystkich sił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lubił się przyglądać, jak jego żona się ubiera, szczególnie w takich chwilach jak ta, kiedy przygotowywała się na szczególną okazję, a on wiedział, że niebawem w każdym miejscu, do którego wejdzie, mężczyźni i kobiety będą się za nią oglądać. Teraz jednak, kiedy była jeszcze na wpół ubrana i szykowała się na wieczór, jej wygląd należał wyłącznie do niego.

Obserwował jej twarz, kiedy nakładała czerwoną szminkę; jasny kosmyk włosów, który opadał jej na twarz, gdy pochylała się przed lustrem, znajome kształty jej sylwetki, elegancką sukienkę przygotowaną na łóżku. Uwielbiał to wszystko. Mógł tak na nią patrzeć przez całą wieczność.

— Na co patrzysz? — spytała, uśmiechając się do niego w lustrze.

— Na ciebie.

Siedzieli w jego sypialni. Miał teraz własną sypialnię, mógł więc wracać późno z pracy i wcześniej rano wychodzić, nie budząc Becki ani Holly, które spały razem w sypialni małżeńskiej. Tak jak zaczęło się pierwszej nocy, tak pozostało do dziś.

Pod wieloma względami była to męczarnia. Brakowało mu fizycznej bliskości Becki, tęsknił, kiedy nie czuł jej, budząc się rano lub wyciągając rękę w środku nocy, aby jej dotknąć;

brakowało mu dźwięku jej śpiącego oddechu i ciepła jej ciała u swego boku. Z drugiej strony jej fizyczna obecność była teraz większą rozkoszą, jakby grali w jakąś grę, wydzielając sobie intymność, udając, że są dla siebie obcymi ludźmi. Może stąd się brało to podniecenie, które teraz czuł. Nie co dzień widywał ostatnio, jak jego żona się ubiera.

Becca skończyła się malować i wstała. Miała na sobie białą i szpilki. Wzruszył go widok blizny po cięciu cesarskim na jej brzuchu, zawsze go wzruszał, chociaż nigdy za bardzo nie wiedział dlaczego.

Patrzył, jak wciąga sukienkę, zauważył metkę wystającą z tyłu. Koh Samui, głosiła, i Billowi przypomniał się mały sklepik w Covent Garden, który Becca bardzo lubiła. Często zaglądali tam w soboty po południu, zanim urodziła się Holly. Zapiął jej suwak i schował metkę wprawnym, pewnym ruchem żonatego mężczyzny.

— Jak wyglądam? — spytała.

Odpowiedział, że świetnie, i próbował ją pocałować, ale odsunęła ze śmiechem głowę ze strachu o makijaż. Bill też się roześmiał. Poczuł się tak, jakby nigdy nie wolno mu było jej pocałować, kiedy najbardziej miał na to ochotę.

To było ich pierwsze wieczorne wyjście w Szanghaju, a w każdym razie pierwsze bez Holly. Pierwsza dorosła noc, jak ją nazwali. Mieszkali w Rajskich Rezydencjach od trzech tygodni. Zniknęły dolegliwości związane ze zmianą czasu. Zniknęły też skrzynie. Nie lubili zostawiać Holly z opiekunką. Tylko że Bill nie mógł ciągle odrzucać zaproszenia na kolację od Hugh Devlina, a Becca musiała przyznać, że stara chińska *ayi* imieniem Doris, wychowująca w samotności swojego wnuka, była bardziej godna zaufania niż sznur wschodnioeuropejskich i filipińskich opiekunek, które zostawały z Holly w Londynie.

Dziewczynka spała rozciągnięta na łóżku we wszystkie możliwe strony. Doris siedziała obok i obserwowała ją. Uśmiechnęła się uspokajająco, kiedy Becca i Bill wśliznęli się

do sypialni. Stanęli przy łóżku. Żadne nie miało ochoty wychodzić.

Bill popatrzył na śliczną buzię swojej córeczki i pomyślał o krześle z wysokim oparciem, stojącym w kącie jego sypialni, i o drugim dziecku, o którym rozmawiali i o które mieli się zacząć starać, gdy tylko się zagospodarują. Oboje pragnęli mieć więcej dzieci, ale Bill tak bardzo kochał swoją córkę, że jakaś tajemna cząstka jego duszy czuła, jakby starając się o drugie dziecko, na swój sposób zdradzali Holly.

Rozumiał, czemu ludzie decydowali się na kilkoro dzieci. Kiedy miało się tylko jedno, kochało się je aż za mocno. Niekiedy człowiek czuł się wręcz sparaliżowany z miłości. To nie było dobre, taki ciągły lęk. Tak się nie powinno żyć. Ale kiedy zjawiało się drugie dziecko, jak można było poświęcać pierwszemu tyle samo uwagi co przedtem. Bill już teraz czuł, że spędza z Holly za mało czasu.

Jeśli przyjdzie mu w swoim życiu, sercu i weekendach znaleźć miejsce na drugie dziecko, to zostanie go dla Holly jeszcze mniej. A może to wcale nie działało w ten sposób? Może kochało się to pierwsze dziecko po staremu, w taki sam sposób, z takim samym natężeniem co poprzednio, za to odkrywało się nowe zapasy uczucia dla drugiego? Czyżby serce się po prostu rozrastało?

Tak, tak to właśnie musi działać, pomyślał Bill, kiedy zostawili córkę z *ayi*.

Serce się powiększa.

Nie kochasz pierwszego dziecka ani trochę mniej. Po prostu w sercu zawsze znajdzie się dodatkowe miejsce dla tych, których kochamy.

* * *

Wyjazd z podwórza Rajskich Rezydencji blokował czerwony minicooper z chińską flagą wymalowaną na dachu. Tygrys oparł się na klaksonie, podczas gdy portier George konferował podnieconym głosem z kierowcą zawalidrogi. Wokół samochodu zebrała się garstka kobiet, które obsypywały sprawcę

blokady poradami. George musiał się między nimi przepychać. Wreszcie dotarł do samochodu Tygrysa i uderzył głową w szybę.

— Droga pani, dzień dobry, szefie — powiedział do Becki i Billa, po czym odwrócił się do Tygrysa i wyrzucił z siebie strumień szanghajszczyzny.

— Kluczyki się zacięły — przetłumaczył Tygrys, patrząc na Billa w lusterku wstecznym. — Kluczyki utknęły w samochodzie.

Becca się skrzywiła, kiedy Tygrys znowu zaczął trąbić i nie miał najmniejszego zamiaru odjąć ręki od klaksonu.

— Bill? — szepnęła, więc Bill wysiadł z samochodu i ruszył w stronę coopera.

George poszedł za nim. Zebrane kobiety obserwowały zbliżającego się mężczyznę. Z okna na górze w sobotni wieczór wyglądały wszystkie jak siostry, jednak z bliska nie mogłyby się bardziej od siebie różnić.

— Przepraszam — powiedział Bill.

Tłumek rozstał się bez szemrania czy sprzeciwu. Bill pochylił się do okna minicoopera z chińską flagą na dachu. Za kierownicą siedziała wysoka dziewczyna z orchideą we włosach. Długie kończyny zdawały się wypełniać cały samochód, kiedy rozpaczliwie szarpała za kluczyk w stacyjce.

— Ojejku! — narzekała dziewczyna. — Ojejku.

— Zepsuł się — orzekł George nad ramieniem Billa. — No wiotki samochód i się zepsuł.

Bill westchnął i pokręcił głową, patrząc na przemian na twarz dziewczyny i dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Kobieta była o kilka ładnych lat młodsza od niego, miała zapewne dwadzieścia parę, chociaż w tych okolicznościach trudno było to ocenić z całkowitą pewnością. Równie dobrze mogła być dużo starsza albo dużo młodsza.

— Proszę pani — powiedział Bill cierpliwie — musi pani wrzucić bieg „parkowanie”, inaczej nie wyjmie pani kluczyków ze stacyjki. To specjalne zabezpieczenie, żeby samochód nie odjechał bez kierowcy i kogoś nie zabił.

Dziewczyna rzuciła mu rozgorączkowane spojrzenie. Z rozcięcia w sukience qipao, której Bill nie odróżniał jeszcze wtedy od *cheongsam*, wyłoniła się długa noga. Kobieta miała prawie mlecznobiałą cerę. Zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie mówią na nich „żółtki”? Skąd się wziął ten przesąd? Ta dziewczyna jest bledsza ode mnie. Nigdy w życiu nie widział tak białej skóry. Jak alabaster.

— Zechce pan wybaczyć? — powiedziała. — Mój mąż zajmie się tą sprawą.

Bill patrzył na nią przez chwilę bez słowa, zaskoczony tą oficjalną angielszczyzną. Dziewczyna ubierała się jak Suzie Wong, a mówiła jak członkini Instytutu Kobiet.

— Zechcę wybaczyć — odparł. — W porządku.

Odwrócił się do George'a.

— Ma włączony bieg „jazda”, musi go przestawić na „parkowanie”, inaczej nie wyjmie kluczyków. — George wyglądał na lekko zdezorientowanego. — Tak je specjalnie produkują — wyjaśnił Bill, tracąc pomału cierpliwość.

George myślał przez dłuższy czas, aż w końcu na jego okrągłej twarzy zaczęło świtać zrozumienie.

— Aha — powiedział. — Sprytne zabezpieczenie.

— Mój mąż rozwiąże ten dylemat — upierała się kobieta, nie przestając szarpać się rozpaczliwie z kluczykiem.

Bill popatrzył na nią i nie odezwał się więcej ani słowem. Skinął uprzejmie głową otaczającym ich kobietom i wrócił do limuzyny. Tygrys znowu oparł się na klaksonie. Bill zdążył się już zorientować, że to niepoahamowane używanie klaksonu było w Chinach zachowaniem endemicznym. Zmarszczył czoło, pokręcił głową i Tygrys przestał trąbić.

Bill usiadł obok Becki. Widział od tyłu głowę dziewczyny siedzącej za kierownicą i orchideę wpiętą we włosy. George pochylał się nad cooperem i bardzo ostrożnie instruował kobietę, jakby to było niezwykle skomplikowane zadanie. Kwiat we włosach falował, kiedy dziewczyna potrzasała głową.

— O co chodzi? — zapytała Becca.

— Wrzuciła nieprawidłowy bieg — wyjaśnił żonie Bill. — W ten sposób nigdzie nie zajedzie.

* * *

Stali, trzymając się za ręce, na balkonie prywatnego klubu. Otaczało ich miasto z całym swoim bogactwem, tajemniczością i dumą. Było dzikie, nie przypominało niczego, co dotąd widzieli.

Patrzyli ponad świetlną powodzią dachów Bundu na wielką rzekę migoczącą fragmentami odbijających się w wodzie neonów, z niewidocznymi barkami płynącymi w ciemności i dającymi o sobie znać rykiem syren, na błyszczące w oddali wieże Pudongu.

Za dnia Szanghaj jest rozpalony, okrutny i przeludniony, za to w nocy piękny, pomyślał Bill, zawsze niezaprzeczalnie piękny, tak jak wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy, jadąc mostem z lotniska, oszołomiony po długim locie z Londynu.

Ścisnął dłoń Becki, a ona się doń uśmiechnęła.

Na balkon wyszedł do nich Devlin, stanął obok z drinkiem w rękę i pokręcił głową na rozciągający się przed nimi widok.

— Nigdy w historii nie istniało takie miasto jak to — powiedział cicho.

Becca pomyślała, że mówi tyleż do nich, co do siebie samego. Przypominał budowniczych starożytnych imperiów, miał w sobie taką samą szaloną pasję. Wyobrażała go sobie na farmie na wzgórzach Ngong w Afryce albo duszącego się w upale Satipuru, albo niesionego w lektyce na Wzgórze Wiktorii. Tylko, rzecz jasna, nie pozostało już żadne imperium.

— Nigdy — ciągnął. — Nigdy w dziejach ludzkości. — Popatrzył na nią i uśmiechnął się. Miał mnóstwo wdzięku, Becca nie mogła się powstrzymać, aby nie poddać się jego zachwytowi. Wciągnął w piersi ciężką szanghajską noc. — Mówię wam, przyszłe pokolenia będą nam zazdrościć, że żyliśmy w tym miejscu i w tym właśnie czasie.

Becca się uśmiechnęła. Najbardziej podobało jej się w Devlinie właśnie to, że mówił o Chińczykach z prawdziwym

uczuciem. Wychowywała się praktycznie w podróży, jej ojciec był reporterem Reutera i do czasu, kiedy ostatecznie wrócili na stałe do Anglii, gdy Becca miała jedenaście lat, jej dzieciństwo odmierzają kolejne przeprowadzki do kolejnych miejsc, gdzie oddelegowywano ojca: w Johannesburgu, we Frankfurcie i w Melbourne. Doskonale wiedziała, że osoby mieszkające przez dłuższy czas za granicą najczęściej reagują na kraj, w którym przyszło im mieszkać, łagodną pogardą. Devlin był inny. Uwielbiał Chińczyków i teraz patrzył w ciemność i opowiadał o chińskiej gospodarce, która przegoniła już angielską, przed 2010 rokiem zdystansuje również niemiecką, a w 2020 amerykańską. I wcale nie mówił tego z niechęcią, wręcz przeciwnie, z nabożnym podziwem i przeświadczeniem, że ten naród sobie na to zasłużył. Becca wyczuwała w Devlinie coś niezwykłego, czuła, że ich życie może być lepsze i stawać się coraz lepsze, jeśli tylko będą się trzymać blisko Hugh Devlina. Samą swoją obecnością utwierdzał ją w przekonaniu, że dobrze zrobili, przyjeżdżając tu, i że te najbliższe lata przyniosą im spełnienie wszystkich marzeń.

Miała jeszcze jeden powód, aby lubić Devlina: nie traktował jej protekcjonalnie, nie tak, jak odnosili się do niej starsi współpracownicy w firmie Billa w Londynie. Tamci widzieli w niej żonę swego pracownika i nic więcej, matkę jego dziecka i nikogo ponadto, ani przedtem, ani potem. „Opiekunka ogniska domowego — mówili — najcięższa robota na tym przeklętym świecie”. Ale Becca wiedziała, że nie wierzyli w to nawet przez sekundę, czuła ukrytą w tych słowach drwinę.

Przy Devlinie nie czuła presji, aby przedstawiać swoje referencje kobiety do niedawna pracującej zawodowo, niepraktykującej dziennikarki. Wiedziała też, że Devlin doskonale zdaje sobie sprawę, że bez niej nie byłoby tu młodego, obiecującego prawnika Billa Holdena.

Na balkon wyszła szczupła, mniej więcej czterdziestoletnia blondynka z drinkiem w jednym ręku i papierosem w drugim. Sądząc z jej wyglądu, już godzinę temu powinna się była

przerzucić na wodę mineralną. To ją Becca widziała na zdjęciu w portfelu Devlina w Londynie. Tess Devlin wyciągnęła rękę i Becca ją uściśnęła.

— Chcę, żeby twój mąż dał mi dziecko, zanim będzie za późno — powiedziała do Becki.

— Nie ma sprawy — odrzekła Becca. — Może najpierw dokończyć drinka?

— No, chodźcie wreszcie do środka, wy papużki nierozłączki — powiedziała pani Devlin, całując Billa w obydwie policzki i biorąc ich oboje pod rękę. Rzuciła swojemu mężowi karcące spojrzenie. — Tu na zewnątrz jest okropnie gorąco.

Mówiąc do swojego męża, puściła Billa i pozwoliła mu zostać w tyle, ale cały czas trzymała za ramię Beccę, dopóki nie zaprowadziła jej do stolika i nie usadziła obok siebie. Przy stoliku siedziało dwanaście osób, wszyscy prawnicy firmy oraz ich żony, chociaż kilku było chyba w pojedynkę, w każdym razie na przyjęciu.

Becca rozpoznała niektóre osoby na podstawie opowieści Billa. Azjatką wydającą kelnerom polecenia po szanghajsku musiała być Nancy Deng. Samotny Anglik o zmęczonym wyglądzie, zapatrzony smutno w jakiś punkt w sali jadalnej to prawdopodobnie Wściekły Mitch, którego dni w firmie były, zdaje się, policzone. Osobiście znała tylko Shane'a. Australijczyk uśmiechnął się do niej i przywitał ją po imieniu, podnosząc w mięsistej dłoni kieliszek tsingtao. Wzruszyło ją, że pamiętał, jak ma na imię.

— Gdzie was zakwaterowali, kochanie? — spytała pani Devlin, podczas gdy nad parującymi miskami z zupą z płetwy rekina unosił się szmer różnojęzycznych rozmów.

— W Nowej Dzielnicy Gubei — odparła Becca.

Uśmiechnęła się do Wściekłego Mitcha, który przypadkiem napotkał jej spojrzenie. Wyglądał na spłoszonego tym niespodziewanym przejawem życzliwości.

— Gubei? — Pani Devlin uśmiechnęła się z aprobatą, a Becca doszła do wniosku, że ta kobieta musiała być kiedyś

piękna. W dalszym ciągu była, jeśli pominęło się twardą, błyszczącą warstwę zawodowego wdzięku oraz wpływ alkoholu. — Prześlicznie tam jest, prawda? Mają dobre szkoły. Mieszkaliśmy tam przez pierwsze dwa lata po przyjeździe do Szanghaju. — Kelnerka postawiła przed nią drinka, a wtedy pani Devlin odwróciła się do niej ze złością. — Prosiłam o amaretto bez lodu. To jest amaretto z lodem. Amerykanie i Niemcy mogą sobie pić amaretto z lodem, ale ja nie jestem ani Amerykanką, ani cholerną Niemką. Jestem Angielką, a my nie potrzebujemy sypać do każdego drinka tyle lodu, że już nie czuć smaku. Proszę to zabrać i przynieść mi to, co zamówiłam. — Odwróciła się z powrotem do Becki i uśmiechnęła. — No więc jak tam jest? Urządziliście się już?

Becca, której zabrakło słów, popatrzyła za młodą kelnerką odchodzącą z karygodnym drinkiem amaretto. Potem spojrziała z powrotem na Tess Devlin i zmusiła się do sklecenia jakiejś odpowiedzi.

— No cóż, wygląda to trochę inaczej, niż sobie wyobrażałam. Chociaż właściwie nie wiem, co dokładnie sobie wyobrażałam. Świątynie i herbaciarnie. Conrada i Kiplinga. Miałam przed oczami ten romantyczny obraz Szanghaju. Chyba wciąż go mam. „Oddech Wschodu na mojej twarzy” i tak dalej. Wiem, że to niemądre.

Pani Devlin poklepała japo rękę, jak gdyby chciała powiedzieć, że to wcale nie jest niemądre.

— Kiedy byłam dzieckiem, mieszkaliśmy z rodzicami za granicą — ciągnęła Becca. — Lubię Londyn, ale nie mogę powiedzieć, że Anglia jest moim domem, w każdym razie nie tak jak dla Billa. Nie należę do tych emigrantów, którzy usiłują na obczyźnie stworzyć sobie drugą Anglię, wiesz, zamawiają przez Internet marmite, kupują najnowsze komedie na DVD i dostają obsesji na punkcie wyników w piłce nożnej. — Nabrała na łyżkę gęstej białej zupy i przyglądała się jej. — Mamy piękne mieszkanie, bardzo dobrą *ayi*, a Holly uwielbia swoje przedszkole.

Pani Devlin odsunęła na bok zupę z pletwy rekina i zapaliła papierosa.

— I pieniądze są dobre, prawda? — powiedziała z ledwie zauważalnym uśmiechem, wypuszczając dym nosem. — W Anglii od najwyższych zarobków płaci się czterdzieści procent podatku, a w Hongkongu, skąd ciągniemy pieniądze, tylko szesnaście.

— To prawda, że pieniądze są dobre — przytaknęła Becca, chcąc pokazać, że nieobce są jej sprawy pracującego świata.

Niekiedy odnosiła wrażenie, że powinna zachować Kiplinga i Conrada tylko dla siebie.

Nie mogła powiedzieć tej władczej, nieobliczalnej, w dodatku podchmielonej kobiecie, którą dopiero co poznała, że napotkała właśnie prawdziwy problem. A tym prawdziwym problemem był fakt, że nie widywała już swojego męża tak często i dużo jak w Londynie, czy też tak często i dużo, jak by chciała i potrzebowała. Brakowało jej go, lecz nie mogła mu nawet o tym wspomnieć, ponieważ poczułby jeszcze większą presję, a i tak nic by na to nie poradził. Uśmiechnęła się więc, jak przystało na młodą, dzielną żonę.

— Przypuszczam, że trzeba trochę czasu, aby się przyzwyczaić — powiedziała tylko.

— No cóż, to nie jest miasto równouprawnienia — stwierdziła w zamyśleniu pani Devlin. Zaciągnęła się papierosem, wypuściła dym tym razem przez usta i zmrużyła oczy w mgiełce marlboro. — Jest zupełnie inne dla kobiet i dla mężczyzn. Przekonasz się. Może zresztą już to zauważyliście.

Becca pomyślała o dziewczętach z Rajskich Rezydencji, wychodzących na spotkanie mężczyzn w samochodach, i zastanawiała się, czy pani Devlin też je widziała.

Tess pochyliła się blisko do Becki. Pachniała papierosami, amaretto i perfumami od Armaniego.

— Wiem, że czasami bywa ciężko — ciągnęła — ale popatrz na to w ten sposób: kilka lat w Szanghaju i będziecie urzędzeni na całe życie.

Przed panią Devlin postawiono drinka. Amaretto bez lodu. Nie zwracając uwagi na kelnerkę, biorąc to, co jej się najśluszniej na świecie należało — pomyślała Becca — delikatnie objęła dłonią kieliszek, sprawdziła temperaturę napoju i rzuciła kelnerce miazdzące spojrzenie, które mówiło: „Już ja znam te wasze sztuczki, wyłowiłaś tylko lód i wcale nie przyniosłaś mi świeżego drinka”. Potem sącząc powoli swojego naprawdę świeżego drinka, posłała Becce porozumiewawcze spojrzenie: „mnie nie oszukają”. Kelnerka znikła.

— Och tak, Nowa Dzielnica Gubei jest prześliczna — powiedziała pani Devlin melancholijnie. — Drogie stare Gubei. W ogóle nie czujesz, że jesteś w Chinach.

* * *

Coś dziwnego się działo w łazience. Bill poczuł to od razu po wejściu. Niby była pusta, ale czemu w kącie stało wiadro z mopem? I co to był za odgłos? Co tu się działo?

Ruszył przed siebie ostrożnie, obserwując rząd kabin. To też było dziwne, ponieważ wszystkie drzwi były otwarte na oścież. A jednak bez najmniejszych wątpliwości słyszał, że ktoś tu jest. I ten ktoś wydawał odgłosy, jakby właśnie rodził.

Po chwili Bill go zobaczył. Stary sprzątac w podartych spodniach i brudnych kalesonach wokół kostek siedział na tronie przy całkowicie otwartych drzwiach, stękał i natęzał się i jęczał, jak gdyby cały błonnik świata nie mógł ulżyć jego zdławionym jelitom. Siedział w najdalszej kabinie od wejścia i był to być może jego jedyny ukłon w stronę dobrych obyczajów. Ponieważ na Billa popatrzył bez śladu zażenowania na twarzy.

Szczerze mówiąc, popatrzył na Billa, jak gdyby właśnie wysiadł z samolotu linii British Airways na Heathrow, podczas gdy on siedział tam już tysiąc lat.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bill stał przy oknie i patrzył na podwórze, czy przyjechał już Tygrys. Na dole czekało czarne bmw, silnik pracował, za kierownicą siedział starszy mężczyzna. Z budynku naprzeciwko wyszła młoda kobieta w okularach i z uśmiechem na twarzy podeszła do samochodu i mężczyzny, który mógł być co najwyżej jej ojcem. Poznają ją, pomyślał Bill. To bibliotekarka. A więc mieszkają tu również normalni ludzie.

— Tatusiu! Tatusiu! — za jego plecami rozległ się rozkazujący, nieznoszący sprzeciwu głosik Holly. — Czy ty wiesz, na jakim planecie mieszkamy?

Bill zorientował się, że srebrne porsche przyjeżdżało po wysoką dziewczynę w środy i piątki wieczorem. Stało tam również często w niedziele po południu, a sporadyczne wizyty zdarzały się i w ciągu tygodnia. Odwoziło ją do domu w Rajskich Rezydencjach nad ranem lub zabierało o dziwnych porach.

To niby jest jej mąż? Akurat, pomyślał Bill.

Zastanawiał się, jakie wymówki ten mężczyzna wymyśla dla swojej żony. A może w ogóle niczego nie mówi? Może nie potrzebuje wymówek? Może to była tutaj najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem?

— Tatusiu. — Poczul szarpanie za rękaw. Popatrzył w dół na Holly i uśmiechnął się. Dotknął dłonią jej buzi. — Wiesz na jakim planecie mieszkamy?

Wyciągnęła w jego stronę jakieś skomplikowane urządzenie zrobione ze sznurka, wełny, piłeczek i tektury i kazała mu je obejrzeć. Za nią stała *ayi* Doris i uśmiechała się z dumą.

— Zrobiła to w szkole — poinformowała *ayi*. — Bardzo sprytne. Bardzo genialne.

Bill popatrzył uważnie na dyndające sznurki i piłeczki.

— To planety — wyjaśniła Holly.

— Prześliczne, aniołku — powiedział Bill, oglądając dziwaczne urządzenie.

W paluszkach jak zapałki Holly trzymała korek od szampana. Z korka zwisała niebieska wełniana nitka i przechodziła przez papierowy talerzyk pomalowany na czarno i ozdobiony przyklejonymi złotymi gwiazdkami. Pod talerzem, który, jak się teraz Bill zorientował, miał udawać niebo lub może nieskończoną przestrzeń, do zwisających wełnianych sznurków przyczepiono kilka różnej wielkości pomalowanych piłeczek obracających się wokół tekturowego pomarańczowego Słońca.

Jeden paluszek wskazywał żółtą kulę z nierównym czerwonym pierścieniem namazanym dookoła.

— To jest Saturn — oznajmiła Holly autorytatywnie. Dotknęła najmniejszej piłeczki. — To Pluton, jest najdalej od Słońca. — Większa czerwona kula. — To oczywiście Mars. — Podniosła na tatę błyszczące niebieskie oczka. — Miałam użyć na Słońce żółtej tektury, ale... mmm... użyłam zamiast niej pomarańczowej.

— Osobiście uważam, że pomarańczowy jest nawet lepszy — stwierdził Bill. — Takie jest moje zdanie.

— A to my — powiedziała Holly, dotykając zielono-niebieskiej piłeczki. — To Ziemia. Tu jesteśmy... i wiesz co, tatusiu? Zgadnij.

— Co, kochanie?

Czy on wiedział tyle o planetach, kiedy miał cztery lata? Raczej nie. Szczerze mówiąc, nie wiedział tyle, nawet kiedy miał trzydzieści jeden lat.

— Te najjaśniejsze gwiazdy, które widzimy na niebie, już nie istnieją — poinformowała go z całą powagą. — Widzimy tylko ich obrazek. Wyglądają ładnie i świecą, ale one już dawno umarły.

Najjaśniejsze gwiazdy już nie istnieją? Czy to możliwe? Zastanawiał się, czy powinien ją wprowadzić z błędu, czy nie. Wiedziała dużo więcej od niego.

— Właśnie się tego nauczyłam — powiedziała Holly.

Ayi zabrała dziewczynkę do łazienki, żeby umyła ząbki przed pójściem do przedszkola, a Bill usłyszał, jak Becca w sypialni rozmawia przez telefon ze swoim ojcem. Spojrzał na zegarek. Pora śniadania w Szanghaju oznaczała, że w domu było mniej więcej południe.

Becca dzwoniła do ojca prawie codziennie. Bill poczuł wyrzuty sumienia, ponieważ on do tej pory nie zadzwonił do swojego ani razu.

Może powinien zatelefonować do staruszka? Szybko jednak odrzucił tę myśl. Nie mieliby o czym rozmawiać. Albo, co jeszcze gorsze, zaczęliby się kłócić bez sensu, jak zawsze o nic, i odłożyli słuchawki rozgniewani.

Kiedy mama żyła, było inaczej. Tworzyli wtedy prawdziwą rodzinę. Ale przestali nią być piętnaście lat temu. Obydwaj z ojcem bardzo się starali, ale obydwaj wiedzieli, że to z góry skazane na porażkę. Dwaj mężczyźni po prostu nie mogą tworzyć rodziny. Jest ich za mało, brakuje ośrodka, serca. Za dużo ostrych krawędzi, za dużo testosteronu, za dużo kłótni. Wszystko było powodem do awantur. A potem Bill pojechał na uniwersytet. W wakacje i weekendy pracował, nie tylko dlatego, że musiał zarabiać na studia, ale również dlatego, że nie chciał wracać do domu. Było mu bardzo smutno to przyznać.

Może by sprowadzić tu staruszka, pomyślał Bill, kiedy na

podwórze wjechała limuzyna i Tygrys zaparkował koło srebrnego porsche. Tak, trzeba by go tu ściągnąć na kilka tygodni, pozwiedzać z nim, dać mu spędzić trochę czasu z wnuczką, którą kochał do szaleństwa. To podziła.

Uzucie, że życie rodzinne skończyło się dla niego na zawsze, nie opuszczało Billa do chwili, gdy pięć lat później poznał Beccę. To dzięki niej uwierzył, że może jeszcze mieć własną rodzinę. Zakochał się w niej tego samego wieczoru, kiedy ją poznał, i życie zaczęło się dla niego na nowo.

Odwrócił się, gdy Holly z *ayi* wróciły do pokoju. Dziewczynka cały czas niosła w rączkach domowej roboty wszechświat i Bill uśmiechnął się do córeczki i uklęknął, aby móc lepiej podziwiać skomplikowany projekt.

To właśnie jest miłość, pomyślał, kiedy z dołu doszedł odgłos odjeżdżającego porsche 911. Szansa na rozpoczęcie nowego życia.

* * *

Przez pięć lat między jedenastym a szesnastym rokiem życia Becca i Alice Greene serdecznie się ze sobą przyjaźniły.

Była to jedna z tych afektowanych, wszechogarniających dziecięcych przyjaźni, dumnie izolacjonistycznych, okres wspólnych sekretów i nieokiełznanej lekkomyślności. Pewnej nocy Alice przekłuła Becce uszy igłą rozgrzaną w płomieniu świecy. Przez długie lata śmiały się potem z tej krwawej łaźni. Nigdy jednak ta przyjaźń nie rozwinęła się do końca jak trzeba.

Obie mieszkały w internacie szkoły w Buckinghamshire mieszczącej się w ponurym gotyckim domiszczu otoczonym lesistymi wzgórzami — sceneria jakby żywcem wyjęta z bajki. Kiedy zaczęły się przyjaźnić, ubierały się identycznie, nosiły identyczne fryzury i obydwie chciały zostać dziennikarkami. Rzecz jasna uwielbiały, kiedy koledzy i nauczyciele mówili im, że wyglądają jak bliźniaczki. Nie były jednak bliźniaczkami.

Ojciec Becki zarabiał w Reuterze godziwe pieniądze, mimo to szkoła Becki byłaby poza zasięgiem ich możliwości finan-

sowych, gdyby nie stypendium. Rodzina Alice tymczasem była właścicielami sieci restauracji na Boat Quay w Singapurze i dziewczynę cechowała owa łatwa pewnośc siebie będąca skutkiem dorastania w zbytku, na który się samemu nie pracowało.

Szczodrość była jednostronna: Becca spędzała wakacje z rodziną Alice na Bali, szalała na zakupach w Hongkongu dzięki karcie kredytowej Alice, latała w wakacje pierwszą klasą do Singapuru, czyli Singy, jak go nazywała Alice i jeszcze przed skończeniem dwunastu lat również Becca. „Zabierasz się z nami do Singy, Bec?”. Więc kiedy Becca dowiedziała się, że Alice pracuje jako niezależna dziennikarka w Szanghaju, ucieczyła się, jakby usłyszała najwspanialszą nowinę na świecie.

Alice zjawiała się przed pójściem Holly do łóżka i kiedy obydwie kobiety padły sobie w ramiona, piętnaście lat gdzieś uleciało.

Razem wykapały Holly, która trajkotała jak najęta do zachwyconej nieznajomej, Alice gruchała i rozplywała się nad jej urodą i niewinnością. Becca nie mogła powstrzymać zadowolenia, że w ich przyjaźni osiągnęła jakiś stan równowagi. Ona miała dziecko, męża, dom i nareszcie wydawało się, że Alice nie zbierała z życia wszystkiego, co najlepsze.

Kiedy Holly zasnęła, Becca wyjęła z lodówki butelkę białego wina i podeszła z nią do okna, gdzie stała Alice.

— Przestałaś pisać? — spytała Alice od niechcienia, ale Becca poczuła, jak to pytanie trąca czułą strunę.

— Tak. Teraz głównie zajmuję się Holly.

Zaczęła opowiadać historię ataku astmy Holly w żłobku w Londynie. Alice kiwała głową ze zrozumieniem i współczuciem, ale Becca szybko skończyła i dołała im obu wina. Wszystko to brzmiało jak wymówka, a wcale nią nie było. Naprawdę rzuciła pracę, ponieważ bała się o zdrowie Holly.

— W każdym razie mam co robić — powiedziała. Czemu, do diabła, ma się czuć winna, że rzuciła pracę? — A ciebie co

przywiodło do Szanghaju, Al? Myślałam, że jesteś w Hongkongu albo w Singy.

Uśmiechnęła się na widok skrzywionej miny przyjaciółki. Zobaczyła widmo dziewczyny, jaką Alice była w wieku jedenastu, dwunastu i trzynastu lat: rozpieszczonej, szczodrej, którą zbyt łatwo było polubić.

— Sama wiesz, jak wygląda życie wolnych strzelców — powiedziała Alice. Stuknęły się kieliszkami i uśmiechnęły do siebie szeroko. — Nasze zdrowie. Wiecznie gonimy za tematem. — Westchnęła. — A w dzisiejszych czasach ludzie chcą słuchać i czytać o świetlanej przyszłości Chin. Znasz tę śpiewkę: „Jak Chiny zmieniają świat. Trzy miliardy nowych kapitalistów. Wielka chińska gorączka złota”. — Alice wyjrzała za okno. Wszystkie zachodnie gazety chcą, żeby im relacjonować, jak się dokonuje cud. — Pokręciła głową. — Tylko że ten cud to nie koktajl daiquiri w restauracji M na Bundzie.

— Nie rozumiem?

Becca upiła wina. Tknęło ją złe przeczucie. Naprawdę chciała, żeby spędziły razem miły wieczór: podchmielić się, przegadać kilka godzin i poczuć, że nic się nie zmieniło.

— Głównym powodem wzrostu chińskiej gospodarki jest to, że zagraniczni idioci chcą tu inwestować — powiedziała Alice i Becca przypomniała sobie, jak bardzo jej przyjaciółkę irytowały ludzkie ograniczenie umysłowe i głupota. Niektóre dziewczęta w szkole bardzo się jej bały. — Każdy zachodni dyrektor boi się uchodzić za tego, który przegapił Chiny — ciągnęła Alice. — Ale jak można mówić o chińskim cudzie, jeśli pięćset milionów Chińczyków utrzymuje się za mniej niż dolara dziennie? W połowie stulecia Chiny będą miały większą gospodarkę niż Stany Zjednoczone. I wiesz co? W dalszym ciągu pięćset milionów ludzi będzie się tu utrzymywać za jednego dolara dziennie. Do dupy z tym wszystkim. — Upiła drinka. — Dobre wino.

— Ale mimo wszystko wielu z nich wychodzi z nędzy,

prawda? — wtrąciła łagodnie Becca. — Tak przynajmniej powtarza szef Billa.

— Niektórzy tak — przyznała Alice. — Kilka milionów albo coś koło tego. Ale Chińczycy zasługują na dostatki, które są warte tego, żeby w nie opływać: czystą wodę, a nie puste drapacze chmur, rządy prawa, a nie łapówkarzy, serwis informacyjny bez cenzury, a nie wszechobecne porno. Potrzebują oświaty, demokracji, wolności słowa, a nie propagandy, toreb z Prądy i ulic zakorkowanych audi made in China.

— Myślałam, że tu będzie bardziej jak w Hongkongu — powiedziała Becca. — I to w takim Hongkongu, jaki znaliśmy: całodniowe wycieczki na wyspy, weekendy na dżonkach, niedzielne obiady w Aberdeen.

Alice wybuchnęła śmiechem.

— Brzmi jak sielanka.

— Bo to była sielanka, nie mam racji? — rzuciła buńczucznie Becca.

— Tyle że to nie jest Hongkong — odparła Alice i uśmiech znikł z jej twarzy. — Szanghaj zawsze należał do Chin kontynentalnych. Możesz zapomnieć o tych bzdetach z orientalnym Paryżem. Angolom nigdy nie udało się przenicować Szanghaju po swojemu, tak jak to zrobili z Hongkongiem.

— W każdym razie — stwierdziła Becca, czując, że wykazała się zbyt dużym sentymentalizmem i że Alice bierze ją teraz za jakąś żalostną kurę domową tęskniącą za lepszymi czasami — jestem pewna, że wszystko nam się dobrze ułoży. Dolać ci jeszcze wina?

Popatrzyły na podwórze, gdzie błyszczące samochody czekały na pracujących silnikach. Chociaż ruch był mniejszy niż w weekend, nieprzerwany sznur młodych kobiet ciągnął do nowiutkich samochodów ze starszymi mężczyznami za kierownicą.

— Fascynujące — powiedziała pogodnie Becca, żeby poprawić jakoś nastrój. Tak bardzo się ucieszyła ze spotkania z przyjaciółką. Chciała, żeby spędziły miły wieczór, tak jak za

dawnych czasów. — Chyba wprowadziliśmy się do budynku z jakąś agencją towarzyską.

— To nie jest agencja towarzyska — uśmiechnęła się Alice, a Becca zwróciła uwagę, że jej przyjaciółka skwapliwie skorzystała z okazji, aby wykazać się znajomością miejscowych zwyczajów. Za wszelką cenę jak zawsze chciała być górą. — Rajskie Rezydencje są *niaolong*... klątką dla ptaków. Jest ich tu mnóstwo w Gubei. Jeszcze więcej w Hongqiao.

A te dziewczyny nazywają *jinseniao*: kanarkami.

Niebieskie oczy Becki zrobiły się okrągłe.

— Więc jednak to prawda? Te wszystkie dziewczyny są... prostytutkami?

Alice energicznie potrząsnęła głową.

— Nie. Każda z nich sypia tylko z jednym mężczyzną. Na swój wypaczony sposób to bardzo moralne.

Becca popatrzyła na podwórze.

— Rozumiem — powiedziała. — Utrzymanki bogatych facetów.

— Tak naprawdę to nawet nie są utrzymanki — stwierdziła Alice. — Raczej coś w rodzaju drugich żon. Swego czasu napisałam o nich artykuł. Te kobiety się zakochują. Mają dzieci. Robią pranie, jeśli facet pochodzi spoza miasta. Prowadzą normalne, domowe życie, czekając, aż facet porzuci żonę numer jeden. Rzecz jasna nigdy tego nie robi, chociaż zdarzały się chyba takie wypadki. Żyją w chaosie. Ich sytuacja może się zmienić z dnia na dzień. Facet może się znudzić albo jego żona się dowie. Albo kanarek zostanie przyłapany na szukaniu rozrywki na boku. Albo facet weźmie o jedną viagrę za dużo i umrze w łóżku.

Becca o mało się nie zakrztusiła winem.

— Nie śmiej się, ty nieczuła świni! To się zdarza — mówiła dalej Alice. — Te kobiety to współczesne konkubiny.

Facet często pochodzi z daleka: z Hongkongu, Singy, Tajwanu. Wielu Chińczyków spoza kraju. Lokują babkę w mieszkaniu i przyjeżdżają do niej, gdy tylko są w Szanghaju. —

Wskazała podwórko ręką z kieliszkiem. — Ale ci wszyscy wyglądają na miejscowych. Żaden Chińczyk z Hongkongu nie ubiera się tak fatalnie. Sama pomyśl. Facet oszczędza sobie uciążliwości szukania towarzystwa po barach, a kobieta, która prawie zawsze wychowywała się w niewyobrażalnej nędzy, zyskuje poczucie bezpieczeństwa. Dla siebie i swojej rodziny. Przynajmniej tak długo, jak długo to trwa. A bywa, że latami.

— Małżeństwo z rozsądku — zauważyła Becca.

— Raczej konstruktywny związek seksu z ekonomią — odparła Alice.

— Tak się pewnie dzieje wszędzie — stwierdziła Becca.

Starła się, aby to zabrzmiało światowo. Nie chciała dać po sobie poznać, że poczuła wewnętrzny niepokój. Z jakiegoś powodu prostytutka byłaby łatwiejsza do zrozumienia.

— W normalnej pracy te kobiety mogą zarobić kilka tysięcy RMB miesięcznie, jeśli dopisze im szczęście — powiedziała Alice. — Albo mogą zamieszkać obok ciebie i Billa i korzystać z tego, co dostały, aby dostać to, czego pragną.

Bardzo pragmatyczne podejście. Bardzo chińskie. W tym mieście pełno jest takich kobiet.

Pomiędzy większymi autami warczał czerwony minicooper. Oczywiście wysoka dziewczyna utknęła na niewłaściwym biegu, pomyślała Becca.

— Jasne, że w grę wchodzi pieniądze — ciągnęła Alice. — Ale Szanghaj jest krzywym zwierciadłem. Pojeźdź na wieś. Polowa dzieciaków nigdy nie widziała tam szkoły od środka.

Z elektronicznej niani doszedł odgłos płaczu i Becca została Alice zamyśloną przy oknie. Może za bardzo się starała ożywić ich starą przyjaźń. Może powinna trochę bardziej cieszyć się swoim własnym towarzystwem, pomyślała, biorąc w ramiona zaspianą Holly. I towarzystwem córeczki, kiedy przeprowadza ją z przedszkola. I towarzystwem męża w niedziele i czasami trochę w soboty. Zameżne kobiety i żonaci mężczyźni nie powinni czuć takiej rozpaczliwej potrzeby przyjaźni, uznała.

Kiedy jednak Holly zasnęła, Becca wróciła do salonu i zastała Alice uśmiechniętą, jakby właśnie coś jej się przypomniało.

— Hej, Bec, a pamiętasz, jak przekulałam ci uszy? — spytała.

* * *

My w Chinach nie możemy być prawnikami.

Był to żart powtarzany często zachodnim prawnikom w Szanghaju i Shane lubił go wspominać, ilekroć dochodziła północ, w całym Pudongu gasły światła, a oni popijali wystygłą kawę przy biurkach cały czas zawałonych papierami.

Na ich wizytówkach widniała informacja „Zagraniczny prawnik”, ponieważ dla obcokrajowców panowały tu inne zasady. Jeśli byłeś zagranicznym prawnikiem pracującym dla zagranicznej firmy w Szanghaju, Chińska Republika Ludowa sprowadzała cię do roli prawnego reprezentanta, i na tym kończyłeś. Nawet chiński prawnik, taki jak Nancy Deng, nie mógł pełnić tej funkcji w zagranicznej firmie i otrzymywał status „prawnik ChRL, niepraktykujący”. Butterfield, Hunt and West musieli każdy swój kontrakt potwierdzać formalnie u oswojonego miejscowego prawnika.

Chociaż dla ChRL nie był prawdziwym prawnikiem, w większość wieczorów niekończąca się biurokracja chińskich przepisów trzymała Billa w biurze tak długo, aż w końcu był zbyt zmęczony, żeby widzieć na oczy, i zbyt nafaszerowany kofeiną, aby myśleć o spaniu.

— Jak na nieprawników, to jesteśmy nieźle urobionymi gałganami — zauważył Shane. Przeciągnął się, ziewnął i usiadł na biurku Billa, zgniatając stertę akt podpisanych „Ministerstwo ziemi i zasobów naturalnych”. — Starczy na dzisiaj, chłopie. Aż z nawiązką. Chodź na piwo.

Brzmiało to pociągająco. Bill wiedział, że o tej porze Becca i Holly już dawno śpią. Skoro i tak sypiał w oddzielnej sypialni, żeby ich nie budzić, kiedy wraca późno do domu i wychodzi z samego rana do pracy, tak naprawdę nie miało znaczenia, o

której wróci. Chwila relaksu — właśnie tego mu było trzeba.

— Powiem ci, jak to działa — Shane podniósł głos, aby przekrzyczeć piosenką, której Bill nie potrafił do końca rozpoznać. — Powiem ci coś, co my tu nazywamy zasadą Kai Tak, dobra?

— Jaką zasadą?

— Kai Tak. Słuchaj uważnie, bo zasada Kai Tak jest bardzo ważna.

Siedzieli w lokalu zwanym Suzy Too.

— Wszyscy przychodzą do Suzy Too — oznajmił Shane.

Było tu głośno, pełno dymu i nie do wiary tłoczno. W kącie sali wydzielono parkiet do tańca, ale ludzie tańczyli wszędzie, w tym również na barze.

Widział młodych Chińczyków ufarbowanych na blond, zachodnie kobiety w dżinsach i T-shirtach, zachodnich mężczyzn w kolorowych koszulkach polo lub garniturach z luźno zwisającymi krawatami i młode Chinki w krótkich spódniczkach lub qipao, lub dżinsach z napisem „Juicy” z tyłu. Całe mnóstwo Chinek.

Jakaś kobieta pociągnęła Billa za rękaw. Wyglądała na wygłodniałą. Wcisnęła kilka cyfr na swojej komórce i pokazała mu. 1000.

— Tysiąc RMB — wyjaśnił Shane, ciągnąc Billa za drugi rękaw. — To około siedemdziesięciu dolarów.

— Ale może być osiemset — powiedziała kobieta.

Zamrugnęła powoli oczami, oszołomiona od dymu i wyczerpania.

Bill patrzył na telefon i nie mógł zrozumieć.

— Szukasz dziewczyny na stałe? — spytała.

Kiedy odezwała się pierwszy raz, pochylił się do niej, żeby usłyszeć, co mówi. Teraz odskoczył jak oparzony.

— Jestem żonaty.

Dziewczyna najwyraźniej nie przejęła się tą wiadomością.

— Dobrze, ale czy szukasz dziewczyny na stałe?

— Nie, dziękuję — odparł Bill, czując, że odpowiada, jakby odmawiał drugiej kanapki z ogórkiem na podwieczorku u pastora.

Shane wcisnął mu w rękę butelkę tsingtao.

— Wiesz, co to Kai Tak? — spytał Australijczyk. — Nie? Kai Tak to był stary port lotniczy w Hongkongu. W Koulunie. Twoja żona mówiła, że była w Hongkongu jako dzieciak. Będzie go pamiętać. — Wolną ręką, w której nie trzymał tsingtao, Shane zamarkował samolot podchodzący niepewnie do lądowania. — Leciało się praktycznie przez środek osiedla mieszkalnego, między sznurkami z praniem wywieszonym na balkonach, i lądowało z czyimiś gaciami owiniętymi wokół szyi. A czasami to były twoje własne gacie. — Puścił do Billa oczko, stuknął się z nim butelkami. — O to właśnie chodzi.

Kobieta z komórką powiedziała coś po chińsku, oplatając ramię wokół szyi Billa, bardziej ze zmęczenia niż pożądania.

— Jesteś śliczny — powiedział Billowi Shane.

— Kto tak twierdzi? — spytał Bill. — Ty czy ona?

— Ona powiedziała to do mnie. Że jesteś słodki.

Kobieta odwróciła się do Billa i znowu coś powiedziała z na wpół zamkniętymi oczami.

— Ona cię kocha — przetłumaczył Shane. Bill wytrzeszczył na nią oczy.

— Przecież mnie nie zna.

— Nieważne — stwierdziła kobieta po angielsku, opierając się o niego. — Mam finansowe powody.

Shane się roześmiał, powiedział coś po szanghajsku i kobieta, wzruszywszy ramionami, odeszła. Wtedy popatrzył szybko na Billa.

— Nie chciałeś jej, prawda?

Bill wlepił w niego oczy. Udało mu się tylko pokręcić głową.

Shane pochylił się do niego. To była sprawa najwyższej wagi. Zasadnicza.

— Zasada Kai Tak znaczy, że nigdy nie rozmawiamy o tym, co się dzieje, gdy wyruszamy na poszukiwanie przygód, jasne?

Zasada Kai Tak znaczy *omertà*. Czyli „Przez rozwiązane języki zwierzę wpada we wnyki”. — Shane delikatnie postukał Billa palcem w pierś. — Zasada Kai Tak znaczy, że trzymasz jadaczkę zamkniętą, stary. Ani mru-mru swojej żonie ani dziewczynie, ani żonatym sztywniakom w biurze. Bez względu na to, co zmalujemy, nie spowiadasz się z tego Devlinowi, nie chelpisz się przed Wściekłym Mitchem, jasne? To pierwsza zasada Podziemnego Kręgu. Z nikim nie rozmawiasz o Podziemnym Kręgu, tak? To, co się wydarzy na szlaku, pozostaje na szlaku.

— Shane, ja nie mam pojęcia, o czym ty mówisz — stwierdził Bill, chociaż coś zaczynało mu już świtać w głowie.

To był zupełnie inny świat.

Na parkiecie wybuchło jakieś zamieszanie. Z nieba posypały się banknoty. Podnieśli głowy i zobaczyli jednego ze swoich niemieckich klientów, nie tego starszego rockandrollowca, tylko drugiego, tego o konserwatywnym wyglądzie. Stał w budce disc jockeya, szczyrzył głupio zęby i obydwoma rękami wyrzucał w powietrze pieniądze, a za każdym razem, kiedy puszczał garść RMB, wykonywał papieski gest, jakby wyciągniętymi dłońmi błogosławił tłum.

— To się skończy płaczem — przepowiedział Shane, patrząc, jak dwaj tancerze się szarpią, żeby złapać pieniądze, które opadały powoli na parkiet, a tam chwyтали je spoceni zachodni biznesmeni i długonogie Chinki w qipao.

Dwie kobiety objęły Billa w pasie, śmiejąc się, wzdychając i uśmiechając, jakby wzięły go za Brada Pitta. Shane zrobił nieznaczny ruch głową i kobiety odeszły. Po chwili przykleiły się identycznie do niskiego лыsego Francuza, który siedział podparty przy barze. Miał około sześćdziesięciu pięciu lat, a one zachowywały się, jakby wzięły go za George'a Clooneya. Bill rozglądał się po Suzy Too ze zdumieniem i zgrozą.

— I tak tu jest codziennie?

Shane skinął głową.

— Niektórzy twierdzą, że aktywność, jaką Szanghaj wykazuje do późnej nocy, świadczy o tym, jak mało ludzi w tym mieście robi poważne interesy rano. — Pociągnął łyk tsingtao. — Może mają rację.

Na stole tańczyła kobieta, miała nieprzytomny wzrok, a na ramieniu torebkę od Louisa Vuittona. Powoli poruszała wąskimi biodrami, wpatrywała się w lustro na ścianie, zatopiona w sobie. Inna, zbudowana jak tancerka o żyłastym, jędrnym ciele szalała na parkiecie, ze śmiechem rzucając się w tłum biznesmenów podrygujących do jakiegoś trzydziestoletniego przeboju.

Bill był pewien, że widział je obie w Rajskich Rezydencjach w grupce kobiet otaczających zablokowanego minicoopera. A teraz, kiedy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że kobieta z komórką też wyglądała znajomo, chociaż niełatwo było powiedzieć, kto tutaj łapie klientów, a kto się po prostu dobrze bawi.

— Czy te wszystkie kobiety są prostytutkami? — zapytał.

Shane zastanawiał się przez chwilę.

— To prostytutka z chińskim obliczem — odrzekł, patrząc na Niemca Jurgena w budce dla DJ-a. Pieniądze dawno znikły, ale Jurgen nie ruszył się z miejsca. Stał tam z głupawym uśmiechem, jak gdyby zrobił coś ważnego w swoim życiu. — No to marża z zysku Jurgena za ostatni kwartał wyleciała w powietrze — stwierdził Shane. — Palant. — Kiwnął głową w kierunku śmiejących się dziewcząt przy barze. Głaskały Francuza po głowie i chichotały. — Te dwie znam. Są nauczycielkami. Matematyki i chińskiego. Zarabiają trochę pieniędzy ekstra, żeby sobie kupić torebki od Louisa Vuittona. prostytutki? To brzmi trochę zbyt surowo. Zbyt brutalnie. Niektóre przyszły tu, żeby po prostu przetańczyć całą noc. Są tak samo niewinne jak ty i ja. No, powiedzmy, że raczej jak ty. Babki z Rajskich Rezydencji ograniczają się do jednego faceta, nawet jeśli jest żonaty z kimś innym. Inne chcą zwyczajnie zakosztować tego ekonomicznego cudu, który oglądają w telewizji, a

nie uda im się to z gołej pensji belfra, który zarabia kilka groszy więcej niż nic. — W zamyśleniu wypił resztkę swojego tsingtao.

— I władze to tolerują? — zapytał Bill.

Zdawał sobie sprawę, że gada jak jakiś świętoszek. Lubił Shane'a. Pragnął to wszystko zrozumieć, ale ten świat stał na głowie. Nikt tu nie uważał seksu dla pieniędzy za moralnie naganny. Można go było traktować jako zawód, sposób na dorabianie albo coś, co robiła nauczycielka w czasie, gdy powinna sprawdzać prace domowe.

— Jasne, że nie — odparł Shane. — Są wstrząśnięte, kiedy dochodzą do nich słuchy na ten temat. Dosłownie wstrząśnięte! Zobaczmy... dwa lata temu byliśmy na Julu Lu. Rok temu na Mao Ming Nan Lu. Teraz jesteśmy... gdzie my teraz jesteśmy? A tak, Tong Ren Lu. Za rok przeniesiemy się jeszcze gdzieś indziej. Co jakiś czas władze dają nam się we znaki i przenoszą nas kilka przecznic dalej. Takie są Chiny.

Chuda kobieta po trzydziestce, tańcząc z rękami w górze, z uśmiechem, który rozciął jej twarz na pół, wcisnęła się między Billa i Shane'a. Była dziesięć lat starsza niż większość dziewcząt obecnych w barze, ale w dużo lepszej formie. Tancerka, stwierdził Bill. I naprawdę piękna — to się rzucało w oczy, ale jej uroda zbladła z upływem czasu i kolejnych rozczarowań. Każdy mężczyzna chętnie by się zestarzał przy takiej kobiecie, byle tylko poznał ją odpowiednio wcześniej, ponieważ trudno się było oprzeć wrażeniu, że jakiś ktoś, a zapewne niejeden ktoś, zebrał już z niej to co najlepsze. Bill doszedł do wniosku, że to okropna rzecz tak o kimś pomyśleć. Ale nie mógł nic na to poradzić. Kobieta uśmiechała mu się w twarz.

— Ten facet nie będzie tańczył — powiedział jej Shane. — Nie prosz, bo odmowa może kogoś obrazić.

— Ja uczę — odpowiedziała kobieta. — Na parkiecie.

Miała nieprawdopodobnie francuski akcent. „Na parkiecie”, powiedziała. Jak to się mogło stać, że mówiła po angielsku

z francuskim akcentem? Shane powiedział coś po chińsku i kobieta, wzruszywszy ramionami i nieznacznie machnąwszy do Billa ręką, tanecznym krokiem odeszła. Bill patrzył za nią przez chwilę z lekkim uczuciem żalu. Shane się roześmiał.

— Zapomnij o tej, jeśli chodzi ci po głowie, żeby sobie ulżyć — powiedział. — Znajdziesz tu towar każdej maści. Ta jest fordanserką. Będzie ci płaszać całą noc, i to wszystko. Tańczy z facetami za pieniądze, ale potem wraca do domu sama. Fordanserką w dwudziestym pierwszym wieku! Dziwne, ale prawdziwe. Dalej są profesjonalistko-amatorki. — Pustą butelkę wskazał nauczycielki. — Szanghaj jest pod tym względem kompletnie nieuregulowany. To nie to co w innych częściach Azji: w Manili, Bangkoku, Tokio. Tutaj kobiety nie pracują dla lokalu. Są klientkami tak jak ty czy ja. Pracują dla siebie. Jak powiedział wielki Deng Xiaoping: „Wspaniale jest się bogacić”. Ale nie sądz, że one są rozwiązłe. To nie tak. Są po prostu praktyczne. Tu się zbyt ciężko żyje, żeby nie być praktycznym. To znaczy, takim ludziom jak ona żyje się ciężko, bo takim jak my nie. Dla takich jak my Chiny nie są trudną placówką, stary. Nie słuchaj, co mówią ci jęczący ekspatrianci, w większości Angole. Bez obrazu, stary.

— Nie ma sprawy — odparł Bill, popijając piwo.

Może powinien wracać do domu. Może w ogóle nie powinien był tu przychodzić. Garnitur będzie mu cuchnął dymem z papierosów.

— W Chinach łatwo się żyje, bo tu „wszystko rozgrywa się na prostym gruncie finansowym” — stwierdził Shane. — Sprawy się komplikują tylko wtedy, kiedy sam się o to postarasz.

Wróciła kobieta z komórką. Pociągnęła Billa za rękaw, szturchnęła go lekko, a kiedy się do niej odwrócił, zobaczył ten specyficzny szanghajski gest: pocieranie kciuka o palec wskazujący, a potem otwarta nadstawiona dłoń.

„Niech mi pan da pieniądze”.

Zobaczy ten gest jeszcze tysiące razy, zanim opuści to miasto.

Może ich cywilizacja liczy cztery tysiące lat, ale nie szaleją na punkcie „proszę” i „dziękuję”.

W drugiej ręce kobieta trzymała fotografię małego chłopca. Był mniej więcej w tym samym wieku co Holly i w ogóle się nie uśmiechał.

Bill wyjął portfel i dał kobiecie banknot pięćdziesięciu RMB.

Popatrzyła na niego, po czym odwróciła się z pogardliwym prychnięciem.

— Nie biorą pięćdziesięciu RMB. — Shane roześmiał się, obejmując Billa ramieniem. — Minimalna suma to sto RMB, nawet jeśli na prostu jesteś uprzejmy.

— Jak mogą ustalać minimalną sumę na uprzejmość? — zapytał Bill.

— Ich motto brzmi: „Nie masz nic większego?” — odparł Shane. Poklepał Billa po plecach. Cieszył się z jego towarzysstwa. Bill wyczuł, że chociaż jego kolega żył w szklanym pałacu, czuł się samotny. — Po jakimś czasie zrozumiesz, o co w tym chodzi, a wtedy poczujesz, że mieszkasz w miejscu, któremu najbliższe do raj.

— Jasne — powiedział Bill ponuro — nędza jest cudownym afrodyzjakiem.

Patrzył, jak grupa turystów ignoruje kobietę z komórką i zdjęciem.

— To racja — zgodził się radośnie Shane. — I nie zapominaj o zasadzie Kai Tak.

— Nie bój się o mnie — powiedział Bill, którego nagle zirytowały insynuacje Australijczyka i cała ta niezasłużona zażyłość. — Umiem trzymać język za zębami. Ale ja mam żonę i dziecko.

Shane sprawiał wrażenie autentycznie skonsternowanego.

— A co to ma do rzeczy?

Bill spojrział na chudą tancerkę. Pomachała mu ręką. Jest za stara na to miejsce, pomyślał. Z drugiej strony każdy tu był w niewłaściwym wieku: za stary albo za młody. Odwrócił głowę.

— To, że nie zamierzam robić żadnych skoków w bok — odrzekł, nie dbając, jak to zabrzmiało.

Shane wpatrywał się w złocisty kolor swojego tsingtao i nie odezwał się ani słowem.

Potem Jurgen prosił ich o pieniądze na taksówkę, ponieważ głupi skurczybyk wyrzucił całą gotówkę, jaką miał. Bill spoglądał na zegarek, a Shane krzyczał o jeszcze jedną kolejkę, tylko jedną, no chodź, stary, ty jesteś inny niż ci wszyscy żałośni Angole, i Bill się zgodził, nie był tacy jak tamci, rozpieszczone palanty z prywatnych szkólek, a potem nagle zrobiła się trzecia nad ranem, a oni pili absolutnie ostatnią kolejkę przed snem, bezapelacyjnie musisz wypić tę ostatnią kolejkę przed snem, stary, no siup, Shane wiedział, gdzie filipiński zespół śpiewa piosenki Pink i Avril Lavigne, i jakaś inna dziewczyna pokazywała Billowi zdjęcie swojej córeczki, a Bill wyciągał portfel, żeby pokazać jej zdjęcie Holly, i dawał jej sto RMB, a potem następne, i następne, i następne i życzył jej powodzenia i mówił, że jest wspaniałą matką, a Shane swoim donośnym australijskim barytonem śpiewał *Complicated*: „Czemu musisz tak wszystko komplikować?”, a potem siedzieli oparci jeden o drugiego na czerwonych skórzanych siedzeniach przy stoliku, a Shane mówił: „Ale przecież tyle ich jest, Bill, tyle kobiet jest na świecie, jak możesz wybrać tę jedyną, wyjątkową, skąd możesz wiedzieć i nie mieć wątpliwości?”, a po chwili zjawily się nauczycielki, zalane w trupa, i wołali o następne mohito dla wszystkich, a kiedy niewiele już zostało z nocy, wytoczyli się na dwór, Shane wprasowany między obie kobiety, i wszyscy zaśmiewali się w głos, jakby była to najniewinniejsza rzecz pod słońcem.

A potem Bill znalazł się sam na trzypasmowych ulicach dzielnicy French Concession w delikatnym mlecznym świetle szanghajskiego przedświtku i nie mógł złapać taksówki w mieście, o którym się mówi, że zawsze się tam znajdzie taksówkę, i jeden samotny handlarz zaczynał pracę i układał na ulicy swoją smutną wystawę papierosów, po drugiej stronie ulicy

Bill zobaczył mały hotel, a przed nim samotną taksówkę z kierowcą śpiącym za kierownicą.

Zatrzymał się, żeby przepuścić przejeżdżający samochód pomocy drogowej i z tyłu zobaczył czerwonego minicoopera, i choć przednia połowa samochodu była zgnieciona w harmonijkę, szyba potrzaskana, wnętrzości zgruchotanego silnika wylewały się spod maski, z przednich kół zostały strzępy zgniecionego metalu i gumy, zobaczył wyraźnie nietknięty dach z flagą Chińskiej Republiki Ludowej, czerwień i żółć błyszcząły w świetle wstającego dnia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez większość dni nie zawracał sobie głowy lunchem, chyba że miał się zająć klientami. Poza tym nic go właściwie nie odrywało od biurka.

Po biurach krążyła stara *ayi* — szanghajski odpowiednik herbaciarki — z wózkiem i sprzedawała zupki chińskie, kawę i zieloną *cha*. Bill jednak lubił wychodzić z budynku w środku dnia, choćby po to, aby rozprostować kości, które sztywniały po długim siedzeniu, i odetchnąć powietrzem niewyziębionym przez klimatyzację, choćby na piętnaście minut.

Nieopodal budynku firmy mieścił się barek kawowy i kiedy wybiło południe, Bill ruszył w tamtą stronę, wciągając w płuca świeże powietrze i wdychając zapach rzeki. Nagle czyjaś dłoń złapała go za krawat.

— Dokąd to? Na lunch? — spytała Becca, wciągając go w bramę.

Przyłgnęła do niego ustami, a ponieważ nie starała się wymierzyć, Bill poczuł jej pocałunek na ustach i na policzku.

— Lunch? — zapytał, jak gdyby pierwszy raz w życiu o czymś takim słyszał. Becca pocałowała go jeszcze raz, tym razem prosto w usta. — Myślałem o jakiejś kanapce.

— O kanapce? — zaśmiała się i przytuliła się do niego całym ciałem. Zadowolona poczuła, jak natychmiast zareagował.

— To nie jest odpowiedni posiłek dla takiego dorastającego chłopca. Pozwól, że zaproponuję ci specjalność dnia.

Pociągnęła go głębiej w bramę i pocałowała mocniej, wplatając mu palce we włosy. Było tu ciemno i chłodno. Bill rzucił okiem dookoła. Stali w budynku przeznaczonym do rozbiórki, aby zwolnić miejsce pod następne biura. Ludzie w białych koszulach i ciemnych krawatach, mijając ich z kubkami kawy w rękach, rzucali przelotne spojrzenia.

Bill obrócił Beccę tak, że stała oparta plecami o ścianę, a on tyłem do ulicy.

— Jesteś postrzelona — powiedział i popatrzył na nią tak blisko, że czuł jej oddech. — Tęskniłem za tobą.

To powiedziawszy, przytulił ją tak mocno, jak tylko mógł, żeby jej nie zrobić krzywdy.

Trzy dni minęły od kolacji firmowej na Bundzie i od tamtej pory ani razu się nie widzieli. Zbyt wiele nocy mijało, kiedy wracał do domu, a Becca i Holly już spały, zbyt wiele poranków, kiedy po cichu wychodził do pracy, a one jeszcze spały

— Czy my się w ogóle znamy? — spytała Becca.

Zaciskała dłonie na jego ramionach, oczy miała na wpół przymknięte, uśmiechała się. Przyciągnął ją do siebie i pocałował, i trzymał, jakby nigdy więcej nie chciał wypuścić jej z objąć.

— Ach tak — powiedziała. Poczula, jak bardzo za nią tęsknił. — Tak, teraz sobie ciebie przypominam.

I on też ją pamiętał.

* * *

Shane popatrzył na Billa przez szparki ledwo otwartych oczu. Miał wściekłego kaca.

— Jak wyglądam, stary?

Byli w pokazowym domu na terenie Zielonych Łanów w Yangdongu. Siedzieli przy nieczynnej fontannie w kształcie smoczej głowy. W drodze na północ Tygrys zatrzymywał się trzy razy, żeby wypuścić zataczającego się Shane'a w krzaki.

— Już trochę lepiej — odrzekł Bill. — Nabierasz wreszcie jakichś kolorów.

Shane odetchnął.

— To dobrze.

— Tylko że to głównie zielony kolor.

— To niedobrze — stwierdził Shane. — Wadą trójkątów jest to, że jedna zawsze w końcu stoi i wygląda za okno. To wybija człowieka z rytmu. — Rozchmurzył się trochę, a jego twarz przybrała nieco jaśniejszy zielonkawy odcień. — Za to dobra strona jest taka, że jeśli jedna wypadnie z gry, możesz uprawiać seks z drugą.

Po powrocie do biura Bill się dowiedział, że Devlin wysłała zespół do Yangdongu. Przewodniczący Sun zwołał konferencję prasową i ich niemieccy klienci z DeutscherMonde bardzo się denerwowali. Kto wie, co może powiedzieć, kiedy poleje się burgund ze sprite'em? Bill podniósł głowę, kiedy z budynku wyszła Nancy Deng z jednym z Niemców, Wolfgangiem, tym z długimi włosami i skórzaną kurtką. Wyglądał jak mechanik, który wygrał na loterii.

— Idzie — powiedziała Nancy.

Shane i Bill wstali, kiedy przewodniczący Sun wszedł do pokazowego domu oskrzydłony przez delegację miejscowych władz i około dziesięciu przedstawicieli prasy.

Bill, Shane i Nancy Deng podążyli w dyskretnej odległości za Sunem, który poprowadził tłumek dziennikarzy przez błyszczące pokoje, po szerokich schodach, pod kryształowymi kandelabrami, wokół wielkiego basenu i ani przez chwilę nie przestawał tłumaczyć czegoś po szanghajsku. Zwalisty ochroniarz Ho nie odstępował go ani na krok. Na końcu za całą kawkadą szedł zdenerwowany Wolfgang.

Podczas obiadu z Chińczykami Bill przypiął Sunowi etykietkę człowieka, który wspiął się na szczyt dzięki umiejętności trzymania buzi na kłódkę, najwyraźniej jednak przywykł do tego, że kiedy ją otwierał, wszyscy słuchali, bez względu na to, czy miał tłumacza, czy nie.

Poza dwiema osobami wszyscy dziennikarze byli Chińczykami. Jedną z dwóch zachodnich reporterek z Szanghaju była chuda Amerykanka w butach od Jimmy'ego Choo, drugą Alice Greene.

Uśmiechnęła się do Billa, którego nie widziała od dnia jego ślubu z Becca, a on odpowiedział jej skinieniem głowy.

Z doświadczenia wiedział, że dziennikarze rzadko byli dobrą wróżbą dla prawników.

Wychodzili z powrotem na dwór. Przewodniczący Sun prowadził, a Bill odniósł wrażenie, że wylaniają się z hotelu w Las Vegas na powierzchnię Księżyca. Jak okiem sięgnąć, dookoła ciągnął się pusty, błotnisty krajobraz urozmaïcony robotami budowlanymi i padającym deszczem. Zabudowania wiejskie zostały dawno zburzone, puste pola, gdzie miały stać nowe domy, podzielono, sznury odgradzały poszczególne działki, rozparcelowaną przyszłość. Przy drzwiach pokazowego budynku stała policjantka, funkcjonariuszka Biura Bezpieczeństwa Publicznego — młoda kobieta z blednącą malinką na szyi. Kiedy wyszli, Bill się zorientował, że wszędzie dookoła kręci się mnóstwo policjantów, chociaż trudno było powiedzieć, gdzie się kończy prywatna ochrona, a zaczynają siły BBP.

W jakiś dziwny sposób cała okolica sprawiała wrażenie terenu wojskowego. Po wewnętrznej stronie drutu ogrodzającego teren budowy stały zaparkowane w równiutkim rzędzie płaskonose ciężarówki z czerwonymi flagami powiewającymi na maskach. Między pomarańczowymi koparkami usypującymi góry ziemi w świetle reflektorów przebijających się przez zasłone deszczu kręcili się mężczyźni w jaskrawych żółtych kaskach. Co krok na ziemi stały kałuże wody z oleistym, tęczowym połyskiem, a po drugiej stronie drutu, niczym więźniowie wojenni pokonanej armii za obozowym ogrodzeniem, wysiedleni chłopci patrzyli na miejsce, gdzie jeszcze niedawno stały ich chałupy.

Przed domem pokazowym nie ułożono jeszcze trawników

i kobieta w szpilkach od Jimmy'ego Choo zachwiała się do tyłu, kiedy jej obcasy ugrzęzły w błocie. Bill ją podtrzymał, a ona podziękowała mu sztywnym uśmiechem.

— Pracuję dla „Szanghajskiego Szyku” — powiedziała, przytrzymując się go, żeby się nie przewrócić. — Skąd pan jest? Czy to nie komiczne? Cały ten cyrk?

Po drugiej stronie ogrodzenia kilku znudzonych ochroniarzy próbowało usunąć gapiących się wieśniaków, ale ci nie chcieli nawet drgnąć z miejsca i wdali się w kłótnię ze strażnikami. Po chwili sprzeczka przerodziła się we wścieklą awanturę, historyczną, prawie łzawą scenę często widzianą na ulicach Szanghaju. Wystarczyło podrażnić niewłaściwy nerw, żeby ci ludzie zamienili się w prawdziwy materiał wybuchowy.

Patrzył, jak dziesięcio- lub dwunastoletni smyk umorusany na twarzy odsunął się od drutu i podniósł z ziemi kawałek cegły. Potem zamachnął się i z całej siły cisnął ją w pałac, który wyrósł na ich ziemi. Kamień nie doleciał daleko, ale wszyscy obecni odwrócili się w stronę, gdzie uderzył o żelazną bramę posiadłości.

Błyskawicznie wydano polecenia, wieśniacy ruszyli przez pole, a w ślad za nimi ochroniarze. Bill zauważył, że Ho opuścił przewodniczącego Suna i dołączył do tamtych.

— Przekomiczne — skomentowała kobieta z „Szanghajskiego Szyku”. — Czyż to nie prawdziwa komedia?

Chłopak, który rzucił kamieniem, przystanął przy stercie nowych cegieł i zaczął nimi ciskać w grupę pościgową. Przyłączył się do niego jakiś staruszek, jeden z tych żylastych Chińczyków bez grama tłuszczu na ciele. Ho i strażnicy ochrony ukryli się przed nadlatującym deszczem cegieł za spycharką, a potem zaczęli je odrzucać z powrotem.

Bill pokręcił głową.

— To przypomina średniowieczną bitwę — powiedział.

— Bo w Chinach panuje średniowiecze — odparł Shane. — Średniowiecze z szybkim Internetem. — Popatrzył w stronę

grupki reporterów. — Powinniśmy skończyć tę awanturę, stary. To nie będzie dobrze wyglądało przed dziennikarzami, nawet przychylnymi.

— Zajmę się tym — powiedział Bill. — Ty ściągnij Tygrysa. — Ruszył w stronę przedstawicieli mediów. — Panie i panowie, zapraszam państwa do środka. Przewodniczący Sun odpowie na wasze pytania.

Nikt go jednak nie słuchał. Wszyscy patrzyli, jak strażnicy gonią starszego mężczyznę i chłopca po błotnistym polu. Staruszek był za wolny i kiedy upadł, ochroniarze dopadli go w mgnieniu oka. Podnieśli go za ramiona. Chłopiec zatrzymał się niepewny, czy powinien dalej uciekać, czy walczyć, a wtedy strażnicy złapali i jego. Ho rzucał polecenia, a funkcjonariusze ciągnęli wieśniaków w stronę domu pokazowego.

— Cześć, Bill. — Alice się uśmiechnęła. — Jak tam? Na dorobku w Chinach?

— Taki mamy plan — odpowiedział z uśmiechem Bill, obserwując ochroniarzy. Zorientował się, że mężczyznę i chłopca prowadzą do policjantów. Oddadzą ich w ręce służb bezpieczeństwa. Policjanci podeszli do bramy i czekali.

— Wiesz, kto się na tym wszystkim dorobi? — spytała Alice. — Chińczycy. Pojedynczy Chińczycy. Na przykład przewodniczący Sun. I kilku jego znajomków. Podoba ci się to, Bill?

Bill spojrział na nią, ale nie odezwał się ani słowem. Alice trzymała w ręku notes. Co z tego, że była na ich ślubie? Co z tego, że w dzieciństwie przyjaźniła się z jego żoną? I tak czuł, że może mu przysporzyć kłopotów. Ruszył w stronę bramy. Alice poszła za nim.

— Jesteś inteligentnym facetem — powiedziała. — A ja jestem ciekawa, jakie jest twoje zdanie na temat tego, co się tu dzieje. Prywatnie.

— A co twoim zdaniem się dzieje? — odpowiedział pytaniem, nie zwalniając kroku. — Służbowo.

Alice wzruszyła ramionami.

— Moim zdaniem odbywa się tu regularna grabież ziemi. Kilku nowobogackich dostaje rezydencje, miejscowi politycy dostają swoją działkę, a chłopci dostają po głowach.

Zatrzymał się i przeszył ją wzrokiem.

— Uważasz, że ci ludzie zostaną ograbieni? — zapytał szczerze oburzony. — Tak myślisz? Widziałem szczegóły ich pakietu rekompensacyjnego.

Alice roześmiała się w głos.

— Zastanów się tylko — powiedziała. Wszyscy podeszli do bramy jednocześnie. Ho ze strażnikami przekazywali starca i chłopca policjantom. Mężczyzna wyglądał na zrezygnowanego i pogodzonego z losem, ale dziecko było wyraźnie przerażone. — Aż do połowy lat dziewięćdziesiątych cała ziemia w Chinach należała do ludu — mówiła dalej Alice. — A potem nagle wszystko się zmieniło. Wyobraź sobie: budzisz się pewnego dnia i dowiadujesz się, że ziemia, którą twoja rodzina uprawiała przez pokolenia, przechodzi nagle w ręce kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziałeś na oczy. I on każe ci się wynosić.

— Ci ludzie otrzymają bardzo hojne odszkodowanie — odrzekł Bill.

Zobaczył, jak jeden ze strażników szarpie starego mężczyznę. To było nie w porządku. Nie powinni tego robić.

— Nie daj się na to nabrać, Bill. Oboje wiemy, że pieniądze dostaną miejscowi oficjele. Uważasz, że twój przyjaciel przewodniczący Sun zadba o interesy chłopów?

Bill nie zwracał na nią uwagi. Strażnicy rozmawiali z policjantami, cały czas trzymając chłopca i starca za ramię. Dyskutowali, co z nimi zrobić. Bill stał niezdecydowanie, zastanawiając się, czy powinien się wtrącać w te sprawy.

— Każdy obcokrajowiec pracujący w Chinach musi się nauczyć strusiej polityki — powiedziała Alice. — Wiesz, co to jest strusia polityka? Ignorowanie tego, co się rozgrywa tuż pod naszym nosem.

Nagle ochroniarza Ho najwyraźniej zdruzżyły jałowe pogaduszki i uderzył chłopca prosto w twarz. Dzieciak poleciał do tyłu i runął jak długi w błoto. Bill nie wierzył własnym oczom. W następnej sekundzie dopadł do Ho, popchnął go z całej siły i chociaż ochroniarz nawet nie drgnął z miejsca, zaczął mu wrzeszczeć prosto w twarz, żeby zostawił dziecko w spokoju i oddał je policji.

Podniósł chłopca na nogi, cały czas trzęsąc się z oburzenia i niedowierzania, i stwierdził, że musi go podtrzymywać, ponieważ malec stracił od uderzenia przytomność. Po ustach i brodzie spływała mu krew ze złamanego nosa. Bill zaczął grzebać w kieszeniach, szukając czegoś, czym mógłby wytrzeć chłopcu twarz, ale niczego nie znalazł. Dwaj policjanci wzięli malca pod ramiona.

— To jest niedopuszczalne — powiedział Bill, chociaż zdawał sobie sprawę, że Chińczycy nie rozumieją ani słowa. Głos mu drżał z emocji. — Moja firma nie będzie uczestniczyć w takich procederach, słyszycie?

Policjanci odprowadzili starca i chłopca na bok. Ho zaczął rechotać i pokazywać Billa palcem z autentycznym rozbawieniem. Strażnicy gapili się na niego tępo, z nieskończonym zdumieniem na twarzach. Bill podniósł wzrok i zobaczył Alice Greene trzymającą w wyciągniętej ręce chusteczki higieniczne, aby wytarł sobie dłonie z krwi.

* * *

Kiedy wracali do Szanghaju, Tygrys musiał zjechać z drogi, żeby wyminąć niebieskie ferrari jadące z naprzeciwka niewłaściwym pasem. Podczas gdy ich kierowca walczył z samochodem zarzucającym na piegowatym zwirowym poboczu, Billowi mignęły roześmiane twarze dziewczyny i chłopaka w przeciwsłonecznych okularach.

— Popatrzcie tylko — odezwał się Shane, z wdzięcznością kładąc Tygrysowi dłoń na ramieniu, kiedy ferrari odjechało zygzakami w chmurze piachu. — Pięćdziesiąt milionów rozbija

się samochodami, a jeszcze rok temu dyrdali na rowerach.

Tygrys dodał gazu, żeby wyciągnąć samochód z dziury. Przy drodze ponuro obserwowała ich chłopska rodzina z twarzami ogorzałymi od słońca.

— Bardzo prymitywni — mruknął Tygrys. — Bardzo prymitywni ludzie.

Nancy podniosła głowę.

— Ja pochodzę z Yangdongu — oznajmiła po angielsku, ale Tygrys grzebał przy klimatyzacji i nie dał po sobie poznać, że słyszał to, co powiedziała.

Bill spojrział na Nancy i usiłował sobie przypomnieć jej akta. Skończyła dwie najlepsze uczelnie w kraju: Uniwersytet Tsinghua, a potem Wyższą Szkołę Nauk Politycznych i Prawa w Pekinie. Jeśli Nancy zdobyła takie wykształcenie i została prawnikiem, a wychowywała się w tych ponurych okolicach, to Alice nie miała racji i geniusz, inteligencja oraz ciężka praca Chińczyków zatriumfują kiedyś nad ich okrucieństwem, korupcją i głupotą.

Do takiego wniosku doszedł Bill.

Chociaż nie do końca w to wierzył.

* * *

Jakiś czas po powrocie do jego gabinetu przyszedł Devlin.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

— Tak, w porządku — odparł Bill.

— Słyszałem, co się stało. O tym starszku i chłopcu. — Pokręcił głową. — Paskudna sprawa.

— Tak.

— Ale my nie możemy się tu obnosić ze swoją wrażliwością. — Bill podniósł na niego wzrok, a wtedy Devlin dotknął jego ramienia. — Mówię poważnie. Dzisiaj i tak jest w tym kraju o niebo lepiej niż kiedykolwiek. Sam przecież o tym wiesz, prawda? I będzie jeszcze lepiej. Nadejdą zmiany. Dzięki takim ludziom jak my.

Patrzyli przez okno. Na szczytach wieżowców paliły się czerwone światła i zdawały się mrugać poufale do czerwonych lampek kamer zamontowanych dyskretnie w gabinecie Billa.

— Wiesz, co mi się w tobie najbardziej spodobało, kiedy się poznaliśmy? — zapytał Devlin.

— Moja żona — odparł Bill, i Devlin wybuchnął śmiechem. — To się wszystkim we mnie najbardziej podoba.

— Najbardziej podoba mi się w tobie to, że jesteś prawnikiem, a nie technikiem prawnym — powiedział Devlin. — Prawnicy rozwiązują problemy. Umieją rozumować. A technik? Mamusia i tatuś chcieli, żeby został prawnikiem, więc robi, co mu kazali, przez czterdzieści lat. Technicy znają odbitkę prawa, ale nie mają go we krwi. Nie są prawdziwymi prawnikami. Ty jesteś. Umiesz zobaczyć prawo jako smar w stosunkach społecznych, a nie bat nad głową. Tylko że ty pochodzisz z kraju, gdzie prawo jest po to, aby bronić ludzkich praw, a mieszkasz w kraju, w którym ludzie zasadniczo nie mają żadnych praw. My nie zrobiliśmy nic złego, wiesz o tym, prawda?

— Ale ci wieśniacy... — powiedział Bill. — Ten chłopiec...

— Jego rodzina otrzyma pomoc — upierał się Devlin. — Posłuchaj, Bill. Musisz zdecydować, co w tym kraju widzisz. Wiesz, co to jest chińska cena?

— Oczywiście.

Chińska cena była kluczem do wszystkiego, ważniejszym nawet niż same liczby. Kiedy zagraniczni wytwórcy przyglądali się ofertom swoich dostawców, wymagali od nich chińskiej ceny, która była zawsze najniższa ze wszystkich.

— Chińska cena oznacza, że każdą operację można przemieścić do Chin i wykonać ją taniej.

Devlin pokręcił głową.

— Prawdziwa chińska cena — oświadczył — oznacza kompromisy, na które musimy przystać, aby tu pracować. Zapomnij o tych bzdetach na temat starożytnej cywilizacji.

Zapomnij o całej propagandzie na temat czterech tysięcy

lat historii. Ten kraj jest cały czas na etapie dojrzewania, a pewne choroby lepiej przechodzić w młodym wieku.

Stali razem przy oknie i obserwowali szybko zachodzące słońce. W zapadającym zmierzchu odnosiło się wrażenie, że cały Pudong zajaśniał w jednej chwili. W milczeniu patrzyli na światła lśniące przed nimi niczym nagroda zdobywcy.

* * *

Mógł już wracać do domu.

Po podróży do Yangdongu pozostało mu błoto na butach, plamy na garniturze i gorąca potrzeba, aby wśliznąć się do łóżka obok Becki i chociaż przez chwilę potrzymać ją w ramionach. Albo może ona przyszłaby do jego łóżka, a wtedy nie musieliby się bać, że obudzą Holly, i mogliby się nie tylko obejmować.

Ale kiedy wychodził, w gabinecie Shane'a siedzieli Wolfgang oraz Jurgen i wyraźnie poruszonymi głosami wylewali jakieś zale w potoku niemieckich zdań wymienianych między sobą i łamanej angielszczyzny, kiedy zwracali się do swego prawnika. Shane wyszedł z gabinetu i wziął Billa na stronę.

— Stary, Niemcy robią w *lederhosen* — westchnął. — Denerwują się, co pismaki wysmarują w gazetach po tej dzisiejszej historii. — Chodźmy postawić im kilka drinków. Trzeba ukoić chłopcom nerwy, powiedzieć, że będziemy żyli długo i szczęśliwie.

— Shane, ja naprawdę muszę wracać do domu — odparł Bill. — W ogóle nie widuję żony i dziecka.

— Jedną kolejkę — nalegał Shane. — To też twoi Niemcy.

— No dobrze. Ale tylko jedną.

Na Tong Ren Lu mieścił się irlandzki pub, zwany BB, prowadzony przez wielkiego Szweda nie mającego w żyłach ani kropli irlandzkiej krwi.

W BB zawsze panował ścisk, ponieważ można tu było uświadczyć angielską piłkę nożną z kantońskim komentarzem w Star TV, guinnessa z beczki i muzykę na żywo w wykonaniu zespołu z Manili.

— Pełno ich w całej Azji — powiedział Shane, który wydobrzebrał już po kacu i był gotowy na następną szaleńczą noc. — Te filipińskie kapele naprawdę znają swój fach, piosenkarze umieją śpiewać, a muzycy wiedzą, jak grać. Na Zachodzie nie jeden podpisałby kontrakt na płytę albo przynajmniej załapał się do któregoś z tych programów z nieodkrytymi talentami. A tutaj grają w spelunkach dla takich amatorów jak my. — Jednym haustem wysuszył kufel z guinnessem i zamówił następny. — To tutaj widok na porządku dziennym.

Bill wytrzeszczył na niego oczy, ponieważ widokiem na porządku dziennym nie był bynajmniej wzrok, jakim Shane mierzył drobną filipińską piosenkarkę opierającą się o keyboard swojego kolegi z zespołu i idealnie naśladowującą Carpentersów w ich piosence *We 've Only Just Begun*. Odrzuciła do tyłu włosy sięgające do pasa, kruczoczarne, ale przeplatane jasnymi pasemkami, a uśmiechając się, rozświetlała każdy kąt BB. Za Shane'em przy barze Wolfgang i Jurgen patrzyli na nią, popijając guinnessa. O prasie zapomnieli do cna.

— Kto to? — spytał Bill.

— Rosalita — odpowiedział Shane czule. — Rosalita i Roxas Boulevard Boys.

— Znasz ją?

Shane wyglądał tak, jakby wiele o niej myślał. Spojrzał na Billa.

— Widuję cię z żoną. — Wziął Billa przez zaskoczenie. — Widziałem cię wczoraj z Beccą na obiedzie. Zazdroszczę ci, Bill. — Odwrócił wzrok z powrotem w stronę sceny. — Przecież nie można tak żyć w nieskończoność, no nie?

Rosalita wykonywała teraz wesoły utwór. Rozrzuciła włosy, odsłoniła w uśmiechu błyszczące zęby i potrząsała szczupłymi biodrami. Ze spodni obcisłych jak skafander do nurkowania wystawał sznureczek od cytrynowożółtych stringów.

Niemcy oblizali wargi.

— Ona ma tatuaż — wyznał Shane, obserwując Billa nieufnie, jak zareaguje na tę wiadomość.

Bill wzruszył ramionami.

— Dużo kobiet w dzisiejszych czasach nosi tatuaże.

— Tak, ale ona wytatuowała sobie słowo „Tom”.

— Kto to jest Tom? — spytał Bill.

— Jakiś palant — odparł Shane i twarz mu się nachmurzyła. — Ona mówi, że Tom to był po prostu jakiś palant.

Roxas Boulevard Boys uderzyli teraz z powrotem w romantyczną nutę z *Penny Lover* Lionela Ritchiego i Rosalita pochyliła się do przodu, jakby pogrążała się w bolesnej melancholii. Włosy opadły jej na twarz. Shane westchnął. Nagle na tle smutnych molowych akordów Bill usłyszał pokrzykiwania i gwizdy, jakimi mężczyźni zachęcają kobietę. Odwrócił się w stronę, skąd dochodziły głosy.

Na małym parkiecie BB pięciu białych młodych mężczyzn w garniturach otaczało wysoką dziewczynę, tę, którą widywał w Rajskich Rezydencjach z orchideą we włosach. Tylko teraz kwiat zniknął.

Sprawiła wrażenie otumanionej, tańczyła do jakiejś melodii, którą słyszała w głowie. Oczy miała zamknięte, ręce wyciągnięte wysoko w górze. Na policzku widać było zadrapanie jakby po uderzeniu. Mężczyźni dookoła obmacywali ją ze wszystkich stron.

— No dalej, małeńka! — zawołał jeden, pociągając ją za guzik od spodni. — Pokaż nam, co tam masz.

Inny młody, ale już z nadwagą, stał za jej plecami, łapał ją za pośladki i za piersi i przygryzając dolną wargę, udawał, że bierze ją od tyłu ku uciesze swoich rechoczących kumpli.

Nabierali coraz więcej śmiałości. Jeden rozpiął sobie roz-porek, a potem suwak w jej spodniach. Inny zadarł jej wyciętą bluzeczkę, tak że wystawał spod niej skrawek czarnego biu-stonosza. Dziewczyna jakby tego nie zauważała albo odleciała zbyt daleko, aby zwracać na to uwagę.

Nagle wpadł między nich Bill. Odepchnął grubasa stojącego za nią, potem wcisnął się między nią a faceta, który rozpiął

jej spodnie. Na twarzach młodzików obleśny zachwyty ustąpił miejsca zdumieniu, a po chwili niehamowanej wściekłości.

Kiedy Bill wziął dziewczynę za ramię i sprowadził ją z parkietu, jeden z mężczyzn walnął go pięścią w tył głowy. Trafił go tuż poniżej nasady czaszki. Bill się odwrócił, a wtedy dostał drugi cios, w ucho. Zamachnął się kilka razy, ale opadli go ze wszystkich stron, odpychając się nawzajem, żeby mu przyłożyć.

Wtedy pojawił się Shane, puścił mięsiste pięści w ruch. Zaraz zjawili się też Jurgen i Wolfgang i zaprezentowali bardzo przekonujące kopnięcia w bok. Po chwili do akcji wkroczył szwedzki właściciel pubu z młodym barmanem z Belfastu. Stanął pomiędzy Billem z dziewczyną i pięcioma pijanymi garniturami i przez pięć sekund rozgrywała się regularna burda, po czym skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Mężczyźni w garniturach, uciekając w głąb pubu, przewracali po drodze stołki barowe.

Bill trzymał dziewczynę za rękę, kiedy Shane wyprowadzał ich z klubu i wsadzał na tylne siedzenie taksówki.

— Jedźcie — powiedział.

Volkswagen santana ruszył z miejsca, a dziewczyna w dalszym ciągu nie otworzyła oczu. Bill zauważył, że ślad od uderzenia na policzku był jaskrawoczerwony i świeży.

— To oni pani zrobili? — zapytał. — Ten ślad na twarzy, to zrobili ci dranie z baru?

Dziewczyna pochyliła się do przodu i dotknęła swojej twarzy. Potem raptownie odchyliła się do tyłu i zaczęła walczyć z nudnościami. Bill pomyślał, że w życiu nie widział kogoś tak beznadziejnie pijanego.

— Poduszka powietrzna — powiedziała. — Poduszka powietrzna w samochodzie.

Musieli się zatrzymać na poboczu, żeby mogła zwymiotować. Wychyliła się przez otwarte drzwiczki, ale męczył ją tylko odruch, ponieważ nie miała w żołądku nic, co mogłaby zwrócić.

Kierowca obserwował Billa w lusterku wstecznym z nieskrywaną pogardą.

Cholerne palanty z Zachodu, mówił jego wzrok. Doprowadzają śliczne dziewczęta do ruiny.

— Nie mogę przestać wymiotać — powiedziała, kiedy znowu ruszyli w drogę. — Proszę mi wybaczyć. Cały czas wymiotam.

Jej angielski był prawie bez zarzutu. Może trochę zbyt szkolny, wyraźnie wyuczony przy tablicy. Nieznośnie formalny. Ale powiedziała wszystko jak należy. A nawet jeśli coś przekreślała, Bill nie miał kłopotów, żeby ją zrozumieć. Czyż „wymiotać” nie miało na swój sposób więcej sensu niż „wymiotować”? Językowy błąd z ulepszeniem, pomyślał.

— Miała pani wypadek — powiedział Bill. — Co się stało?

Dziewczyna westchnęła, trzęsąc się z żalu.

— Mój mąż jest na mnie bardzo zły — powiedziała. — Rozgniewał się na mnie, że popsułam nowy samochód.

Bill zdjął marynarkę i nałożył na jej chude ramiona. Dziewczyna skuliła się, jakby chciała się ukryć przed światem, a on poklepał ją delikatnie, tak samo jak uspokajał Holly, kiedy męczył ją zły sen. A potem zasnęła, opierając się o jego ramię. Poklepał ją drugi raz.

Popatrzył na nią, jak spała zagrzebana w jego marynarce, i zauważył, że to ta sama marynarka, na której widać było plamę po brudnej dłoni żebraka.

Teraz to już nigdy nie zejdzie, pomyślał.

* * *

Mieszkanie samotnej kobiety.

Jest w nim coś, pomyślał Bill, wnosząc dziewczynę do środka, co mówi, że jego właściciel wie o samotnym życiu. Misa na owoce z jednym zbrązowiałym bananem. Gazeta otwarta na programie telewizyjnym z ulubionymi programami obwiedzionymi czerwonym kółeczkiem. Książeczka z krzy-

zówkami otwarta na stronie z niedokończoną łamigłówką. Dziewczyna nie wyglądała na taką, która rozwiązuje krzyżówki, pomyślał Bill. Z drugiej strony, co ty właściwie o niej wiesz? Mieszkanie było dużo mniejsze niż jego, ale urządzone bez zarzutu. Znalazł jedyną sypialnię i położył dziewczynę na łóżku, na kołdrze. Cały czas miała na sobie jego marynarkę. W filmach, pomyślał, rozebrałbym ją i położył do łóżka, a ona rano niczego by nie pamiętała. Nie mógł jednak zmusić się do niczego poza tym, żeby zostawić ją śpiącą i wychodząc, pogasić światła. Jej głos dobiegł go, kiedy miał właśnie zamknąć drzwi.

— On nie ma nikogo innego poza żoną i mną — powiedziała, nie poruszając się w ciemności. — Jestem tego pewna.

— Jak słyszę, to świetna partia — zauważył Bill z pogardą w głosie, która zaskoczyła nawet jego samego.

Po czym wyszedł z mieszkania, najciszej jak mógł.

* * *

Becca od razu wiedziała, że coś się stało. Wyczuła to natychmiast. To nie był płacz, do jakiego przywykła: płacz dziecka, które miało zły sen albo któremu było zimno, albo za gorąco, któremu chciało się pić lub potrzebowało przytulenia.

Płacz Holly doszedł ją z elektronicznej niani, kiedy przysypiała na jakimś programie BBC World. Od razu się zorientowała, że chodzi o oddychanie.

Było źle. Bardzo źle. Holly bardzo się bała.

Becca zachowywała się absurdalnie wesoło i pogodnie, kiedy składała inhalator i nakładała Holly maskę na buzię.

— Głęboko... głęboko... głęboko — mówiła, naśladując wdech i jednocześnie drugą ręką wybierając numer Billa. — Grzeczna dziewczynka. Bardzo dobrze.

Nie odbierał.

Inhalacja złagodziła nieco atak astmy, ale nie wystarczyła. Becca nigdy dotąd nie widziała Holly w takim złym stanie, w każdym razie od czasu tamtego pierwszego okropnego dnia.

Dziewczynka oddychała płytko i z ogromnym trudem i Becca przeraziła się śmiertelnie. Obie były przerażone. Potrzebowały lekarza.

Musiały jechać do szpitala, i to natychmiast.

Boże, nie mam żadnego numeru, pomyślała wściekła. Nie miała pojęcia, pod jakim numerem wzywa się tu pogotowie. Jak mogła być taka głupia? Jak mogła żyć w takim błogim poczuciu, że nic się nigdy nie wydarzy?

Szybo zawięła Holly w swój szlafrok, złapała płaszcz i klucze i jeszcze raz wybrała numer do Billa.

I jeszcze raz. I jeszcze raz. I znowu.

W dalszym ciągu nie odbierał.

Wybiegła z mieszkania z Holly na rękach. Dziewczynka była zaskakująco ciężka. Biegając w nocy ulicą i szukając taksówki, Becca usiłowała zachować wesoły humor niczym gospodarz teleturnieju.

Zobaczyła taksówkę, gdy tylko wyszła z Rajskich Rezydencji — zdezelowanego czerwonego volkswagena santanę — ale samochód się nie zatrzymał i Becca krzyknęła ze złością do tylnych świateł odjeżdżającego auta.

Holly zaczęła płakać. Becca przytuliła ją mocno i kołysała, rozglądając się jednocześnie po pustych ulicach za następną taksówką. Jeszcze raz wybrała numer do Billa, a kiedy i tym razem nie odebrał, przestała już próbować. Wiedziała, że musi sobie radzić sama.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W domu działo się coś dziwnego.

Powinno być ciemno i cicho, a Becca i Holly powinny spać. Tylko w kuchni zostawała zwykle włączona mała lampka. Tymczasem wszędzie paliły się światła, telewizor grał włączony na BBC World, gdzie skończono już nadawać programy. Drzwi do dużej sypialni stały otwarte na oścież.

Becca i Holly znikły.

Łóżka były puste, kołdra leżała na podłodze. Paliły się światła.

Nigdzie ani śladu jego żony i córki.

Przeleciał po mieszkaniu jak burza, otwierał drzwi, wołał je obie. Czuł narastającą panikę jak nudności w żołądku i w gardle.

Nie przestawał ich wołać, chociaż wiedział już, że nie ma ich w mieszkaniu. Wołał je, przekrzykując przekłety sygnał BBC World. Nie rozumiał, co się stało. To nie miało sensu. Chciał, żeby tu natychmiast wróciły. Spojrzał na zegarek i szybko zasłonił go ręką. Było aż tak późno. Miał ochotę wymiotować.

— Becca!

Podszedł do stołu i wziął do ręki maskę od inhalatora swojej córki. Zadzwoił jego telefon.

* * *

W tym była dobra. To naprawdę potrafiła robić. Troszczyć się o swoje dziecko. Umiała to świetnie. A ponieważ to umiała, reszta świata mogła się powiesić.

Holly siedziała na łóżku w gabinecie Międzynarodowego Szpitala Rodzinnego na Xian Xia Lu. Badał ją młody lekarz o hinduskich rysach twarzy mówiący z liverpolskim akcentem.

— Słyszałaś o takim człowieku, który nazywał się Beethoven? — zapytał dziewczynkę doktor Khan, delikatnie obmacując palcami jej żebra.

— Nie — odpowiedziała Holly nieufnie.

— Beethoven też chorował na astmę. — Uśmiechnął się lekarz.

Becca się roześmiała, z oczu trysnęły jej łzy. Obok niej stał Devlin. Poczula jego dłoń na ramieniu. Becca dotknęła jej z niewymowną ulgą. Jej córeczce nic nie będzie.

— A Charles Dickens, cesarz August, John Kennedy? — pytał dalej doktor Khan. — Słyszałaś o nich?

— O nikim nie słyszałam — odparła Holly z szeroko otwartymi oczami, spoglądając na matkę w oczekiwaniu podpowiedzi. Becca się do niej uśmiechnęła. — Dlaczego płaczesz, mamusiu?

— Bo jestem szczęśliwa, skarbie. Dzięki tobie jestem szczęśliwa. To wszystko.

— To śmieszny powód do płaczu. Dorośli nie płaczą.

— No więc ci wszyscy ludzie mieli astmę — powiedział doktor Khan, wkładając dziewczynce bluzeczkę. — Wszyscy najlepsi ludzie mieli astmę. — Odwrócił się do Becki i kiwnął głową. — Wszystko w porządku.

Becca z wdzięcznością skinęła głową.

— Dziękuję panu. Dziękuję.

— Czy pan jest lekarzem? — spytała Holly.

— Jestem starszym stażystą — odparł Khan. — To dziwna nazwa dla lekarza, prawda? — Doktor Khan usiadł na łóżku i mówiąc do Becki, trzymał Holly za rączkę. — To była reakcja na czynnik spustowy. Mogła być spowodowana czymkolwiek: dymem z papierosów, a jeśli nie, to najprawdopodobniej zanieczyszczeniem powietrza. W Szanghaju nie jest jeszcze tak źle w porównaniu z wieloma innymi chińskimi miastami, ale to w dalszym ciągu chińskie miasto. Mamy najwyższe w kraju zanieczyszczenie spalinami samochodowymi, a do tego dochodzą fabryki i elektrownie na północnych przedmieściach, w Baoshan.

— Na szczęście zaczynają już nad tym panować — odezwał się Devlin. — Dziesięć lat temu bywały takie dni, że z Puxi nie było widać Pudongu.

— Astmy nie da się wyleczyć — ciągnął lekarz. — Ale daje się ją kontrolować. — Podniósł się. — Naturalnie pani już o tym wie.

Becca bardzo się podobał ten szpital. Poza jego szklanymi drzwiami w Dzielnicy Zmian panowały taki sam brud i nędza jak prawie wszędzie indziej w Szanghaju, ale Międzynarodowy Szpital Rodzinny wyglądał świeżej, czystziej i nowocześniej niż wszystkie szpitale i przychodnie, które widziała w Anglii.

— Wszyscy moi chłopcy w jakimś momencie życia tu trafili — powiedział Devlin, jakby czytając jej w myślach i starając się zachować pogodną atmosferę. — Dwaj najmłodszy się tu urodzili. Poza tym mieliśmy... zaraz, dwie złamane ręce, jedno niezstąpione jądro i jedną nadczynność tarczycy.

Uśmiechnął się promiennie do doktora Khana, ale Becca wiedziała, że powiedział to, aby ją podnieść na duchu. I udało mu się.

Uspokajająco działała myśl, że ta oaza anglojęzycznych lekarzy z zachodnim wykształceniem, ubranych w czyste

błękitne fartuchy była dostępna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W przeciwieństwie do jej męża.

* * *

Zanim przyjechał Bill, doktor Khan i Devlin dawno już sobie poszli. Holly spała. Becca też prawie zasnęła. Bill stał w drzwiach zdyszany i spocony.

— Co się stało? Co się stało? — pytał, wchodząc do sali. — Nic jej nie jest?

Becca poprawiła się na krześle.

— Obudziła się i nie mogła oddychać — odparła zmęczonym, mechanicznym głosem.

Chciała mu powiedzieć, naprawdę chciała, ale to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, teraz już było w porządku, a ona czuła się taka zmęczona. Ale Bill chciał wiedzieć wszystko dokładnie i ze szczegółami.

— Próbowałam do ciebie dzwonić — powiedziała. Oderwała wzrok od córki i popatrzyła na swego męża, i nie potrafiła ukryć w spojrzeniu urazy. — Mnóstwo razy do ciebie dzwoniłam, ale nie odbierałeś. Nawet poczta się nie włączała.

— Przepraszam — rzucił, opadając obok niej na kolana.

Całował ją po rękach, po twarzy, objął ją ramionami. Miał wrażenie, że obejmuje posąg.

— Nie wiedziałam, co robić — mówiła Becca. — Nie miałam żadnych numerów telefonów. No wiesz, na pogotowie... bo to nie jest dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, prawda?

— Zdobędziemy wszystkie numery — obiecał, potrząsając głową. — Zdobędę dla nas wszystkie numery.

— Nie mogłam nawet złapać taksówki. W końcu zadzwoniłam do Tess Devlin. Zachowała się wspaniale. Wreszcie zaczęło się coś dziać. Wreszcie miałam pomoc. Devlin przyjechał z Tygrysem i przywieźli nas tutaj. Holly i mnie. A doktor Khan był...

Bill stał i patrzył na twarzyczkę Holly i przez chwilę Becca zastanawiała się, czy on jej w ogóle słucha.

— Gdzie ty byłeś? — spytała bardzo spokojnym głosem.

— Poszedłem z Shane'em na drinka — odparł. Czuł, jak to brzmi, wiedział, że to nie jest dobry moment. — Niemcy się pieklili. W Zielonych Łanach w Yangdongu doszło do różnych incydentów. — Pokręcił głową. — Ochrona nie panuje nad sytuacją. Bili tego dzieciaka. Musiałem ich powstrzymać, Bec.

— Jezu — powiedziała Becca, odwracając głowę. — Rany boskie, Bill. — Znowu spojrziała na niego. — Twoją córkę odwozili do szpitala, a ty sobie siedziałeś w barze?

Popatrzył na nią bezradnie. Czuł się bezużyteczny. Tylu rzeczy pragnął od tego świata, szczerze mówiąc, mógłby stworzyć niezłą listę, ale bardziej niż wszystkiego innego na świecie pragnął, aby jego żona i córeczka były szczęśliwe, bezpieczne i dumne z niego. A on je zawiódł, ponieważ poszedł z klientami na drinka i wdał się w bójkę o dziewczynę, której nawet nie znał. W czasie kiedy rodzina go potrzebowała. Kiedy powinien być przy nich.

Może mógł jej to lepiej wytłumaczyć. Przecież naprawdę chciał po pracy wrócić prosto do domu. Ale chodziło o sprawy służbowe. Chciał, żeby to rozumiała. Przecież chyba wie, że nie ma dla niego na świecie nikogo ważniejszego od niej i od Holly? Chciał jej wszystko wytłumaczyć.

Jednakże nie potrafił jej powiedzieć o dziewczynie.

* * *

Devlin kazał na nich czekać Tygrysowi. W drodze powrotnej na Gubei Becca trzymała Holly na kolanach i dziewczynka spała w jej ramionach. Bill dotknął włosów córeczki.

— Nic jej nie jest — powiedział. — Świetnie sobie radzi...

Becca wybuchła gniewem.

— Co ty możesz o tym wiedzieć, Bill? Nigdy cię z nami nie ma. Jak śmiesz tak mówić? Poza tym wcale sobie świetnie nie

radzi. Nie czuje się dobrze w przedszkolu, ponieważ przyszła w środku semestru i wszystkie inne dzieci już się zaprzyjaźniły, a ona bawi się sama. — Wyrzucała teraz z siebie wszystko, nawet to, o czym wcześniej nie chciała mu mówić, żeby go nie martwić, bo i tak miał dość zmartwień i stresów w pracy. — Wiedziałaś o tym? Oczywiście, że nie. I z jej oddychaniem też nie jest dobrze, ponieważ tu jest bardzo zanieczyszczone powietrze. Teraz już wiesz? Więc nigdy więcej mi nie mów, że nic jej nie jest, bo nie masz o tym bladego pojęcia.

Patrzył przez okno na biegnącą ślimakiem trasę Ya'an. Światła miasta błyszczały daleko pod nimi.

— Przepraszam, Bec — powiedział. — Będzie lepiej. Postaram się, żeby było lepiej.

Łzy napływały Becce do oczu. To w nim właśnie było cudo: zawsze wyciągał do niej dłoń. Zawsze, kiedy się kłócili. Nigdy nie pozwalał, żeby poszli spać rozgniewani na siebie albo urażeni. Zawsze próbował wszystko naprawić. I nie powiedział tego, co powiedziałyby większość mężczyzn na jego miejscu: „To był twój pomysł, żeby tu przyjeżdżać”. Tyle że ona spodziewała się tu czegoś zupełnie innego.

— Chciałam, żebyśmy chodzili posłuchać jazzbandu w hotelu Peace — powiedziała i o mało nie wybuchła śmiechem, bo zabrzmiało to tak absurdalnie. — Żebyśmy kupowali sobie plakaty propagandowe i znaczki z Mao na pchlim targu przy Dongtai Lu. Chciałam, żebyśmy odwiedzali te wszystkie miejsca, o których czytałam i o których piszą, że trzeba je koniecznie zobaczyć.

Objął ją ramieniem.

— I chciałam — mówiła dalej, moszcząc się na siedzeniu i poprawiając sobie Holly na kolanach — żebyśmy popijali drinki w hotelach, gdzie w latach trzydziestych można było dostać opium u obsługi pokoi. Chcę cię wspierać, Bill. Chcę być twoją towarzyszką życia, chcę być dzielna i nie narzekać. Tylko dlaczego nie jest tak, jak sobie to wyobrażałam?

— Będziemy to wszystko robić — powiedział, dotykając

jej twarzy, którą tak bardzo kochał i tak bardzo chciał ją uczynić znowu szczęśliwą.

— Ale kiedy?

— Zaczniemy od jutra, Bec.

To powiedziawszy, kiwnął głową, a ona się uśmiechnęła, ponieważ wiedziała, że mówi to z całym przekonaniem.

Czuła się dziś w nocy nieszczęśliwa, samotna i spanikowana, i Bill zajął się jej problemem z zaciętą determinacją, tak jak wszystkim, co w życiu robił. Mój mąż, pomyślała. Specjalista od rozwiązywania problemów.

* * *

Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie z takim sentymentem wspominają swoją młodość. W młodości było się biednym. Młodość to była prawdziwa mordęga. W młodości trzeba było wykonywać prace, które odbierały człowiekowi chęć do życia.

Zdecydowanie ludzie przeceniali młodość. Albo może tylko on tak myślał, ponieważ jako nastolatek i dwudziestoparolatek przez osiem lat miał uczucie, jakby jako jedyny człowiek na świecie w ogóle nigdy nie był młody.

Przez dwa lata we wszystkie weekendy i wakacje mordował się z egzaminami końcowymi w szkole średniej, potem to samo przez cztery lata studiów na University College London, sześć miesięcy egzaminów prawniczych i dwa lata praktyki w Butterfield, Hunt and West.

Przez osiem lat układał na półkach, nosił wiadra, nalewał piwo i woził wszystko, co się dało: od pizzy (na skuterze) poprzez sobotnich wieczornych pijaków (taksówką) po skrzynie z winem (białą furgonetką hurtowni win Majestic Wine).

Najgorszą robotę miał w pubie Szczur i Trąbka przy Fulham Road. Nie była tak wykańczająca jak noszenie cegieł na budowie ani tak niebezpieczna jak dowożenie pizzy do dzielnic biedoty po północy, ani nie otumaniała jak układanie towarów na półkach pod prażącymi świetlówkami w supermarkecie.

Praca w Szczurze i Trąbce była najgorsza ze wszystkich, ponieważ żaden z ludzi w jego wieku, którzy tam przychodzili, nie dostrzegał nawet tego przywileju, który im podawano na tacy. Uważali, że z natury przysługują im prawa, na które Bill Holden nigdy nie miał nadziei. Chłopcy w postrzępionych dzinsach, pastelowych swetrach z grzywkami à la Hugh Grant, dziewczęta z niezdarnymi kończynami, złotymi puklami i śmiechem pełnym pieniędzy tatusia.

Spotykał ten typ na uniwersytecie, ale nie stanowił on tam dominującej grupy. Na UCL rozchichotane głosy ginęły w hałasie akcentów z innych miast i innych stylów życia. Tu jednak był ich świat, a Bill podawał w nim tylko drinki.

Dzieciaki, których ojcowie i matki nigdy nie chorowali, nie rozchodzili się, nie rozwodzili, nie umierali. W każdym razie wtedy tak o nich myślał. Wyglądali, jak gdyby nigdy w życiu nie spotkało ich nic złego i nie mogło spotkać.

Patrzyli na niego, jakby był powietrzem, albo wykrzykiwali rozkazy zza baru. Nie miał najmniejszego problemu, żeby nienawidzić każdego z tych sukinsynów.

W Szczurze i Trąbce nie zatrudniano wykidajły, więc czasami Bill musiał któregoś osobiście wyrzucać z lokalu. Wieczorem, po skończonym dniu pracy, właściciel wciskał mu dodatkowo piąta za każdego awanturującego się mięczaka, którego Bill musiał wyprowadzić na Fulham Road. Nazywali to dodatkiem za podciętych wesołków.

Rzecz jasna dodatkowy dochód był bardzo mile widziany, ale dwudziestodwuletni Bill wściekły na los chętnie by to zrobił nawet za darmo. „Przekomiczne” — mówili. — Tak jak kobieta z „Szanghajskiego Szyku”. Wszystko było „przekomiczne”. Tak kurewsko przekomiczne, że rzygać się chciało.

Któregoś wieczoru jakiś kretyn grał w krykieta jajkami po szkocku i rozpryskał żółtko i bułkę tartą po wszystkich klientach siedzących w małej salce. „No i jak? Przekomiczne, kochanie”. Z jajowego krykiecisty był kawał chłopca w różowym kaszmirowym sweterku i sztucznie spranych lewisach.

Wesolkowi towarzyszyła dziewczyna. Jedna z nich, pomyślał Bill, jedna z tych broadwayowskich blondyn z Fulham. Próbowwała go powstrzymać, czyli stać ją było na ludzki oddech. Bill popatrzył na nią z uznaniem za to, że nie podobał jej się wybryk chłopaka. Że nie był absolutnie „przekomiczny”. To właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczył Beccę.

Grzecznie poprosił jajowego krykicistę, aby opuścił lokal. Chłopak kazał mu się odchrzanić i podać kufel fostersa. Wtedy Bill poprosił go o wyjście nieco mniej grzecznie, ale odpowiedź była taka sama. Spięprzaj i przynieś mi fostersa. Zanim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje, Bill trzymał mu gardło w zgięciu łokcia i prowadził do drzwi. Człowiek nabiera krzepy i charakteru, pracując na budowach. Nieważne, ile uprawiali sportów w swoich prywatnych szkołach, to nie było to samo, co prawdziwa praca fizyczna.

Chłopak wielki, ale miękki, pomyślał Bill. Wypchnął go za drzwi, może trochę mocniej, niż to było absolutnie konieczne, szczerze mówiąc, dużo mocniej, i jajowy krykicista zatoczył się i upadł do rynsztoka.

Ludzie przy stolikach przed pubem zaczęli się śmiać.

— Jeszcze będziesz podawał drinki moim dzieciom — powiedział chłopak, podnosząc się i czerwieniejąc na twarzy.

— Nie mogę się doczekać — odrzekł Bill.

Doszedł do wniosku, że chłopak musi być mniej więcej w jego wieku. I pewnie nie umarła mu mama.

— Będziesz starym, bezzębnym ramolem ze smarkami na brodzie, będziesz miał za sobą swoje parszywe życie i dalej będziesz tu wyczekiwał na takich jak ja.

Bill się roześmiał i popatrzył na blondynkę.

— Mam nadzieję, że wasze dzieci będą podobne do matki — powiedział, odwracając się i nie oczekując, że kiedyś ją jeszcze zobaczy.

Ale Becca wróciła do środka, żeby przeprosić i zaproponować, że zapłaci za jajka i za cały bałagan. I właśnie kiedy weszła, zobaczyła, jak właściciel pubu zwalnia Billa z pracy za to,

że użył więcej siły, niż należało, wyrzucając jajowego krykieci-
stę na dwór, bo nie od tego tu jest, żeby nabijać płacącym
klientom guzy, ma zapobiegać bójkom, zamiast je wszczynać,
a Bill powiedział, że nie może go zwolnić, ponieważ on sam w
cholere rzuca tę robotę, jasne?

Becca wyszła za nim na dwór i powiedziała:

— Nie odchodź.

A Bill odparł:

— Trzy funty na godzinę za to, żeby obrażały mnie skoń-
czone dupki?

Ale Becca nie to miała na myśli.

Jeszcze raz przeprosiła i powiedziała, że jej chłopak jest w
gruncie rzeczy miłym facetem. Powiedziała, żeby Bill nie my-
ślał, że oni wszyscy są idiotami, a Bill odrzekł, żeby się nie
martwiła, że nie ma nic przeciwko zepsutym bogatym, niewy-
chowany dzieciakom, przecież gdzieś muszą pić, a ona po-
wiedziała, że taka nie jest, że jej w ogóle nie zna, i trochę się
rozniewała, a on na to: proszę bardzo, udowodnij to, daj mi
swój numer telefonu, to może do ciebie kiedyś zadzwonię,
ponieważ było mu już wszystko jedno i naprawdę miał po-
dziurki w nosie tego, że nie może mieć takiej dziewczyny jak
ona, i dosyć samotności, i dosyć tego, że nie mógł w życiu za-
smakować młodości.

Zapisała mu swój numer telefonu na dłoni. Tylko że kiedy
dojechał wreszcie do swojego wynajętego mieszkania na dru-
gim końcu miasta, serce mu się ścisnęło, ponieważ osiem cyfr
wytarło się prawie do cna.

Ale udało mu się je odtworzyć.

Tak właśnie poznał Beccę. Ona jedyna w tym lokalu nie
traktowała go jak powietrze, i zawsze będzie ją za to kochał.

Czasami ogarniało go przerażenie, ponieważ nie wyobrażał
sobie życia bez niej. Ponieważ nawet nie chciał myśleć, co by
się z nim stało, gdyby jej nie poznał. Co wtedy?

Kto by mnie kochał?

* * *

Szli we trójkę, trzymając się za ręce, przez sklep pełen starych mistrzów.

Była tam *Placząca kobieta* Picassa, *Gwiazdzista noc* van Gogha i *Nocne jastrzębie* Edwarda Hoppera. Były też tancerki Degasa, lilie wodne i stogi siana Moneta, jabłka i góry Cezanne'a. Byli kochankowie z komiksów Lichtensteina, flagi Jaspera Johnsa, a także Marilyn, Elvis i puszki Warhola. Wszędzie stały płótna, na niektórych farba jeszcze nawet nie wyschła.

— Zróbcie raz-dwa-trzy — zakomenderowała Holly, szczęśliwa, że w każdej rączce trzyma jednego rodzica.

Becca i Bill policzyli raz-dwa-trzy i rozhuścili dziewczynkę między sobą, aż chudziutkie nóżki fruwały w powietrzu, kiedy przechodzili obok polinezyjskich dziewcząt Gauguina, sterty *Ostatniej wieczery* i *Mona Lizy* za dwudziestaka.

— Raz-dwa-trzy! — intonowali, a Holly śmiała się jak opętana, kiedy mijali baseny Hockneya i obrazy z rozpryskami farby Jacksona Pollocka i żagłówki Matisse'a.

Zatrzymali się na końcu alejki, gdzie dziewczyna, niespełna dwudziestoletnia, malowała sześć *Słoneczników* naraz. Szybko poruszała pędzlem, od czasu do czasu tylko zerkając do sfatygowanej *Historii sztuki nowożytnej*.

— Wygląda kompletnie jak ten obrazek w książce — stwierdziła Holly.

— Wygląda identycznie jak ten obrazek w książce — poprawiła ją Becca.

— One są naprawdę prawdziwe, tatusiu?

Malująca dziewczyna się uśmiechnęła.

— Wszystko jest fałszywe poza twoją mamą — powiedziała. — Tak mówi stare szanghajskie przysłowie.

Becca zamówiła cztery *Słoneczniki* i *Gwiazdzistą noc*. *Siewcę* kupiła już wcześniej. Od dawna nie śmiała się tak radośnie. Vincent van Gogh ozdobi ściany ich nowego mieszkania.

Złapali taksówkę na Bund, który Bill nauczył się już nazywać Waitan, czyli „ponad morzem”, i wreszcie zobaczyli jazzband w barze hotelu Peace.

Sześciu muzyków po osiemdziesiątce było tą samą grupą chińskich chłopców, oszalałych na punkcie swingu, którzy grali, gdy japońska armia wkraczała do Szanghaju całe długie życie temu, i podczas gdy kelnerka zachwycała się włosami Holly, Bill i Becca popijali tsingtao, a zespół chińskich wirtuozów grał Glenna Millera *String of Pearls*, przez kilka słodkich, rozmarzonych chwil Becca czuła, jakby naprawdę ich stary świat wcale się nie rozpadł.

* * *

Nazajutrz Bill wrócił do domu wcześniej i podszedł do Holly, która wyglądała przez okno. Devlin wyprawił go do domu. Chciał, żeby rodzina Billa była szczęśliwa. Chciał, żeby zostali.

— To moja ulubiona — powiedziała Holly, pokazując wychudłego rudego kota przechadzającego się wokół fontanny. — Jest najlepsza.

W Rajskich Rezydencjach nie wolno było trzymać zwierzątek, ale Holly obserwowała z okna wałęsające się, wyglądzone stworzenia, które błąkały się po podwórzu, wylizywały się w cieniu nierównych klombów, delikatnie chleptały wodę z kałuż wokół fontanny lub obgryzały kości, które udało im się wywlec z wielkich czarnych kontenerów na śmieci poustawianych w rzędzie na tyłach głównego budynku.

Bill się roześmiał.

— Czemu akurat ta jest twoją ulubioną?

— Bo jest najmniejsza — odpowiedziała Holly po krótkim namyśle.

— Może ją w takim razie nakarmimy, kochanie?

Dziewczyńce oczy zabłyśły.

— Nakarmimy ją, tatusiu? Nakarmimy?

Skakała podniecona po pokoju, a Bill tymczasem wyjął z lodówki karton z mlekiem i z szafki spodeczek. Becca, która przygotowywała się w sypialni do wyjścia, zmarszczyła z powątpiewaniem czoło, zawołała coś na temat pcheł, ale Bill i

Holly wybiegli z mieszkania, zanim zdążyła bardziej zdecydowanie zaproponować.

Na podwórzu przyglądali się z bezpiecznej odległości, jak ruda przybłęda opróżnia ich spodeczek z półtłustego mleka, po czym odmaszerowuje na klomb z kwiatami i rozciąga się z zadowoleniem na ziemi. Podeszli do niej ostrożnie. Pozwoliła się pogłaskać Holly po grzbiecie. Nagle Bill poczuł, że nie są sami.

Nieco z boku stała wysoka dziewczyna i obserwowała ich, jak karmili kota. Uśmiechała się do Holly. W rękę trzymała marynarkę Billa, którą oddała do pralni i którą przyniosła teraz zawiniętą w folię z napisem: „Da Zong Pralnia Amerykańska”. Bill od razu zauważył, że nie udało się im usunąć śladu dłoni.

— *Tse-tse* — powiedziała, podając mu marynarkę. — Bardzo panu dziękuję.

— *Bu ke-qi* — odpowiedział.

— To znaczy „proszę bardzo” — poinformowała dziewczynę Holly i oboje wybuchnęli śmiechem.

Kobieta dotknęła włosków dziewczynki.

— Takie jasne — zauważyła. — Podziwiam ją.

Po raz pierwszy właściwie usłyszał, jak mówi po angielsku — ten dziwny ciężar, jaki kładła na niektóre słowa, i niepojęty niekiedy dobór słownictwa. „Podziwiam ją”. Z jakiegoś powodu to stwierdzenie dziwnie zgrzytało, chociaż brzmiało poprawnie.

W dziennym świetle ślad na twarzy dziewczyny wyglądał nieco lepiej. Trochę zbladł. A może po prostu tak nie raził, ponieważ Bill się go spodziewał. Dostrzegł też, że nie zostawiła go ludzka ręka, tylko samochodowa poduszka powietrzna. Mimo czerwonego zadrapania na twarzy ta dziewczyna coś w sobie ma, pomyślał Bill.

— Miłego dnia w Szanghaju — powiedziała.

Usiłował nawiązać jakoś do tamtej nocy, aby postawić sprawę we właściwym świetle, ale nie przychodziło mu nic do

głowy. Zresztą dokładnie w tym momencie na podwórze wjechało srebrne porsche i dziewczyna, uśmiechnąwszy się do niego ostatni raz, ruszyła w stronę samochodu, gdzie potężny silnik czekał, aby zabrać ją w jej świat.

* * *

To był uroczy wieczór w mieście, chociaż więcej przyjemności czerpała z niego później, kiedy go wspominała.

Alice zabrała ją do baru na Bundzie, uraczyła absurdalnie mocnym mohito i Becca spędziła wieczór z telefonem komórkowym w ręku, na wypadek gdyby coś się działo z Holly. Ale Bill nie zadzwonił, a kiedy wróciła, oboje smacznie spali. Chodziła cicho po mieszkaniu i nareszcie się rozluźniła i mogła spokojnie delektować się minionym wieczorem, wiedząc, że w jej rodzinie wszystko jest w porządku.

Holly leżała na środku wielkiego łóżka, maleńka jak krużyna. Oddychała normalnie. Bill spał w drugiej sypialni. Stopy zwisały mu poza jednoosobowe łóżko. Wyglądał komicznie, jakby wyrósł z tego mebla. Rozebrała się. Bill drgnął i próbował się poderwać, kiedy wśliznęła się pod kołdrę obok niego. Położyła mu uspokajająco dłoń na piersi i pocałowała w twarz.

— Wszystko z nią w porządku? — spytała.

— Wszystko dobrze — powiedział sennie. — Nic się nie działo. Która godzina?

Poczuł na ciele jej dłoń. Szepnęła do niego po imieniu. Cichutko. Dotknęła ustami jego ust. Poczula jego dłonie przesuwające się po boku, potem po wypukłości biodra, długim udzie. Poczula w ciemności delikatne pocałunki.

— Bill.

— Słucham.

— Nie kochaj się dzisiaj ze mną — powiedziała. — Nie tym razem. Tym razem mnie po prostu zerznij, dobrze? Możesz to zrobić, prawda?

Mógł to zrobić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ojciec Billa wyszedł przez bramkę dla osób przylatujących na lotnisko w dzielnicy Pudong. Stara, surowa twarz od razu się rozjaśniła na widok wnuczki.

— Dziadziuś Will! — zawołała Holly.

Wyrwała się z objęć Billa i pobiegła do dziadka.

Picasso, orzekła Becca, kiedy po raz pierwszy zobaczyła swojego teścia. Dokładnie tak samo wyglądał Picasso: łysy, szeroki w ramionach, o oczach, które patrzyły prosto na ciebie i nigdy nie uciekały w bok. Bill nie miał zdania na temat Picassa, za to uważał, że jego ojciec przypomina byka. Silnego i nieustępliwego starego byka.

W jednym ręku niósł walizkę, jedyną walizkę, jaką Bill kiedykolwiek u niego widział — w kwestii bagaży ojciec Billa był bardzo monogamiczny — a pod pachą drugiej ręki dźwigał nieprawdopodobnie wielkiego pluszowego misia.

— Tato — powiedział Bill — istnieje coś takiego jak wózki bagażowe, wiesz?

— A czy ja ci wyglądam na takiego, co potrzebuje wózka? — odparł staruszek.

I tak o mało nie doszło do kłótni, zanim nawet zdążyli się przywitać, co należałoby uznać za swoisty rekord.

— Proszę, bądź dla niego miły — mruknęła Becca, kiedy Tygrys prowadził ich do samochodu, a ojciec cierpliwie słuchał jednego z bezsensownych monologów Holly o postaci z bajki, którą nazywała swoją „trzecią ulubioną księżniczką”.

Bill nie pamiętał, żeby ojciec okazywał mu taką cierpliwość, kiedy on był dzieckiem. Widać z wnukami jest inaczej.

Z początku planowali, że pierwszy przyjedzie ich odwiedzić ojciec Becki, ale lekarze wykryli u niego szmery w sercu i przechodził teraz niekończące się badania, które uziemiły go w Londynie. Bill pomyślał jednak, że kłopoty ze zdrowiem są tylko wymówką. Jak na człowieka, który spędził dużą część życia w ciągłym ruchu, pracując dla Reutera, jego teść wykazywał teraz zaskakującą niechęć do ruszania się z domu.

Za to ojciec Billa był nie do zdarcia. Przetarł oczy po podróży i wyglądał, jakby zbudził się z popołudniowej drzemki.

— Więc co chciałbyś robić? — zapytała Becca, kiedy jechali na Gubei.

Za oknem przemykał Bund, ale staruszek nie odrywał oczu od swojej wnuczki. Bill czuł, że nie potrafi na nią patrzeć i się nie uśmiechać.

— Oczywiście chcę zobaczyć Wielki Mur.

Bill i Becca popatrzyli na siebie.

— To prawie w Pekinie, tato — zauważył Bill. — Wielki Mur biegnie niedaleko Pekinu.

Becca wyglądała na zakłopotaną.

— Moglibyśmy polecieć samolotem w weekend — powiedziała do Billa. — Gdyby udało ci się urwać z pracy w sobotę...

Bill pokręcił ze zniecierpliwieniem głową. Głupi stary du-reń. Pewnie nawet nie zajrzał do przewodnika.

— Co jeszcze, tato?

— Może Miasto Zakazane? Brzmi ciekawie.

— Bo jest ciekawe, tylko że Miasto Zakazane leży w samym środku Pekinu.

Staruszek podniósł na niego wzrok.

— Nie chcę wam sprawiać kłopotu. Jeśli to zbyt trudne...

— Ależ skąd, wcale nie jest zbyt trudne — odparła wesoło Becca.

— Dziadziusiu, dziadziusiu! — zawołała Holly niezadowolona, że ktoś odwrócił uwagę dziadka od jej osoby.

Kopnęła w przednie siedzenie i Becca powiedziała jej, żeby, bardzo proszę, więcej tego nie robiła.

— Nie jest zbyt trudne, skoro to właśnie chcesz zobaczyć, tato — powiedział Bill z ostentacyjnym zniecierpliwieniem, które tak doskonale знаła. — Chociaż to jakby chciał zobaczyć londyńską Tower, będąc w Paryżu.

Poczuł strofującą dłoń żony, ściskającą go lekko za ramię, i więcej się nie odezwał.

Nazajutrz wszyscy wstali bardzo wcześnie. Podczas gdy Holly bawiła się z dziadkiem, Becca odciągnęła Billa na bok.

— Postaraj się, żeby jego pobyt wypadł jak najmniej — powiedziała, a Bill się domyślił, że jego żona myśli o własnym ojcu. — W końcu nie będzie trwał wiecznie.

— To prawda — przyznał Bill, obserwując ojca, który robił właśnie na dywanie pompki na jednym ręku, a Holly siedziała mu na plecach i piszczała z zachwytu. Wielka dłoń starego budowlańca wciskała się w świeżo wyprany dywan. — Ale wydaje mi się, jakby to miała być cała wieczność.

Holly straciła równowagę, ale zaraz ją odzyskała, łapiąc się resztki przeredzonych włosów dziadka. Oboje wybuchnęli śmiechem. Przytrzymała się jeszcze mocniej, a tymczasem dziadek zmienił ręce i kontynuował swoje pompki.

Bill ruszył już w ich stronę, ale Becca go powstrzymała.

— Zostaw ich — powiedziała.

— Ale przecież to niebezpieczne — stwierdził Bill.

Becca pokręciła głową i Bill wyszedł do pracy, zanim zdążyło dojść do awantury.

Robiła herbatę i tosty, kiedy jej teść wszedł do kuchni z wnuczką na rękach.

— Jego lordowska mość poszedł do pracy? — zapytał, stawiając dziewczynkę na podłodze.

Holly od razu wdrapała się na swoje podwyższone krzeselko. Becca z uśmiechem kiwnęła głową.

— Tak się świetnie bawiliście, że nie chciał wam przeszkadzać.

— Wcześniej zaczyna pracę — zauważył ojciec Billa, wsypując trzy łyżeczki cukru do herbaty.

— Tatuś musi pracować, żeby zarabiać pieniądze — Holly powtórzyła wyuczoną śpiewkę.

Upiła łyk soku, z czego połowa nie trafiła do buzi.

— Wcześniej zaczyna i późno kończy — powiedziała Becca, wycierając buzię dziewczynki papierowym ręcznikiem.

Potem usiadła z powrotem przy stole i popatrzyła na niezwykły widok trzech osób zasiadających u nich w domu do posiłku.

— Jak to miło wygląda. — Roześmiała się.

— To długie dni pracy — zauważył staruszek.

Becca posmarowała tost masłem, a następnie pokroiła go na cztery części i położyła na talerzyku z Małą Syrenką.

— Czasami pracuje w biurze, a niekiedy jeździ gdzieś z klientami — wyjaśniła, stawiając talerzyk przed Holly. — Owszem, rzeczywiście dużo pracuje.

Ojciec Billa zmarszczył czoło z dezaprobatą.

— Powinien trochę odpuścić. Jak się raz wpadnie w taki tryb życia, to trudno potem z nim skończyć.

Becca uznała, że powinna stanąć w obronie męża.

— Chce nam zapewnić godziwe życie — powiedziała, smarując masłem następne tosty dla każdego. — To wszystko. Dlatego tu przyjechaliliśmy. — Wzięła chusteczkę i wytarła córreczce tłuszcz na brodzie. — Przecież wszyscy tego chcą, prawda?

— Pewnie tak — przyznał ojciec, gryząc tost. — Bill zawsze mnie uważał za życiową niedojdę. — Wyglądał prawie na zawstydzonego. — Uważał, że nie powinienem być zadowolony

z naszego małego domku. Ze swojej małej pracy. Z mojego małego życia.

Becca położyła mu dłoń na ramieniu.

— Jestem pewna, że nigdy tak nie myślał.

— Właśnie, że myślał — upierał się staruszek, wsiadając na swojego konika. — I tak myśli. — Jego tost znieruchomiał w powietrzu w połowie drogi między talerzykiem a ustami. — Na tym polega różnica między mną a jego lordowską mością, Bec. Chce wszystkiego. A ja zawsze chciałem tyle, ile wystarczało.

— Szczerze mówiąc, toja wymyśliłam przyjazd do Szanghaju — odrzekła Becca. — To ja go naciskałam. A on zrobi wszystko, o co go poproszę, ponieważ mnie kocha. — Teraz ona wyglądała z kolei na zakłopotaną. Czuła, że się rumieni. — To znaczy, nas kocha — poprawiła się. — I zobaczysz, że on to wszystko potrafi pogodzić — dodała lżejszym tonem. — Jest taki sam jak ty: wół roboczy.

— Nigdy w życiu nie ubrudził sobie rąk — powiedział staruszek, uśmiechając się smutno.

I Becca zobaczyła całą dumę ojca ze swojego syna. I doszła do wniosku, że jest prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która to zauważa.

* * *

W pierwszej chwili Shane wziął to za poparzenie, ale w rzeczywistości było to znamię, jasnobrazowa plama wielkości małego lusterka na tle ciemniejszej skóry. Zwykle nie dawało się całkowicie jej ukryć, bez względu na to, jak bardzo się starała, i jak starannie układała swój koński ogon.

Rosalita miała prawdziwą kaskadę kruczoczarnych włosów, które związywała z tyłu i zawijała na jedno ramię. Kiedy śpiewała na scenie BB, od czasu do czasu pociągała za swój kucyk, jakby chciała się upewnić, czy jest na miejscu.

Shane obserwował ją tak często, że zorientował się, po co to robi, i to znamię, a także jej daremne próby, aby je ukryć,

zupelnie go rozbrajaly i napehniały nieznośną czulością. W tym uczuciu nie było nawet właściwie niczego przyjemnego, tylko jakiś pełen udreki zachwyty.

Roxas Boulevard Boys zakończyli występ żywym *Bad Moon Rising* i Rosalita zeszła ze sceny uśmiechnięta i lśniaca od potu. Shane patrzył zahipnotyzowany, jak przysiadła się do stolika portugalskich biznesmenów, a potem cała grupa, drobniutka, kształtna Filipinka otoczona wysokimi mężczyznanami w garniturach, stuka się szklankami i śmieje. Co jakiś czas Rosalita oglądała się i rzucała Shane'owi jeden ze swoich bezlitosnych, białych uśmiechów. Shane odwracał głowę.

Nieco dalej przy barze siedziała kobieta, która wyglądała, jakby przed chwilą wysiadła z autobusu. Rozglądała się nerwowo po pubie, przyciskając mocno do piersi imitację torebki od Gucciego, jak gdyby komuś tutaj zależało na tym, aby ją ukraść. Przed nią stał nietknięty sok owocowy. Shane zlustrował dziewczynę wzrokiem znawcy. Szuka szczęścia w wielkim, złym mieście, stwierdził. Ale w końcu czyż nie po to tu wszyscy jesteśmy, stary? — pomyślał, oddając się filozoficznym rozważaniom.

Zatem postawił jej sok owocowy. A potem jeszcze jeden. I chociaż nie potrafił do końca zrozumieć jej fujiańskiego dialektu, oboje w wystarczającym stopniu posługiwali się *putonghua*, czyli ogólnym językiem chińskim, w praktyce oznaczającym dialekt mandaryński, aby Shane'owi udało się zrozumieć, że dziewczyna przyjechała niedawno do Szanghaju z miasta Fuzhou, że mieszka niedaleko BB i uważa Shane'a za niezły materiał na chłopaka.

Pokazałbyś wtedy Rosalicie, pomyślał. Pokazałbyś jej, gdzie raki zimują. Wtedy jednak zobaczył, że Rosalita wychodzi z klubu z łapą portugalskiego biznesmena na swoim zadku niczym ster na ogonie samolotu.

Tak więc Shane uchlał się w trupa, a jego cichutka, sarnioka towarzyszka wychylała jeden sok żurawinowy za drugim,

i kiedy on zaczął śpiewać piosenki, które grano tu kilka godzin temu, a teraz w BB skończył się sok żurawinowy, postanowili wyjść. Shane był tak ubzdryngolony, że o mało nie zostawił laptopa na stołku barowym, co by się skończyło nieszczęściem dla wielu różnych osób. Wetknął go w ostatniej chwili pod ramię i poszli do mieszkania dziewczyny, gdzie ona naciskała, aby zdjął buty przy drzwiach i nic nie mówił, dopóki nie znajdą się w jej przytulnym pokoiku.

Shane zrobił, jak mu kazano, i gdy zostali sami, a on położył się na jej rozczulająco małym, pojedynczym łóżku i patrzył, jak się rozbiera, pomyślał, że człowiek nie może się nimi za bardzo przejmować. Jeśli zacznie się za bardzo przejmować, dostanie od nich takiego kopniaka, że się nie pozbiera do końca świata. Kłopot w tym, że kiedy człowiekowi na czymś za bardzo zależy, to wszystko czuje dwa razy mocniej.

Rankiem, kiedy kobieta z Fuzhou twardo spała, uśpiona kilkoma zastrzykami od doktora Miłości, Shane wstał z łóżka i nagi poszedł do kuchni, ziewając szeroko i drapiąc się po mosznie. Nagle zamarł jak rażony gromem i podobnie zamarała rodzina Chińczyków jedząca śniadanie przy kuchennym stole. Słysząc było, jak im dech zaparło, brązowe oczy potwierały się szeroko z grozy i niedowierzania, łyżki pełne *congee* znieruchomiały w połowie drogi do ust.

Siedziała tam cała rodzina: mężczyzna w średnim wieku w okularach ubrany już w koszulę i krawat przed wyjściem do pracy; jego żona — korpulentna gospodyni domowa z fatalną trwałą i okropnych minipończochach zakrywających tylko kostki u nóg; i dwoje dzieci: pulchny, krótko ostrzyżony dziesięcioletni chłopiec i długowłosa, kilka lat starsza dziewczynka zasłaniająca usta dłonią i patrząca na Shane'a z odrazą w oczach.

Kiedy chował się za kartonem soku pomarańczowego, a matka zakrywała dziewczynie oczy paczką cheeriosów, Shane zrozumiał dwie rzeczy z oślepiającą jasnością.

Po pierwsze, kobieta z Fuzhou pracowała jako *ayi* na bardzo niejasnych warunkach zatrudnienia.

Po drugie, nadszedł czas, żeby się ustatkować.

* * *

Prawda była taka, że staruszek wcale nie chciał niczego oglądać. Bill stał w oknie i obserwował, jak jego ojciec pali skręta na podwórzu Rajskich Rezydencji, i zdał sobie sprawę, że stary budowlaniec mógłby się spokojnie obejść bez oglądania Wielkiego Muru, Miasta Zakazanego czy nawet Szanghaju, byleby tylko mógł spędzać jak najwięcej czasu z wnuczką.

Podczas gdy dziadek palił papierosa, Holly brykała i hasała wokół fontanny ze swoim ulubionym kociakiem.

Na podwórze wjechał samochód i ojciec Billa natychmiast ruszył ku wnuczce, pokazując papierosem w stronę pojazdu, mimo że samochód nawet się do dziewczynki nie zbliżył.

— Tak bardzo się kochają — powiedziała Becca, ściskając Billa za ramię, jakby wizyta dziadka okazała się wielkim sukcesem.

Bill skinął głową, patrząc, jak jego ojciec podnosi dziewczynkę do góry i trzyma ją wysoko nad głową. Te dłonie, pomyślał. Dłonie budowniczego. Dłonie mojego ojca.

To była wielka sprawa, kiedy Bill dorastał, szczyt rodzicielskiej mądrości jego ojca — różnica pomiędzy mężczyzną, który żyje z pracy rąk, i tym, który pracuje umysłem.

— Ręce męczą się szybciej niż umysł — powtarzał synowi bez końca. — Dlatego twoje egzaminy są takie ważne. Żebyś nigdy nie musiał pracować rękami.

Jacyz my byliśmy biedni, pomyślał Bill. Jego dorosły świat wypełniali starsi ludzie, którzy dla jego ojca wyglądali niczym przedstawiciele innego gatunku. Widywał ich w firmach prawniczych w centrum Londynu, widywał ich na karaibskich plażach i w szanghajskich restauracjach.

Ci mężczyźni nosili niebieskie koszule z kołnierzykami rozpiętymi pod szyją, opalenizny znad morza i stoków narciarskich,

a ich żony nawet w podeszłym wieku wyglądały młodo. Matka Billa była piękną kobietą, ale nie pamiętał, aby kiedykolwiek widział u niej tę zastygłą młodość cechującą bogatych ludzi. A jego ojciec nigdy nie przypominał mężczyzn w niebieskich koszulach rozpiętych pod szyją, którzy mieli w sobie coś miękkiego i rozpieszczonego, świadczącego o tym, że nigdy w życiu nie musieli wykonywać ciężkiej fizycznej pracy.

Więc Bill musiał dużo się uczyć. Musiał wszystkie egzaminy zdawać śpiewająco. Musiał być piątkowym uczniem. I nie daj Boże, żeby mu się powinęła noga. A wszystko po to, aby pewnego dnia mógł pracować umysłowo, a nie fizycznie, i aby mógł się cieszyć lekkim, wygodnym, dobrym życiem. Życiem, jakiego jego ojciec nigdy nie zaznał.

Och, tato, pomyślał ze smutkiem, obserwując, jak starszek robi sobie kolejnego skręta. Kurwa mać, co ty możesz wiedzieć o dobrym życiu?

Oczywiście Bill Holden za żadne skarby nie powiedziałby przy swoim ojcu „kurwa”.

* * *

Rosalita wyszła z zadymionego, cuchnącego potem i piwem BB i od razu poczuła zapach kwiatów. Aromat róż, dziesiątków róż maskował smród samochodowych spalin.

Chłopcy z zespołu wyszli wcześniej, ona wdała się jeszcze w krótką pogawędkę z właścicielem. Pokleпали się po tyłkach, pożartowali, była w tym dobra. Teraz muzycy czekali przed otwartymi drzwiami furgonetki, z instrumentami pochowanymi w futerałach. Kiedy wyszła, wyszczerzyli do niej zęby w uśmiechach.

A kiedy tak szczerzyli zęby, Rosalita powoli opuściła wzrok i popatrzyła pod nogi, gdzie jej szpilki numer trzydzieści siedem brodziły w... różach. Ścieżka z róż zaczynała się w drzwiach pubu, mijała furgonetkę i prowadziła dalej do otwartych tylnych drzwiczek limuzyny, absurdalnie długiej

limuzyny, gdzie na tylnym siedzeniu Shane trzymał między mięsistymi udami kubek ze schłodzonym szampanem.

Bez żadnego uprzedzenia rozległ się głośny śpiew, aż Rosalita cofnęła się przestraszona.

— O sole mio! — śpiewał czyściutko gruby włoski inżynier.

Shane odkrył go w barze karaoke Funky Fox na Tong Ren Lu, gdzie wyśpiewywał ballady Elvisa. Włoch położył sobie dłoń na sercu, jakby gestem tym zaświadczał o szczerości intencji mężczyzny, który go wynajął.

Roxas Boulevard Boys rechotali z jawnego, cikliwego melodramatyzmu tej sceny, Rosalita też się śmiała, chociaż widać było, że jej pochlebia ta adoracja. Shane, uśmiechając się wstydliwie, przeskakiwał wzrokiem z dziewczyny na jej kolegów z zespołu.

Perkusista zaszwargotał coś gniewnie po tagalsku i Rosalita w odpowiedzi też zaszwargotała coś gniewnie po tagalsku. Przez chwilę sytuacja się ważyła. Wybór należał do niej — wsiąść do furgonetki z kolegami z zespołu czy do limuzyny z adoratorem.

Wreszcie ruszyła po drodze usłanej kwiatami, jak gdyby ani przez chwilę nie istniał cień wahania. Wysokie szpilki stuknęły po zgniecionych płatkach róż, uśmiech biały jak kość błyszczał w świetle księżyca.

* * *

— Pomogę ci — powiedział Bill.

Uklęknął przed córeczką i zacisnął srebrną klamerkę przy wrotce. Holly wyciągała do niego stopkę niczym księżniczka przymierzająca szklany pantofelek. Podniosła główkę i nasłuchiwała ogłuszającego ryku dochodzącego z toru wrotkarskiego. Ojciec Billa uśmiechał się szeroko i trzymał mocno poręcz, aby zachować równowagę w archaicznych budach z kółkami.

— Uwaga, rakietą wystartowała! — zawołał staruszek.

To powiedziawszy, puścił się z prądem pędzących chińskich

nastolatków. Załopotał rękami, żeby złapać równowagę, a kiedy ją odzyskał, pojechał zaskakująco płynnym krokiem, machając za siebie do syna i wnuczki.

Wrotkarstwo w Chinach, pomyślał Bill, nasłuchując metalicznego dudnienia kółek na drewnianym podłożu. Kto by pomyślał, że w tym kraju, w tym mieście, znaleźć można miejsce na uprawianie takich archaicznych rozrywek. Ale w Szanghaju wszelkie staromodne, nawet wymarłe rozrywki znajdowały swoje miejsce w ukrytych zakamarkach wściekle nowoczesnego miasta.

— Daj, zapnę ci drugą — powiedział Bill i Holly wyciągnęła do niego bosą stopkę.

— Szczerze mówiąc, to trochę trudne dla takiej małej osoby jak ja — oznajmiła.

Bill uśmiechnął się, widząc jej poważną twarzyczkę i zmarszczone brwi, kiedy patrzyła na swoją wrotkę, a potem z powrotem na tor, i niecierpliwiła się, aby znaleźć się razem z dziadkiem w tłumie starszych dzieci. Bill poczuł falę wszechogarniającej miłości.

Czasami czuł się tak, jakby Holly była bardziej Becki dzieckiem niż jego. Starał się walczyć z tym uczuciem, ale nie mógł się go pozbyć. Kiedy robili coś tylko we dwoje, zawsze zdawało mu się, że rościł sobie do niej nieuzasadnione pretensje. „Ona jest też moim dzieckiem”.

— Tam jest nasza znajoma — oznajmiła Holly.

Bill podniósł głowę i zobaczył na czele grupki dzieciaków roześmianą Li JinJin. Bardzo dobrze jeździła na wrotkach. Szczupłe ręce rozłożyła na boki niczym linoskoczek. Delikatne jak skrzydła. Za nią jechało kilkanaścioro chłopców i dziewczynek, mniej więcej dwunastoletnich. W coś się bawili lub grali, bo każdy trzymał się osoby, która jechała przed nim. JinJin prowadziła. Włosy miała ściągnięte do tyłu. Nigdy nie widział jej takiej roześmianej. Lepiej widać jej twarz w tej fryzurze, pomyślał.

Holly pomachała do niej i dziewczyna ich zauważyła. Oczy

rozszerzyły jej się z zaskoczenia. Oderwała się od grupki dzieci i skręciła w ich stronę. Bill zachwiał się w tył, ale zaraz się wyprostował.

— Lubisz jeździć na wrotkach? — zapytała JinJin, pochylając się do Holly.

Kilkoro dzieci pojechało za nią, ale szybko przestały się śmiać onieśmielone widokiem dwojga białych.

— To mój pierwszy raz — odparła Holly.

— Nie martw się, świetnie sobie poradzisz — powiedział Bill i podniósł głowę, kiedy jego ojciec zatrzymał się przy nich z dużą wprawą. Bill próbował jakoś wpasować tę kobietę w jego świat. — Tato, to jest Li JinJin. Nasza sąsiadka.

— O, widzę, że opiekuje się pan ojcem — powiedziała JinJin, ściskając dłoń staruszka. — To bardzo ładnie.

Ojciec skrzywił się w szelmowskim uśmiechu.

— On miałby się mną opiekować? Niedoczekanie, skarbie.

— A to moje dzieci — powiedziała JinJin, wskazując chłopców i dziewczynki stojące niezręcznie za nią i usiłujące zachować beztrojski humor.

— Ma pani dużo dzieci — zauważył ojciec.

— Tak, byłam nauczycielką — odrzekła JinJin. Wydawała się zemocjonowana i szczęśliwa. Bill nigdy przedtem nie widział jej takiej szczęśliwej. — Przyprawiam cię tu raz w miesiącu. — Szukała odpowiedniego idiomu. — Pozostajemy w kontakcie.

Bill osłupiał.

— Pani była nauczycielką?

— Gimnazjum numer dwieście pięćdziesiąt jeden w Szanghaju — poinformowała, jakby podejrzewała, że Bill będzie chciał to sprawdzić.

Potargęła po czuprynie dużego chłopca, który stał obok niej. Zaczerwienił się jak pomidor.

— No, musimy jechać dalej — powiedziała, odpychając się od bandy.

— Tak, tak, jedźcie — poparł ją Bill. — Miłej zabawy.

JinJin skinęła grzecznie głową ojcu Billa.

— Miło mi było pana zapoznać — powiedziała grzecznie i odjechała.

Nikt na świecie nie mówił po angielsku tak jak ona. Powinno być oczywiste, że uczyła w szkole angielskiego.

— Mnie również — odparł starszek.

JinJin uśmiechnęła się do Holly, nie tym uprzejmym, formalnym uśmiechem jak na dziedzińcu Rajskich Rezydencji, ale szeroko i wesoło. Był to trochę gamoniowaty uśmiech, z dosyć silnym tyłozgryzem i wysuniętymi do przodu dwoma siekaczami, ale Billowi się podobał. Nagle uprzytomnił sobie, że musi ją o coś zapytać.

— Nie lubiła pani uczyć?

JinJin roześmiała się radośnie.

— Uwielbiałam! — zawołała i już jej nie było.

A Bill ucieszył się, że nie okazał się na tyle nierozgarnięty, żeby zapytać: „To czemu rzuciła pani tę pracę?”. Bo przecież wiedział, że rzuciła.

— No chodź, łamago, przegonimy cię — rzucił nagle ojciec.

Złapał Holly przed sobą i ruszył do przodu, pchając dziewczynkę między nogami. Śmiali się oboje do rozpuku i oglądali przez ramię, jak Bill gramoli się z tyłu, marszcząc twarz z wysiłku i chwiejąc się, i wie, że choćby nie wiem jak się starał, za żadne skarby ich nie dogoni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Uzdrawianie czas zacząć — ogłosił Bill, klaszcząc w ręce.

Ojciec leżał płasko na plecach w podkoszulku i kąpielówkach i podnosił głowę, kiedy akupunkturzysta przygotowywał igły. Stół, na którym leżał, zajmował większą część maleńkiego pokoiku i Bill stał prawie rozplaszczony pod ścianą i uśmiechał się, widząc zaniepokojoną twarz ojca.

— Nie jestem pewien, czy tego chcę — stwierdził staruszek.

Skrzywił się, kiedy akupunkturzysta wkuł pierwszą igłę w jego wielki paluch.

— Odpręż się — powiedział Bill. — Chińczycy wierzą w tę metodę od tysięcy lat. — Kolejne igły wchodziły zręcznie w łydkę, udo i rękę staruszka, tak łatwo, jakby ledwo nakłuwały sam naskórek. — Zwracam ci uwagę — Bill nie mógł się oprzeć pokusie — że wierzą również, jakoby jedzenie jąder tygrysa dodawało mężczyźnie sił witalnych.

Ojciec rzucił Billowi pełne powątpiewania spojrzenie i Bill wybuchnął śmiechem. To Becca wpadła na pomysł, żeby zaprowadzić teścia do akupunkturzysty.

Patrzyła na bóle i cierpienie starego człowieka, obserwowała, jak jego ciało buntuje się po długich latach ciężkiej pracy

fizycznej. Plecy, kolana, stawy rąk — widziała, jak ojciec Billa krzywi się z bólu, bawiąc się z Holly, jak się kuli, podnosząc wnuczkę nad głowę albo schylając się, aby usiąść na podłodze, i wiedziała, że zamierza znosić te bóle do końca życia.

Doris, czyli *ayi* pracująca u Becki i Billa, wyleczyła się z gościa u akupunkturzysty i oto ojciec Billa leżał w maleńkim pokoiku chińskiego centrum medycznego w Old French Concession, podczas gdy Becca i Holly poszły na zakupy na rynek Xiangyang, a Bill rechotał, kiedy akupunkturzysta wkłuł igłę w czubek głowy staruszka i pacjent wreszcie krzyknął.

— To boli — powiedział.

Chińczyk pokiwał głową z akademickim zaciekawieniem. Doris zapewniła ich, że akupunktura jest wspaniale odprężającym zabiegiem, ale z tego, co widział Bill, był on równie odprężający jak leczenie kanałowe zęba.

— Mógłby pan opisać ten ból? — zapytał akupunkturzysta doskonałą angielszczyzną.

— Spróbuję — odrzekł staruszek. — To takie uczucie, jakby ktoś mi wbił igłę w czubek głowy. — Wyciągnął szyję i popatrzył na wszystkie igły sterczące z jego ciała. — Mam nadzieję, że powymuje je pan wszystkie z powrotem.

Ruchem ręki akupunkturzysta poprosił go o cierpliwość.

— Musi pan tak poleżeć pół godziny — odparł, delikatnie obracając igłami.

— Inaczej będę odbierał BBC Radio Dwa — dodał staruszek.

Bill oparł się o ścianę, śmiejąc się jeszcze głośniej, a akupunkturzysta zostawił ojca z igłami tkwiącymi w meridianach jego ciała i po chwili słyhać go było za cienką ścianą, jak w sąsiednim pokoju przemawia po chińsku do następnego pacjenta.

Staruszek leżał z zamkniętymi oczami i ani drgnął. Oddychał równo, a uśmiech na twarzy Billa stopniowo zniknął, kiedy

patrzył na cieniuteńkie igły tkwiące w tym starym, twardym, bliznami pokrytym ciele, i myślał sobie w duchu: Oby w tym mieście pełnym imitacji i podróbek chociaż ta jedna rzecz okazała się prawdziwa.

* * *

Poszli do parku obejrzyć panny młode.

Nie widzieli ich od tamtej pierwszej niedzieli, kiedy obserwowali je ze szczytu Wschodniej Perły.

Spacerowali po parku pomiędzy młodymi parami i widzieli najróżniejsze rodzaje panien młodych. Były wśród nich młode i stare, pulchne i ładne, głośne i przygaszone, z płaskimi brzuchami i brzuchami w ciąży. Różne jak płatki śniegu, pomyślał Bill i zastanawiał się, jak ktokolwiek mógł uważać, że wszyscy Chińczycy są do siebie podobni.

Bill i Becca trzymali się za ręce i uśmiechali do panien i panów młodych i do siebie nawzajem. Do wody sypał się kolorowy pokarm dla ryb i na powierzchni rozpryskiwały się i migotały jaskrawopomarańczowe błyski. Młodzi mężczyźni w nowiutkich garniturach trzymali pod rękę swoje świeżo upieczone żony, które, unosząc rąbki sukien ślubnych, karmiły karpie.

Staruszek trzymał na rękach Holly, a Bill zastanawiał się, czy widok panien młodych nasunął ojcu wspomnienie jego własnej żony, matki Billa. Holly z pełną powagą przyglądała się po kolei dziesiątkom młodych kobiet w białych sukniach, a w jej oczach widać było zachwyt, podziw i lęk, jak gdyby każda z nich była prawdziwą księżniczką żywcem wyjętą z filmów Disneya i historia każdej z nich absolutnie musiała się zakończyć „i żyli długo i szczęśliwie”.

* * *

To był dobry dzień, pomyślała Becca, robiąc krok w tył i podziwiając swoje *Słoneczniki*. Stonowane żółcie i połyskujące złoto przypomniały jej, jak chodzili razem po sklepie z obrazami:

ona, Bill i Holly. Bill i Becca trzymali córkę za rączki i bawili się z nią w „raz-dwa-trzy” i na trzy podrzucali ją między sobą w powietrze, a ludzie dookoła przyglądali się i uśmiechali na widok radosnej rodzinki.

Becca wiedziała, jaki idealny obraz tworzyli, i to poprawiało jej humor bardziej niż wszystko inne na świecie. Przystojny mąż. Piękna żona. Zachwycające dziecko, radosne i piszczące z uciechy, kiedy tak huštało się między nimi, a cieniutkie nóżki fruwały w powietrzu. Tego właśnie pragnęła, uświadomiła sobie, nasłuchując głosów Billa i jego ojca dochodzących z drugiej sypialni. Pragnęła, aby zawsze tworzyli taki idealny obrazek.

Podczas gdy *ayi* Doris ścieliła Billowi spanie na sofie, Becca powoli obróciła się w kółko. Na każdej ścianie salonu wisiały słoneczniki. Naszły ją wątpliwości. Czy te wszystkie fałszywe van Goghi nie wyglądają głupio? Jakoś teatralnie i ironicznie, jakby chciały powiedzieć: „Patrzcie, co oni wyprawiają w tym dziwacznym mieszkaniu. Czyż to nie przekomiczne, kochanie?”

Nie, zdecydowała, wyglądają ślicznie, podobnie jak *Słoneczniki z Siewcą* w sypialni Billa i *Gwiazdzista noc* w dużej sypialni. Wszystkie one pozwalały jej myśleć o tamtym dniu, zupełnie jakby było to coś, co mogła zachować na zawsze.

Po całej podłodze poniewierały się tektury i cieniutkie drewniane deszczułki, w które zapakowano obrazy. Becca pozbierała je z pomocą Doris i wepchnęła do dwóch wielkich worków na śmieci.

— Zniosę je na dół, proszę pani — powiedziała Doris, ale Becca pokręciła głową.

— Nie, nie Doris. Zostaw, one nie są ciężkie — zaprotestowała Becca. Nie chciała się stać taka sama jak te wszystkie żony na obczyźnie, które traktują *ayi* niczym zwierzę juczne. — Nasłuchuj, czy Holly śpi, ale nie sądzę, żeby się teraz zbudziła.

Z workiem pełnym śmieci w każdej ręce wsiadła do windy

i zjechała do podziemia. Z garażu wyjeżdżał samochód. Przez moment Beccę oślepiły jego światła, tak że musiała osłonić ręką oczy. Potem auto znikło, a w garażu ponownie zaległa cisza. Słysząc było tylko jej kroki, kiedy szła w stronę rzędu wielkich kubłów na śmieci.

Wrzuciła do kontenera jeden worek i właśnie podnosiła drugi, kiedy usłyszała hałas, ciche miauczenie. Uśmiechnęła się. Założę się, że to ten stary, wyleniały rudzielec, pomyślała. Ten, za którym ciągle biega Holly. Odgłos dochodził z bliska, ale Becca nie mogła dojrzeć, gdzie się ukrywa kot.

— Dzisiaj nie będzie mleczka, kiciu — powiedziała, a jej głos zadudnił w podziemiach dziwnym echem.

Podniosła drugi worek i już miała wrzucić go do kubła, gdy znowu rozległo się miauczenie.

I Becca znieruchomiała.

Szła powoli wzdłuż rzędu wielkich czarnych kubłów. Odgłos dochodził teraz jeszcze bliżej i Becca z trudem przełknęła ślinę, ponieważ miauczenie wyraźnie przypominało płacz, przerażająco i niezaprzeczalnie ludzki, i w ciągu następnej sekundy Becca się zorientowała, że to nie kot bynajmniej siedzi w którymś z tych kubłów na śmieci.

Przedzierała się rozpaczliwie przez ogromne czarne kubły, wyciągała worki i rozrywała je na strzępy, grzebała w śmieciach, łamała sobie paznokcie, ubrudziła ręce krwią nie wiadomo skąd, jeden z kubłów się przewrócił i uderzył ją w udo, miała ochotę krzyknąć, na czworakach rozgrzebywała odpadki, które wysypały się z przewróconego kontenera, cuchnące puszki, resztki jedzenia, potłuczone butelki i ich rozlaną zawartość, aż w końcu zobaczyła delikatne, białe, dziecięce ciało. Jej palce zacisnęły się na wystającej rączce i nie miały najmniejszego zamiaru puścić.

Trzymała dziecko w ramionach i gorączkowo obmacywała kieszenie — jest, dzięki Bogu, wzięła ze sobą telefon. Miała tam wszystkie numery, wszystkie numery, potrzebne na wypadek, gdyby zdarzyło się najgorsze. Sto dziesięć na policję.

Sto dziewiętnaście do straży pożarnej. Sto dwadzieścia na pogotowie.

Szybko wcisnęła jedynkę, dwójkę i zero. Natychmiast odezwała się kobieta.

— *Wei?* — spytała.

Becca wyjaśniała i prosiła, i powoli podyktowała adres Rajskich Rezydencji, ale kobieta po drugiej stronie powtórzyła tylko „*Wei?*”, po czym wyrzuciła z siebie kilka zniecierpliwionych mandaryńskich zdań i rozłączyła się, a Becca pobiegła do domu z dzieckiem na rękach, ślizgając się na śmieciach, dotarła do windy i zastanawiała się, czemu była taka głupia, czemu sądziła, że wystarczy zapisać w telefonie numery i wszystko będzie dobrze, czemu przyjmowała za pewnik, że kiedy zdarzy się najgorsze, zadzwoni na pogotowie i osoba, która odbierze, będzie mówiła po angielsku.

* * *

Zapomniała już, jakie to uczucie trzymać w ramionach nowo narodzone dziecko. Zapomniała mleczny zapach, zapomniała ledwo zauważalny ciężar w ramionach.

Prawie go nie czuć, pomyślała Becca.

Bill wciskał taksówkarzowi pieniądze i biegli przez hol Międzynarodowego Szpitala Rodzinnego na Xian Xia Lu, i natychmiast otoczyły ich pielęgniarki i wzięły od niej dziecko, a potem Becca zobaczyła najwspanialszy widok — doktora Sarfrazę Khana biorącego sprawę w swoje ręce, wydającego polecenia, wypyującego Becę, gdzie i kiedy znalazła dziecko, i krążącego niezamordowanie po oświetlonym szpitalnym korytarzu, aż w końcu zostawił Becę i Billa w poczekalni, a sam zniknął za drzwiami z napisem OIOM.

Wyszedł do nich godzinę później, kiedy Becce robiło się już niedobrze od kawy, którą jej ciągle przynosił Bill, ponieważ musiał się czymś zająć. I było jej niedobrze, kiedy myślała, co się mogło stać.

— To zdrowa dziewczynka — oznajmił doktor Khan. — Ale to państwa zasługa, nie moja.

Becca potrząsnęła głową. Była taka zmęczona.

— Mam uczucie, jakbym bez przerwy zawracała panu głowę.

Khan wybuchnął śmiechem.

— Nie zawraca mi pani głowy, tylko przynosi mi chore dzieci, którym trzeba pomóc. I ja to właśnie robię.

— Dziękuję panu — powiedziała Becca i ukryła twarz w dłoniach. — O Boże. Dziękuję, Sarfrazie.

I wybuchła płaczem.

Bill popatrzył na swoją żonę, pogładził ją po ramieniu i pomyślał: „Sarfrazie?”.

* * *

Zbliżał się czas powrotu staruszka do domu.

Bill i ojciec zostawili Beccę w łóżku, zabrali Holly i jej rowerek i poszli do parku. I tylko raz się w tym czasie pokłócili: o to, kiedy dziecko powinno zacząć jeździć na dwóch kółkach. Kiedy przyjechali z powrotem do Rajskich Rezydencji, z elektronicznej niani dochodziły głosy.

Bill i Becca zapomnieli ją wyłączyć po powrocie ze szpitala. Odesłali *ayi* do domu i wycieńczeni prawie na czworakach wgramolili się do łóżka, z Holly pośrodku, która przespała całe zdarzenie i ani razu się nie zbudziła.

Tak więc elektroniczna niania musiała być włączona przez całą noc, ponieważ lampki świeciły się na zielono i dochodziły z niej niewyraźne pomruki. Jak głosy kochanków z innego świata, pomyślał Bill. Dziadek trzymał Holly. Pocałował ją w policzek, postawił na ziemi i poszedł do swojej sypialni.

— Co dziadzius będzie robił? — spytała Holly.

— Będzie się pakował — odrzekł Bill.

Dziewczynka popatrzyła na ojca.

— To się żegnamy? — spytała ze smutkiem.

Kiedy *ayi* zabrała Holly, Bill stał niepewnie w salonie

i nasłuchiwał odgłosów rozmowy doktora Khana i Becki. Nie rozumiał ani słowa. Elektroniczna niania nie nadawała się do podsłuchiwania rozmowy między mężczyzną a kobietą.

Odczekał chwilę i wszedł do sypialni. Becca siedziała w piżamie na łóżku, zaspana. Jeden rękaw miała podwinięty i przyciskała do ręki plaster. Doktor Khan stał przy łóżku. Zrobił jej właśnie jakiś zastrzyk i Bill drgnął na widok strzykawki. Becca zawołała go po imieniu. Podeszedł do niej, objął ją ramionami, pocałował i ścisnął tak mocno, aż się przestraszył, czy nie sprawia jej bólu. Miała spuchnięte, zaczerwienione oczy, widać było, że z trudem je otwiera.

— Podaliśmy pańskiej żonie małą dawkę diazepamu — powiedział doktor Khan. — Pomoże jej zasnąć.

— Ale ja nie mogę zasnąć — zaprotestowała Becca, zamykając oczy.

Odetchnęła raz, drugi i po chwili wyglądało na to, że głowa jej ułożyła się na poduszce. Bill i doktor Khan stali przez chwilę w milczeniu. Kiedy się upewnili, że zasnęła, po cichu wyszli z pokoju. Słysząc było Holly uczącą *ayi*, jak się należy bawić w Księżniczkę.

— Kiedy poczuje się na siłach, niech pan przywiezie żonę do szpitala — powiedział doktor Khan. — Myślę, że lepiej sobie poradzi, jeśli zobaczy dziecko.

— Jak do tego doszło?

Tak naprawdę nie to miał na myśli. Tak naprawdę chciał zapytać, jak takie rzeczy mogą się dziać?

Doktor Khan wzruszył ramionami. Podeszli obaj do okna. Na podwórzu Rajskich Rezydencji kilka samochodów czekało już na swoje dziewczęta.

— W tym mieście każdego roku przeprowadza się około trzystu tysięcy aborcji — odparł doktor Khan. — Łatwiej tu przerwać ciążę, niż usunąć ząb. To dziecko... — Nabrał powietrza, a potem, wypuszczając je, westchnął. — Nie wiem, może spodziewali się syna. To się zdarza. Albo może matka sądziła, że ojciec porzuci swoją aktualną rodzinę. — Oderwał oczy od

podwórza i popatrzył na Billa. Najwyraźniej wiedział wszystko o Rajskich Rezydencjach i innych podobnych miejscach. — Czasami te dziewczyny zbyt dużo oczekują. Wyobrażają sobie, że ich chłopak zostawi dla nich żonę. Aż tu nagle się okazuje, że nic takiego nie wchodzi w grę. Wiem, że to niewiarygodne. Jakie mają na to szanse? — Uśmiechnął się, pokręcił głową. — Więc dziecko mogła urodzić któraś z tych dziewcząt. Ale mogło też być inaczej. Matką mogła być jakaś biedna *dagongmei*. Tak Chińczycy nazywają sezonowe, przyjezdne robotnice. — Znowu spojrzął na podwórze. — To tylko mój domysł, lecz nie podejrzewam, żeby matka tego dziecka mieszkała w którymś z tych bloków. Te dziewczyny są zbyt twarde i za sprytnie, żeby narobić sobie takich kłopotów. — Spojrzął na Billa. — Nie pozwolą sobie na to, żeby skończyć z niechcianym dzieckiem.

Patrzyli, jak na podwórze wjeżdża stary volkswagen santana i parkuje za czekającymi samochodami niczym ubogi krewny. Z taksówki wysiadła Alice Greene. Doktor Khan powiedział, że musi wracać do szpitala. Bill podziękował i uściśnął mu dłoń. Odprowadził lekarza do windy, poczekał, aż wsiądzie, i stał tam jeszcze, kiedy kilka minut później pojawiła się Alice.

Nie miał ochoty na jej wizytę w domu. Nie dzisiaj.

— To dla Becki — powiedziała, dając mu paczuszkę. Bill poczuł liście herbaty zapakowane luzem w gruby brązowy papier. — To herbata Dragon Weil z Hangzhou — wyjaśniła prawie przepraszająco. — Najsłynniejsza herbata w Chinach, z Longjing Spring.

Bill popatrzył na paczuszkę.

— Słyszałaś, co się stało? — spytał.

Alice kiwnęła głową.

— Becca do mnie zadzwoniła, kiedy wróciliście dziś rano. Nie za bardzo ma do kogo zadzwonić.

Trochę się spieszyła, jakby się bała, że mogło to zabrzmieć jak krytyka.

Bill nie odrywał wzroku od paczuszki z herbatą.

— Dzięki, że przyjechałaś, doceniam to, ale Becca śpi. — Popatrzyl na Alice spokojnie. — Zamierzasz napisać na ten temat? — zapytał.

Alice pokręciła głową.

— Ależ skąd — powiedziała, a w jej uśmiechu krył się prawie fizyczny ból. — O porzuconym noworodku? O dziewczynce zostawionej w kuble na śmieci? Nie. Moja gazeta nie chce nawet słyszeć o takich rzeczach! Zrozum, to żadna nowina.

* * *

Nazajutrz Bill odprowadził ojca na lotnisko. Tygrys zawiózł ich do Pudongu i stanęli w długiej kolejce do odprawy dla klasy turystycznej.

To jest właśnie najgorsze, kiedy człowiek jest biedny, pomyślał Bill. Ta okropna strata czasu.

— Tato, mogę ci zamienić bilet na pierwszą klasę — powiedział, patrząc na długą kolejkę, w której wśród pasażerów lecących do Europy czekało więcej chińskich twarzy niż białych. — Albo przynajmniej klasę business.

Staruszek potrząsnął wielką, byczą głową.

— Nie ma sensu — odparł, stawiając walizkę na ziemi i przygotowując się na długie czekanie. — Strata pieniędzy, i tak będę spał do samego Heathrow.

Bill złożył tę propozycję bez zniecierpliwienia, a ojciec odpowiedział bez śladu niechęci. Był to swoisty postęp.

— Mam nadzieję, że Becca czuje się lepiej — powiedział niezręcznie ojciec.

Coś między nimi uległo zmianie. Coś od dawna zamarniętego zaczęło tajać.

To dzięki Holly, pomyślał Bill. To moja córka sprawiła. Mimo to nie mógł zaprzeczyć, że kiedy staruszek odwrócił się i pomachał mu od bramki, poczuł ulgę, patrząc, jak odlatuje.

* * *

Położył się do łóżka i objął ramionami swoją żonę. Becca zamruczała coś i wtuliła się w niego, chociaż cały czas spała albo była pod wpływem leków, albo jedno i drugie.

Za drzwiami słyszał, jak Holly gaworzy z *ayi*, która rozbięrała ją do kąpieli. Dziewczynka miała dzisiaj spać z tatusiem, ponieważ mamusia źle się czuła.

Właśnie zaczął zasypiać, kiedy usłyszał, jak Becca wymawia jego imię. Podparł się na łokciu. Czy miała zamknięte.

— Słucham, aniołku?

— Pamiętasz, jak przychodziłam i czekałam na ciebie pod biurem, kiedy byłeś na stażu? Miałeś tylko godzinę, więc musieliśmy jeść lunch w restauracjach, gdzie pracowali najszybsi kelnerzy. Pamiętasz?

Wtulił twarz w jej włosy, wciągnął jej zapach i pocałował ją w szyję, a potem w ramię przez piżamę.

— Wszystko pamiętam — odrzekł. — Pośpij sobie jeszcze.

Odwróciła do niego głowę i zobaczył w ciemności jej uśmiech.

— To były dobre czasy, prawda?

Czekała na odpowiedź. Bill pogładził ją po ramieniu, jakby chciał ją zachęcić, żeby odpoczywała.

— Tak, to były bardzo dobre czasy — przyznał.

— Pewnie teraz nie mogłabym tego robić, prawda?

Bill milczał.

Głos miała łagodny, pełen zrozumienia. Przebiegł palcami po jej żebrach.

— To zupełnie inna praca, mam rację, Bill?

— Tak, aniołku — powiedział. — Tu zupełnie inna praca.

Przez chwilę nic nie mówiła. Słyszał jej oddech.

— Bill?

— Słucham?

Czuł, że szuka odpowiednich słów. Nie wiedziała, jak to powiedzieć. Słyszał, jak w ciemności bierze oddech. Z głębi mieszkania dochodził odgłos kąpanej Holly.

— Może wróciłabym do Anglii na jakiś czas — powiedziała w końcu.

To zdanie wypowiedziane ostrożnie, jakby jej właśnie przyszło do głowy, zawisło między nimi w powietrzu i stopniowo wypełniło cały pokój.

— Wróciła? — zapytał osłupiały.

W pierwszej chwili nie mieściło mu się w głowie, co to znaczyło dla niego, dla nich, dla ich małej rodzinki.

— Mój tata źle się czuje — dodała szybko, zagrywając najsilniejszym atutem. — On nie jest taki silny i niezależny jak twój ojciec. To staruszek innego pokroju. — Poklepała go po ramieniu, żeby się nie poczuł źle, słysząc jej słowa. — Myślę, że mnie i Holly dobrze by zrobiło pojechać na chwilę do domu — wyrzuciła zadowolona, że powiedziała to wreszcie otwarcie.

Bill nie miał pojęcia, jak zareagować.

— Na jak długo byś chciała pojechać?

— Nie wiem. Dopóki nie poczuję się lepiej z tym wszystkim.

Wiedział, że oczy wzbierają jej łzami. Przytulił ją zachłannie, jak gdyby samą siłą uczucia mógł zmienić decyzję, którą już podjęła.

— Nie proszę cię, żebyś wyjeżdżał — mówiła dalej. — To ja wymyśliłam tę przeprowadzkę. Myślę, że Devlin mówił prawdę i w ciągu kilku lat możesz tutaj zostać współnikiem.

W Anglii by ci się to nie udało.

— Ale co z nami będzie?

Poklepała go po ręku.

— Zawsze będziemy razem.

— Mogłabyś też zostać — powiedział. Słyszał odgłosy chłapania i śmiech Holly. — Mogłabyś zostać i postaralibyśmy się o drugie.

— O co?

Wyglądało na to, że naprawdę nie zrozumiała. Jak mogła nie zrozumieć? Przecież ciągle o tym myślała. O jeszcze jednym dziecku, które chcieli mieć.

— O braciszka albo siostrzyczkę dla Holly — wyjaśnił.

To była z kolei jego karta atutowa. Jedyna, jaką miał.

— Nie — odrzekła żałośnie. — Nie, raczej nie. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas wrócimy do domu.

— Tamtemu dziecku nic się nie stanie — przekonywał, zastanawiając się w duchu, czy naprawdę w to wierzy. — Temu, które znalazłaś.

— Ale to i tak jest bardzo okrutne miejsce. Bardzo nieprzyjazne. Czy naprawdę tak dużo się zmieniło od czasów, kiedy przed wejściem do parków wisiały tabliczki: „Psom i Chińczykom wstęp wzbroniony”?

— Boże, Bec, oczywiście, że dużo się zmieniło. Jest dużo lepiej, niż było kiedykolwiek przedtem. Nie wolno ci o tym zapominać. Wielu ludziom żyje się lepiej. I nam też może się tu dobrze żyć. Wiesz, że tak jest.

— Może i tak, ale na ile rzeczy musielibyśmy przemykać oko, żeby nam się tu dobrze żyło?

Umilkła i Bill nie miał odwagi dłużej jej przekonywać. Podjęła już decyzję. Kiedy zasnęła, poszedł do swojego pokoju, gdzie Holly leżała w poprzek na jego łóżku. *Ayi* zostawiła zapaloną lampkę nocną i Bill zastanawiał się, gdzie ma się położyć. W końcu zgasił światło i wcisnął się na kawałek łóżka, który pozostał wolny.

Ostrożnie położył rękę i objął swoją córeczkę, zdumiony tym, jaka jest malutka i drobniutka, niecałe piętnaście kilogramów żywej istotki, kruchej i nietrwalej cząstki świata. Przycisnął ją do siebie tak mocno, jak mógł, aby jej nie obudzić.

Ale sen tutaj także nie nadchodził. Wstał więc i wyszedł również z tej drugiej sypialni. Podszedł do okna i wyglądał na puste podwórze Rajskich Rezydencji.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ślimak na Chengdu Lu biegnie dokładnie nad katolickim kościołem Świętego Piotra w Chongqing Nanlu. Kiedy młoda para wyszła na słoneczny dziedziniec przed świątynią, owacje gości mieszały się z warkotem samochodów mknących wyso-ko nad wieżyczką kościoła.

Becca trzymała Holly na rękach. Dziewczynka wyrzucała w powietrze konfetti, mrużąc oczy, jak gdyby to ją zasypywano kolorowym deszczem. Większość sypała się na Billa. Popatrzył na swoją żonę. Wyglądała dzisiaj prześlicznie. I nie tylko on to zauważył. Kiedy weszli do kościoła, miał wrażenie, że wszyscy mężczyźni po obu stronach nawy, zarówno schludni mali Filipińczycy, jak i wielcy, serdeczni Australijczycy, wszyscy chciwie pożerali wzrokiem jego żonę. Miał teraz wrażenie, że pomimo dwóch tysięcy, lub coś koło tego, wspólnie spędzonych nocy, patrzył na nią dokładnie w ten sam sposób.

Tylko on jednak dostrzegał w niej również kruchość, tylko on wiedział, jak usilnie kobieta, którą kochał, stara się trzymać dzielnie i nadrabiać miną. Oni wszyscy na nią patrzyli, pomyślał. Ale tylko ja jeden naprawdę ją widzę.

Zauważył, jak się uśmiecha do Shane'a i Rosality, i też się uśmiechnął. Szczęśliwa młoda para była wcieleniem wszelkich

możliwych przeciwieństw: pan młody tak wielki i jasnowłosy jak jego oblubienica drobna i ciemna. Shane szczerzył zęby jak kretyn, onieśmielony tym, że znalazł się w centrum uwagi, Rosalita zaś śmiała się i machała do swoich przyjaciół w tłumie, szczęśliwa, że jest absolutną gwiazdą programu.

— On dostaje młodość i urodę, ona dostatek i bezpieczeństwo — powiedziała pani Devlin, wyrastając niespodziewanie obok Billa. Leniwie rzuciła garść konfetti. — Przynajmniej taki jest plan, jak sądzę. — Westchnęła znużona, jakby widziała to już setki razy. — Co tu może się nie udać?

Trzej chłopcy Devlinów biegali jak szaleni między nogami ludzi, obrzucali się nawzajem mieszaniną konfetti i żwiru, które zgarniali z ziemi. Któryś ze starszych braci sypnął najmłodszemu prosto w oczy i malec się rozplakał.

Holly zerkała na nich nieufnie i Bill wziął ją na rękę. Dziewczynka nie interesowała się zbytnio chłopcami. Złapała Billa za uszy. To był jej nowy sposób zwracania na siebie jego uwagi. Czuł na policzkach jej ciepły oddech.

— My z mamusią na trochę wracamy — powiedziała szep-tem. — Ale ty zostajesz w swoim domu.

Bill poczuł ogarniającą go panikę.

— Mój dom jest przy was — odpowiedział jej również szep-tem. — Zawsze. Tam gdzie wy, tam jest mój dom. Pamiętaj o tym, dobrze?

Holly myślała chwilę o tym, co usłyszała, patrząc na ojca poważnymi niebieskimi oczami, tak podobnymi do oczu matki.

— Dobrze, tatusiu — zgodziła się cicho.

I tak stali przytuleni do siebie w eleganckich strojach, a wokół nich rozbrzmiewał gwar rozmów.

* * *

— Musimy coś zrobić z naszymi dziećmi — mówiła do Becki pani Devlin. Z początku Bill sądził, że chodzi o jakiś rodzaj wojskowej dyscypliny, najwyraźniej jednak pani Devlin

miała na myśli spotkanie towarzyskie z ich córką. — Czy Holly lubi pandy? — spytała, szczerząc zęby do ich córki. — Lubisz pandy, kochanie?

— Lubię krowy — odparła Holly.

— Znaleźliśmy takie miejsce niedaleko placu Renmin. Mają tam ogromną pandę — ciągnęła pani Devlin, prostując się i nie zważając na upodobanie Holly do krów. — To jakiś rodzaj chińskiego cyrku. I wyobraźcie sobie, że panda prowadzi samochód!

Devlin się skrzywił.

— Rzeczywiście mają upodobanie do groteski — mruknął.

Wpadł na niego jeden z jego synów.

Becca uśmiechnęła się przepraszająco, ale się nie odezwała.

— Becca i Holly wracają na jakiś czas do Anglii — oznajmił Bill.

Devlinowie przyjęli tę informację do wiadomości i z zastygniętymi uśmiechami na twarzach szybko odwrócili oczy, jak gdyby zakłopotani tym wkroczeniem na teren małżeństwa bardziej kruchego niż ich własne.

* * *

Na pierwszym piętrze hotelu Portman Ritz-Carlton Becca stanęła z Holly w kolejce do składania życzeń młodej parze.

Bill odłączył się i poszedł poszukać łazienki. Wtedy ich zobaczył: grupka Chińczyków w niedbałych strojach z młodymi kobietami schodziła po spiralnych schodach.

Wszystkie kobiety nosiły się w takim samym, szanghajskim stylu. Tego lata w Szanghaju modna była wysoka smukła dziewczyna w szpilkach i obcisłych białych spodniach z prostymi włosami do ramion, lekko wypłowiałych, chociaż pierwotnie kruczoczarnych. W eleganckim, pewnym siebie Szanghaju dwudziestego pierwszego wieku robiło się mniej pasemek i nie rozjaśniało włosów tak często jak w innych rejonach

Azji. W szanghajskim stylu nie było miejsca na makijaż, może poza odrobiną szminki, nosiło się za to bluzeczki z króciutkimi rękawkami albo bez rękawów, aby odsłonić długie, szczupłe ramiona.

Wszystko w tym emploi podkreślało wysokość, długość i wiotką urodę, która była cechą charakterystyczną Chinek. Szanghajski styl potrafił sprawić, że młoda kobieta średniego wzrostu wyglądała na metr osiemdziesiąt.

Dopiero po dłuższej chwili Bill zorientował się, że jedną z młodych kobiet w grupce jest Li JinJin.

Stał jak zahipnotyzowany, podczas gdy grupka przeszła obok, nie zauważając go.

Jeśli JinJin go zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać.

Zastanawiał się, na czym to polega. To jej niepoznawalne życie. Te niewyobrażalne noce. Jak to było rozgrywane? Bill zorientował się, że jej mężczyzna jest koło czterdziestki, dość szczupły, ale dobrze zbudowany, łysiejący — zaniedbany były sportsmen z czasów szkoły średniej. Tak czy inaczej dużo dla niej za stary.

Jak to działa? Czy dostaje co miesiąc określoną sumę, którą facet wpłaca jej do banku? Tak właśnie musiało być. Czy mieszkanie było na nią czy na niego? Ile razy w tygodniu się spotykali? Czy pieprzył ją za każdym razem? Czy jego żona coś podejrzewa?

I czy on ją kocha?

Bill czuł narastający gniew na nią i na tego mężczyznę. Ale czego się właściwie spodziewał? I co by wołał? Żeby pozostała nauczycielką w gimnazjum numer dwieście pięćdziesiąt jeden i poznała tam miłego chłopca, który by się chciał z nią ożenić? Tak, tak właśnie by wołał. Tego dokładnie by chciał.

* * *

Na przyjęciu grał zespół i kiedy skończyli swój powitalny numer, na scenę weszła Rosalita i zaśpiewała *Right Here Waiting for You*, przepiękną balladę o tęsknocie i lojalności, którą

uzupełniła powolnym krążeniem bioder i licznymi wyzywającymi uśmiechami.

— No proszą, nierumieniąca się panna młoda nareszcie w swoim żywiole — skomentowała pani Devlin.

Becca i Holly wyszły na parkiet, a Bill stanął w kolejce do bufetu. W głowie wirowały mu światła i płomienie świec, i zapach sadów, i dziura w jego przyszłości, kiedy się zastanawiał, jak będzie tu wyglądało jego życie bez nich.

Przygotował się na najgorsze, kiedy Devlin podszedł do niego ze współczującym uśmiechem, ale jego szef nie odezwał się ani słowem, tylko poklepał go dwa razy po plecach i przez chwilę przytrzymał dłoń na jego ramieniu.

Potem zniknął w gwarze rozmów gości i przytłumionej kantonadzie korków od szampana, a Bill popatrzył za nim z wdzięcznością.

Widział to, czego Becca nie mogła dostrzec: dobro drzemiące w tym mieście oraz życzliwość i wielkoduszność tych ludzi.

Jego żona była odporna na coś, co Billa coraz bardziej chwytalo za serce — wspaniałość miejsca i czasu, w którym się znalazł, magia tego, co się tu dokonywało.

Każdy człowiek mógłby żyć lepiej. A on miałby w tym swój udział, mógłby zrobić coś ważnego.

Jego życie też by się stało lepsze. Tutaj nie stawiano by mu tyłu przeszkód co w Londynie, gdzie w końcu i tak każdy chciał wiedzieć, jaką skończyłeś szkołę, co robił twój ojciec i jaki był twój prawdziwy akcent — wszystkie te odwieczne bzdety, którymi Anglia żyła od wieków. Tak naprawdę nikogo tam nie obchodziło, czy dobrze wykonywałaś swoją robotę.

To, na co narzekała Alice Greene — że wykształcona elita tyranizuje wielką masę taniej siły roboczej i w ten sposób sztucznie napędza gospodarkę — większość osób w tej sali uważała za coś dobrego. Oczywiście to było niesprawiedliwe. Tylko kiedyż to w Chinach panowała sprawiedliwość?

Dopiero gdy odszedł od bufetu, zdał sobie sprawę, że nałożył

sobie na talerzyk pączki i gęsie wątróbki. Nic więcej. Tylko dwa pączki z dżemem i odrobina *foie gras*. Idiotyczny posiłek. Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Zawahał się, a potem pomyślał: właściwie dlaczego nie?
Dlaczego nie mógłby mieć tego, czego chce?

* * *

W dużej sypialni czytał Holly bajkę, dopóki nie zasnęła. Kiedy główka jej opadła, zamknął książkę i przez chwilę siedział, i głaskał ją po włoskach, i odgarniał jasne loczki, które opadły jej na buzię. Jego córeczka nauczyła go bezwarunkowej miłości. Nie było na świecie nic, co mogłaby zrobić, aby ją przestał kochać.

Becca się pakowała. Bardzo starannie wybierała rzeczy tak, aby nie sprawiać wrażenia, że wyjeżdżają na stałe. Wiele rzeczy zostawiała.

Łącznie ze mną, pomyślał. Walczył z uczuciem rozgoryczenia, ale przegrywał tę walkę.

To nie był mój pomysł, żeby tu przyjeżdżać.

— Co to za książka? — spytała Becca.

Trzymała w rękach stertę złożonych swetrów, które sprawiały wrażenie należących do innego świata.

Popatrzył na książkę, którą czytał Holly. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że cały czas trzyma ją w rękach.

— *Przyjaciele z zagrody* — odparł. — Chyba widzieliśmy ten film, prawda?

Becca poważnie skinęła głową.

— To nie nasza książka — powiedziała. — Trzeba ją oddać do przedszkola.

— Dobrze — odparł Bill. — Wyślę Tygrysa, żeby ją odwiózł.

Na końcu książki wetknięta była niewielka karta biblioteczna z datą wypożyczenia, tytułem i datą oddania. Poniżej ciągnęła się lista książek, które Holly osobiście wybrała, żeby je przeczytać w domu. Uśmiechnął się na widok spisu i wyob-

raził sobie jej poważną, zaaferowaną twarzyczkę, kiedy dokonywała wyboru.

Piąty czerwca — *Królicze ciasteczka*
Dwunasty czerwca — *Czy osiołki lubią tańczyć?*
Dziewiętnasty czerwca — *Skarpetka pełna skarbów.*
Dwudziesty szósty czerwca — *Moje ulubione wierszyki*
Trzeci lipca — *Zaginione słonie*
Dziesiąty lipca — *Była sobie babuleńka*
Siedemnasty lipca — *Boże Narodzenie nie może czekać*
Dwudziesty czwarty lipca — *Wyobraź sobie, że jesteś księżniczką*
Trzydziesty pierwszy lipca — *Szczęśliwi i smutni*
Siódmy sierpnia — *Ćśśś*
Czternasty sierpnia — *Piękna balerina*
Dwudziesty pierwszy sierpnia — *Czarodziejskie święta Piotrusia Pana*
Dwudziesty ósmy sierpnia — *Przyjaciele z zagrody*

Książka o Bożym Narodzeniu w lipcu? A potem następna w sierpniu? Było coś w tej liście książeczek, co zdawało się doskonale odzwierciedlać słodką, zabawną naturę Holly.

Wsunął sobie listę lektur do kieszeni i podszedł do okna, gdzie Becca w milczeniu przyglądała się, jak deszcz bębni w pusty dziedziniec Rajskich Rezydencji.

— Zasnęła bez kłopotów? — spytała Becca.

— Była bardzo zmęczona — odparł Bill. — Nic dziwnego, po dwóch godzinach tańczenia macareny.

O czym by rozmawiali, gdyby nie mieli swojej córeczki?

— Przekłeta pogoda — stwierdził Bill.

Poczuł się idiotycznie, prowadząc tę angielską gadkę o pogodzie, ale Beccę niespodziewanie ten temat bardzo ożywił.

— To chyba początek „pory sliwkowych deszczów” — zauważyła. — Prawda, że to prześlicznie brzmi? „Śliwkowe

deszcze”. Czytałam o nich, zanim tu przyjechaliśmy. Bardzo chciałam je zobaczyć. Chyba nawet bardziej niż inne rzeczy. Stali i patrzyli na podwórze. Bill poczuł, jak Becca bierze go za rękę. Śliwkowe deszcze, czyli letnia pora deszczowa, zamieniały Szanghaj w miasto mgieł. Mieli uczucie, jakby unosili się w chmurach.

— Jak długo to potrwa? — spytał Bill.

— Nie wiem — odparła Becca i popatrzyła na niego tym przebiegłym, sennym spojrzeniem, które mówiło: „znasz mnie”. — Nie będzie trwało wiecznie, kochanie.

Wzięła ją za rękę i poszli do jego małej sypialni, gdzie kochał się ze swoją żoną, pieścił jej ciepłe, ukochane, tak dobrze znane i bliskie ciało, tak bliskie, jak może być tylko ciało osoby, z którą się przeżyło długie lata, co jest dobrą stroną tego, że tak dobrze zna się drugiego człowieka. A potem spała w jego ramionach, aż Holly obudziła się z płaczem tuż przed świtem.

Becca wróciła do dużej sypialni, a Bill leżał przez resztę nocy i nasłuchiwał, jak jego żona uspokaja dziecko, wąchał zapach jej perfum na swoim ciele i myślał o mieście, do którego wkrótce, zbyt wkrótce, polecą jego żona i córeczka, i wspominał dawne życie w Londynie, kiedy byli młodzi i bardzo biedni, i bardzo szczęśliwi.

* * *

Wyszedł z hali odlotów w Pudongu i popatrzył na deszcz i mgłę. Tygrys zatrąbił klaksonem z miejsca, gdzie nie można było parkować. Bill pobiegł w deszczu do czekającej limuzyny.

— Dokąd, szefie? — zapytał Tygrys.

— Do domu — odparł Bill. — Jedźmy do domu.

Samochód ruszył w stronę miasta. Bill patrzył niewidzącym wzrokiem na widoki, które kiedyś napawały go nabożnym podziwem. Nie widział migających niebieskich i czerwonych świateł, które miały imitować czujne oczy *gong'an ju*, policjantów Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Nie widział

starych ciężarówek przeładowanych zwierzętami, produktami rolnymi i mężczyznami przemoczonymi do suchej nitki. I nie widział dziewcząt w szanghajskim stylu w nowiutkich bmw. Nie miał ochoty tego widzieć. Wyjął pogniecioną listę lektur Holly. To był dużo bardziej fascynujący widok niż wszystko, co się przesuwało za oknem. Uśmiechnął się. Jego dziewczynka. Ta mała dziewczynka siedząca na kolanach matki z książeczkami i kredkami dwanaście tysięcy metrów nad ziemią, teraz pewnie gdzieś nad Mongolią Wewnętrzną.

— Wszystko w porządku, szefie? — zapytał trochę zaniepokojony Tygrys. Nigdy nie wiadomo, co tym postrzelonym *zajentim* wpadnie do głowy. Upał, stres, przemęczenie — każdemu w końcu da się we znaki.

— Tak, tak — odparł Bill, kończąc właśnie listę lektur i zaczynając ją od początku.

Na dworze śliwkowy deszcz szalał w najlepsze, a chociaż wycieraczki Tygrysa robiły wszystko, co w ich mocy, nie mogły nadażyć za łzami płynącymi Billowi Holdenowi z oczu.

CZĘŚĆ DRUGA

Dziewczyna na stałe

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chińczycy robili, co chcieli. To było najdziwniejsze. Tym go zaskoczyli.

Zanim tu przyjechali, naczytał się mnóstwa rzeczy o łamaniu praw człowieka, aresztowanych dysydentach i członkach Falun Gong dokonujących samopodpalenia na placu Tiananmen, gdy jednak szedł w sobotę po południu po Starym Mieście, kiedy już nie znalazł żadnej papierkowej roboty, która by go zatrzymała dłużej w biurze, a nie chciał wracać do pustego mieszkania, miał wrażenie, że Chińczycy byli najwolniejszymi ludźmi na świecie. Chociaż to, co widział, bardziej przypominało anarchię niż wolność.

Kobiety w średnim wieku jeździły skuterami po chodnikach. Na ulicy prowadzono interesy. Miejsce pracy składało się zwykle ze stołka, kartonowego pudła i kilku narzędzi. Ich właściciele golili starszych mężczyzn, strzygli włosy lub pomagali klientom mierzyć i wybierać okulary. W oświetlonym na różowo męskim zakładzie fryzjerskim, gdzie strzyżenie było drugorzędym punktem programu, dwie młode kobiety kiwnęły na Billa stojącego przed wejściem.

Bill pokręcił głową, a wtedy jedna z nich udała rozczarowanie, a druga odwróciła się już do następnego przechodnia. W swojej samotności poczuł tak ogromną wdzięczność dla

kobiety, która udawała rozczarowaną, że oglądał się za nią dotąd, aż uderzył piszczelą w zderzak samochodu zaparkowanego na chodniku.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że przed nim stoi czerwony minicooper z chińską flagą na dachu.

Z samochodu wysiadła Li JinJin. Bill uprzytomnił sobie, że dziewczyna czesze się na dwa sposoby: albo rozpuszcza włosy, kiedy wychodzi z mężczyzną, którego nazywała swoim mężem, albo związuje z tyłu w koński ogon przez całą resztę życia. Tym razem miała kucyk przewleczony z tyłu przez otwór w czapce baseballowej z napisem „Los Angeles Lakers”. Bill stwierdził, że woli tę fryzurę, ponieważ lepiej w niej widać jej twarz.

JinJin była ładną dziewczyną z trądzikową cerą. Kiedy się później przekonał, ile wysiłku wkłada w pielęgnację swojej skóry, kiedy zobaczył te wszystkie płyny, mikstury, pigułki i specjalne mydła, doszedł do wniosku, że kłopoty z cerą muszą być przejawem jakichś wewnętrznych napięć. Jeszcze później przestał się nad tym zastanawiać, była taka, jaka była, zawsze piękna. Tamtego dnia jednak na Starym Mieście pomyślał tylko, że jest chyba ciut za stara na takie kłopoty z cerą.

— O — powiedziała, kiedy centralny zamek zamigotał pomarańczowo za jej plecami. — Przyjechał pan na Stare Miasto. W przeszłości żaden obcokrajowiec nie ośmielał się przyjeżdżać na Stare Miasto. Oni się bardzo boją tu przyjeżdżać.

Patrzył, jak nasuwa czapkę Lakersów głębiej na twarz. Co ona może wiedzieć o Lakersach?

— Naprawdę? — zapytał.

Dziewczyna krótko kiwnęła głową.

— A pan? Boi się pan tu przyjeżdżać?

— Tylko kiedy pani siedzi za kierownicą.

Ponownie kiwnęła głową.

— Angielski żart — powiedziała ze śmiertelną powagą. —

Idę na rynek, do Ogrodów Yu. — Uśmiechnęła się zachęcająco. — Chce pan?

— Jasne — powiedział.

Wzięła go pod ramię, a on poczuł się absurdalnie zadowolony. Czuł, że się rumieni. Od lat się nie rumienił. Powiedział sobie jednak, że to o niczym nie świadczy. Widocznie dziewczyna czuje się samotna.

Ogrody Yu były zwyczajową zbieraniną różności. W drewnianych budach, nietkniętych przez czas i developerów, pamiętki po Mao piętrzyły się obok nielegalnie podrabianych produktów Disneya i najnowszego oprogramowania Microsoftu.

— Dla pańskiej córki — uśmiechnęła się JinJin.

To mówiąc, pokazała mu dziwnie znajomo wyglądający kostium w plastikowym opakowaniu: żółta spódniczka, niebieska bluzeczka z czerwonymi lamówkami, bufiaste krótkie rękawki. Na opakowaniu widniał rysunek czarnowłosej dziewczynki o lodowatej twarzy, podobnej do młodziutkiej Elizabeth Taylor. Bill zastanawiał się, gdzie się podziało siedmiu krasnoludków. „Śnieżna Dziewczynka”, głosiła informacja na opakowaniu. „Śnieżna Dziewczynka”? Przecież aż w oczy była imitacja Królowny Śnieżki.

Uśmiechnął się niby zachwycony, żeby się nie zdradzić, że Holly na kilometr rozpoznałaby podrabianą królownę Disneya, tymczasem kobieta kucająca przed straganem rozłożyła ręce, wskazując, że jeśli nie przyszedł na bazar po prawdziwy podrabiany kostium Śnieżnej Dziewczynki, to może zainteresuje go fajka do opium albo *Czerwona książeczka*, albo zegarek Deng Xiaopinga, albo zielony płaszcz armii ludowowyzwoleńczej, albo plakat propagandowy z bohaterskimi robotnikami?

Poszli dalej. Przed nimi starsza kobieta i jej wnuczek, mały tłuściutki Budda, oboje niezbyt pewnie trzymając się na nogach, zajadali cukinię niczym lody w rożkach.

— Niech pani popatrzy na tych dwoje — powiedział Bill, wskazując głową parę, która przystanąła, aby z powagą podziwiać srodze przerażonego mechanicznego królika.

JinJin się uśmiechnęła.

— Tłuściutki chłopczyk — przytaknęła. — Bardzo miłe dziecko.

Dla JinJin to był prawdziwy świat. Coś, co jemu wydawało się dziwaczne lub absurdalne, dla niej nie przedstawiało niczego niezwykłego.

Wyszli z obskurnego labiryntu Ogrodów Yu i zobaczyli przed sobą staw, a na nim herbaciarnię. Nad wodą wił się obłędny zygzakami drewniany most.

— Most Siedmiu Zakrętów — oznajmiła JinJin, kiedy weszli na drewniany pomost. W dole woda zakipiała setką złotych karp. — To dlatego, że złe duchy nie umieją pokonywać zakrętów.

Spojrzał na nią. Była śmiertelnie poważna. Poczuł w swojej ręce jej małą, chłodną dłoń. Poprowadziła go po krętym mostku do herbaciarni na jeziorze. Kiedy weszli do niewielkiej drewnianej salki, Bill podniósł wzrok i zobaczył poprzedniego prezydenta Stanów Zjednoczonych uśmiechniętego szeroko nad filiżanką zielonej herbaty.

— Herbaciarnia Huxinting — powiedziała JinJin. — Bardzo sławna. Przychodzi tu dużo ważnych ludzi. — Pokazała palcem zdjęcie byłego prezydenta. — A nawet bardzo ważnych ludzi. Wiedziałeś o tym?

Nagle Bill uprzytomnił sobie, że rzeczywiście wiedział. Oczywiście, herbaciarnia Huxinting stanowiła wielki symbol przeszłości miasta, okazję dla każdej grubej ryby, aby będąc w Szanghaju, udowodnić, że nieobce mu są prawdziwe Chiny.

Od dawna chciał się tu wybrać z Becca, ale jakoś nigdy im nie wychodziło. JinJin powiedziała coś po mandaryńsku do obsługującej kobiety, a Bill zaczął oglądać zdjęcia gwiazd filmowych, prezydentów i koronowanych głów. Mimo że na pobliskim bazarze kłębiło się od ludzi, w herbaciarni Huxinting było prawie zupełnie pusto.

— Teraz napijemy się herbaty — poinformowała go JinJin.

Usiedli naprzeciwko siebie przy drewnianym stoliku. JinJin zdjęła czapkę Lakersów. Postawiono przed nimi dwie filiżanki i malutki czajniczek. Trzy małe słoiczki z liśćmi i mieszaną roślin zostały zalane wrzącą wodą. Bill zastanawiał się, ile z tych czynności było prawdziwą częścią historycznego rytuału, a ile dodano na użytek turystów. Zaraz jednak przestał o tym myśleć, ponieważ poczuł się naprawdę dobrze. Cieszył się, że ma towarzystwo i że udało mu się w końcu trafić do herbaciarni Huxinting.

Przy sąsiednim stoliku usiadło kilku ekscentrycznych młodych Japończyków z włosami ufarbowanymi na blond. Bill i JinJin uśmiechnęli się do siebie, po czym odwrócili wzrok. Bill nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że w jej życiu są wielkie obszary, których nie powinien dotykać. JinJin zauważyła, że patrzy w stronę długiej kolejki przed sklepem po drugiej stronie jeziora.

— To Nan Xiang — powiedziała. — Robią bardzo sławne pierożki. — Chcesz zjeść?

— Brzmi zachęcająco — odparł Bill.

Nagle uprzytomnił sobie, że jest zupełnie wolny, że nie ma dokąd iść ani co robić, ani z kim się spotkać. Zobaczył, że JinJin patrzy w górę na kogoś, kto stoi przy ich stoliku.

— Bill? — Tess Devlin dotknęła jego ramienia. — Jak sobie bez nich radzisz?

Jąkał się, odpowiadając, i rumienił. Od piętnastu lat się nie rumienił, aż nagle dwukrotnie w ciągu kilku minut. Niezłe tempo, pomyślał. Czuł się, jakby go przyłapano na gorącym uczynku. JinJin upiła herbatę i odstawiła filiżankę. Wrzątek jeszcze prawie w ogóle nie ostygł.

Dostrzegł klienta ich firmy, Tajwańczyka, który razem ze swoją żoną oglądał zdjęcia na ścianie. Chwilę potem uśmiechnięty Devlin, ominąwszy żonę, podszedł, aby się przedstawić Li JinJin i uścisnąć jej dłoń. Zrobił to tak taktownie, zauważył Bill z podziwem. Dostrzegł niezręczną sytuację i natychmiast wziął sprawę w swoje ręce. JinJin uścisnęła dłoń szefowi Billa,

jakby był to obyczaj w tym samym stopniu dla niej obcy co pocieranie nosów na dzień dobry.

Następnie Tess Devlin obróciła swoje paciorkowate, wszystkowiedzące oczy na JinJin, a Billowi serce zamarło, kiedy wszyscy czworo przysiedli się do ich stolika.

Tajwańczyk popatrzył tępo na Billa, mimo że przedstawiłno ich sobie w biurze, a potem z szyderczym uśmiechkiem zmierzył wzrokiem Li JinJin. Bill usiłował sobie przypomnieć, po co ten odrażający człowieczek przyjechał do Szanghaju. Chodziło o jakąś rozmowę w sprawie joint venture z chińskim operatorem telekomunikacyjnym. Jego żona, niska kobieta w okularach, zaczęła wyjmować na stół zakupy i dziwne miniaturowe rzeźby przedstawiające sceny tortur. Byli wśród nich starcy z ogolonymi głowami i kobiety w okularach z rękami wykręconymi do tyłu, i ich gniewni prześladowcy w zielonych mundurach trzymający w górze czerwone książeczki, jakby była w nich zapisana prawda i światłość.

— Spójrz tylko, co znaleźli państwo Wang na targu przy Dongtai Lu — zachichotała Tess. — Czyż to nie komiczne? Pamiątki z rewolucji kulturalnej. Po cóż, na litość boską, oni produkują takie rzeczy?

— Ponieważ wiedzą, że niektórzy obłąkani turyści je kupią— odparł Devlin, uśmiechając się słodko do żony tajwańskiego klienta.

— No tak, pieniądze — odpowiedziała Tess w zadumie. — Zawsze chodzi o pieniądze.

Zamówiono następną herbatę. Bill pomyślał, że najzupełniej logicznie byłoby poprosić JinJin, aby złożyła zamówienie, ale Tess uznała za stosowne sama poinstruować kelnerkę, głośno i powoli, w łamanej angielszczyźnie.

— A ty skąd jesteś, kochanie? — zapytała Tess, przyglądając się twarzy JinJin niczym ekspert medycyny sądowej. — Nie wyglądasz na typową Szanghajkę.

— Moja mama pochodzi z Czangczunu — odparła dziewczyna. Bill nigdy nie słyszał o Czangczunie. JinJin musiała to

wyczuć. Odwróciła się do niego. — To duże miasto w Dongbei, na północnym wschodzie, niedaleko granicy z Koreą. — Odwróciła się z powrotem do pani Devlin. — Tata pochodzi z Guilinu. Na południu. Ale dorastałam w Czangczunie.

— A więc jesteś... Jak to nazywają? *Dongbei ho...* JinJin uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— *Dongbei ho*, północno-wschodni tygrys... Tajwańczyk podskoczył i syknął, bo oparzył się wrzątkiem

w język. Jego żona rozglądała się, wzdychając z nudów, dopóki nie zauważyła na ścianie sławnej buddyjskiej hollywoodzkiej gwiazdy filmowej popijającej herbatę w Huxinting. Wstała, żeby przyjrzeć się bliżej fotografii, i uderzyła plecami o stolik; jej torturowane figurki zatrzęsły się niebezpiecznie.

— Tak właśnie myślałam. — Tess się uśmiechnęła. — Twoje rysy nie są nawet typowo chińskie, a co dopiero mówić szanghajskie. — Zwężiła oczy, lustrując twarz dziewczyny. — Hmm... dostrzegam u ciebie nawet jakieś cechy mandzurskie.

JinJin zmarszczyła brwi, a Billowi przypomniało się ich pierwsze spotkanie, kiedy usiłował ją przekonać, że nie wyjmie kluczyka ze stacyjki, jeśli nie zmieni biegu.

— W Czangczunie mają teraz nielekką — odezwał się Devlin. — Nieźle sobie radzili w czasie gospodarki planowej. W tamtych czasach byli motorem krajowej ekonomii. Węgiel. Przemysł elektromaszynowy. Ale stracili, kiedy przyszedł dzień wielkich wypłat. Jak to teraz wygląda? — To pytanie skierował do Billa, jakby on powinien wiedzieć. — Chyba pięćdziesięcioprocentowe bezrobocie, prawda?

Zarówno Devlin, jak i jego żona wykazywali prawdziwe, bez mała naukowe zainteresowanie JinJin. Bill nie był pewien, czy powinien się poczuć urażony, czy nie.

— Dużo ludzi bez pracy — potwierdziła JinJin, podnosząc się od stolika.

Wyglądało na to, że jej angielski załamuje się pod wpływem

stresu, ubożeje, nabierając spartańskiej surowości, eliminując czasowniki, staroświeckie idiomy, które uważała za tak czarujące. Zauważył, że to bynajmniej nie masowe bezrobocie w rodzinnym mieście tak ją zatroskało.

— Nie jestem Mandzurka — zwróciła się do pani Devlin.

Obydwie kobiety mierzyły się wzrokiem.

— Naturalnie, że nie, kochanie — powiedziała Tess. — To było niemądre z mojej strony, że tak myślałam.

— Potrzebuję łazienki — oznajmiła JinJin.

Przejście tarasował jej Tajwańczyk, który stał i obmacywał sobie poparzone usta. JinJin przecisnęła się obok niego. Mężczyźnie oczy zabłyśły, popatrzył na nią pożądliwie, oblizął wargi. JinJin wyszła, nie oglądając się na Billa.

— Urocza dziewczyna — powiedziała Tess. — Skąd ją wytrzasnąłeś, na Boga?

— Mieszka niedaleko — odparł Bill. — To tylko sąsiadka.

Hugh Devlin był głęboko poruszony.

— Serce się kraje, kiedy człowiek myśli o takich miejscach jak Czangczun. — Ostrożnie upił swoją jaśminową herbatę. — To zubożały region postprzemysłowy. Przypomina nam, że nie tylko zacofana wieś zostaje w tym kraju w tyle, ale całe miasta, a nawet całe regiony. — Popatrzył z namysłem na swoją herbatę. — To dwudziestomilionowe miasto pełne zdeperowanych ludzi. Musimy to wreszcie przyjąć do wiadomości i coś z tym zrobić. — Wstał od stolika. — Przepraszam, ale powinniśmy już iść. Chcę ich obwieźć trochę po mieście przed odlotem.

Wyprowadził Tajwańczyków na dwór, żeby im pokazać widok roztaczający się z dachu herbaciarni, a Bill został sam na sam z Tess Devlin. Uśmiechnęła się i westchnęła w milczeniu.

— Oj Bill, Bill — zaśmiała się. Zmusił się, żeby jej spojrzeć w oczy.

— Słucham.

— Lepiej bądź ostrożny, chłopcze. Bill pokręcił głową i roześmiał się.

— Już mówiłem, że to tylko sąsiadka.

— Czyżby? A mogłabym przysiąc, że właśnie mieliście się wziąć za ręce. Powiedziałam nawet do Devlina: „Dobry Boże, Bill właśnie ma zamiar wziąć za rękę jakąś Chinkę”. Jak ona ma na imię? Wiesz, jak ma na imię, Bill? Nie przedstawiłeś nas sobie, a ja nie chciałam pytać. Oczywiście przechodziliśmy to wszystko z Shane'em. Wiele razy.

Bill nabrał powietrza.

— Nazywa się Li JinJin.

Tess Devlin wyglądała, jakby ją coś niezmiernie ubawiło. Nie potrafił powiedzieć, czy była to prawdziwa wesołość, czy udawana.

— Wiesz, ile w Chińskiej Republice Ludowej żyje kobiet nazywających się Li JinJin?

— Naprawdę? — zapytał. Tess Devlin zaczynała mu już działać na nerwy. — I kto je wszystkie liczył?

Tess pokiwała głową. Była teraz poważna.

— Nie muszę ci mówić, żebyś pomyślał o swojej żonie i dziecku, bo wiem, że to zrobisz. Ale pomyśl o sobie. Jestem szczęśliwa z Hugh. Wiem, że nie pociągają go te azjatyckie laleczki. Nigdy go nie pociągały. To jeden z nielicznych dobrych ludzi w tym kraju, który nie gustuje w Azjatkach.

Nawet nie wiem dlaczego. — Pokiwała głową, jakby tkwiła w tym nieodgadniona tajemnica. — Niektóre za młodu są naprawdę śliczne.

Bill ogrzał sobie dłonie na filizance z herbatą. Nie była już zbyt gorąca. Napił się.

— Tess, oni prawdopodobnie mówią to samo o nas. „Ach te zarozumiałe biały. Są śliczni, kiedy są mali”.

— Nie wątpię w to — powiedziała żywo. — Mimo to nigdy nie zrozumieć, jak mężczyzna może poważnie myśleć o takiej dziewczynie. Zapytaj sam siebie: czy naprawdę chciałbyś żyć z chińską starszą panią? O czym byś z nią rozmawiał? Chcę ci tylko dać rozsądną radę.

— Bardzo dziękuję, Tess.

— Dla własnego dobra. Dla dobra Becki. I przez wzgląd na firmę dobrze ci radzę: bądź bardzo ostrożny w tym mieście.

Bill westchnął.

— Usłyszałem już wykład zaraz po przyjeździe. Jak to szło? „Te Chinki to twarde sztuki. Większość z nich to poszukiwaczki złota. Nie patrzą na mężczyznę, nie widzą człowieka, tylko bankomat”. Tylko że w tym nie ma nic dziwnego, Tess, zastanów się, co takiego my w nich widzimy.

Roześmiała się i dołała mu herbaty.

— Kiedy mówisz, wydajesz się taki bystry — powiedziała, a Bill poczuł na twarzy wypieki. Stanowczo musi skończyć z tymi idiotycznymi rumieńcami. — Utrzymanka jest wspianą ideą tylko w teorii, Bill.

— Ona nie jest, do cholery, moją... — Przerwał i potrząsnął głową. — Nie chcę żadnej utrzymanki, Tess.

Naprawdę wierzył w to, co mówi. Sama myśl o tym wzbudziła w nim odrazę. Nie pasowała do jego wyobrażeń o samym sobie, o swoim małżeństwie. Kochał swoją żonę, tęsknił za nią i nie miał zamiaru zamieniać się w takiego mężczyznę jak ci, którzy podjeżdżali samochodami pod Rajske Rezydencje. Chciał być lepszym człowiekiem niż tamci. Nie chciał o sobie myśleć, że jest taki jak wszyscy inni.

— To dobrze — powiedziała Tess Devlin takim tonem, jakby zawarli jakąś umowę. Zniżyła nieco głos. — Ponieważ w takiej dziewczynie jak ona człowiek się nie zakochuje, tylko ją pieprzy. One po to są. A jeśli facet się na taką napali na dłużej, a widzę, że mógłbyś, w końcu to naprawdę gorąca mandżurska zdzira, to urządza ją w ładnym małym mieszkanku, a potem szuka wymówek i strzałki do wyjścia. — Wybuchnęła śmiechem. — Czy ty jesteś człowiekiem bez pojęcia?

— Tak, Tess, jestem człowiekiem bez pojęcia. — Zorientował się, że międli w rękę żółtą czapkę baseballową z napisem „LA Lakers”. — Jestem ciemnym imigrantem.

W wejściu pojawili się mąż Tess z Tajwańczykami. Chwilę zajęły uprzejmości przy wąskich drewnianych schodach.

— Mówię ci tylko, żebyś się nie dał ponieść, to wszystko — podsumowała Tess, po czym dodała lekkim tonem: — Mówię ci, Bill, te Chinki są takimi praktycznymi kobietami.

Takimi praktycznymi, że jeśli im na to pozwolisz, złamią ci serce.

Devlin uśmiechał się z zadowoleniem.

— Jest jeszcze trochę tej pysznej herbaty? — zapytał.

Bill popatrzył na kolejkę po pierożki z Nan Xiang i zobaczył JinJin, która schodziła właśnie na drugim końcu z krętego drewnianego mostka zbudowanego tak, aby żadne złe duchy nie mogły po nim przejść.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nagrody, pomyślał Bill. Prawnicy uwielbiają nagrody.

Najlepszy młody coś tam. Najlepiej zapowiadający się ktoś tam. Najbardziej wartościowy jeszcze ktoś tam. Każdy powód jest dobry, żeby się urznąć i poklepać po plecach.

W sali balowej wypełnionej setką prawników w smokingach suknie kobiet wyglądały jak barwne plamy w morzu czarnych męskich strojów. Bill siedział przy stoliku jego firmy między Nancy Deng i Tess Devlin.

Większa część towarzystwa przy ich stoliku składała się z identycznie ubranych mężczyzn. Po drugiej stronie Tess siedział Shane, dalej Devlin, Wściekły Mitch i wreszcie dwaj Niemcy, Wolfgang i Jurgen z roześmianą Rosalitą w środku.

Za dużo mężczyzn przy tym stoliku, pomyślał Bill. Tęsknił za Beccą i bardzo dotkliwie odczuwał teraz jej nieobecność. Zdał sobie sprawę, że wytrzymał przez lata te imprezy tylko dlatego, że bez względu na to, jak nieznośnie długo się ciągnęły, zawsze mógł podnieść wzrok i zobaczyć jej twarz albo wymienić milczący żart zrozumiwały tylko dla nich dwojga.

Wieczór włókł się niemiłosiernie, wypełniony rozmazanymi obrazami kiepskiego jedzenia, udręczonych kelnerów i hektolitrów alkoholu. Szklanki z drinkami napełniały się

szybko, ale jakoś niedbale, z dziwaczną mieszaniną służalczości i bylejakości. Na scenę po kolei wchodzili mężczyźni w smokingach, od czasu do czasu kobieta w sukni wieczorowej, i odbierali szklaną rzeźbę ptaka z rąk smukłej Chinki z zawodowym uśmiechem przyklejonym do twarzy i mężczyzny w smokingu, który miał coś wspólnego z jakimś sponsorem. Kiedy nadeszła pora na ostatnią nagrodę wieczoru, dla prawnika z zagranicy, i wyczytano nazwisko Shane'a, Bill poderwał się na nogi i bił brawo i wiwatował najgłośniej ze wszystkich.

— Siadaj pan — zawołał ktoś za jego plecami.

Pewnie jakiś rozczarowany kandydat, pomyślał Bill, siadając.

Ale zaraz znowu wstał, klaszcząc jeszcze głośniej i śmiejąc się, kiedy Shane ze speszonym uśmiechem lawirował w stronę sceny.

— Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję — powiedział Australijczyk, mrużąc oczy na swoją nagrodę. — Zawsze będę bardzo cenił tego... eee, szklanego gołębia. — Śmiech. — Sami wiecie, że ludzie często uważają prawników za wyrachowaną zgraję bez serca — ciągnął, prawie niezauważalnie bełkocząc. — Ale my, rzecz jasna, wiemy, że to nieprawda.

Okrzyki zrozumienia, szydercze śmiechy. Shane się wyprostował.

— Przypomniała mi się pewna piękna młoda kobieta, która umówiła się na spotkanie z prawnikiem — kontynuował z pijacką powagą. — Powiedziała: „Proszę, niech pan weźmie moją sprawę. Niestety, nie mam pieniędzy. Ale za to najlepiej na świecie obciągnę panu druta”.

Znowu śmiech, ale tym razem zmieszany z gwizdami dezaprobaty i sporadycznymi komentarzami „Wstyd”. Był to bardzo konserwatywny tłum. Bill popatrzył na zebranych ludzi. Przy stolikach konkurencyjnych firm kręcono głowami, uśmiechy rzędy na twarzach. Shane przeholował. Ci ludzie nie chcieli słuchać przy deserze o obciążeniu druta.

Shane jednak oparł się o mównicę, tak że zachybotła się niebezpiecznie.

— „Najlepiej na świecie obciągnę panu druta” — powtórzył nieco wyzywającym tonem, jak gdyby każde słowo, które mówił, było najświętszą prawdą. Urwał dla efektu i rozejrzał się po widowni. — A prawnik na to: „No dobrze, a co ja będę z tego miał?”.

Na nowo podbił ich serca. I kiedy wszyscy klaskali i wiwatowali, nawet ludzie z konkurencyjnych firm, którzy udawali oburzenie, Bill pomyślał, że oto jest cały Shane: balansować na krawędzi katastrofy, aż w pewnym momencie w jakiś sposób wdrapać się na szczyt chwały.

Shane wrócił do stolika, gdzie poklepywano go po plecach i gratulowano, a Devlin posłał kelnera po szampana.

Bill spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Znaczyło to, że w Londynie Becca odebrała już Holly z przedszkola. Jeśli dziewczynka nie miała żadnych lekcji pływania albo baletu, to powinny być w domu i mógłby z nimi porozmawiać. Wyjął komórkę z kieszeni smokingu, ale stwierdził, że nie ma zasięgu.

Spotkanie zaczęło się rozparcelowywać. Podczas gdy inni wstawali, żeby pogawędzić albo rozprostować nogi, Bill jako jedyny został przed rumowiskiem opróżnionych butelek po winie i filizanek po kawie. Zjawił się kelner z kubelkiem najeżonym butelkami szampana i postawił go na opuszczonym stoliku. Shane i Devlin popatrzyli na Billa, który wstał i ruszył do wyjścia.

— Zaraz wrócę — powiedział do nich bezgłośnie.

Nie zwrócił uwagi na czterech mężczyzn, którzy podnieśli się od innego stolika i wyszli za nim z sali do holu hotelowego. Patrzył na telefon w oczekiwaniu na sygnał, więc wychodząc z hotelu na ciepłą letnią noc, w dalszym ciągu ich nie widział. Dopiero kiedy pojawił się sygnał i Bill wybrał numer do Becki, podniósł głowę i zobaczył przed sobą czterech facetów w smokingu patrzących na niego wyczekująco, jak gdyby powinien ich rozpoznać.

— Halo — powiedziała Becca, ale Bill jej nie słyszał.

Zamykał telefon, wiedząc już, że powinien jak najszybciej zejść tym ludziom z oczu.

Ponieważ w końcu ich rozpoznał. Przypomniawszy sobie, kim są. Staęli mu przed oczami na parkiecie Suzy Too, rechoczący, jakby wygrali w totolotka, obmacujący tańczącą Li JinJin.

Zrobił krok, żeby ich ominąć, ale jeden z nich odrzucił na bok papierosa i zastąpił mu drogę.

— Chcemy ci dać dobrą radę — powiedział.

Wszyscy czterej wyglądają identycznie, pomyślał Bill: młodzi, ale już roztycy, o zamkniętych, mściwych twarzach. Znał ich doskonale. Jego rodacy.

— Nigdy więcej nie próbuj nam mówić, co możemy, a czego nie możemy robić z chińską dziwką — powiedział tamten i walnął Billa prosto w twarz.

Jego towarzysze zarechotali z aprobatą.

Bill widział nadlatujący cios, ale był zbyt zaskoczony, żeby się poruszyć. Stał jak krety, kiedy pięść dosięgała jego ust, a od impetu uderzenia zatoczył się do tyłu na ludzi stojących w kolejce na postojach taksówek. Jakaś dziewczyna zaczęła krzyczeć. Dostał drugi raz, poczuł, że coś twardego rozcina mu wargę — może obrączka ślubna, pomyślał. Wpadł na jednego z dwóch chińskich lwów stojących na straży u wejścia do hotelu. Podrapał sobie ręce o szorstki kamień, ale przynajmniej nie upadł i po chwili był z powrotem na nogach.

Dotknął palcami warg, a kiedy je odjął, zobaczył, że są wilgotne i czerwone.

Czuł obrzydliwy, metaliczny zapach krwi. Odwrócił się. Trzech mężczyzn szło w jego stronę z zaciśniętymi pięściami. Każdy chciał mu dołożyć od siebie. Usta zaciśnięte na złośliwych, głupich twarzach. O, znał ich doskonale. Ten, który go uderzył, koniecznie chciał coś wyjaśnić.

— Co ty sobie myślisz? Że gdzie jesteś? Na szkolnej dyskotecie? Ta zdzira chętnie by się dała nam wydymać za pięćset RMB — powiedział. — Ty pierprzony, tępy turysto.

„Turysta” było najgorszą obelgą, jaką można było obrzucić człowieka w Szanghaju. Przy „turyście” skurwysyn brzmiało jak komplement.

Kolejne uderzenie, ale tym razem Bill zorientował się, że może zrobić unik, i cios ledwie go musnął w czoło. Wtedy ktoś, któryś z nich kopnął go w żebra i powietrze uszło z niego ze świstem. Opadł na kolana i przerażony rozpaczliwie łapał powietrze, bo ból w boku był nie do zniesienia. Zastanawiał się, jak się to wszystko skończy i czy go zabiją.

Potem usłyszał głos Shane'a. Australijczyk wołał go po imieniu, wyzywał tamtych od drani, kazał im zostawić go w spokoju. I z początku zdawało się, że go posłuchali.

Przestali go bić i kiedy Bill czołgał się po chodniku w stronę wejścia do hotelu, a ludzie na postoju taksówek odsuwali się od niego, jakby niósł jakąś nową chorobę, miał wrażenie, że zdarzył się cud. Ale oni po prostu przenieśli swoją uwagę na jego towarzysza.

Bill podniósł głowę i zobaczył upadającego Shane'a, a wokół niego tamtych. Złapał się kamiennego lwa i dźwignął na nogi. Shane wywijał pięściami i kłął, ale jeden z nich skoczył mu na pierś i puścił w ruch pięści niczym tłoki, inni tymczasem klęczeli na nim, tak że nie mógł się ruszyć i tylko ryczał wściekle. Rozległy się krzyki po chińsku i po angielsku. Z hotelu wybiegali ludzie patrzeć, co się dzieje.

Bill stał z powrotem na nogach i trzymając się za bok, ruszył w stronę przyjaciela. Coś eksplodowało mu w uchu niczym czerwona błyskawica, schylił się komicznie, jakby robił unik przed powietrzem. Zobaczył twarze dwóch mężczyzn odwracających się od Shane'a, jeden miał plamy krwi na białej koszuli. To może być moja krew, pomyślał Bill.

Pozostali dwaj nie przestawali kopać Australijczyka w głowę, między nogi, w żebra. Shane skulił się, a tamci kopali dalej.

Bill wiedział, że powinien coś zrobić, ale to wszystko działo się za szybko, tamtych było zbyt wielu, a on nie czuł tej furii,

która ogarnęła go tamtej nocy, gdy zobaczył Li JinJin na parkiecie i krew w nim zawrzała na widok młodego ciała bezczeszczonego przez obleśnych facetów. Dzisiaj to oni czuli tę furję.

Mężczyźni, którzy deptali Shane'a, dyszeli ciężko, pot po nich ściekał i wyraźnie zwalniali. Krawaty zwisały im luźno u szyj. Shane przestał krzyczeć. Leżał skulony na chodniku i nie ruszał się. Bill zatoczył się w jego stronę, ale ten gadatliwy stanął mu na drodze i bujał się na piętach z pięściami zaciśniętymi przy bokach. Miał spodnie w błyszczące paski, które uwielbiają prawnicy. Fakt, że wszyscy byli w czarnych smokingach, przydawał scenie groteskowości, a oni wyglądali jak stado psychopatycznych pingwinów.

— Myślisz, że broniłeś jej honoru? — Miał na myśli Li JinJin. — Myślisz, że nie pieprzy się z facetami dla pieniędzy?

Grzmotnął Billa w brzuch, ale wtedy nagle wszystko się skończyło, ponieważ na ulicę wybiegli hotelowi ochroniarze i tamci odwrócili się i poszli, wcale się nie spiesząc, przybijając sobie piątki, jakby właśnie wygrali mecz w koszykówkę, ciesząc się i śmiejąc, i wykrzykując przez ramię obelgi. Ochroniarze z hotelu patrzyli za nimi, a potem popatrzyli na Shane'a i Billa z taką samą wrogością. Shane podniósł się i usiadł, ale zaraz pochylił się do przodu i jęcząc, trzymał za krocze. Prząd smokingu miał zabrudzony wymiocinami.

Bill pomógł mu wstać na nogi. Poczul, że Australijczyk opiera się na nim całym ciężarem. Powlekli się na ulicę, gdzie Tygrys wysiadał właśnie z samochodu, patrząc na nich z przerażeniem. Coś mówił, ale Bill nie mógł go dosłyszeć.

Tak, właśnie, że w to wierzę — myślał Bill, kiedy owładnęło nim uczucie wstydu i poniżenia po tak haniebnej porażce. — Wierzę, ty świniou.

Wierzę z całego serca, że nigdy nie pieprzyła się z nikim za pieniądze.

* * *

Kiedy byli bardzo młodzi i dopiero się poznawali, Becca i Bill rozmawiali bez końca o swoim związku, uczuciach, świecie, pracy, przyjaciółach, problemach, o spełnieniu, rodzicach i przeżytych rozczarowaniach.

Potem się pobrali, urodziła się Holly i od tamtej pory rozmawiali głównie o swojej córce.

— Szukała piosenki YMCA — powiedziała Becca przez telefon. — Płyty CD z YMCA. Śpiewają ją Village People.

— Tak — odrzekł Bill, powstrzymując się, żeby nie powiedzieć: Wiem, kto śpiewa piosenkę YMCA.

Z roztargnieniem obmacywał obitą twarz i uśmiechał się na wspomnienie Holly na weselu Shane'a i Rosality, tańczącej i śpiewającej razem z matką piosenki Village People. Cieniutkie białe ramionka rozkładała z rozmachem na boki, pokazując literę Y, potem dotykała paluszkami głowy na znak M, przechylała się na bok, tworząc prawie idealnie okrągłe C — z jakiegoś powodu to była najzabawniejsza część — i wreszcie szybciućko składała rączki w trójkąt nad głową: A.

— Mamy to na płycie *To się nazywa disco* — dodał.

Dziwnie mu brzmiał w uszach jego własny głos. To przez spuchnięte wargi. Coś mu też zrobili z zębami.

— Właśnie, że nie — upierała się Becca. — Ja też tak z początku myślałam, ale nie. Na *To się nazywa disco* jest ich drugi przebój, *In The Navy*. Mówię o Village People.

Bill westchnął.

— No to sprawdź na *Przyjęcie taneczne tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć* — zasugerował. — Może tam jest.

— Dobrze — powiedziała bez przekonania Becca.

Kiedy Holly zapragnęła zatańczyć do jakiejś piosenki, żadnemu z rodziców nie przyszło do głowy, żeby zrobić coś innego, niż przetrząsać całą kolekcję płyt dotąd, aż znajdą zamówiony utwór.

— Poczekaj, Bill. Holly chce z tobą porozmawiać.

W słuchawce rozległ się szelest, kiedy Becca oddawała telefon córce.

— Holly?

A potem jej głosik dźwięczący mu w uchu, słodki i oficjalny, nieporównanie bardziej dorosły, niż się spodziewał, niż pamiętał.

— Halo?

— Holly? Tu tatuś.

— Wiem. Chwila milczenia.

— Słucham, kochanie.

— Czy miałeś wczoraj straszną noc?

Wyprostował się raptownie i aż się cofnął, kiedy zobaczył w lustrze swoją twarz. Wyglądał okropnie. Narobi sobie wstydu w biurze.

— Straszną noc, aniolku? — Skąd mogła wiedzieć, co się wydarzyło? — Dlaczego miałbym mieć straszną noc?

Cisza. Potem westchnienie, takie westchnienie, jakie mogła wydać tylko czteroletnia dziewczynka.

— Dlatego że byłeś sam.

Roześmiał się. Holly potrafiła go rozśmieszyć bardziej niż ktokolwiek inny na świecie.

— Nie, nic mi nie jest — odpowiedział z ulgą. — A wiesz dlaczego?

Cisza. Prawdopodobnie dziewczynka pokręciła główką.

— Nie — powiedziała w końcu.

Słyszał w słuchawce głos Becki odciągającej Holly od telefonu. Hej, ona jest też moją córką, pomyślał.

— Ponieważ zawsze, kiedy jest mi smutno albo się boję, to wystarczy mi tylko, że pomyślę o tobie i od razu czuję się lepiej. Zawsze tak jest. Przypominam sobie, że jesteś moją małą córeczką i od razu się czuję szczęśliwy. — W słuchawce panowała cisza, nie słyhać było nawet szelestu telefonu przekazywanego jak pałeczka w sztafecie. — Holly?

— Muszę umyć zęby.

Ani nuty przeproszającego tonu, tylko suche stwierdzenie.

— Zanim pójdziesz...

— Dobranoc — powiedziała żywo.

Billa ogarnęła panika.

— Zaczekaj, zanim pójdiesz... — Przerwał. Nie wiedział, co powiedzieć swojej dalekiej córeczce. Nagle przyszło mu do głowy. — Pamiętaj po prostu, że jestem twoim tatusiem. Nigdy nie przestanę cię kochać. Bez względu na to, co się stanie, gdzie będziesz i gdzie ja będę, choćbyśmy byli bardzo daleko od siebie, kocham cię teraz i zawsze będę cię kochał i tak się cieszę, że jestem twoim tatusiem. I jestem bardzo dumny ze swojej córeczki. Bardzo dumny. Zapamiętaj moją twarz. Zapamiętaj mój głos, dobrze Holly? — Cisza. — Halo?

— Dobrze, ale naprawdę muszę już iść. — Znowu słyszał swoją małą dziewczynkę. — Dobranoc, tatusiu.

— Dobrej nocy, aniołku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Chodził po pokoju z podrabianą czapką Lakersów w rękach i obserwował światło palące się w jej oknie.

Żalodne, pomyślał. Kolejny żonaty waśniak oglądający się za miejscowymi laleczkami, kiedy żona nie patrzy. Żalosny banał. Jesteś banalny.

Popatrz tylko na siebie. Kalkulujesz, ile powinieneś odczekać, zanim zrobisz kolejny ruch. Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz najlepszego? Nic, odpowiedział sobie z czapką w rękach. Niczego nie wyprawiam. Zastanawiam się tylko, kiedy najlepiej oddać jej czapkę. Poza tym czuję się samotny. Przecież nie ma nic złego, że człowiek czuje się samotny, prawda? Uczucie samotności nie narusza żadnych małżeńskich przywiązań, tak czy nie?

To zupełnie niewinna znajomość — skłamał sam sobie.

Ale nie poszedł tam. Za bardzo się wstydził i denerwował. Czuł się głupio. O ile pamiętał, te uczucia odstraszały wszystkie dziewczyny.

Tak więc w sobotę po południu Bill po prostu czekał i obserwował światło w jej oknie, a potem i tak już było za późno, bo przyjechało srebrne porsche i po chwili światła w jej mieszkaniu zgasły. Odwrócił się od okna i poszedł do lodówki. Nie patrzył, jak odjeżdża. Nie chciał na to patrzeć.

Rzucił gdzieś na bok czapkę Lakersów i położył się na swoim pojedynczym łóżku, jako że małżeńska sypialnia została zamknięta na cztery spusty. Czuł się jak idiota. Wyobrażał sobie, że JinJin tak jak on spędza większość wieczorów samotnie w domu, przy stole nakrytym dla jednej osoby i milczącym telefonie. I za kimś tęskni. Tak właśnie wyobrażał sobie, że spędza czas: siedzi i tęskni. Ale może się mylił. Może JinJin była zadowolona ze swojego życia.

Może to żona tego mężczyzny czuła się samotnie.

* * *

Nazajutrz wieczorem poszedł do jej mieszkania.

Wydawało mu się, że to za wcześnie, ale kiedy skończy się weekend, będzie pracował do późna albo jeździł gdzieś z klientami i szansa przepadnie aż do następnej soboty. Do tej pory prawdopodobnie JinJin kupi sobie nową czapkę. Zresztą po co robić z tego takie wielkie halo? W końcu idzie tylko oddać przekłete nakrycie głowy.

Przeszedł przez podwórze Rajskich Rezydencji do bloku naprzeciwko. Wjechał windą na górę i zatrzymał się przed drzwiami jej mieszkania. Przypomniał sobie poprzedni raz, kiedy tu był. Pijana JinJin miała nudności, a on podtrzymał ją na nogach i szukał w jej torebce kluczy do mieszkania.

Na tym powinno się było skończyć. To powinien być koniec tej znajomości.

Mimo to zadzwonił do drzwi.

Nikt nie otwierał. Dzięki Bogu. Słyszał ze środka muzykę, ale nikt nie podchodził do drzwi i Bill miał już uciec z powrotem do swojego samotnego życia, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich ona w całej swojej wielkookiej krasie. W jednej chwili Bill pojął, że nieprawdą jest, jakoby twarze Azjatek niczego nie wyrażały, ponieważ na tym obliczu o północnych rysach i wysokich kościach policzkowych, na tej twarzy *Dongbei ho* wyczytał zaskoczenie, odrobinę radości, niedowierzania i zachwytu.

Nigdy w życiu nie widział tak wiele mówiącej twarzy, na której rozgrywało się tyle emocji. I ta twarz mówiła mniej więcej: Co też ten białoskóry waśniak robi u moich drzwi?

Wyciągnął rękę ze swoim żółto-fioletowym pretekstem.

— Zostawiła pani czapkę — powiedział.

Wzięła ją od niego. Miała drobne dłonie, niezwykle drobne jak na tak wysoką kobietę.

— Och — powiedziała. — *Tsetse*.

— *Bu ke-qi* — odrzekł. Zapadła niezręczna cisza. Próbował ją wypełnić. — Co właściwie pani wie o Lakersach?

Zastanowiła się.

— NBA. Magie Johnson. Żółte koszulki — mówiła. — Lakers to koszykówka. Kobe Bryant. Shaquille O'Neal.

— To wie pani więcej ode mnie — stwierdził. — Ja nie mam zielonego pojęcia o Lakersach.

— Los Angeles — dodała. — W Kalifornii.

Naprawdę mu się podobała. Miał wrażenie, że dopiero co otworzyła oczy i zobaczyła naraz całą planetę.

— Nie musiała pani wychodzić — zauważył.

Oczy jej błysnęły gniewnie.

— Ta kobieta — wyjaśniła — ta kobieta powiedziała, że jestem Mandżurką.

Bill niewiele wiedział o Mandżurii, mniej więcej tyle samo co o Lakersach. Orientował się, że leży w Dongbei, północno-wschodnim rejonie Chin, skąd pochodziła JinJin, i że była kolonizowana przez Mongołów, Mandżurów i Japończyków. Ten szczątek wiedzy jednak wystarczył, aby zdawać sobie sprawę, że Tess Devlin miała rację w tym, co mówiła. Li JinJin nie miała typowo chińskich rysów twarzy. Patrząc na nią, można było naprawdę dojść do wniosku, że w jej żyłach płynie krew jakiegoś najeźdźcy o wysokich kościach policzkowych, i zrozumieć, skąd się brała jej drażliwość na tym punkcie. To tak, jakby powiedzieć komuś w kibucu, że wygląda jak Kozak.

— O ile pamiętam, powiedziała, że wyglądasz trochę jak Mandżurka — starał się zbagatelizować problem.

Teraz już naprawdę ją rozdrażnił.

— Ale ja nie jestem Mandżurką.

Podniósł ręce do góry na znak kapitulacji. Nie szło najlepiej. Zaraz jednak JinJin nałożyła czapkę na czubek głowy i uśmiechnęła się, a uśmiech ten w jakiś sposób rozwiął urok, który roztaczała swoją urodą. Był to trochę niemądry grymas, ponieważ przednie zęby sterczały jej lekko do przodu. Najwyraźniej dentyści w Dongbei pokpili sprawę albo może rodzice mieli inne problemy na głowie, jak na przykład zdobywanie dla dzieci jedzenia. Tak czy inaczej był to bardzo ciepły i pogodny uśmiech i chociaż ujmował jej twarzy nieco klasycznego piękna, które rzucało się w oczy, kiedy się nie uśmiechała, za to dodawał czegoś więcej, czegoś, co w każdym razie Billowi podobało się jeszcze bardziej.

— Wejź, proszę — zaproponowała z uprzedzającą grzecznością, która czasami brała górę w jej zachowaniu, i cofnęła się zapraszająco.

A Bill poczuł się w tym momencie bardzo żonaty.

Czy on naprawdę tego chce?

Nie był stworzony do tej gry. Taka była prawda. Cały spisek, wszystkie kalkulacje, całe to gapienie się przez okno... Kiedy przyszło co do czego, kiedy miał wejść do jej mieszkania, okazało się, że nie ma serca tego zrobić. On naprawdę kocha swoją żonę.

— Muszę już iść. — Pokazał kciukiem w tył nad ramieniem.

— Jutro wychodzę do pracy wcześniej rano.

Ale ona podjęła już decyzję.

— Proszę, wejź — nalegała. — Chcę, żebyś spróbował moich pierożków.

Tego już było za wiele. Po prostu za wiele.

— Nie, nie, nie mogę. Nie mógłbym — bronił się słabo.

— Ależ proszę — powiedziała.

Znowu uderzyło go jej przywiązanie do form, tak jakby ktoś wyznaczył dla tej sytuacji ściśle zasady etykiety, których należało bezwzględnie przestrzegać. Z jakiegoś powodu przez

to jeszcze trudniej było się jej oprzeć. Oszołomiony wszedł do jej mieszkania jakby wbrew sobie. Kilka chwil zajęło mu zrozumienie, że kiedy JinJin proponowała mu pierożki, to naprawdę tylko to miała na myśli.

W powietrzu unosił się zapach smażonego jedzenia, a w mieszkaniu było pełno ludzi. Same młode kobiety. I jedno dziecko — pulchny, krótko ostrzyżony brzdąc, który, kiwając się na boki, biegał między nogami dziewcząt z Rajskich Rezydencji. Z tyłu w jego spodenkach widniał otwór, przez który widać było pulchną pupę malca i która ułatwiała mu załatwianie swoich potrzeb.

Kobiety gotowały posiłek, który składał się chyba tylko z pierożków, porcyjek ciasta wypełnionych wieprzowiną, rybami lub warzywami i smażonych lub gotowanych na parze.

Większość twarzy rozpoznawał. Przy kuchence stała for-danserka z Suzy Too i jedną ręką wyjmowała pierożki z garnka, a drugą smażyła następną porcję na silnym ogniu. Pomachała mu ręką.

Na podłodze bawiła się z dzieckiem kobieta, która wystukała Billowi na komórce sumę za swoje usługi i oferowała mu się za paczkę orzeszków ziemnych. Wskazała palcem na brzdąca i roześmiała się. Wyglądała na dużo szczęśliwszą niż wtedy, a Bill uświadomił sobie, że nie widział, aby się uśmiechała lub śmiała w tamtym miejscu, otoczona tą niby wesołą atmosferą.

Jeszcze jedna kobieta również wydała mu się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd: zastraszająco chuda dziewczyna, która zmywała naczynia w zlewie. Skąd on ją znał? Nagle zobaczył w przedpokoju torebkę i doznał olśnienia. To była jedna z nauczycielek uzależnionych od Louisa Vuittona. Najwyraźniej od ich ostatniego spotkania udało jej się znaleźć sponsora. Popatrzyła na Billa, ale nie dała żadnego znaku, że go poznaje. Czemu miałyby go pamiętać, w końcu był tylko jednym z tysięcy facetów z Suzy Too.

I był jeszcze ktoś. Tej dziewczyny nie znał z baru, tylko stąd,

z osiedla, kiedy wносиła śmieci lub rozmawiała z portierem, lub robiła zakupy w pobliskim Carrefourze, lub wychodziła gdzieś z ojcem. W każdym razie wydawało mu się, że to jej ojciec.

Była to owa nieatrakcyjna dziewczyna w okularach, którą widział kiedyś, jak wsiadała ze starszym mężczyzną do bmw i sprawiała wrażenie pochodzącej z innego świata niż cała reszta tutejszych kobiet. Robiła na drutach i bardziej wyglądała na bibliotekarkę niż utrzymankę. Ale nie pochodziła z innego świata.

— Sąsiadki — oznajmiła JinJin jak przystało na grzeczną gospodynię. — To wszystko moje sąsiadki. Robimy *xiao long bao*, szanghajskie pierożki. I pierożki *jiaozhi* z Czangczunu.

Podobne do ravioli. Znasz je?

Znał je.

— Tak, znam.

— Proszę, abyś spróbował.

JinJin znalazła mu miejsce między dziewczyną w okularach a kobietą z dzieckiem i przyniosła zimne tsingtao. Chłopczyk wyciągnął w jego kierunku podrapany metalowy samochódzik i Bill wziął go do ręki.

— Ferrari — powiedział. — Bardzo ładny.

Dziewczyna w okularach nazywała się Jenny Dwa. Jenny Dwa? Tak, Jenny Dwa. Ta z dzieckiem to Sugar.

— Chyba się już spotkaliśmy — powiedział Bill, niepewny czy wspomnianie o tym jest na miejscu. — Jak się pani ma? — zapytał Sugar.

— Czasami muszę się odciąć od rodziny — powiedziała dziewczyna rzeczowo, obserwując, jak Bill bawi się z jej synkiem. — Od mamy, taty i dziecka. Nie mogę zawsze z nimi być ze względu na swoją pracę. — Przerwała, biorąc oddech. Bill pomyślał, że właśnie to robiły te dziewczyny: odcinały się, trzymały wszystko w zamknięciu tak długo, że kiedy w końcu odpuszczały, wszystko wylewało się strumieniami. — Wczoraj w nocy do Suzy Too przyszedł pewien mężczyzna — mówiła

Sugar. — Australijczyk. Kiedy wyszliśmy, on chciał iść do kasyna. A ja powiedziałam: o, nie, nie do kasyna. Pójdźmy do twojego hotelu. Ale on się uparł, że do kasyna. No i przegrał. Dzisiaj rano dał mi dziesięć dolarów — relacjonowała, a Bill pomyślał, że się przesłyszał. Dziesięć dolarów? — I powiedział: „Co ja na to poradzę? Wszystko przepadło”. A ja byłam dla niego taka dobra. — Łzy napłynęły jej do oczu, więc zamrugała, żeby je powstrzymać. Dziecko podniosło na nią główkę z samochodzikiem w rękę. — To za mało, prawda? — zapytała.

— Tak — odparł cicho Bill. — To za mało.

Dziewczyna kiwnęła głową. Jej synek wyciągnął do niej rączkę z samochodzikiem, jakby chciał ją pocieszyć.

— Więc czasami muszę się odciąć od rodziny — podsumowała, biorąc od dziecka podrapane ferrari.

Jenny Dwa objęła ją ramieniem, a Bill odwrócił wzrok, aby się nie narzucać w tej intymnej chwili żalości. Nie umiał powiedzieć niczego pocieszającego. Dziesięć dolarów za kobiece ciało. Zauważył, że Sugar była w tym towarzystwie ubogą krewną. Wszystkie pozostałe kogoś miały. Wszystkie miały sponsora. A choć świat, w którym żył Bill, gwałtownie by przeciw temu zaprotestował, było to lepsze, niż dostawać dziesięć dolarów za swoje ciało.

Popatrzył na JinJin. Dziewczyna się uśmiechnęła, a on od razu poczuł się lepiej. Przyzwyczajał się już do tego uśmiechu, który odsłaniał jej duszę w sposób, w jaki nigdy nie odsłaniała się chłodna piękność o pokerowej twarzy wsiadająca w qipao do porsche.

Mylił się co do JinJin, uświadomił sobie, wyciągając spod siedzenia książeczkę z krzyżówkami, mylił się co do wszystkich tych kobiet — *jinseniaio* w *niaolong* w Rajskich Rezydencjach. Wszystkich pięknych kanarków w złotych klatkach.

Może i spędzały samotne wieczory, czekając na telefon. Po-tem wyjmowano je ze szkatułki na biżuterię i wieziono w szanghajską noc, a kiedy wracały z restauracji, koktajlbarów

i klubów na Bundzie i zostawały same w swoich mieszkaniach, mogły się czasem czuć kimś podrzędnym, mogły cierpieć wszystkie upokorzenia związane z rolą utrzymanki i smutki kobiet, które wieczorem idą do łóżka z mężczyzną, ale rano nieodmiennie budzą się same.

Ale te kobiety nigdy nie poczują się tak samotne, jak czuł się Bill. Mieszkały w swoim mieście. I zawsze miały siebie nawzajem.

* * *

To był zupełnie inny rodzaj baru karaoke niż ten, który znał Bill.

Razem z Shane'em towarzyszył niekiedy klientom, z których wszyscy bez wyjątku byli Azjatami, do błyszczących knajp w dzielnicy French Concession, ale ulubiony bar karaoke dziewcząt z Rajskich Rezydencji był po prostu labiryntem maleńkich, prostych kabin ukrytym w bocznej uliczce Gubei. Neon nad wejściem nie informował gości po angielsku, a w środku piękne dziewczęta nie oklaskiwały podstarzałych tajwańskich biznesmenów katujących po pijaku *My Way* w języku mandaryńskim.

Bill i dziewczęta wcisnęli się do kabiny, która wielkością przypominała garderobę jego żony, i zamówili sok owocowy dla kobiet oraz tsingtao dla Billa.

Z wyjątkiem Sugar, która została w domu — mieszkała z synem w wolnym pokoju u Jenny Dwa — wszystkie pozostałe dziewczęta przyszły do baru karaoke i w nabożnym milczeniu studiowały spis piosenek niczym wygłodniałe dusze, które niespodziewanie znalazły się w pięciogwiazdkowej restauracji.

Bill przewracał kartki oprawionej w skórę księgi rozłożonej na kolanach i nie rozumiał z niej ani słowa. Znalazł setki utworów mandopopu i cantopopu, ale na szczęście ani jednej pozycji dla siebie.

Obserwując, jak JinJin bierze do ręki mikrofon i wpatruje się zauroczona w ekran, na którym azjatycka para, trzymając

się za rękę, spaceruje po plaży na tle brzydkich wieżowców, Bill wreszcie zrozumiał, co tak bardzo pociąga Chińczyków w barach karaoke. Miejsca te oferowały prywatność w kraju, gdzie prywatność bywała rzadkim towarem, i wolność ekspresji w kulturze, w której za zbyt swobodną ekspresję groziła kulka w tył głowy, a rodzinie przysyłano rachunek za kulkę.

JinJin zaczęła śpiewać wzruszającą mandaryńską balladę, która, jak się Bill domyślił, mogła mówić tylko o nieśmiertelnej, dozgonnej miłości.

Kiedy pieśń dobiegła końca, na nogi porwała się fordanserka Jenny Jeden i wyciągnęła rękę po mikrofon. JinJin jednak wcale nie chciała go puścić i przez chwilę kobiety warczały do siebie po szanghajsku, aż w końcu JinJin wygrała, zatrzymała mikrofon i zaczęła z egzaltacją zawodzić kolejną ckliwą balladę. Zarumieniona z zachwyty obserwowała kobietę na ekranie telewizyjnym wyglądającą ze smutkiem za okno.

JinJin miała niezły głos, ale załamywał się w wysokich partiach.

Jenny Dwa podniosła wzrok znad robótki.

— Ma piękny głos — mruknęła. Oczy błyszczały jej za okularami. — I śliczną twarz.

Bill skinął uprzejmie głową. Na pewno zgadzał się w kwestii twarzy.

— Ja nie mam ani jednego, ani drugiego — stwierdziła Jenny Dwa radośnie. — Ale mój mąż i tak mnie lubi. Mam szczęście. Jest bardzo stary.

Bill dziwił się własnej naiwności.

— Mieszkasz w północnym bloku, tak? — spytał.

Dziewczyna skinęła głową i pokazała w uśmiechu sterczące zęby, które przedstawiały ortodontyczną katastrofę i bynajmniej nie dodawały jej uroku.

Bill widział czarne bmw z serii siedemsetek zaparkowane na podwórzu Rajskich Rezydencji i zadbanego sześćdziesięciolatka za kierownicą, który nigdy nie wysiadał z samochodu.

Widział Jenny Dwa biegnącą do samochodu z wyrazem niewinnego zachwytu na twarzy i zawsze przyjmował, że to bogaty tatuś zabiera swoją córkę studentkę na obiad do Bundu. Jenny Dwa nie nosiła się tak jak pozostałe dziewczęta. Nie była piękna, ale Bill bardzo ją lubił. Miała w sobie wyjątkową łagodność i sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej z roli brzydkiego kaczątko w grupie swoich towarzyszek. Kiedy wstała, żeby owinąć się na piersi bezkształtnym niebieskim kawałkiem wełny, Bill dostrzegł, że ma mocne, korpulentne ciało i jako jedyna z nich wszystkich dość krągłe kształty. I była naprawdę miła. Mógł bez trudu zrozumieć, dlaczego jakimś *taipan* wyjątkowo przypadła do gustu.

— JinJin i karaoke zawsze być tak samo — westchnęła Jenny Jeden, opadając na popękana sofę.

— Gdzie się nauczyłaś angielskiego? — spytał Bill, domyślając się już odpowiedzi.

Od dziewcząt z Rajskich Rezydencji zawsze słyszało się to samo: „Znałam pewnego mężczyznę”. Albo mężczyzn.

— Brałam lekcja angielski — odrzekła Jenny Jeden. — W łóżku. Najlepsze miejsce do uczenia języka? Mać dwaj chłopcy Francuzi. Pierwszy młody i biedny i ja go bardzo kocham. Ale jest młody i biedny, więc ja zrywam.

Łzy trysnęły jej z oczu, zaprzeczając pozornej lekkości i szorstkości jej słów. Otarła oczy serwetką. W tych kobietach aż kłębi się od uczuć, pomyślał Bill. Śmiech i łzy mieszały się często w tym samym zdaniu.

— Drugi bogaty i żonaty i później wraca do Paryża.

Bill uprzytomnił sobie, że mieszkanie w Rajskich Rezydencjach musiało być prezentem pożegnalnym od bogatego i żonatego Francuza. Dlatego Jenny Jeden mogła sobie pozwolić na to, aby tam mieszkać, a mimo to wracać sama do domu.

— Dzwoni przez rok, a potem nie dzwoni już ani raz. — Popatrzyła badawczo na Billa. — Jak ty myślisz, dlaczego przestał dzwonić?

Bill pokręcił głową.

— Nie wiem.

Doszedł do wniosku, że musiała się w to wdać żona owego Francuza. Jenny Jeden płakała już teraz na całego, a Bill pomyślał, że dziewczęta z Rajskich Rezydencji są zwykłymi młodymi kobietami. W Anglii byłyby księgowymi, nauczycielkami, przyjaciółkami i żonami. Ale nie w Szanghaju. I nie w tych czasach. Patrzył, jak JinJin niechętnie oddaje mikrofon Annie.

— Znasz ta dziewczyna? — spytała Jenny Jeden. — To Annie, wiesz?

— Jest nowa — dodała Jenny Dwa, stukając drutami. — Mężczyzna pochodzi z Tajwanu. — Annie zaczęła skrzeczeć jakąś okropną cantopopową piosenkę. — Mieszka w dużym mieszkaniu w zachodnim bloku — ciągnęła z rozszerzonymi oczami powiększonymi jeszcze przez okulary. — Z trzema sypialniami!

Kiedy Annie przestała katować swoją piosenkę, przysiadła się do nich. Z królewską godnością sączyła sok pomarańczowy.

— Byłeś na Hawajach? — spytała Billa.

Pokręcił głową.

Wyglądała, jakby ją to zdziwiło. Sądziła, że każdy obcokrajowiec zna Hawaje na wylot. — Powinieneś tam pojechać — poradziła. — Mieszkałam na Hawajach ze swoim amerykańskim chłopcem. — Zastanawiała się przez chwilę. — Przez cztery miesiące.

Jenny Jeden odwróciła wzrok, jak gdyby słyszała już to wszystko wcześniej, ale Jenny Dwa odłożyła robótkę na drutach.

— I co się stało z tym chłopakiem na Hawajach? — zapytała.

Bill zauważył, że przeszły na angielski przez wzgląd na niego. Był głęboko poruszony.

— Nie pasowaliśmy do siebie — odrzekła Annie.

JinJin usiadła koło Billa i uśmiechnęła się.

— Teraz poszukam czegoś dla ciebie — powiedziała, nie zważając na jego protesty i przeglądając książkę z piosenkami.

Bill zakłopotany sięgnął po drinka. Zastanawiał się, dlaczego tylko ludzie z Zachodu wstydzą się karaoke. Ponieważ traktujemy je jak występ, pomyślał. Wydaje nam się, że powinniśmy pokazać, jacy jesteśmy dobrzy, że inni tego od nas oczekują. A w karaoke nie ma znaczenia, czy ktoś jest dobry.

JinJin jako jedyna ze wszystkich dziewcząt nie miała przypisanego zachodniego imienia. Jako jedyna zachowała chińskie, które jej nadano przy urodzeniu, i Bill, obserwując ją, kiedy wyszukiwała dlań piosenkę, zastanawiał się, o czym to świadczy. Wydawało się, jakby jakaś część JinJin była niezmienna i nietykalna. Podobało mu się, że nie przybrała sobie fałszywego zachodniego imienia.

W końcu JinJin znalazła mu piosenkę i wszystkie dziewczęta zaczęły bić brawo, kiedy stanął niezgrabnie przed telewizorem, a on się zdziwił, widząc JinJin, która dołączyła do niego z mikrofonem w ręku. Może namawianie go do występu było dla niej tylko pretekstem, aby samej dorwać się znów do mikrofonu.

Gdzieś z zakamarków księgi wygrzebała dla niego piosenkę Carpentersów *Yesterday Once More*, nieskazitelnie banalny kawałek, przy którym dziewczęta z Rajskich Rezydencji zaczęły się kołysać z boku na bok z nieobecny wyrazem wilgotnych brązowych oczu. Głos JinJin wznosił się i szybował niczym Karen Carpenter made in China, Bill skrzypiał jej do wtóru, najlepiej jak mógł.

Kiedy przycichły ostatnie akordy i dziewczęta zaczęły klasnąć, Bill ścisnął drobniutką dłoń JinJin. Dziewczyna szybko zabrała rękę. Nie przeszkadzało jej, że utrzymuje ją bogaty, żonaty facet, który odwiedza ją, kiedy mu przyjdzie ochota, ale nie życzyła sobie obściskiwania rąk w barze karaoke z jakimś białym waźniakiem. Dziewczęta z Rajskich Rezydencji miały swoją godność.

W końcu nie miał wyjścia, musiał to zrobić sam. Z początku się opierał, ale dziewczyny nie chciały nawet o tym słyszeć. Nie miał się jak wymigać. W Chinach twoja kolej w karaoke nadejdzie równie nieuchronnie jak śmierć i znacznie mniej nieuchronnie niż podatek.

— Ja rozumiem — powiedziała JinJin. — Wstyd ci śpiewać.

I znowu ten jej przypadkowy dobór sformułowań, który w efekcie okazywał się trafniejszy niż to, co z pozoru wydawałoby się oczywiste. To prawda, nie tyle wstydził się śpiewać, nie przemawiała przez niego nieśmiałość, ile właśnie było mu wstyd.

Znalazły mu jakąś piosenkę Presleya i tak z tsingtao w jednym ręku i mikrofonem w drugim zawodził do melodii i słów wyświetlanych na ekranie.

Dziewczęta z Rajskich Rezydencji wiwatowały i oklaskiwały coś, co wydawało im się jego nieśmiałością. Ale problem tkwił w czym innym. Bill znał na pamięć słowa tej piosenki Presleya, znał je doskonale z wieczorów spędzanych z Shan'e'em i ich azjatyckimi klientami, tych wieczorów, kiedy karaoke było obowiązkowym punktem programu. Problem w tym, że to, co wyświetlano przed nim na ekranie, to nie były słowa tej piosenki, tylko nieudana chińska podróbka.

Mimo to zaśpiewał *She's Not You*. JinJin uśmiechała się do niego, a on śpiewał, najlepiej jak umiał, chociaż słowa były zupełnie niewłaściwe.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy w końcu wrócił do domu, czuł się tak dobrze, że telefon do żony wydał mu się doskonałym pomysłem. Jej głos zadźwięczał lodowato trzeźwy z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów i dnia wczorajszego.

— Halo?

— To ja.

Chwila milczenia, kiedy Becca zastanawiała się, co mu się stało.

— Bill, czy ty się upiłeś? — zapytała takim głosem, że nie potrafił ocenić, czy jest zniecierpliwiona, czy rozbawiona, czy jedno i drugie po trochu. Przede wszystkim jednak był to głos wkurwionej żony. — Właśnie kładłam Holly spać. — Usłyszał w jej słowach westchnienie.

Uświadomił sobie, jak ona go dobrze zna. Na tym polega kłopot z małżeństwem, pomyślał. Zna się człowieka na wylot.

— Chciałem ci tylko coś powiedzieć.

Wydawało mu się to takie ważne, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy w taksówce, gdy wracał z baru karaoke do domu na tylnym siedzeniu między dwiema Jenny, a Annie i JinJin siedziały z przodu obok kierowcy, JinJin nagle przybita po kilku godzinach śpiewania o niegasnącej miłości.

Teraz jednak poczuł, jakby to, co chciał powiedzieć, straciło nagle na ważności, kiedy zderzyło się z twardą rzeczywistością ich londyńskiego życia.

— Chcę jej kupić płytę z *YMCA*. — oznajmił. — Przez Internet, wystarczy jedno kliknięcie.

Tak bardzo zapalił się do śpiewania i uwierzył, że może jednak nie ma tak fatalnego głosu, jak mu się dotąd zdawało, że zaczął nucić kawałek piosenki Village People. Przerwał jednak, słysząc ogłuszające milczenie żony.

— I po to zadzwoniłeś? — Prawie słyszał, jak kręci głową. — Która tam u ciebie jest godzina?

Rozejrzał się po pokoju. Co on zrobił z tym zegarkiem?

— Późno — przyznał trochę speszony. — Chyba coś koło czwartej.

— Coś koło czwartej czy czwarta? W każdym razie tutaj ludzie już śpią. To naprawdę miłe z twojej strony, że myślisz o swojej córce, upijając się z Shane'em, ale Holly już zapomniała o tej głupiej piosence. W tym tygodniu na tapecie jest *Independent Women* Destiny's Child. Znasz to?

Bill wybuchnął śmiechem. *Independent Women* Destiny's Child! Piosenki, które wybierała sobie jego córeczka, wprowadziły go w wesołość i zachwyty i w jakiś magiczny sposób podsyciły jego ojcowską miłość.

— Becca, możesz mi ją dać na chwilę do telefonu?

Milczenie. Och, jak on świetnie znał jej różnorakie milczenia.

— Bill, ona już leży w łóżku. Nie wiesz, że chodzi do przedszkola? Gdybyś zadzwonił trochę wcześniej...

— W porządku — powiedział szybko. — Następnym razem. Wszystko dobrze? Z jej oddychaniem?

— W Londynie lepiej — odparła.

— A jak twój tata?

Teraz dopiero sobie uświadomił, że powinien był ją wcześniej zapytać o ojca. Zapadła najdłuższa z tych jej wszystkich chwil milczenia.

— Możliwe, że będzie musiał iść na operację — powiedziała chłodnym i obojętnym tonem. Przerwa. — Miło że, że zapytałeś — dodała, a Bill aż się skrzywił na krzyczący sarkazm w jej głosie.

— Operację? To okropne. To znaczy, że co? By-passy?

— Najpierw muszą zrobić coś, co się nazywa cewnikowaniem serca — powiedziała łagodniejszym tonem. Słyszał, że tłumi łyż. — Wprowadzają do serca jakąś rurkę przez żyłę czy tętnicę i wstrzykują barwnik. Potem decydują, czy potrzebna jest operacja.

Słyszał, jak przełyka ślinę.

— Bill, tak się boję.

— Bardzo mi przykro, Bec. — Znowu zapadło milczenie, ale tym razem nie było w nim nic złego. Oboje czuli tę więź i oboje znajdowali w niej pocieszenie. — Wszystko będzie dobrze, Bec — dodał łagodnie. — Jestem przekonany, że twój tata wyzdrowieje.

— Dziękuję, Bill. — Wzięła się w garść. Poczul, jak wzbiera w nim miłość. Musiało być jej ciężko. — Słuchaj, muszę iść do Holly. Słyszę, że się kręci.

Bill też słyszał, słyszał płacz jego Holly przefiltrowany przez mikrofon elektronicznej niani i osiem tysięcy kilometrów. Miała zły sen.

— Jasne — powiedział. — Kocham cię, Bec.

— Ja też cię kocham.

Nie mówili sobie tego zbyt często. Nie należeli do tych małżeństw, które potrzebują powtarzać to sobie codziennie. Słowa te padały, kiedy uprzytamniali sobie, co mają, i przepelniała ich wdzięczność i mądrość, aby docenić wszystkie błogosławieństwa, które na nich spływały.

Odłożył telefon, zmęczony i przybity, jak gdyby cała magia tego wieczoru okazała się tylko iluzją wywołaną tsingtao, starymi piosenkami Elvise i twarzą Li JinJin. Podeszedł do ostatniego okna w sypialni małżeńskiej. W oknie Li JinJin paliło się światło. Dziewczyna cały czas nie spała.

Postanowił z samego rana wyjść i kupić jej książkę z krzyżówkami. Widział, jak bardzo je lubi.

Wtedy może to nie będzie miało takiego znaczenia, kiedy jej telefon nie zadzwoni.

* * *

Shane nie mógł spać. Za każdym razem, kiedy odpływał, strumień bólu ściągał go z powrotem na ziemię.

Najostrożniej jak mógł, poprawił swoje wielkie ciało, a wtedy ból ulokowany gdzieś głęboko w kroczu łagodniał i zamieniał się w tępe pobołowanie. Przez kilka minut leżał nieruchomo, bojąc się nawet oddychać, żeby jej znowu nie obudzić. Na próżno.

Rosalita westchnęła ciężko w ciemności i jednym płynnym ruchem wstała z łóżka, włożyła cienutki szlafroczek i wyszła do salonu. Zostawiła otwarte drzwi i mrok sypialni rozproszyło światło zapalone w dużym pokoju.

Tak było przez cały czas, od kiedy zostali pobici z Billem, czy też, jak lubiła o nim mówić Rosalita: „twoim kumplem nieudacznikiem, którego zostawiła jego piękna żona”.

Czasami ból mijał, ale nigdy nie odchodził zbyt daleko i nigdy nie pozwalał Shane'owi przespać spokojnie nocy. Przewrócił się na plecy i znieruchomiał, przeklinając w duchu i bojąc się tak jak nigdy dotąd.

Czuł, że coś się z nim dzieje. Coś bardzo złego.

Kiedy wszedł do salonu, Rosalita siedziała tyłem do niego i stukwała na komputerze. Wtulił twarz w jej gęste czarne włosy. Przez cienką jedwabną tkaninę wyczuwał drobne ramiona. Spojrzał za okno. Na dworze było jeszcze ciemno.

— Chodź do łóżka — powiedział głosem schrypniętym od niewyspania. — Późno jest.

Jej drobne brązowe dłonie śmigały po klawiaturze.

— Nie można spać, nie można uprawiać seksu — powiedziała z emfazą. — Więc sprawdzę pocztę.

Spojrzał nad jej ramieniem na monitor komputera i jego wycieńczone oczy zamrugały nagle z niedowierzania.

Mój kochany, tak mi brakuje twoich oczu, ust,
twojego wielkiego, tłuściutkiego kutaska...

Odskoczył od niej jak porażony prądem.

— Co to jest, do kurwy nędzy?

— Stary e-mail, stary przyjaciel — powiedziała zbywająco.

— Właśnie go kasowałam.

Shane wpatrywał się w ekran, ale wiadomość znikła. Jego żona odwróciła się na krzesło i popatrzyła na niego oczami jak wielkie brązowe reflektory. Shane skrzywił się, bo znowu przeszedł go dreszcz bólu.

— Powinieneś iść do lekarza — powiedziała gniewnie. — Jeśli jesteś chory, powinieneś iść do doktora.

— Kto to był? — zapytał. — Chcę wiedzieć, kto to był.

Ale ona tylko uśmiechnęła się do niego zimno, aż Shane cofnął się o krok. Jego żona potrafiła być impulsywna i zacięta, chociaż nikt by jej o to nie podejrzewał, słuchając, jak śpiewa ckliwe miłosne piosenki.

— Proszę cię, Rosie, powiedz mi. Chcę wiedzieć — powtórzył błagalnie.

— Nie — powiedziała cicho. — Nie chcesz wiedzieć. Naprawdę nie chcesz tego wiedzieć.

Wylogowała się i poderwała z krzesła jak mała brązowa kocica — sprężysta, drobna i zdolna każdemu rzucić się do oczu z pazurami. Patrząc z góry na swą malutką żonę, Shane potulnie ruszył za nią do sypialni. Zsunęła z siebie szlafrok i Shane aż wstrzymał oddech, kiedy wśliznęła się naga pod kołdrę, a potem znowu odwróciła do niego plecami.

Pragnał jej. Przynajmniej w teorii. W myślach. Bo jego ciało nie miało ochoty na seks od czasu tamtej bijatyki i od momentu, kiedy zaczęły się bóle. Czuł się zdezorientowany. Zdało mu się, że będzie miał ochotę pieprzyć ją przez całe wieki,

aż tu nagle, i to tak szybko, cała gorączka wyparowała.

Może wszystko byłoby inaczej, gdyby nie ten ból i strach. Może to one wszystko psuły.

Tak więc Shane leżał po ciemku, starając się nie poruszać i myśląc o cielesnym życiu, które ich przedtem łączyło, i tej bliskości, i wszystkich jej odcieniach, ale również tęskniąc za czymś, czego tak naprawdę nigdy w małżeństwie nie doświadczył, a co widział u Billa i jego żony: przyjaźni.

* * *

Rankiem przyjechał po niego Bill.

Byli umówieni na lunch z przedstawicielem prywatnej firmy medycznej z Anglii. Rosalita jeszcze spała. Shane miał nadzieję, że się nie obudzi, kiedy będą wychodzić. Nie chciał, aby jego przyjaciel się zorientował, jak źle sprawy stoją.

— To będzie następny błyskawicznie rozwijający się rynek w Chinach — stwierdził Bill, patrząc, jak Shane morduje się z wkładaniem butów. — Prywatna służba zdrowia. Nowobogacy dostaną na tym punkcie bzika.

— Dochodowa branża — zgodził się Shane.

Był to ulubiony temat rozmów w Szanghaju — następny przebój chińskiego rynku. Kolejna złota żyła do odkrycia. Szwajcarzy przyjechali do Szanghaju, aby ocenić możliwości otworzenia w Chinach prywatnych szpitali, coś na wzór usług oferowanych cudzoziemcom w Międzynarodowym Szpitalu Rodzinnym, gdzie Becca pojechała z Holly, ale dla chińskich obywateli.

— Chińczycy to naród hipochondryków — powiedział Shane. — Zaswędzi żółtka tylek, a on już jest święcie przekonany, że to rak okrężnicy.

Z grymasem bólu na twarzy skończył zawiązywać sznurowadło w swoich półbutach od Church'e's. Kiedy się wyprostował, Bill zobaczył krople potu na jego czole.

— Nic ci nie jest? — spytał.

— Wszystko gra, stary — odrzekł Shane. Odgarnął z czoła mokry kosmyk blond włosów i usiadł, żeby złapać oddech. Otworzył laptopa i wyjął z niego płytę. — Możesz mi to schować? W sejfie.

Bill wziął od niego CD. Była podpisana SUN.

— Za Mona Lizą — powiedział Shane.

Nad telewizorem plazmowym wisiała na ścianie doskonała reprodukcja Mona Lizy. Bill ostrożnie zestawił obraz na ziemię i kiedy Shane podyktował mu sześciocyfrowy kod, przekreślił tarczę małego ściennego sejfu. Grube metalowe drzwiczki otworzyły się z podwójnym piknięciem elektronicznego zabezpieczenia. Kiedy wkładał do środka płytę, zobaczył paszporty, pudełka z biżuterią i zwitki zagranicznych walut.

I coś jeszcze.

Wyglądał jak tania zabawka: malutki, prosty, niepozorny. Jakby zupełnie nieszkodliwy. Leżał między pudełeczkami od Tiffany'ego, plikami amerykańskich dolarów i australijskimi i filipińskimi paszportami.

Bill sięgnął do środka sejfu i wyjął pistolet, trzymając go za lufę. Czuł, jak mu przy tym zaczęło walić serce. Pistolet był ciężki, cięższy, niż sugerował to jego niepozorny wygląd, ale lżejszy od paczki cukru. Pachniał smarem. Bill położył go sobie na dłoni i wyciągnął ją w stronę Shane'a.

— Co to jest, do cholery?

— Zasada Kai Tak — odparł Shane. — Pamiętaj o zasadzie Kai Tak. Ani słowa nikomu. Odłóż to na miejsce.

— Zasada Kai Tak? — powtórzył Bill. — Nie dmuchasz barowej dziwki w Manili. To nie przygoda na wycieczce. Poza tym komu miałbym powiedzieć? I co? Że nasz nagrodzony szef działu spraw sądowych ukrywa w sejfie gnata? Bo chyba tak to się nazywa, co?

— Bill, mówię poważnie. Odłóż ten pistolet na miejsce.

— Shane, chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

— Dobrze.

Shane wziął od niego broń. Obchodzi się z nim zaskakująco wprawnie, pomyślał Bill.

— To PSM, zwany również makarowem — wyjaśnił Shane.
— Rosyjski pistolet, kopia walthera PP, takiego, jaki miał Bond. To jest tandetna komunistyczna wersja. W Chinach się od nich roi. Z czasów kiedy Mao miał walczyć dla Stalina. Pięćdziesiąt lat temu, w czasie wojny w Korei, Mao powiedział, że może poświęcić milion Chińczyków w wojnie z Amerykanami, ale potrzebuje broni. Żółtek chciał rozwinąć przemysł zbrojeniowy, ale Stalin dał mu tylko gotową broń. Taką jak to. Jest mały, wygodny do noszenia i piekielnie łatwy w obsłudze. Największy kretyń umiałby się nim posługiwać.

Billowi odebrało mowę. Nie wiedział nawet, od czego ma zacząć.

— Ale po co ci broń? Wyrzucą cię z tego kraju. Wpakują do więzienia. Mogą nawet wyrzucić stąd całą firmę.

— Nikt nie wyrzuci żadnej firmy, nie bój się.

Bill gapił się osłupiały na pistolet.

— Nie mam pojęcia, jak ci się udało to kupić. — Spojrzał ostro na Shane'a. — I wcale nie chcę wiedzieć.

— W Chinach możesz kupić, co tylko zechcesz — odparł Shane. — Jeszcze się tego nie nauczyłeś? A broni tu pełno. Kiedy Mao dawał ludziom broń, czekając na jakąś obcą inwazję, to uważasz, że wszyscy ją potem grzecznie oddali?

— Spadną ci na głowę jak tona cegieł — powiedział Bill. — O ile wcześniej to coś ci jej nie odstrzeli, jak tylko naciśniesz spust.

Czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Shane nie umiał mu tego wyjaśnić. I nawet nie próbował. Ostrożnie odłożył makarowa z powrotem do sejfu i zamknął drzwiczki.

Bill obserwował, jak odwiesza Mona Lizę na miejsce, i czekał, ale Shane pokręcił głową. Nie umiał znaleźć słów. Wiedział, że jego potrzeba posiadania broni miała jakiś związek z ich pobiciem, a także z tym, co może oznaczać ten ból, który

go nęka, i przytłaczającym uczuciem, że wszystko w jego życiu się rozpada.

W efekcie jednak Shane nie potrafił wyjaśnić przyjacielowi, dlaczego musi w tym mieście mieć broń.

Wiedział, że ma to również jakiś związek z jego żartami na temat żółtych brudasów i z jego zwyczajem upijania się co noc, i potrzebą spoglądania na rosnący stos pieniędzy, i tęsknotą za czymś, co mogło być prawdziwą miłością.

Dlatego właśnie trzymał w domu pięćdziesięcioletni pistolet.

Aby przekonać samego siebie, że to miejsce go nigdy nie skrzywdzi.

* * *

Nie każdy klient chciał, aby go zabrano na ulicę Mao Ming Nan Lu.

Nie każdy biznesmen, który korzystał z usług Butterfielda, Hunta and Westa, miał ochotę oglądać dziewczęta od Suzy Too. Wszyscy za to chcieli zobaczyć to, co uważali za prawdziwy Szanghaj.

To miasto z całą jego szaleńczą nowoczesnością nieodmiennie wywoływało wrażenie, że człowiek jakoś przeoczył prawdziwy Szanghaj. Imponujący zarys Pudongu, dziewczęta tańczące na stołach BB z kufkami guinnessa w dłoniach, kawa cappuccino na każdym rogu, przecież to chyba nie mógł być prawdziwy Szanghaj, prawda?

Dziewczęta, które przychodziły wieczorem na Mao Ming Nan Lu lub mieszkały w Rajskich Rezydencjach, były w nie mniejszym stopniu mieszkankami Szanghaju niż uliczny goli broda na Fuyou Lu, a upodobanie do Starbucksa — mówi się, że w Szanghaju jest więcej barów kawowych niż w Miami — było jak najbardziej szanghajskie, podobnie jak potrzeba pokazania wysoko rozwiniętemu światu, że Chiny nie tylko go dogoniły, ale wkrótce przegonią i zostawią w tyle na pewną śmierć.

To wszystko był najprawdziwszy Szanghaj, wystarczyło tylko tego chcieć.

Bill był zachwycony, kiedy ich klient z firmy medycznej, chorowicie wyglądający wielbiciel Milesa Davisa z Home Counties, oświadczył im podczas lunchu, że tak naprawdę najbardziej na świecie chciałby posłuchać jazzu w hotelu Peace.

Bill wiedział, że Shane w cichości ducha szydzi z hotelu Peace jako turystycznej atrakcji, pozwolił mu się więc wymigać od spotkania, zwłaszcza że wyglądał jak siedem nieszczęść, a on zawsze lubił popijać tsingtao, słuchając po raz tysięczny starych utworów Glenna Millera. Siedział tam i myślał o Bette i Holly, o tym, że muszą teraz wracać z przedszkola do domu, i patrzył na muzyków, którzy byli nastolatkami, kiedy do Chin wkraczali Japończycy, a teraz jako dziarscy siedemdziesięcioletkowie dalej wygrywali swoją ognistą wersję *In The Mood* i *String of Pearls* i *I Love My Wife*.

Kiedy ich klient nasłuchał się już dość i zmęczenie po podróży dało mu się we znaki, Bill kazał Tygrysowi odwieźć go do hotelu, a sam wziął taksówkę i pojechał do domu w Rajskich Rezydencjach. Wszedł do mieszkania, ciesząc się, że ma przy sobie torbę na zakupy z księgarni Book City.

Nosił ją ze sobą od kilku godzin i bał się, że może ją zostawić w barze pod stołem albo w taksówce. Miał w niej wszystkie możliwe książki z krzyżówkami, jakie znalazł w Book City.

Zadzwoił dzwonek i Bill podskoczył jak oparzony. Pobiegł do drzwi, spodziewając się zobaczyć za nimi jej twarz, ale to była Jenny Jeden. W rękę trzymała parujący pojemniczek z jedzeniem na wynos zawinięty w lnianą serwetkę.

— Zupa chińska z makaronem — powiedziała, jakby to wszystko tłumaczyło. — Potrzebujesz zupy z makaronem.

Weszła do mieszkania i zlustrowała wnętrze fachowym okiem.

— Płaci firma, co? — zauważyła, rozglądając się za miejscem,

gdzie by mogła postawić zupę. — Nie musisz płacić.

Weszła do kuchni i zaczęła szperać po szafkach, szukając garnków i talerzy.

— To bardzo miłe, ale czemu uważasz, że potrzebuję zupy z makaronem?

— Żona wyjechać — odrzekła.

Czy one wszystkie o tym wiedziały? I co myślały? Czy sądziły, że Becca wyjechała na zawsze?

— Tylko na jakiś czas — mruknął Bill, patrząc, jak fordanserka podgrzewa jedzenie.

Zupa była dobra, z grubym makaronem, dużą ilością warzyw i soczystymi kawałkami wieprzowiny. Obserwowała go, jak pochłania jedzenie, pogardliwym wzruszeniem ramion odmówiwszy, kiedy zaproponował, aby mu towarzyszyła.

— Dobra technika pałeczki — orzekła, z uznaniem wywracając w dół kąciki ust. Jej uwagę zwróciła torba z Book City. Zajrzała do środka. — Ooo. — Spojrzała na Billa i uśmiechnęła się ze zrozumieniem. — Dla Li JinJin?

Bill pokręcił głową, czując, jak się rumieni.

— Nie — powiedział. — Dla mnie. Lubię rozwiązywać krzyżówki.

Jenny Jeden z powątpiewaniem splotła ręce na piersi.

— Dobra zupa?

— Bardzo dobra. Dziękuję, Jenny Jeden.

— Myślę, że on ją bardzo kochać — pokiwała głową. Bill jadł, nie odrywając oczu od talerza. — Myślę, że on w końcu zostawić żonę dla JinJin.

Nie odpowiedział, ale widział, że Jenny Jeden pragnie dla JinJin szczęśliwego zakończenia, zakończenia, które ominęło fordanserkę z francuskim akcentem.

Zobaczył też, że chociaż dziewczęta z Rajskich Rezydencji budziły oburzenie i zgorszenie w świecie zachodnich ekspatriantów, wszystkie one żyły bardzo przekonującymi marzeniami o trwałych związkach, małżeństwie, monogamii i dzie-

ciach. Nie dało się zaprzeczyć, że w najlepszym razie były czyimiś utrzymankami, ale też wszystkie pragnęły tego, czego żadna z nich nie miała: że ktoś zostanie z nimi na całą noc.

— Ty ją kochać — powiedziała Jenny Jeden.

Zirytowało go beztrioskie, chińskie szafowanie tym słowem.

Szafowali nim na prawo i lewo, jakby nic nie znaczyło albo znaczyło tyle, że ktoś komuś wpadł w oko.

— Kocham swoją żonę — powiedział, myśląc o piosence z hotelu Peace i Becce, i Holly wracających za rączką z przedszkola. — Nikogo innego.

— I może Li JinJin kochać ciebie — ciągnęła Jenny Jeden, nie zwracając na niego uwagi. Była teraz poważna i Bill zorientował się, że po to tak naprawdę tu przyszła. Zupa nie miała z tym nic wspólnego. Jenny Jeden chciała mu coś powiedzieć, czego on nie rozumiał, bo był zbyt tępy. — Ale ona musi myśleć o swojej przyszłości. — I zaczęła wyliczać wszystko, co przemawiało na jego niekorzyść: — Żonaty... obcokrajowiec... żadna przyszłość.

Wstała do wyjścia. Nie było o czym więcej rozmawiać. Bill podziękował jej za zupę, odprowadził do drzwi i kiedy wyszła, podszedł do ostatniego okna w sypialni i wyjrzał na podwórze. Srebrne porsche stało zaparkowane i puste. A więc facet przyjechał, ale tym razem nigdzie nie wychodzili.

Bill obserwował światła w jej mieszkaniu, dopóki wszystkie nie pogasły, a kiedy to się wreszcie stało, wepchnął torbę z krzyżówkami na samo dno kosza na śmieci.

I to też był prawdziwy Szanghaj.

* * *

Można było przejść na piechotę od lekarza na Great Portland Street, gdzie chodziły z Holly, aż do domu jej siostry w Primrose Hill i ani razu nie postawić nogi na niczym innym poza trawą.

Becca kupiła sobie i Holly lody nad stawem w Regent Parku, ostatnie lody tego lata. Z oddali dochodził zapach ogrodu

zoologicznego. Londyn sprawiał wrażenie miasta zbudowanego na ludzką miarę, miasta, w którym dziecko mogło oddychać.

Zostawiły za sobą park, minęły zoo i przeszły na drugą stronę Prince Albert Road. Oddaliły się już kawałek od zoo, gdy nagle ni stąd, ni zowąd wyrosły przed nimi dwie żyrafy.

— Zobacz, mamusiu! — zawołała Holly. — Zaczarowane żyrafy!

To był ich rodzinny sekret. Żyrafy w londyńskim zoo trzymano po drugiej stronie ulicy, nieco na uboczu, z dala od reszty terenów ogrodu, co sprawiało, że wyrastały przed oczami przechodnia zupełnie niespodziewanie, niczym za sprawą magii. Ich głowy kołysały się wysoko nad drzewami, jak gdyby zwierzęta spacerowały sobie swobodnie ruchliwymi ulicami miasta.

— Widzieliśmy je razem z tatusiem, prawda? — powiedziała Holly podniecona. — Pamiętasz? Widzieliśmy zaczarowane żyrafy razem z tatusiem.

— Tak, kochanie — odparła Becca, biorąc córkę za rączkę. Patrzyły w górę na zwierzęta. — Widzieliśmy je z tatusiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nazajutrz wieczorem zadzwonił ojciec.

Telefon brzęczał, kiedy Bill wszedł do mieszkania wykończony po dwunastu godzinach w biurze i jeszcze kolejnych spędzonych z klientami przy Mao Ming Nan Lu. Popsuł mu się humor do reszty, kiedy usłyszał wściekłość w głosie ojca.

— Musisz wrócić — powiedział staruszek. — Powinieneś być ze swoją rodziną.

Jak długo to w sobie dusił? Dni? Tygodnie? Oczami wyobraźni Bill widział, jak jego ojciec rozmyśla i truje się tym przy swoich codziennych czynnościach — robiąc zakupy, oglądając telewizję, pijąc herbatę. Pod tą powierzchnią domowego życia zawsze wrzał gniew ukryty za zasłoną teleturniej ów i beztroskich pogawędek w miejscowym supermarkecie. Jego ojciec będzie chodził ze złością w sercu do dnia swojej śmierci.

— Nie mogę teraz wrócić, tato — odparł Bill. — Podpisałem umowę. Poza tym to moja szansa, największa szansa, żeby zostać współnikiem firmy.

— Nie rozumiem — odrzekł ojciec, a Bill wiedział, że właśnie na tym polega istota problemu. Staruszek nie potrafił i nigdy nie będzie w stanie tego pojąć, ponieważ całe życie tyrał za marne grosze. — Dlaczego to takie ważne, żeby zostać współnikiem? Co to właściwie znaczy?

Bill wziął głęboki oddech.

— Wspólnicy nie pracują dla firmy — powiedział. — Oni ją tworzą. Nie dostają pensji, tylko udziały z zysków.

Staruszek przetrwał to, co usłyszał.

— Jeżeli są jakieś zyski — zauważył.

— Słucham?

— Jeżeli firma ma jakieś zyski — powtórzył ojciec. — Możesz mieć udział w zyskach tylko wtedy, kiedy firma przynosi zyski. Nie możesz mieć udziałów w cieście z powietrza i pudingu z niczego, prawda? Nie dostaniesz procentów od figi z makiem.

Bill roześmiał się z niedowierzaniem.

— Formalnie rzecz biorąc, masz rację — odparł. — Ale tutaj to nie wchodzi w grę. Uwierz mi, w Szanghaju nie ma takiej możliwości, żeby firma nie zarabiała. Tutejsza gospodarka pęka w szwach. Nasza firma ma więcej roboty, niż jest w stanie przerobić.

— Nie znam się na tym — stwierdził staruszek — ale domyślałam się, że partner musi mieć udział nie tylko w zyskach, ale i w kosztach, tak? Nie można być właścicielem tylko wtedy, kiedy sprawy idą jak po maśle. Ale oczywiście ja się na tym nie znam.

Jak mam mu to jeszcze jaśniej wyłożyć, żeby zrozumiał, że jest starym durnym capem? Głowa Billowi pękała. Od walenia w mur, pomyślał.

— Masz rację, tato — powiedział cicho, pocierając skronie. — Wspólnik bierze na siebie całą odpowiedzialność za działalność firmy prawniczej. Dlatego istnieje coś, co nazywa się „wezwaniami kapitałowymi”. Kiedy zostajesz wspólnikiem, musisz zainwestować w firmę. Około dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Firma pomaga ci wziąć kredyt.

W słuchawce zapadła chwila niedowierzającego milczenia.

— Każą ci wziąć kredyt na ćwierć bańki, jeśli chcesz zostać wspólnikiem?

Tyłu pieniędzy staruszek nigdy w życiu nie widział na oczy,

nawet nie potrafił ich sobie wyobrazić. Mieszkał w małym domku na przedmieściu i pracował na niego całe życie. Za taką sumę można było kupić cztery takie domy jak jego.

— Musisz zainwestować w firmę, jeśli chcesz jechać na tym samym wózku co inni wspólnicy — wyjaśnił Bill. — Na dobre i na złe. Bogatsze i biedniejsze.

— Jak w małżeństwie — podsumował ojciec.

— Tak, tato. Tak jak w małżeństwie.

Znowu chwila ciszy. A potem prawdziwy powód telefonu.

— Wracaj do domu — powiedział ojciec głosem aż szorstkim od emocji. — Natychmiast wracaj do domu. — To nie była sugestia, tylko nakaz. — Zostaw tamto wszystko w diabły, Bill. Twoje dziecko cię potrzebuje.

— Holly? Ale przecież z Holly jest wszystko w porządku. Becca mówiła, że...

Nagle starzec zapalał prawdziwym gniewem i przez moment Bill wierzył, że ojciec go naprawdę nienawidzi.

— Myślisz, żeś pozjadał wszystkie rozумы, co? Nie masz bladego pojęcia, co się dzieje. Holly nie mieszka nawet z matką. Wiedziałaś o tym?

Bill poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

— Co takiego?

— Tak jest, Einsteinie. Tak, cholerny panie wszystkowiedzący. Biedactwo podrzucili siostrze Becki. Wiesz coś o tym?

Siostrze Becki? Holly mieszka z siostrą Becki? Z tą wariatką, która co kilka lat zmienia pracę, kolor włosów i faceta?

Starając się zapanować nad falą wszechogarniającej paniki, Bill jak najszybciej rozłączył się z ojcem i zadzwonił do Becki. Zajęte.

Pewnie jest u ojca w szpitalu, pomyślał z goryczą. Wymówka na wszystko.

Znalazł notes z telefonami i zadzwonił pod numer, który miał do jej siostry, ale okazał się nieaktualny. Zadzwonił do ojca, ale on też miał tylko telefon do Becki, więc Bill odłożył słuchawkę, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Dlaczego Bill nie miał numeru do jej siostry? Ponieważ numer telefonu należał do rzeczy, które zmieniały się u tej kobiety jak w kalejdoskopie. Obląkana siostra Becki bez przerwy zakładała nowy telefon, żeby się pozbyć kolejnych obląkanych narzeczonych, a niekiedy też ich wściekłych żon.

Bill wyobraził sobie swoją córeczkę u niezrównoważonej ciotki Sary i po raz pierwszy w całej tej żalosalnej historii naprawdę zezłościł się na własną żonę.

Co się obecnie dzieje w życiu Sary? Czyje małżeństwo próbuje aktualnie zniszczyć? Co ją pochłania w tym tygodniu? Seks tantryczny, dieta wegańska czy kokaina? Z tą kobietą wszystko było możliwe. Billa nie obchodziło, jak bardzo chory jest ojciec Becki, jak bardzo z nim źle. Nic nie usprawiedliwiało upchnięcia Holly w takim miejscu. Gdzieś na drugim końcu świata jego córeczkę oddano w ręce niepoczytalnej, rozwiązłej i nieodpowiedzialnej baby. I diabli wiedzą, kogo jeszcze, z kim obecnie mieszkała.

Bill cisnął telefonem w drugi koniec pokoju. Aparat roztrzaskał się na kopii *Słoneczników* van Gogha.

* * *

Rano zobaczył karteczkę wsuniętą pod drzwi. Karteczka z rysunkiem *Hello Kitty* złożona była na pół, a na niej napisano: „Proszę, zadzwoń do mnie”, a pod spodem imię JinJin po angielsku i po chińsku oraz telefon jej komórki.

Przez chwilę patrzył na liścik, po czym zgniótł go w diabły i wyrzucił do śmieci, gdzie od wczoraj leżały też książki z krzyżówkami. Miał dosyć tych bzdetów, tej dziecinady, karmienia jedzeniem, o które nie prosił, dosyć gapienia się w okna.

Zaczął się przygotowywać do pracy. Nie mógł jeszcze zadzwonić do Londynu. Tutaj było za wcześnie, tam za późno. Z którejkolwiek strony spojrzeć, pora była do chrzanu.

W niedzielę po południu, kiedy nie miał do roboty nic poza

czekaniem, aż zacznie się tydzień pracy, JinJin zapukała do jego drzwi.

— Umiesz to operować?

Trzymała w ręku nierozpakowaną małą kamerę Sony. Była to najnowocześniejsza wersja sprzętu, jakiego on sam używał do kręcenia filmów swojej dorastającej córeczce.

— Każdy głupi umie to obsługiwać — powiedział.

JinJin kiwnęła radośnie głową i wyciągnęła do niego kamerę.

To on był głupim, którego wybrała.

Poszli do jej mieszkania i w czasie gdy Bill uruchamiał kamerę, JinJin znikła w sypialni. Po jakimś czasie wyszła ubrana w nienaganne czerwone qipao, umalowana tak, że wyglądała jak własny duch: z wybieloną skórą, jabłkowym różem na policzkach i jakąś lepką substancją nadającą ustom mokry połysk.

Bill pokręcił głową, ledwo rozpoznając w niej tę samą kobietę, która nie używała żadnych kosmetyków poza czarnymi kreskami wokół oczu.

— Jak myślisz? — zapytała, prezentując swoją naturalną urodę zagrzebaną głęboko pod grubą warstwą pudru i farby.

— Bardzo ładnie — skłamał.

Li JinJin nie wiązała swoich marzeń na przyszłość z mężczyzną w srebrnym porsche. Najbardziej na świecie marzyła o czytaniu wieczornych wiadomości w CCTV, państwowej chińskiej telewizji. To by rozwiązało wszystkie jej problemy. Siedzieć z powagą za biurkiem na tle nocnego zdjęcia Szanghaju i czytać z telepromptera dobre wieści o kolejnych chińskich sukcesach. Marzyła o tym chyba jeszcze bardziej niż o szczęśliwym domu.

Biegała po mieszkaniu, dopóki nie znalazła odpowiedniego miejsca, skąd mógł ją nakręcać. Oboje byli zdenerwowani: JinJin, ponieważ wierzyła, że to jej wielka szansa na wejście do show-biznesu, Bill, ponieważ nie potrafił włączyć kamery. Trochę czasu minęło, kiedy ostatnio filmował swoją córeczkę.

Kiedy wreszcie zabłyśło czerwone światelko, kiwnął głową i JinJin zaczęła mówić o sobie w sztywnym mandaryńskim dialekcie, a Bill usiłował utrzymać kamerę nieruchomo. CCTV szukała kandydatów na prezenterów telewizyjnych, a JinJin szukała nowego zawodu, nowego życia, szansy na ucieczkę z Rajskich Rezydencji.

Wzruszając i żalodne zarazem, pomyślał Bill. Przypomniał mu się wieczór w barze karaoke, kiedy JinJin nie chciała wypuścić z ręki mikrofonu. Żyła niedojrzałą fantazją, jak gdyby jakaś zaniedbana część jej duszy domagała się uwagi i pragnęła, aby świat ją zauważył.

Z drugiej strony, kim on był, żeby szydzić z cudzych marzeń? Czuł, jak wzbiera w niej nieuzasadniona duma. Czemu nie miałyby czytać wieczornych wiadomości w CCTV? Była ładniejsza od dziewcząt, które zatrudniali w telewizji. Albo może po prostu miała w sobie więcej życia.

Podniósł kamerę i jej walentynkowa twarz wypełniła kadr. Usta miała za małe, zbyt słabą brodę, wielkie czarno-brązowe oczy wydawały się jeszcze większe, ponieważ osadzone były w małej głowie spoczywającej na długim smukłym ciele. Nawet bez zębatego uśmiechu trudno ją było nazwać klasyczną piękną. Czy to możliwe, żeby ktoś ją zatrudnił jako prezenterkę telewizyjną? Bill nie miał pojęcia, ale kiedy opuścił kamerę i nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, rozumiał doskonale, jak ktoś mógł ją pokochać.

— Czy coś się stało? — spytała.

Pokręcił głową.

— Nic się nie stało, JinJin.

Dotknęła palcami twarzy.

— Chodzi o moją skórę.

— Z twoją skórą jest wszystko w porządku — odparł.

I rzeczywiście pod grubą warstwą makijażu nie widać było, że ma kłopoty ze skórą.

— Wyglądam brzydko?

— Ależ skąd. — Roześmiał się z absurdalności tego stwierdzenia. — Nigdy nie mogłabyś brzydko wyglądać.

— Mam bardzo wrażliwą skórę — powiedziała, patrząc na palce, którymi dotykała twarzy. — Ty masz szczęście, nie masz wrażliwej skóry.

— To prawda — potwierdził. — Mam bardzo niewrażliwą skórę. — Podniósł kamerę, ale po chwili znowu ją opuścił. — Ale za to bardzo wrażliwe serce.

— Ha! — zawołała, a jej zębaty uśmiech wyrzał jak słońce zza chmur. — Angielski żart.

— Jesteś śliczna, JinJin — powiedział. — Nie wiesz o tym? Nie słyszałaś tego tysiące razy od różnych mężczyzn?

— Och — westchnęła, a Bill wyczuł w niej niepewność. — Słyszeć to nie to samo co wiedzieć.

— Czy to mądre chińskie przysłowie, czy sama to wymyśliłaś na poczekaniu?

JinJin uśmiechnęła się szeroko.

— To mądre chińskie przysłowie, które wymyśliłam na poczekaniu.

— No dobrze, jeszcze raz weźmy byka za rogi — powiedział, kadrując jej idealną buzię. — Tylko tym razem spróbuj oddychać. Wolno ci oddychać.

— Przepraszam?

Mówiła „przepraszam”, kiedy chciała, żeby coś powtórzyć. Bill pomyślał, że właśnie dlatego sprawia wrażenie kobiety z Women Institute. Nie znał żadnej innej osoby, która mówiłaby w takich okolicznościach „przepraszam”.

— Zróbmy to jeszcze raz — powiedział.

I zrobili to jeszcze raz, a Billowi serce się krajało, ponieważ widział małe szanse na to, żeby JinJin mogła czytać wiadomości w CCTV. Cały bowiem jej urok, wdzięk, humor i ciepło wyparowywały w chwili, gdy w kamerze zapalało się czerwone światełko. Za bardzo się denerwowała, a to zdenerwowanie wcale nie mijało, w miarę jak powtarzali nagranie raz za razem. W dodatku jej skóra, tak samo jak jej ambicje, aby sięgnąć

po telewizyjną sławę, była dziwnie niedojrzała — młodzieńcza, ze skłonnością do trądziku, raptownych wysypek i wykwitów.

Jej zdenerwowanie udzielało się też jemu. Kiedy dawał znak głową, że włącza kamerę, uśmiech JinJin — ten śliczny, naturalny, trochę gamoniowaty uśmiech — zastygał w sztywny grymas, zaczynała się jąkać, mylić i nie potrafiła powstrzymać drżenia strachu w głosie.

Prawda była taka, że nie nadawała się do tego zawodu. Ale może mogłaby się poprawić? Przełamać strach, zrobić coś ze swoją trudną skórą. Z jakiegoś powodu pragnął w nią wierzyć.

Gdy skończyli kręcić, posadziła go przy stole w swojej małej kuchni i przyniosła dwie parujące miseczki *congee*. Powiedziała mu, że kiedy jest sama, jada tylko taki kleik ryżowy.

— Bywam w wielu restauracjach — oznajmiła — ale w domu lubię proste jedzenie.

— Rozumiem to doskonale — odrzekł, obserwując, jak nalewa zieloną herbatę do dwóch filiżanek. — Ja też często chodzę do restauracji.

— Z żoną? — zapytała, nie patrząc na niego.

— Czasami z żoną — odparł. Sięgnął po filiżankę, ale była za gorąca, żeby ją utrzymać w palcach, więc szybko cofnął rękę. — Ale najczęściej z klientami.

— Nie trzeba być zawsze bogatym — stwierdziła.

Wtedy usłyszeli klucz w zamku i do mieszkania wszedł mężczyzna. Ni stąd, ni zowąd w drzwiach stanął nieznajomy ze srebrnego porsche.

Gapił się z otwartymi ustami na JinJin i Billa, jak gdyby w tym samym stopniu zaskoczony widokiem jednego i drugiego. Bill gapił się tak samo na niego, zastanawiając się, czemu zaszokował go fakt, że mężczyzna ma klucze do mieszkania. Przecież to naturalne i oczywiste, że miał klucze. To było jego mieszkanie, jego własność, łącznie z całym wyposażeniem.

JinJin podbiegła do niego, ale chociaż nie pocałowała go na przywitanie, wzięła go za ramię w taki sposób, jakby zwłaszcza, że sprawiało to jeszcze bardziej intymne wrażenie niż pocałunek, i dużo gorsze.

Zaczęła paplać radośnie, wyjaśniać, co robili, pokazała mu ogłoszenie w chińskiej gazecie, jakby chciała mu udowodnić, że nie kłamie.

Bill siedział bez ruchu i w milczeniu obserwował, jak JinJin skacze koło mężczyzny — usadza go na sofie, zabiera Billovi kamerę i daje tamtemu, żeby mógł ją obejrzyć i wyrazić swoją aprobatę, a potem wychodzi przygotować herbatę, cały czas nie przestając trajkotać. I patrząc na to wszystko, tłumił uczucia, których nie miał ochoty czuć.

Był nią rozczarowany. Przez tę długą chwilę siedział i obserwował, jak tamten się rozbiera, jak czuje się u siebie, i był coraz bardziej rozczarowany JinJin. Nie chciał się tak czuć, ale nic nie mógł na to poradzić.

Porzuciła pracę nauczycielki dla tego faceta? Zostawiła dla niego dzieci, które ją tak podziwiały? Odgrywała złotego kanarka dla kogoś tak przeciętnego? Komuś takiemu oddała ciało?

Obaj mężczyźni skinęli sobie głowami, a Bill tłumił zółć, która w nim wzbierała. Twarz mu się wykrzywiła w grymasie zażenowania i odrazy. Facet miał około czterdziestki. Nie młodzieniaszek, pomyślał Bill. Przedwcześnie posiwiwały, ale nie utuczony jak wielu chińskich biznesmenów, wysoki i dobrze zbudowany. Bill zastanawiał się, czemu go to zaskoczyło. Zastanawiał się też, czy udało mu się ukryć pogardę, którą obudził w nim od pierwszego spojrzenia.

Mężczyzna miał na sobie strój nadający mu elegancko nie dbały wygląd zamożnego Azjaty: koszulka polo, szare flanelowe spodnie, buty wypolerowane na wysoki połysk, że można się było w nich przeglądać — w skrócie japoński urzędnik po godzinach. Taki image przyjmowały wszystkie najnowsze chińskie grube ryby. Nie mówił po angielsku i nie próbował

uściskać Billowi dłoni, ale też nie okazywał wrogości, tylko obojętność. Bill Holden był dla niego nikim, zwykły biały ściągnięty z sąsiedztwa do odwalania jakichś robót domowych.

Nie stanowił dla niego zagrożenia, nie był rywalem, więc nie ma o czym gadać.

JinJin nieproszona wytłumaczyła mu, co robili z Billem, i wytłumaczenie zostało przyjęte. Obecność Billa w mieszkaniu JinJin nie miała dla tego mężczyzny znaczenia, nie miała najmniejszego wpływu na jego życie ani na wieczorne plany.

Bill zaczął się zastanawiać, co by powiedziała Becca, gdyby tu weszła i zobaczyła go z nowiutką kamerą wycelowaną w twarz JinJin.

Jego żona przejrzałaby go na wylot.

* * *

Nad tym się właśnie zastanawiał. Czy w każdym małżeństwie na świecie z czasem coraz mniejszą rolę odgrywają mężczyzna i kobieta, a coraz większą ich dzieci, czy też tak się działo tylko w jego związku.

Po południu zadzwoniła Becca, kiedy był w pracy. Trafiła w sam środek narady kryzysowej zwołanej, ponieważ w Anglii prasa zaczęła się rozpisywać na temat lawinowo rosnącej liczby wypadków w chińskich fabrykach, o kobietach i mężczyznach tracących oczy, kończyny, a nawet życie w tym kraju będącym jednym wielkim światowym warsztatem pracy, aby Zachód dostawał swoje tanie gadżety, adidas i slipy za grosze. Zagraniczni inwestorzy w Chinach uświadomili sobie nagle istnienie czegoś takiego jak „etyczne zakupy”, a w Butterfield, Hunt and West zrozumiano natychmiast, że to może srogo zaszkodzić interesom firmy. Coś należało zrobić.

Gdy jednak Bill zobaczył numer Becki wyświetlony na ekranie komórki, wstał od stołu konferencyjnego, przy którym siedzieli wszyscy — Devlin, Shane, Nancy, Wściekły Mitch, nie bacząc, jak to wygląda. Żadna narada nie była ważniejsza od jego córki.

— Przepraszam, muszę to odebrać — powiedział i wyszedł z sali konferencyjnej.

Na korytarzu szedł dalej przed siebie, tylko po to, żeby być w ruchu i żeby nikt nie mógł go podsłuchać.

— Bill?

W jej głosie słyhać było przygnębienie, głębokie przygnębienie, i Bill poczuł nagle przypływ dawnej, pierwszej miłości, uczucia, które było tam w nim od samego początku. Wystarczyło jedno słowo, żeby wyczytał w jej głosie, że coś się stało. Wymówiła jego imię i on natychmiast to wyczuł — wiedział z niezachwianą pewnością, że chodzi o jej ojca.

— Co się stało, Bec? — zapytał. — Co z tatą?

Ale nie miał racji. Nie chodziło o ojca.

— Och, z tatą wszystko w porządku — odparła Becca tak rozpromienionym nagle głosem, że Bill poczuł się jak głupiec. — Pojechał do szpitala na badania, ale pozwolili mu wrócić do domu, do czasu aż kardiolog zobaczy wyniki.

W takim razie nie ma żadnego innego wytłumaczenia, pomyślał Bill.

— To co się dzieje z Holly?

Becca wybuchnęła śmiechem, co go doprowadziło do furii.

— Wszystko dobrze. Jest taka dorosła. Tęskni za tobą, Bill. Tęskni za tym, jak ją podrzucałeś. Ja nie umiem tego zrobić, a przynajmniej nie tak jak ty.

Zapomniał o tym, jak ją podrzucał. Jak mógł o tym zapomnieć? Oplatała go rączkami za szyję, a on ją puszczał, wtedy ona piszcziała i krzyczała, bo paluszki zsuwały jej się z jego szyi i zaczynała spadać, a wówczas on ją łapał i podrzucał do góry, i nad ramieniem, obracał do góry nogami, a potem chwycił prosto w ramiona, i cały czas miał przed sobą jej buzię i oczy.

— Rozmawiałem z ojcem — powiedział z nadzieją, że może to była nieprawda, że może staremu durniowi pomieszało się coś w głowie, może Holly została u swojej obłąkanej ciotki na jedną noc, kiedy ojciec Becki pojechał na badania. — Powiedział, że Holly mieszka u twojej siostry. — Zawsze wydawało

mu się jakieś nienaturalne nazywać ją po imieniu, jak gdyby nie pasowało do niej żadne inne określenie poza „obłąkana siostra”. — U Sary — dodał w końcu.

— Bo mieszka — odparła Becca wesoło, jakby była to najlepsza wiadomość pod słońcem. — Sara żyje z tym swoim nowym facetem. On świetnie sobie radzi z jej dziećmi i z Holly.

Jaki facet? Co za pieprzony facet!? A więc było jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał. Z trudem hamował rozsadzający go gniew.

— Wracam do domu — oznajmił. — Najbliższym samolotem. Daj mi adres Sary.

— Po co?

— Ponieważ jeśli ty nie możesz zajmować się naszym dzieckiem, to ja to zrobię.

— Nigdzie nie wracasz — powiedziała. — Nie musisz wracać. Posłuchaj, wiem, co myślisz o Sarze. To prawda, że miała kiedyś problemy, ale przez ostatnie lata bardzo się uspokoiła. Od kiedy rzuciła picie i całą resztę, stała się dużo miłsza, dużo bardziej podobna do siebie. Ta terapia działała cuda. Holly jest u niej bezpieczna i zadowolona. Miałam zamiar ci powiedzieć, naprawdę, ale wiedziałam, że będziesz się zżymał.

Wtedy nie wytrzymał.

— Wiedziałaś, że będę się „zżymał”? To bardzo łagodnie powiedziane, Becco. Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć? Daj mi znać, kiedy zacznę się za bardzo „zżymać”.

— Bill, to tylko na jakiś czas, dopóki tata nie poczuje się lepiej i będzie mógł sam się sobą zająć — wyjaśniła, autentycznie zaskoczona jego reakcją. — Oni naprawdę świetnie się czują z Holly. Tak bardzo ją kochają. Sara i jej dzieci, wszyscy. A szczególnie partner Sary.

Partner Sary. Pieprzony partner Sary.

— Bill, to nie potrwa długo — mówiła Becca bardzo spokojnie, chcąc, aby on też był spokojny. — Holly jest szczęśliwa, uwierz mi.

— Nie podoba mi się to.

No i wtedy to jej westchnienie. Jej westchnienie doprowa-

dzalo go do szału. Byłoby świetnie, gdyby mógł nigdy więcej nie słyszeć tego jej wzdychania.

— Co ci się nie podoba?

— To, że Holly mieszka u obcych ludzi.

— Moja siostra nie jest obcym człowiekiem.

— Nie. Za to jest stuknięta. Jednego dnia mężatka, następnego lesbijka.

— Och, to był tylko taki etap. Po tym, jak się rozpadło jej pierwsze małżeństwo. Ona się bardzo ustatkowała, Bill. Uważasz, że zostawiłabym Holly gdzieś, gdzie mogłoby jej coś grozić? Sara mi bardzo pomagała. Musisz mi zaufać w tej sprawie.

Nie ufał jej w tej sprawie.

— Nie podoba mi się to. Holly powinna być z tobą.

— Ale ja byłam u taty.

— I tak mi się to nie podoba.

Wyczerpała się jej cierpliwość. Miała go dosyć, była zmęczona tym jego narzekaniem. W jej głos wkraśl się chłód, który zawsze się tam czaił gotowy go przywitać, ilekroć przekroczył pewną granicę.

— Ale ciebie tu nie ma, prawda? — zauważyła. — Więc to ja się muszę z tym wozic.

— Jeśli Holly coś się stanie — powiedział cicho — nigdy ci tego nie wybaczę.

— Och, odchrzań się, Bill, dobrze? Jak śmiesz sugerować, że mogłabym narazić swoje dziecko na niebezpieczeństwo? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to Holly świetnie się tam bawi, dużo lepiej niż kiedykolwiek z nami. Rodzina Sary jada razem posiłki, spędza razem czas...

— A my nie? Ciekawe dlaczego? Ponieważ pracuję dwanaście godzin na dobę, żeby ci zapewnić życie, jakie wiodą sławni i bogaci.

— Uważasz, że skoro zarabiasz pieniądze, to jesteś zwolniony ze wszystkich innych obowiązków.

— Zawsze lubisz mi mówić, co ja uważam.

— Drażni cię to?

— Nie, skąd, uwielbiam to. Po prostu uwielbiam, cholera jasna.

Podniósł głowę i zobaczył na drugim końcu korytarza Shane'a, a za nim wszystkich pozostałych czekających na niego w sali konferencyjnej.

— Holly powinna być dla ciebie najważniejsza — powiedział Bill, odwracając się tyłem do Shane'a.

— Jest najważniejsza. I pewnego dnia to zrozumiesz — odparła Becca. — A ty? Jaki jest twój numer jeden na liście priorytetów? Rozmawialiśmy o tym z Sarą wczoraj wieczorem. Niektórzy faceci wchodzą do biura i w tym samym momencie rodzina przestaje dla nich istnieć.

— Nigdy więcej nie dyskutuj o mnie ani o moich sprawach z tą obłąkaną babą! — krzyknął, po czym usłyszał, że połączenie zostało przerwane.

Czyjaś dłoń delikatnie dotknęła jego ramienia. Odwrócił się i zobaczył Shane'a.

— Coś się dzieje, stary? — zapytał Australijczyk.

— Skądże, wszystko jest idealnie — odrzekł Bill.

* * *

Becca patrzyła, jak Sarfraz Khan, idąc w ich stronę korytarzem gabinetu pediatrycznego, uśmiecha się szeroko, i przez długą chwilę sądziła, że ma urojenia.

— Co pan tu robi? — zapytała i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak to niegrzecznie zabrzmiało.

— Odwiedzam przyjaciół — odparł Khan.

Ukucnął, żeby przywitać się z Holly. Świetnie obchodzi się z dziećmi, pomyślała Becca. Zawsze tak się ustawia, żeby być na tym samym poziomie co dziecko.

— Jutro rano jadę pociągiem do Liverpoolu. — Jakiś cień przemknął po jego twarzy. — Moja mama źle się czuje.

Wstał i odwrócił wzrok, przeczesując ręką błyszczące czarne

włosy. Becca rozpoznała to uczucie: wyrzuty sumienia nieobecnego dorosłego dziecka.

Uprzytomniła sobie, że jej siostra stoi obok i przygląda się na przemian jej i Khanowi, więc szybko dokonała prezentacji. Doktor uściśnił dłoń Sarze. Jego wzrok prawie niedostrzegalnie prześliznął się po jej krótko ostrzyżonych, pomarańczowych włosach.

— Wszystko dobrze? — zwrócił się do Becki, a ona od razu się zorientowała, że mówi o Holly.

— Tak — odparła. — Bardzo dobrze. Nie było więcej ataków. Cieszysz się, że wróciła do Londynu. Oczywiście tęskni za tatą.

— Oczywiście — zgodził się Khan i znów ukucnął w swoim zawodowym przysiadzie i uśmiechnął się do Holly. — Jak ci minęła ta długa podróż samolotem?

— Widziałam kokpit — oznajmiła dziewczynka.

— Naprawdę?

— To takie miejsce, gdzie chodzi pilot — kiwnęła główką. — Zaprosili mnie tam.

— O rany — powiedział, podnosząc się i uśmiechając do Becki. — Chciałbym, żeby mnie zapraszano w takie miejsca. — Zawahał się przez chwilę, jakby zbierał się na odwagę. — Pewnie nie ma pani chwili na szybką kawę. Okazało się, że moi znajomi zmienili plany. — Próbował obrócić to w żart. — Szybko zapominają. — Popatrzył na Holly i Sarę. — Wszyscy moglibyśmy pójść na kawę, jeśli mają panie czas.

Becca pokręciła głową.

— Przykro mi, nie mogę.

— Och, idź — rzuciła Sara, trącając ją łokciem. — Zabiorę Holly do domu, a ty idź na kawę ze swoim znajomym. — Odwróciła się do Khana. — Od powrotu w ogóle nie wychodzi z domu. Chyba że do jakiegoś lekarza.

— No cóż, pan Khan też jest lekarzem — stwierdziła Becca, ale sprawa została właściwie przypieczętowana.

Becca i Sarfraz patrzyli za Sarą i Holly odchodzącymi Great Portland Street, dopóki nie zniknęły w Regent Parku. Potem Khan odwrócił się do niej i klasnął w ręce. Becca chyba nigdy przedtem nie widziała rumieniącego się Hindusa.

— To co, do Starbucksa? — zapytał. — Naprzeciwko mojego hotelu jest barek.

Skrzywiła się.

— Czy nie mieliśmy dość Starbucksa w Szanghaju?

— W takim razie kawa w moim hotelu — stwierdził.

Powinniśmy iść do Starbucksa, pomyślała Becca.

Khan wynajmował pokój w Langham na Portland Place. W holu mieścił się barek, gdzie gąszcz turystów jedzących podwieczorek smarował masłem gorące babeczki. Zamówili kawę i Becca zaczęła się odprężyć. Khan sprawiał wrażenie tak przyzwoitego człowieka i tak otwartego, kiedy mówił o swoich wyrzutach sumienia w stosunku do matki walczącej na drugim końcu świata z wczesnym stadium stwardnienia rozsianego, że Becca sama zaczęła się przed nim otwierać i opowiadać o swoich rozterkach, o rozdarciu pomiędzy życiem rodzinnym w Szanghaju a jej obowiązkami tu, w Londynie, pomiędzy rolą matki, córki i żony.

— Czasami po prostu nie wiem, co robić — stwierdziła. — Nie, to nie tak, tak naprawdę to przez cały czas nie wiem, co robić. — Zapatrzyła się na filiżankę z kawą. — Najważniejsze osoby w moim życiu, mój mąż, ojciec, córka, ciągną mnie w różnych kierunkach.

Khan popatrzył na nią w zadumie, a Becca odniosła wrażenie, że wzmianka o Billu jakoś go zgasiła. Nawet się z tego ucieszyła, ponieważ nie chciała, aby tę pogawędkę na kawie wziął za randkę. Zaraz jednak zrozumiała, że doktor usiłuje sobie coś przypomnieć.

— Oto co rób — powiedział.

— Słucham?

— „Kochaj ziemię, słońce i zwierzęta, w pogardzie miej bogactwo, nie odmawiaj jałmużny nikomu, kto cię o nią prosi,

broń głupców i szalonych, poświęć zarobki swe i pracę innym, nienawiść pielęgnuj w sobie dla tyranów, nie dyskutuj o sprawach boskich, ludowi okazuj cierpliwość i pobłażanie, nie chyl czoła przed niczym, znanym ani nieznanym, ni przed człowiekiem, ni przed żadną grupą ludzi”.

— No cóż, dzięki za radę — powiedziała Becca. — Na pewno będę to miała w pamięci.

Khan spochmurniał.

— Nie podobało się pani?

— To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu słyszałam — odparła. — Co to jest? Wiersz?

Skinął głową.

— Walta Whitmana. Wiedziała pani, że w pewnym sensie też był lekarzem? Zajmował się chorymi i umierającymi w czasie wojny secesyjnej. To doświadczenie zaważyło na całym jego życiu.

Poprosił o rachunek i chciał, aby dopisano go do jego opłat za pokój, ale Becca uparła się, że zapłaci. Ucieszyła się, że nie wdał się z nią w sprzeczkę. Kiedy wyszli do holu, wyraziła nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży z jego matką w Liverpoolu.

— Niech pan dba o mamę — dodała.

— „Przestawaj śmiało z silnymi, niewykształconymi ludźmi — powiedział, skręcając w bok, żeby ominąć chłopca hotelowego pchającego wózek ze stertą walizek — z młodymi oraz matkami rodzin”.

Lekarz cytujący poezję, pomyślała Becca.

— „Czytaj te liście na otwartej przestrzeni każdego roku, o każdej porze przez całe swe życie — powiedział, jakby jej tam nie było — na nowo wciąż badaj każde słowo, które usłyszałeś w szkole i w kościele, a także przeczytane w książkach, odrzuć wszystko, co znieważa twą duszę, a ciało twoje stanie się wielką poezją...”.

Nie była pewna, jak to się stało. Powiedziała, że nazajutrz z samego rana pójdzie do małej księgarni na Primrose Hill i kupi

wszystko, co znajdzie autorstwa Walta Whitmana. A wtedy Khan oznajmił, że ma w pokoju jego poezje zebrane i że chciałby je jej ofiarować.

Powiedziała, „och nie, nie trzeba”, ale on nalegał, a ona nie chciała robić zamieszania, które wyglądałoby jeszcze gorzej. Więc poszli połączonym holem hotelu Langham, ponieważ wydawało się jakoś niestosowne, żeby ona czekała w korytarzu, kiedy on pójdzie po książkę, potem wsiedli do windy o ścianach wyłożonych lustrami i jechali w milczeniu, kiedy światelka pięter wędrowały w górę, a potem ruszyli w stronę jego pokoju.

Khan wszedł do środka, Becca za nim. To był apartament znacznie większy, niż się spodziewała.

— Podnieśli mi standard — powiedział, biorąc trufle w czekoladzie, które położono mu na poduszce. — Zawsze się tu zatrzymuję, kiedy wracam z Szanghaju w drodze do Liverpoolu. Na jeden dzień to zbyt długa podróż. — Za dużo mówił. Odwrócił się do Becki i przez chwilę na siebie patrzyli, a potem włożył czekoladkę do ust. — Przyniosę tę książkę — powiedział z ustami pełnymi czekolady i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Becca podeszła do okna i popatrzyła na światła gmachu telewizyjki BBC, na flagi powiewające przed budynkami ambasad, na szeroką Portland Place wiodącą do Regent Parku, Primrose Hill i zaczarowanych żyraf.

Kiedy Khan wrócił do pokoju z książką w rękę, Becki już tam nie było.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Otworzyły się drzwi windy. W środku stała JinJin.

Popatrzyła na Billa, potem na walizkę w jego ręku. Jej fascynujący uśmiech nie zadrżał ani na chwilę. Nie zrobiła kroku, żeby wysiąść z windy. Drzwi zaczęły się zamykać, ale Bill wsunął nogę i ze stukiem otworzyły się z powrotem. JinJin wyszła i winda zamknęła się za jej plecami.

— Chciałam ci to przynieść — powiedziała, podając mu małe plastikowe pudełko z płytą DVD. — To film, który nakręciliśmy — wyjaśniła. — Jest bardzo dobry, Williamie.

Bill uśmiechnął się grzecznie.

— Obejrzę go po powrocie — odrzekł, biorąc płytę wolną ręką.

JinJin popatrzyła znowu na walizkę.

— Urlop? — spytała. — Urlop w Londynie?

Bill wsunął DVD do kieszeni marynarki.

— Podróż służbowa — odparł. — Przepraszam.

Odsunęła się, a on wcisnął guzik windy. Wyglądała na rozczarowaną, ale nie przestała się uśmiechać.

— Jesteś dobrym kamerzystą — stwierdziła.

— Z przyjemnością obejrzę ten film — zapewnił, spoglądając na zegarek. Tygrys powinien już czekać. W końcu przyjechała winda i oboje weszli do środka. — Po obejrzeniu wsunę

płyte do twojej skrzynki — oznajmił, kiedy ruszyli w dół.

— Możesz mi ją przynieść do domu — powiedziała JinJin.

Na jej twarzy pozostał jeszcze szczątek uśmiechu. — Przynieś, kiedy będziesz wolny. — Rozpromieniła się. — Moglibyśmy obejrzeć ją razem!

Bill skinął głową.

— Zostawię ją w skrzynce — powtórzył.

Zatrzymali się na parterze. Drzwi się otworzyły i Bill zobaczył, że Tygrys czeka przy aucie z pracującym silnikiem, gotowy zawieźć go na lotnisko.

— Jak sobie życzysz — rzuciła JinJin.

Stali w niezręcznym milczeniu między windą a szklanymi drzwiami na podwórzu. Kiedy przejdą przez te drzwi, każde pójdzie w swoją stronę.

— Dokąd odjeżdżasz? — spytała.

Coś w doborze tych słów ścisnęło Billa za serce. Zabrzmiały tak, jakby to powiedziała jego matka.

Jaka szkoda, pomyślał. Jaka szkoda, że możemy być tylko przyjaciółmi.

— W deltę Rzeki Perłowej — odparł. — Do Shenzhen.

JinJin się skrzywiła, w jej minie zamajaczyła instynktowna północna nieufność wobec południowców.

— Bądź ostrożny — powiedziała. — Tam mieszka dużo złych ludzi.

Wybuchnął śmiechem.

— Nic mi nie będzie — odparł. — To ty na siebie uważaj. — Szukał słów. — Prowadź ostrożnie samochód i w ogóle.

Nagle zobaczył, że oczy jej zaszyły łzami, jak dziecku, któremu powiedziano, że jego najlepsza koleżanka przenosi się do innej szkoły.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał.

JinJin pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

— Nie płaczę — powiedziała.

Bill popatrzył na Tygrysa czekającego na dworze.

— Muszę iść.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jednego z tych długich, szczupłych ramion.

— Wiem — odparła, odsuwając się raptownie, i szybko wyszła przez automatyczne szklane drzwi, aż powietrze za nią zaświstało.

Patrzył, jak idzie przez podwórze Rajskich Rezydencji tym swoim dziwnym, trochę niezgrabnym krokiem źrebięcia, które nie umie się przyzwyczaić do swoich długich nóg. Jedną rękę podniosła do góry i zasłaniała się przed bezlitosnym porannym słońcem, jak gdyby była to kolejna rzecz, do której nie umiała się przyzwyczaić.

* * *

Zatrzymali się. Przed sznurem unieruchomionych pojazdów Bill zobaczył wywróconą ciężarówkę. Obok kierowca wpatrywał się ze zdumieniem w swój samochód, jak gdyby cały czas nie mógł uwierzyć w tę zdradę. W rękach trzymał przenośny odtwarzacz DVD, w którym oglądał coś za kierownicą.

Ciężarówka przewoziła owoce i zatarasowała całą jezdnię trasy wiodącej z Shenzhen do fabryki Happy Trousers Trading Company. Na drogę potoczyła się kolorowa lawina jabłek, bananów, melonów, śliwek, pomarańczy, mango i liczi, które wysypały się z kartonowych pudeł, ale pozostały w papierkach i foliowych opakowaniach, jakby kusily podniebienia gapiów, którzy stłoczyli się na poboczu i patrzyli na zamieszanie na drodze.

Wypadek musiał się wydarzyć dosłownie kilka minut temu, ponieważ nigdzie nie widać było jeszcze policji. W tłumie zaczął się ruch. Mężczyźni stali i patrzyli, a tymczasem kobiety wyszły na jezdnię i zaczęły zbierać rozrzucone owoce, szybko, aby zdążyć, zanim zjawią się radiowozy. Na drogę wysypała się jednak taka ogromna góra dóbr, że zbierając to, co im się udało, drugie tyle rozdeptywały.

Bill siedział na siedzeniu pasażera, a z tyłu Nancy Deng i Wściekły Mitch. Bill odwrócił się zniecierpliwiony do kierowcy, który gapił się tępo na owocowy kataklizm. Żałował, że nie ma z nimi Tygrysa.

— Jest jakaś inna droga, jakiś inny sposób, żeby tam dojechać? — spytał, a Nancy pochyliła się do przodu, żeby przetłumaczyć jego pytanie na kantoński.

Wściekły Mitch położył uspokajająco dłoń na ramieniu Billa.

— Wyluzuj, Bill — poradził. — Nie spiesz się tak.

Bill zmrużył oczy. To nie Mitch powinien tu siedzieć, tylko Shane, który jednak był za bardzo obolały, żeby lecieć samolotem do Shenzhen, a potem samochodem do Happy Trousers Trading Company, więc Mitch go zastąpił, chociaż Bill zajmował wyższe stanowisko.

— Muszę się spieszyć — odparł Bill beztrąsko.

Bo inaczej skończę jak ty, pomyślał. Albo jak mój ojciec. W końcu na scenę wkroczyła policja. Zaczęli odganiać szabrowników i robić przejazd dla samochodów wiozących ważnych obcokrajowców, którzy jechali prowadzić ważne interesy w strefie wolnego handlu.

Bill patrzył na puste twarze szabrowników i na owoce, które tworzyły na drodze jaskrawą miazgę czerwieni i złota — barwy Chin.

Samochód ruszył w drogę.

* * *

Kontrola etyczna. Tak ją nazwali. Po to lecieli tu szmat drogi.

Jeden z klientów zażyczył sobie przeprowadzenia kontroli etycznej w Happy Trousers Trading Company, moralnego obrachunku wszystkich wad i zalet produkcji tanich ubrań dla Zachodu w fabrykach zatrudniających robotników w łachmanach.

— Mamy do czynienia z rewolucją przemysłową — powiedział im Devlin ze zboląłą miną. — Niestety, w czasie rewolucji

przemysłowych ludzie nie dostają zbyt dużo płatnych urlopów i przerw na herbatę.

Tak więc Nancy robiła notatki, kiedy tłusty kierownik w białej nylonowej koszuli, ze sparaliżowanym uśmiechem na twarzy oprowadzał ich po fabryce.

Zajrzeli do zatechłej sypialni, gdzie robotnicy sypiali w dwunastu drewnianych skrzyniach poustawianych w cztery trzypiętrowe konstrukcje. Zapalone nagle światło wywołało letargiczne poruszenie śpiących ciał, i Billa przeszedł dreszcz. Przyszły mu do głowy statki z niewolnikami i obozy koncentracyjne. Spojrzał na Nancy, ale jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Zamknęli drzwi i poszli dalej.

To wszystko wygląda jak z innej epoki, pomyślał Bill. Usiłował się uodpornić. Prawdopodobnie będzie musiał przywyknąć do takich rzeczy. Zagraniczne firmy działające pod presją konsumentów we własnym kraju chcą się upewnić, czy ich zakłady nie łamią chińskiego prawa, zasad Międzynarodowej Organizacji Pracy i ludzkiej godności, i często obecnie żądają przeprowadzenia kontroli etycznej.

Obejrżeli krany z zimną wodą, gdzie myli się robotnicy. Tłusty, uśmiechnięty od ucha do ucha kierownik zaprezentował im je z groteskową dumą. W cuchnącej stołówce pokazano im kleik, po który pracownicy ustawiali się w kolejkach. Widzieli martwe spojrzenia kobiet i mężczyzn, którzy skończyli właśnie pracę na dwóch zmianach z rządu. A Bill ze ściśniętym sercem zrozumiał, że migoczące centra handlowe Bundu i błyszczące wieże Pudongu, i cała gorączka złota w Chińskiej Republice Ludowej zbudowane zostały właśnie na tym, co teraz oglądali.

Ale widział też dziewczęta żartujące w stołówce. Widział malutkie zdjęcia czyściutkich dzieci przypięte do ścian śmierdzących, przeludnionych sypialni. A kiedy popołudniowa zmiana przelewała się przez bramę, zobaczył młodą dziewczynę i chłopca, którzy wyszli z fabryki i stanęli pod murem ze splecionymi dłońmi. I pomyślał, że może jednak Devlin miał

rację. Choć warunki pracy w fabryce przypominały dziewiętnasty wiek, tym ludziom chyba nie wiadłoby się lepiej, gdyby żyli w swoich wioskach. Nie miał pojęcia. Niewiele zostało w nim pewności. Dzwoniły mu w uszach słowa Devlina mówiącego, że pięćdziesiąt lat temu miliony tych ludzi głodowały wskutek Wielkiego Skoku i że teraz są szczęśliwi, bo mają pełne żołądki i pracę.

Bill bardzo chciał mu wierzyć.

Tryskający pewnością siebie kierownik szczerzył zęby do prawników z Szanghaju. Oprowadzał już wiele kontroli etycznych i łamaną angielszczyzną dawał im do zrozumienia, że zna swoją rolę doskonale. Wie, jak ukoić zatroskane sumienia, jak uspokoić ich słabe zachodnie nerwy. Bill podejrzewał, że te wszystkie wizyty nie zmieniały niczego poza tym, że kierownik zakładu potrafił jeszcze płynniej wyartykułować każde zapewnienie, jakie biały waźniak chciał usłyszeć. Z drugiej strony, gdyby nie te wizyty, mogłoby się dziać coraz gorzej. Kto wie?

Weszli do hali, w której setki młodych kobiet siedziały zgarbione przy mechanicznych krosnach. Ich głowy z włosami pozwiązywanyymi w kucyki ledwo było widać zza gigantycznych bel żółtej bawełny. Wyglądały na zaniedbane, źle odżywione, zmęczone, włosy, zęby, skóra sprawiały wrażenie zniszczonych i starych, chociaż dziewczęta te prawdopodobnie nie miały jeszcze dwudziestu lat.

Nie przypominały JinJin. Nie miały jej urody, jej wyglądu. W niczym nie przypominały dziewcząt z Rajskich Rezydencji, dziewcząt w stylu szanghajskim. Prezentowały ten drugi typ Chinki, znacznie powszechniejszy — kobietę, która zestarzeje się, zanim zdąży dorosnąć. Jak owoc, z którego wyszano cały sok, pomyślał Bill.

Maszyny powodowały ogłuszający łoskot, jakby siedziało się w wielkim kubie na śmieci, który zrzucono ze skały. Wściekły Mitch powiedział coś do Billa, ale ten pokręcił głową. W tym hałasie nie dało się rozmawiać. Nawet sklejenie dwóch myśli wydawało się niemożliwe.

Potem znaleźli się w hali pełnej młodych mężczyzn. Są tacy młodzi, dziwił się Bill. Gdzie się podzieli starsi? Gdzie leżą miasta, wsie i farmy, które porzucili? I jak muszą wyglądać opuszczone przez wszystkich młodych ludzi?

Panował tu jeszcze większy hałas, jeśli to w ogóle było możliwe. Ogromne prasy z hukiem spadały na bryły uformowanej gumy odbywające powolną podróż wzdłuż linii montażowej.

Ze spuszczoneym, przybitym wzrokiem mężczyźni sortowali przejeżdżające buty sportowe, pieścili słynną światową markę, otaczali ją swą niesłabnącą uwagą. W powietrzu unosił się zapach palonej gumy. Nikt nie rozmawiał, nikt na nikogo nie patrzył. Halę wypełniał tylko niekończący się huk linii montażowej i prasy hydraulicznej opadającej ze świstem sprężonego powietrza, jakby ktoś wrotami trząskał w piekle.

Wtedy nagle wszystkie przemysłowe hałasy zagłuszył jeden wielki wrzask.

Z początku wydawało się, że to nie może krzyczeć człowiek, że to odgłos jakiejś zepsutej maszyny — wysoki, świszczący, jak metal skrzypiący o metal. Po chwili jednak linia montażowa zatrzymała się ze zgrzytem, a wszystkie oczy zwróciły się w jednym kierunku, w drugi koniec sali, gdzie młody mężczyzna ze śmiertelnie pobladłą twarzą i oczami wytrzeszczonymi z niedowierzania i grozy trzymał się za ramię tuż nad łokciem.

Podtrzymało go dwóch towarzyszy. Obydwaj nie przedstawiali czegoś mówić, Bill nie wiedział, czy tłumaczyli coś, czy wołali o pomoc. Podniósł wzrok i zobaczył, że Nancy rozmawia już przez telefon i wzywa pogotowie.

Okaleczonego mężczyznę położono na podłodze na boku. Wciąż ścisnął się za ramię. Poniżej łokcia jego ręka zamieniła się w miazgę, bezładną masę ciała i kości. Kierownik fabryki przykląkł obok nieszczęśnika, dookoła zebrał się tłum robotników, aby coś radzić, podpowiadać, wyrażać swoje opinie, ale głównie się gapić. Po chwili zjawili się pielęgniarze i wynieśli

mężczyznę na noszach. Nie było już na co patrzeć. Wydano polecenia i linia montażowa znów poszła w ruch. Jakaś kobieta czyściła prasę hydrauliczną w miejscu, gdzie nastąpił wypadek.

Kierownik odprowadził ich do samochodu. Nie przestając się uśmiechać, zapewnił ich, że zasady pracy obowiązujące w ich fabryce są nieustannie udoskonalane, nawet teraz, aby takie wypadki więcej się nie zdarzały. Bill chciał już tylko jak najszybciej stamtąd odjechać.

To było okrutne, brudne, bezlitosne miejsce i nie mógł znieść myśli, że sam macza w tym palce. Po powrocie do hotelu wszedł pod letni prysznic i stał tak przez długą chwilę. Kiedy kilka godzin później Wściekły Mitch podszedł do niego w hotelowym barze, Bill był już nieźle wstawiony.

— Stracił rękę — powiedział Bill. — Ten chłopak w fabryce. Nancy dzwoniła do szpitala. Musieli mu amputować rękę.

Mitch kiwnął głową.

— Wiem, mówiła mi.

Przed Billem stał zielony lasek pustych butelek po tsingtao. Mitch usiadł obok niego na stołku i zamówił dwie następne.

— A wszystko dla pary tenisówek — ciągnął Bill. — Dla głupich tanich butów, które można opchnąć na Zachodzie.

Mitch pokręcił głową.

— Nie ma czegoś takiego jak tanie ubrania — oświadczył. — Prawdziwą cenę płacą nie ci, którzy je kupują w sklepie, tylko ci, którzy je produkują. — Pociągnął łyk piwa. — Ale my nie przyjechaliśmy tu dla nich, tylko dla naszych klientów.

Bill popatrzył na niego zatroskany.

— Więc co powiemy naszemu klientowi?

— Powiemy, co widzieliśmy — odparł Mitch. — Dokładnie to, co widzieliśmy. Że zakład Happy Trousers przypomina dziewiętnastowieczną fabrykę. Że musielibyśmy być Charlesem Dickensem, żeby oddać temu miejscu pełną sprawiedliwość.

— I co to zmieni?

— Kompletnie nic — powiedział Wściekły Mitch. — Nasz klient lubi zyski, jakie stąd czerpie. Jego klienci z kolei bardzo lubią niskie ceny, za jakie kupują od niego towar. Zachód chciałby mieć obie rzeczy naraz: produkty za psie pieniądze i czyste sumienie. Nikt stąd nie wycofa interesów. Czemu miałby wycofać? Czy my zamkniemy firmę z powodu tego, co widzieliśmy? Nie.

— Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego ludzie muszą tu żyć za dwa dolary dziennie — zaprotestował Bill. — Dlaczego te dzieciaki muszą tracić ręce. — Opróżnił butelkę z piwem. — Naprawdę nic nie możemy w tej sprawie zrobić?

— Na przykład co? — spytał Mitch.

— Widziałeś ich — powiedział Bill. — To wszystko chłopci oderwani od ziemi, harujący po czternaście godzin dziennie, na dwie, trzy zmiany, dopóki się trzymają na nogach. Dostają pięćdziesiąt funtów za miesiąc i jeden dzień wolnego. A kierownik fabryki ma to wszystko gdzieś, byle spławić naszych klientów, żeby mu nie siedzieli na karku. Co możemy zrobić? Ukarać go na początek.

— Prawdopodobnie Zachód nie może mieć jednocześnie jednego i drugiego — zauważył Mitch. — Prawdopodobnie nie da się mieć tenisówek za psie pieniądze i jednocześnie chińskich fabryk, w których robotników traktuje się jak ludzi. I niewykluczone, że nasz klient wykazuje troskę tylko wtedy, kiedy z kolei jemu prasa siedzi na karku. Co twoim zdaniem się stanie, jeśli zyska sobie tutaj złą sławę? Przeniesie fabrykę do Wietnamu albo do Indii.

— Ale przecież istnieje coś takiego jak prawo pracy — zauważył Bill. — Są zasady regulujące bezpieczeństwo pracy. W tym miejscu każdego dnia łamie się zasady wprowadzone przez Międzynarodową Organizację Pracy, nie mówiąc już o chińskim prawie. Ten chłopak, który stracił rękę, powinien wnieść pozew. — O mało nie spadł ze stołka. Odzyskał

równowagę i usadowił się z powrotem z uśmiechem. — Znasz może jakichś dobrych prawników, Mitch? Jego towarzyszy powoli i z rozmysłem napił się tsingtao.

— Jesteśmy prawnikami w kraju, w którym nie obowiązują żadne prawo ani żadne zasady — powiedział. — Tam, skąd pochodzimy, sądy są niezawisłe i mają taką samą władzę nad wszystkimi. Sędziowie chronią wolność jednostek przed nadużyciami potężnych i bogatych. Tutaj jest inaczej. W Chińskiej Republice Ludowej obowiązuje prawo komunistyczne. Każdy, kto ma jakąkolwiek władzę, finansową, polityczną czy wojskową, uważa, że stoi ponad prawem, zwłaszcza takim, jakie mu nie odpowiada. Tam gdzie nie obowiązuje prawo, żadne prawne rozwiązania nie mogą być skuteczne. Ten chłopiec, który stracił rękę, nie miałby w sądzie najmniejszych szans.

Bill pokręcił głową.

— Mogę cię o coś zapytać, Mitch?

— Wal śmiało.

— Czemu nigdy nie zostałeś wspólnikiem? Co się stało? — Roześmiał się, aby pytanie nie zabrzmiało zbyt poważnie. — Za bardzo wyluzowałeś, kiedy nie było trzeba?

Mitch też się roześmiał.

— W firmie mówią, że brakuje mi odporności na Hongkong i nerwów na Szanghaj. I uważam, że jest to rozsądne i sprawiedliwe wytłumaczenie. Poza tym jednak prawo jest formą usług, aja tego nigdy tak naprawdę nie rozumiałem. Myślałem, że tu chodzi o prawdę, sprawiedliwość, uczciwość i całe to staromodne gadanie. — Uniósł butelkę, jakby wznosił toast. — Myliłem się.

Do baru weszła Nancy i Bill ostrożnie podniósł się ze stołka. Wiedział, że będzie od niego wymagało ogromnego wysiłku, żeby się nie przewrócić.

— Idziesz na obiad? — spytał Mitcha.

Mitch pokręcił głową, skrzywił się i popatrzył ze zdziwieniem na swojego młodszego kolegę.

— Możesz jeść? Po tym wszystkim, co dzisiaj widzieliśmy? Bill zdziwiony kiwnął głową, a wtedy Wściekły Mitch poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się, Bill — powiedział. — Nie ma najmniejszych wątpliwości, że szybko zostaniesz współnikiem.

* * *

Poza grupką pijanych Rosjan jedzących widelcami i nożami wieprzowinę słodko-kwaśną w restauracji nie było prawie nikogo. Bill i Nancy odwrócili się i już mieli wyjść, kiedy Bill zauważył jeszcze jedną osobę siedzącą przy obiedzie — Alice Greene. Podszedł do niej, a ona uniosła pałeczki na powitanie.

— No proszę, Butterfield, Hunt and West robi interesy w Shenzhen, mieście największego wyzysku na świecie — powiedziała. — Kto by pomyślał.

— Pismak gonący za karetką pogotowia — zauważył. — Rzadki widok. Poza tym przejęczyłaś się, to miasto największego „zysku” na świecie. Kiedy przyleciałaś? Nie widziałem cię w samolocie.

— Przyjechałam pociągiem z Hongkongu — odparła Alice. — Byłam na rozmowach w swojej gazecie. Wysłali mnie tu, kiedy usłyszeliśmy o wypadku. Masz coś do powiedzenia na temat mężczyzny, który stracił rękę?

— Nieszczęśliwy wypadek, to oczywiste — oświadczył Bill, świadom, że wszystko, co powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu. Przypomniwał mu się niezniszczalny uśmiech na twarzy kierownika. — W fabryce wszczęto już dochodzenie.

Alice z aprobatą pokiwała głową.

— Dobrze ci idzie, Bill. — Wróciła do swojej pieczeni wieprzowej z miodem. — Co mówi wasz klient?

Bill uznał, że powiedział już jej dosyć.

— Nie miałem okazji rozmawiać z naszymi klientami — oznajmił. — Jestem pewien, że będą zdruzgotani.

Dziennikarka nie wyglądała na przekonaną.

— Wątpię, czy rzeczywiście „zdruzgotani”, Bill. W fabrykach w Shenzhen codziennie kilkunastu robotników traci kończyny. Kilkunastu! I grozi im dziesięciokrotnie większe prawdopodobieństwo śmierci niż ich odpowiednikom w Europie.

Jakie to łatwe, pomyślał gniewnie, jakie to łatwe, kiedy człowiek ma tyle pewności.

— Wołałabyś, żeby oni wszyscy byli bezrobotni? — zapytał.

— Wołałabym, żeby ci biedni dranie byli traktowani jak ludzie — odparła.

Bill zdał sobie sprawę, że za jego plecami niezręcznie stoi Nancy. Przedstawił sobie obydwie kobiety, a Alice uśmiechnęła się do Chinki.

— Przyłączycie się na obiad do mnie i naszych rosyjskich przyjaciół? — zapytała, zerkając na drugi zajęty stolik w lokalu. Jeden z Rosjan zabawiał towarzyszy, pociągając kelnerkę za kucyk, kiedy usiłowała im nalać tsingtao. — Są bardzo rozrywkowi. Zanim przyszlście, jeden z nich rzucił we mnie sajonką.

Bill jednak odmówił i zostawili Alice z Rosjanami w wielkiej hotelowej restauracji, a sami wyszli na ruchliwą ulicę Shenzhen, w świat hałasu, zapachu dieslowskich spalin i pieczonych kaczek.

Spojrzał na Nancy.

— To przyjaciółka rodziny — wyjaśnił przepraszająco. — Koleżanka mojej żony.

Nancy kiwnęła głową.

— Widziałam twoją żonę — powiedziała, kiedy ruszyli załtoczoną wieczorną ulicą. — Widziałam panią Holden.

Bill skinął głową.

— Na przyjęciu na Bundzie.

Pamiętał, jak stali z Beccą na tarasie i trzymali się za ręce. Pudong błyszczał w oddali tak samo jak ich wspólna wizja przyszłości. Miał wrażenie, że od tamtej pory minęły całe wieki.

— Nie, wcześniej — odparła Nancy. — Ona mnie nie poznała, ale ja ją pamiętam. — Mówiła szybko. Bill widział, że wyrzuca coś, co przez długi czas trzymała dla siebie. — Tuż po waszym przyjeździe. W muzeum. Tym na Huangpi Lu w Xintiandi. Wiesz, które to?

Bill zastanawiał się przez chwilę.

— To tam, gdzie pierwszy raz spotkała się partia?

Nancy kiwnęła głową.

— Twoja żona jest bardzo dobra — powiedziała Nancy, a Billa znowu zastanowił stosunek Chińczyków do pewnych słów. „Dobry” czy „kochać” za każdym razem znaczyło co innego lub w ogóle niczego nie znaczyło. Ale Nancy zdecydowanie pokiwała głową. Wiedziała, co chce powiedzieć. — Musi być bardzo dobrym człowiekiem, skoro interesuje się takimi miejscami.

Bill skinął głową. Czuł się głupio.

— Tak, jest kochana — powiedział.

Zaczynał się dusić w tłumie od zapachu pieczonego mięsa i spalin samochodowych. Nancy natomiast jakby nie zwracała na nie uwagi.

— Bardzo lubię to miejsce — powiedziała radośnie. — Mało ludzi się nim interesuje. Zawsze jest tam pusto, ale ja uważam, że to bardzo interesujące miejsce. Chcieli sprawiedliwości. Ludzie o tym zapominają. W liceum zaprowadzili nas tam. To przez to miejsce zostałam prawniczką.

Billowi przypomniał się Mitch i jego wiara w niepodważalne moralne dobro prawa.

— Chiny nie były wtedy sprawiedliwym miejscem i teraz też nie są — oświadczyła Nancy. — Widziałeś fabrykę. — Prychnęła z pogardą, kręcąc głową. — Psy bogaczy żyją lepiej niż dzieci biedaków.

Bill aż przystanął.

— Więc po co przychodzą pracować w fabryce?

To było głupie pytanie i znał już na nie odpowiedź.

— Ponieważ wszyscy chcą być częścią nowych Chin — odrzekła Nancy. — Oglądają je w telewizji.

Popatrzył na nią. Pięćdziesiąt lat wcześniej wstąpiłaby do partii. Dzisiaj próbowała uczynić ze swojego kraju lepsze miejsce, studiując prawo na Uniwersytecie Tsinghua i pracując w Butterfield, Hunt and West.

— To dlatego zostałam prawniczką? — zapytał. — Aby zmienić świat?

— Śmiejesz się ze mnie — stwierdziła.

Potrząsnął głową.

— Nigdy bym się z ciebie nie śmiał — zapewnił Bill.

Ruszyli dalej za tłumem i zapachem pieczonych kaczek.

— Mój tata uważał, że prawnik to święty zawód. Tak jak lekarz. Prawnikiem nie może być biznesmenem.

— Twój tata musi być dobrym człowiekiem.

Wzruszyła ramionami zażenowana. Zatrzymali się przy rządku stoisk z jedzeniem. Nancy złożyła zamówienie dla nich obojga: jakieś pierożki z kurczakiem i coś, co wyglądało jak plasterki pieczonej kaczki na ryżu.

— Nie mam żadnych wielkich marzeń — oznajmiła. — Wiem, że jestem nieważna. Ale myślę sobie, że może przyszłość mojego kraju jeszcze się nie zdecydowała. Nie chodzi o to, co mówią ludzie. W Chinach nic nie jest nieuniknione.

— Jednej rzeczy nie rozumiem — powiedział Bill. — Dlaczego miejscowe władze w Yangdongu nie wypłacają tym ludziom rekompensaty, którą dostają? Czemu ich oszukują?

Nancy kupiła dwa talerze cienkich plasterków pieczonej kaczki z ryżem i podała jedną porcję Billowi razem z dwoma plastikowymi pałeczkami.

— Ja za to winię Konfucjusza — uśmiechnęła się Nancy. — Konfucjusz stawiał lojalność wobec rodziny ponad obowiązkiem wobec społeczeństwa. To typowe dla Chin. Może trudno ci to zrozumieć. Czemu dawać coś obcym, skoro można zachować to dla swoich bez groźby kary? Tak myślą. Na przykład przewodniczący Sun. On właśnie tak myśli. — Nałożyła

stertę ryżu i mięsa na pałeczki i zatrzymała je tuż przed włożeniem do ust. — W Chinach ludzie na wysokich stanowiskach nienawidzą wszelkiej korupcji poza swoją własną.

— Widziałem tam pewną parę, kiedy byliśmy w fabryce — powiedział Bill. — Młody mężczyzna i kobieta. Wyglądali, jakby dopiero wyszli z pracy, i zastanawiałem się, czy ich życie byłoby lepsze, gdyby zostali w tym swoim miasteczku czy wiosce, z której przyjechali. I nie wiem. — Patrzył na nią bezradnie. — Naprawdę nie wiem.

Nancy Deng gryzła jedzenie zamyślona.

— Wtedy by się nie poznali.

Bill wybuchnął śmiechem.

— To jeden punkt widzenia. — Zaczął jeść. To była najlepsza kaczka, jaką miał w życiu ustach. — Dobrze — powiedział. Patrzył, jak zamawia talerz z błyszczącym zielonym *choi sam*, tłustym od sosu z ostryg. — Ale co się wydarzy w Chinach? — zapytał. — Jesteś prawnikiem, jakie są twoje wyedukowane przewidywania?

Nancy z emfazą pokiwała głową.

— Starzy ludzie umrą — powiedziała. — To jedyna pewna rzecz. Ale nikt nie wie kiedy. Nawet starzy ludzie mogą żyć długie lata.

Przez dłuższą chwilę nie rozmawiali, ponieważ oboje wkładali do ust gorące, parujące jedzenie. Bill uśmiechnął się z wdzięcznością, kiedy Nancy podała mu talerz liczi. Poczul się wreszcie lepiej po całym tym dniu.

Rozmowa z Nancy Deng na rogu ulicy w Shenzhen, słowa tej młodej kobiety na temat przyszłości jej kraju, pełne ostrożnego optymizmu, nocne powietrze przesycone spalinami i kaczka, potrawy, które jadał lud — to były wreszcie prawdziwe Chiny.

Wrócili do hotelu i kiedy Bill został sam w swoim pokoju, wyjął trzy zdjęcia, które zawsze przy sobie nosił.

Holly w uroczym rozmamłanym fartuszkach w przedszkolu. Becca i Holly na plaży na Karaibach dwa lata temu. Jego córka uśmiechała się szeroko pod różową czapkę legii cudzo-

ziemskiej, a jego żona w wielkich okularach przeciwsłonecznych i tym pomarańczowym powiewnym czymś, z włosami ściągniętymi do tyłu i upiętymi w kok wyglądała jak gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych. Na trzecim zdjęciu Holly jako poważne niemowlę, lekko mokre, owinięte w szlafrok frotte, patrzące groźnie w aparat fotograficzny. Przyglądał się przez chwilę zdjęciom swojej rodziny, po czym postawił je na małym biurku hotelowego pokoju niczym prywatną barykadę przed światem, który czyhał za oknem.

Pomyślał o oczach Becki, niebieskich niczym dwa skrawki nieba, i wiedział, że nie spotka się z Li JinJin po powrocie do Szanghaju. Czy może raczej będzie ją spotykał — mijał w Rajskich Rezydencjach, w zatłoczonej restauracji na Bundzie, w ozdobnym holu jakiegoś nowego hotelu — i zachowa się grzecznie, ale z dystansem. Nie będzie widział jej uśmiechu ani długich zarysów ciała, ani tego, jak jej oczy się rozświetlają, kiedy na niego patrzy. Uzbroi swoje serce i zamknie się na te wszystkie rzeczy i będzie czekał, aż wróci jego żona i znowu nań popatrzy oczami jak skrawki nieba.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Obudziły go skurcze żołądka. Ataki bólu wyciągnęły go ze snu i wygoniły zataczającego się do łazienki.

Bill uklęknął przed toaletą i zwracał, dopóki nie opróżnił żołądka, trzęsąc się i dziwiąc, że leje się z niego zimny pot. Potem wyszedł z łazienki, ale po chwili wrócił i znowu próbował wymiotować z pustego żołądka, dopóki nie zaczął pluć krwią.

Powlókł się z powrotem do sypialni i rzucił na łóżko. W uszach dzwonił mu alarm i kilka sekund minęło, zanim oszomiony zorientował się, że to budzik. Gdzie jest? W Szanghaju. Poniedziałek rano. Czas iść do pracy.

Próbował się umyć i ogolić. Musiał się zaciąć przy goleniu, bo kiedy znowu opadł na kolana, a jego pusty żołądek jakby chciał z niego wyskoczyć, kilka kropel krwi pociekło mu po brodzie i kapnęło na podłogę.

Drżącymi rękami włożył na siebie ubranie i położył się z powrotem na łóżku wycieńczony i spocony. Pokój kręcił się w kółko. Przestał, kiedy Bill wstał. Mrucząc do siebie dla zachęty, wyszedł z mieszkania. W głowie mu wirowało, bolał go żołądek.

W windzie poczuł, że coś dziwnego dzieje się z jego nogami, i oparł się o drzwi, dopóki nie otworzyły się na parterze.

Dzień wydawał się jakiś zbyt jasny i ostry. Wyszedł na podwórze, zrobił kilka kroków i dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że nie idzie dzisiaj do pracy.

Oparł się o nowiutkie bmw, które stało tu przez całą noc, i próbował złapać oddech. Z bloku naprzeciwko wyszła Annie ubrana w sportowy strój i jej drobna, surowa twarzyczka przyglądała mu się nieufnie. Uniósł bezwładnie dłoń, błagając o pomoc, ale dziewczyna zaraz znikła, rzucając mu przez ramię karzące spojrzenie.

Nie wiedział, że Louis Vuitton robił również buty sportowe.

Czas się zatrzymał, a bezradny Bill czekał oparty o samochód. Rozglądał się za portierem, ale nigdzie go nie było. Zadzwoń do biura, tak, najlepiej zadzwoń do biura. Szperał w kieszeni marynarki, ale telefon zostawił w mieszkaniu.

Spojrzał w górę na chmury szybko płynące z wiatrem po niebie, a jego umysł usiłował ułożyć jakiś plan. Musi wrócić do mieszkania, tak, najlepiej wrócić do mieszkania. Zaklął, odsunął się od samochodu, ale zanim zdołał dowlec się do windy, poczuł, że leci przed siebie prosto na twarz.

Ktoś ze wszystkich sił próbował go podtrzymać. Poczul, że czyjeś dłonie łapią go pod ramiona, a potem druga para rąk ciągnie go za klapy marynarki, aby go podnieść z kolan i w końcu obie dźwigają go na nogi.

Otworzył oczy i zobaczył Jenny Jeden i Jenny Dwa podtrzymujące go z obu stron i konferujące po szanghajsku po drodze do windy. Obie były ubrane na czarno. Całe na czarno. Mimo to jakoś nie przyszło mu do głowy, że idą na pogrzeb.

Poszperały w jego kieszeniach i znalazły klucze do mieszkania. Próbowaly go zaciągnąć do sypialni, ale wyrwał im się i po chwili znowu opadł w swojej modlitewnej pozycji przed toaletą. Jenny Dwa głaskała go i poklepywała po plecach, a on jęczał i pocił się, i napinał, chociaż nic już nie miał do zwymiotowania.

Zaprowadziły go do głównej sypialni, Jenny Jeden zasłoniła zasłony. Nie miał siły tłumaczyć im, że tutaj nie sypia, że

sypia w drugim pokoju, gościnnym, że tutaj sypiały jego żona i córka. To wszystko było zbyt skomplikowane i wymagało ogromnego wysiłku, więc nic nie powiedział, tylko starał się im jak najbardziej pomagać, kiedy rozbierały go do slipek, a potem ułożyły do łóżka. Pościel tak przyjemnie chłodziła i tak świeżo pachniała. To było wspaniałe łóżko.

Potem musiał zasnąć, ponieważ nagle była tam JinJin i słyszał jakąś rozmowę, ale nie mógł niczego zrozumieć, i drzwi się zamykały, kiedy obie Jenny wychodziły z mieszkania. Pokój próbował wirować dookoła, ale jej twarz pozostała przed nim w miejscu — nieruchome centrum jego wszechświata.

— Teraz śpij — powiedziała.

— Zasługujesz — zaczął, sięgając po jej dłoń i podnosząc się na łokciu.

Była taka mała. Jak ktoś może mieć takie małe dłonie? Cofnęła ją i zmarszczyła niecierpliwie brwi. Chciał porozmawiać, miał kilka rzeczy do powiedzenia, ale coś się działo z jego oddechem, coś go zatykało i stracił wątek i nie mógł sobie przypomnieć, na co dokładnie zasługiwała.

— Za dużo mówisz — stwierdziła, kręcąc głową.

Podciągnęła go, niepotrzebnie poprawiła mu poduszkę i opuściła z powrotem na łóżko. Zamknął oczy, które piekły go od potu, bolały go puste trzewia. Nigdy nie podejrzewał, że można się czuć tak zmęczonym.

Wyciągnął do niej rękę i tym razem JinJin nie cofnęła dłoni. Gdzieś dzwonił telefon, ale żadne z nich nie zwracało nań uwagi.

Została przy nim przez cały, niekończący się dzień. Na wpół włókła go do toalety, kiedy znowu potrzebował ukłęknać i modlić się. Później zdał sobie sprawę, że nikt przed nią nie widział go nigdy w stanie takiego fizycznego upadku. Spała na kółdrze obok niego w ubraniu, jedno smukłe ramię przełożywszy przez jego pierś.

A nazajutrz rano, kiedy minęły całe dwadzieścia cztery

godziny, a on się w dalszym ciągu trząsał i pocił w tym wspa-
niałym łóżku, czując tylko skurcze pustego żołądka, JinJin
zaczęła szukać po jego kieszeniach portfela i telefonu do ko-
goś, do kogo mogłaby zadzwonić.

* * *

— Mówimy o niewydolności serca, ale ten termin jest bar-
dzo mylący — oznajmił kardiolog. — W sensie medycznym
niewydolność serca jest określeniem względnym. Niewydol-
ność wydaje się znaczyć, że serce nie jest w stanie dłużej
pompować krwi i pacjent umiera. — Jego usta rozciągnęły się
ni to w uśmiechu, ni to grymasie niezadowolenia. — Natural-
nie coś takiego również może się zdarzyć.

Becca, jej ojciec i Sara siedzieli w gabinecie. Becca pomy-
ślała, że był to wyjątkowo mały gabinet jak na tak renomowa-
nego i drogiego specjalistę. Miał śniadą cerę narciarza, pięć-
dziesiąt pięć lat i czekał na upragnioną emeryturę i obiady w
Ivy. Ojciec miał zapisaną wizytę o drugiej, ale lekarz się spóź-
nił. Powinni to byli przewidzieć i przyjść nieco później, żeby
nie siedzieć w poczekalni, przerzucając zniszczone magazyny i
zastanawiając się, czy wyrokiem będzie życie, czy śmierć. Po-
winni nazwać ten pokój zastanawialnią, a nie poczekalnią.

Pielęgniarka kardiologa, gruba siostra w błękitnym fartu-
chu, umieszczała czarne klisze na podświetlonym ekranie. To,
co tam było widać, nie wyglądało jak jej ojciec. W ogóle nie
wyglądało jak serce.

Becca siedziała między ojcem i siostrą i zastanawiała się
nad tym, ile takich zdjęć lekarz widuje każdego dnia? Mówił z
wywiczonym współczuciem. Wszystko to widział już nieraz,
pomyślała. Przerażenie na twarzy pacjenta, łzawe niedowie-
rzanie rodziny, rozpaczliwe pragnienie jakiegoś strzępka do-
brej wiadomości. Ile wyroków śmierci ogłaszał? Ile ułaska-
wień? Zbyt wiele, aby je policzyć, uznała. A my jesteśmy dla
niego tylko „pacjentami z drugiej”.

— Proszę pomyśleć o chorym sercu jak o niewydajnym pracowniku — mówił kardiolog. — Niewydajny pracownik pracuje dwa razy ciężiej niż zwykły robotnik, ale efekt jest dwa razy mniejszy. Zdrowe serce...

W jej torebce zadzwonił telefon. Gruba pielęgniarka popatrzyła na nią, jakby miała ochotę ją zabić. Becca puściła ręce ojca i siostry i szybko wyciągnęła komórkę. W momencie kiedy ją wyłączała, zobaczyła napis: NUMER NIEZNANY.

— Przepraszam — powiedziała do wszystkich, ale głównie do tłustej pielęgniarki, która chciała ją zabić.

Znowu poczuła dłonie ojca i siostry chwytające ją za ręce, palce szukające pocieszenia i uspokojenia, jakby chciały, żeby przestała już uciekać.

* * *

— Może się pan ubrać — rzekł doktor Khan do Shane'a.

Podczas gdy Shane wkładał majtki i spodnie, Khan poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Zaledwie kilka godzin temu wysiadł z samolotu po locie z Heathrow, był roztrągniony i oszołomiony po wielogodzinnej podróży i zmianie czasu. Kiedy wszedł do gabinetu, pacjenci już na niego czekali.

Rosalita siedziała obok na krześle, ale Shane czuł się bardzo samotny. Z jakiegoś powodu jej obecność w gabinecie wywoływała w nim jeszcze większe poczucie wyobcowania, niż gdyby siedział tu sam.

Przyszli do lekarza, ponieważ bóle nie ustawały, bóle w jego starej wiernej kielbasce z warzywami, tak niezawodnie służących mu w niezliczonych przygodach. W końcu go zdradziły. Teraz już nie miał wątpliwości, że dzieje się z nim coś bardzo złego. Dzisiaj się tego dowie.

Potrzebował przyjaciela, sojusznika i żony, kogoś, kto by mu powiedział, że wszystko będzie dobrze, bez względu na to, co się wydarzy, jakoś przez to przejdzie. Że przejdą przez to

razem. Zamiast tego czuł się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

— Nie jest to nowotwór i nie jest to przepuklina moszny — oznajmił doktor Khan, ale coś w jego głosie nie pozwoliło Shane'owi odetchnąć z ulgą.

Dobrze chociaż, że badanie było litościwie krótkie. Leżał na leżance ze zsuniętymi spodniami i slipkami. Dłonie w gumowych rękawiczkach zlokalizowały źródło bólu, zagłębiały się z lekarską wprawą w jego ciało, a teraz doktor Khan autorytatywnie oświadczył, że nie jest to coś, czego Shane się najbardziej obawiał. Nie rak. Plastikowe dłonie przesunęły się z jader na północ, ucisnęły szczyt pachwiny, brzuch, a potem wróciły z powrotem na południe w kierunku najbardziej boleącego miejsca. Nie była to również przepuklina. Shane słyszał w jego tonie niezachwianą pewność.

To jednak nie wszystko.

— Niestety, to może być skręt jądra — powiedział Khan.

Skręt jądra? — pomyślał Shane. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Spędził całe tygodnie nad encyklopediami zdrowia, szukając, co mu może dolegać, jeżeli nie był to po prostu efekt kopniaków, jakie zarobił w jądra.

Nowotwór? Może. Przepuklina? Prawdopodobne i chociaż nieprzyjemne, lepsze to niż rak. Ale skręt jądra? Czy w ogóle wspominały o czymś takim słowniki medyczne? Och, na pewno, tylko że nawet na to nie spojrział. A więc tak brzmi to, co cię zabije, pomyślał.

Coś, czego nawet nie umiesz nazwać.

— Nienaturalne skrócenie jądra — dodał Khan. — Niech pan sobie wyobrazi piłkę, którą skrócono wokół osi.

Shane skrzyżował nogi, a potem szybko je rozkrzyżował. Wyobraził sobie aż nadto wyraziście.

Próbował być dzielny i uśmiechnąć się, ale to wszystko brzmiało zbyt obco i niezrozumiale i za bardzo się bał.

— Jaki jest najgorszy scenariusz? — zapytał najłżejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Doktor Khan patrzył na nich oboje.

— No cóż, jeśli jest to skręt i to jądro w zasadzie obumarło, jeśli nie dopływa do niego krew, to trzeba je będzie chirurgicznie usunąć, i to jak najszybciej.

Shane był zbyt otępiały, żeby się przestraszyć. Czuł, że od-
dycha, czuł, że mu serce bije, i widział, jak jego życie obiera
jakiś obłąkany, niespodziewany kurs. Skręt jądra! Teraz o tym
usłyszałem. Nagle odezwała się jego żona. Mówiła głosem
zimnym, twardym, beznamietnym.

— Czy będzie mógł mieć dzieci? — spytała, jakby doświadc-
zyła wielkiej osobistej zniewagi.

Doktor Khan nie odpowiedział wprost.

— Musimy pana przeskanować — powiedział. — Mamy tu
najlepszego radiologa w mieście. Chciałbym, aby poszedł pan
i poczekał przed jego gabinetem, aż będzie mógł pana przyjąć.
Zadzwoń do niego za chwilę, ale ponieważ nie był pan zapi-
sany, obawiam się, że to trochę potrwa, zanim będzie mógł
pana przyjąć.

Shane pokiwał głową. Cały czas nie mógł wyjść w szoku.
Gdzie jeszcze powinien iść? Co jeszcze czekało za tym gabi-
netem? Rosalita milczała u jego boku. Nawet go nie dotknęła, aż
prawie zapomniał, że tu jest.

Zadzwoił telefon na biurku i doktor Khan gniewnym ge-
stem podniósł słuchawkę.

— Nie odbieram żadnych telefonów, kiedy przyjmuję pa-
cjenta, przecież o tym wiecie.

— To bardzo pilna sprawa, panie doktorze — powiedziała
jego sekretarka przeproszającym tonem. — W sprawie pana
William Holdena, dzwoni Li JinJin. Mówi, że pan będzie
wiedział.

Khan omal nie wybuchnął śmiechem. Boże, jaki był zmę-
czony.

— Li JinJin? Znakomicie, dużo mi to mówi. W Chinach
mieszka pewnie z pięćdziesiąt milionów Li JinJin.

Mimo to odebrał telefon, robiąc przeproszającą minę do

Shane'a i Rosality. W słuchawce kliknęło, po czym rozległ się kobiecy głos.

— Doktor Khan? Pan mnie nie zna.

* * *

W ogromnym łóżu Bill co chwila się budził, to znów zapadał w dziwne sny. W pościeli przesiąkniętej potem wstrząsały nim dreszcze, a myśli galopowały szaleńczo, kiedy nasłuchiwał, jak JinJin krąży po mieszkaniu.

A jeśli problemem jest nie to, że chce się spotkać kogoś wyjątkowego, ale że się poznaje wiele wyjątkowych osób? Jeśli nie chodzi o to, aby znaleźć kogoś, kogo warto pokochać, ale że się znajduje nieskończenie wiele osób zasługujących na miłość? Co wtedy? Czy to jest sposób na szczęśliwe życie? Czy przepis na katastrofę?

* * *

— Ma pan wielkie szczęście — powiedział doktor Khan, pochylając się nad łóżkiem Billa.

Leżał podłączony do kroplówki w Międzynarodowym Szpitalu Rodzinnym. Lekarstwo spływało mu do żył jak roztopiony lód, a Bill krzywił się z bólu. JinJin stała niezręcznie w kącie pokoju, nie wiedząc, czy ma iść, czy zostać.

— Nie wiem, co pan zjadł — mówił doktor Khan — ale zachorował pan na wirusową infekcję żołądka i jelit. Wygląda jak czerwonka pełzakowa. Zatrzymamy pana na badania. Jest pan oczywiście również bardzo odwodniony. To mogło pana zabić.

— Czy ktoś zadzwonił do mojej żony? — zaskrzypiał Bill.

— Kiedy pan spał, przyszedł tu ktoś z pańskiej firmy. Panna Deng, zdaje się. Tak? — Pod ścianą JinJin skinęła głową, ale Khan jej nie zauważył. Bill zdał sobie sprawę, że doktor stara się za wszelką cenę udawać, że jej tu w ogóle nie ma. — W pańskiej firmie wiedzą, co się stało. Panna Deng powiedziała, że osobiście zadzwoni do Becki. Do pańskiej żony. Pan również może to zrobić, kiedy będzie pan w stanie.

— Zrobię to — powiedział Bill i doktor Khan przyjął te słowa krótkim skinieniem głowy, po czym odwrócił wzrok.

Gdy wyszedł, skłoniwszy się powściągliwie JinJin, dziewczyna podsunęła sobie krzesło do łóżka i obserwowała twarz Billa. Położyła mu dłoń na czole, jak gdyby mierzyła temperaturę, potem łagodnie przejechała po skroni i po policzku, przez wargi, a potem po drugim policzku, aby otrzeć cienką warstewkę potu.

— Dziękuję, że uratowałaś mi życie — rzekł Bill, a ona odpowiedziała tym swoim bezcennym uśmiechem.

Zacząła też coś mówić, ale on już spał.

* * *

Kiedy się obudził, nie wiedział, gdzie jest, zdezorientowany przez senne odgłosy nocnego życia szpitala.

Ktoś krzyczał przez sen. Ktoś przejeżdżał na wózku obok jego sali. Pielęgniarki rozmawiały na korytarzu. Dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał.

Przy jego łóżku stała kropiółka, ale torebka z lekarstwem była do połowy opróżniona i Bill jęknął, czując lodowaty ból pełną ręką przez ramię.

Teraz sobie przypomniał.

Khan poszedł. Poszła też JinJin. Za to w snopie światła wpadającego do pokoju przez szybę w drzwiach zobaczył znajomą zwałistą sylwetkę Shane'a na krześle przy jego łóżku.

— Wszystko w porządku, stary?

Bill zamknął oczy i pokiwał z uśmiechem głową, słysząc pokrępiący australijski warkot.

— Małe czyszczonek, co — stwierdził Shane. — Każdemu się zdarza.

— Nie mam pojęcia, co ja takiego zjadłem — jęknął Bill.

Ostatnim posiłkiem, jaki pamiętał, były jakieś kluski dan dan, które jadł późno wieczorem razem z Shane'em i Niemcami na Bundzie. Ale Shane najwyraźniej przeżył kluski. Bill zamknął oczy. Nigdy w życiu nie czuł się taki zmęczony.

— Czerwonka pelzakowa. — Shane wzruszył ramionami. — Może się trafić równie dobrze w jedzeniu jak w wodzie. Pewnie trafiłeś na felerną kostkę lodu. Trzymaj się z dala od wody, stary. Czy wy, Angole, jesteście zupełnie bez pojęcia? — Poklepał go po ramieniu. — W każdym razie wszyscy cię pozdrawiają. Kuruj się, ile ci się podoba. Tak powiedział Devlin. — Shane poruszył się niezgrabnie na krześle. — Sam miałem dzisiaj kurewski dzień. Rozcierali mi ciepły żel po całych klejnotach koronnych. — Bill otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w przyjaciela. Shane westchnął na to wspomnienie i nie mógł się zdobyć na uśmiech. — Niejeden gotów by zapłacić za to kupę forsy, stary. Kiedy gościu powiedział „przeskanować”, myślałem, że chodzi o tę maszynę, gdzie człowieka wtykają do środka, no wiesz, tej, co wygląda jak trumna. Jak to się nazywa?

— Rezonans magnetyczny — odrzekł Bill.

— No tak, rezonans. Ale oni zrobili mi coś takiego, co robią kobietom w ciąży. Smarują im galaretą brzuch i widzą w środku berbecia.

Bill pomyślał o badaniach, które przeprowadzano Becce, kiedy była w ciąży. Trzymał ją za rękę i oboje jak zauroczeni wpatrywali się w ich nienarodzoną córeczkę na monitorze. To były ich najpiękniejsze chwile. Nie, najpiękniejsze chwile przeżyli, kiedy ich córeczka się urodziła. Nie, jednak później, kiedy trochę urosła i nauczyła się chodzić i widziało się już w niej dziewczynkę, która z niej wyrośnie. To były najpiękniejsze chwile. Albo może jeszcze później, kiedy nauczyła się mówić i mogli z nią rozmawiać. To były najpiękniejsze chwile.

Shane cały czas mówił o badaniach.

— No wiesz, jak kobitce urośnie brzuch, to ją badają i dużo przy tym jest ochów i achów. — Znowu poruszył się na krześle. — No to przy moim badaniu też było dużo ochów i achów, kiedy zaczęli wcierać galaretkę w moje marmurowe skarby.

Bill zamknął oczy i roześmiał się. Nie chciał się śmiać, bo go wtedy za bardzo bolało, ale nie mógł się powstrzymać. Łód popłynął jego żyłami i Bill aż jęknął z bólu.

— Nic ci nie jest, Shane?

Wielki Australijczyk poruszył się w ciemności. Z nikim do tej pory o tym nie rozmawiał. Trzymał wszystko w sobie.

— Doktor myślał, że trzeba mi będzie uciąć jedno jajo. To po naszej wielkiej nocy w dzielnicy Pudong, pamiętasz?

Bill popatrzył na niego i przestał się śmiać.

— Jezu, Shane. — Tajemnice, których dotrzymujemy, pomyślał. — Tak mi przykro.

I naprawdę było mu przykro. I czuł się winny. Wiedział, że gdyby nigdy się nie zbliżył do JinJin, jego przyjaciel nie musiałby przez to wszystko przechodzić.

— Nic się nie stało — oznajmił pogodnie Shane. — Radiolog powiedział, że nie ma żadnego skrętu. Równy gość. Stwierdził, że to skutki łomotu, jaki dostałem. Ale wiesz, umysł płata ci figle, no nie? Umysł potrafi płatać różne figle.

— To dobrze, Shane — wychrypiał Bill. Mówili przyciszonymi głosami w tej szpitalnej nocnej ciszy, jakby ktoś jeszcze spał w pokoju, kogo nie chcieli budzić. — Bardzo się cieszę.

— Pamiętam, jak moja babcia zmarła na raka piersi — powiedział Shane. — Była z niej superbabka. Zrobiła najbardziej wielkoduszną i najodważniejszą rzecz, jaką w życiu widziałem. Wzięła moją mamę za rękę i położyła ją na guzie. Dała jej poczuć to, co ją zabijało. I powiedziała: „Tego zawsze szukaj, kochanie. Przed tym musisz się chronić, skarbie, jeśli znajdziesz, pokonasz to. Jeśli odkryjesz go dość szybko, wyrzucisz go z siebie i będziesz żyć”. I kiedy przychodziło mi do głowy, że mogę mieć raka jądra, pomyślałem sobie: Niech mnie szlag, kocham Billa Holdena jak brata, ale choćby nie wiem co, nie dam mu wtykać ręki w moje spodnie.

Bill znowu wybuchnął śmiechem, jeszcze gwałtowniej niż

poprzednio, jak gdyby ktoś im obydwu zdjął z piersi wielki ciężar. Nie zważał, że lód płynie w jego żyłach.

— Na szczęście wszystko się dobrze skończyło — powiedział.

Shane kiwnął głową.

— Mówię ci, coś takiego stawia całe życie w innym świetle. — Potarł palcami oczy. — Na przykład małżeństwo. Serio. Kiedy coś takiego się zdarza, kiedy przez chwilę wydaje ci się, że cię zaczną po kawałku odkrajać, wtedy odkrywasz, co naprawdę masz, a czego nie. — Odwrócił głowę, chociaż Bill nie mógł go widzieć w ciemności. — Siedziała na walizkach, Bill, widziałem to. Nie dosłownie, ale zostałbym w tym interesie sam. Gdyby coś się stało, Rosalita by ode mnie odeszła.

Bill pomyślał o przyjacielu i kobiecie, która została jego żoną, zanim jeszcze na dobre została jego narzeczoną. Pomyślał, jak szybko wszystko mogło się rozsypać.

— Nie wiesz, czy rzeczywiście tak by się stało — zauważył Bill. Szukał jakiegoś pocieszającego truizmu, ale sam w żaden z nich nie wierzył. — W trudnej sytuacji mogłyby się w niej ujawnić najlepsze cechy. To mogłoby was zbliżyć.

Shane prychnął.

— Radykalna metoda na połatanie małżeństwa? Zafundować sobie operacyjkę na klejnotach rodowych. — Pokręcił głową. — To smutne, ale prawdziwe, Bill. Ona nie potrafi być w małżeństwie taką podporą, jaką powinna być żona. Nie jest moją przyjaciółką.

Bill zamknął oczy. Chciał pomóc Shane'owi. Chciał go pocieszyć. Ale poczuł się bardzo zmęczony. Przed zaśnięciem powstrzymywał go tylko lód pełnący we krwi. Skrzywił się z bólu.

— To nie tak jak z tobą i Beccą — powiedział Shane. — Ja i Rosalita nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy... sam nie wiem, kim jesteśmy. Partnerami do dmuchania, tylko z obrączkami na palcach, to wszystko. A ostatnio, od tamtej nocy w Pudongu,

to nawet i tym nie. — Zasłonił twarz dłońmi i Bill słyszał w mroku jego ciężki oddech. — O takim małżeństwie jak twoje marzy każdy facet — dodał Shane i Bill wiedział, że to prawda.

Umysł płata człowiekowi figle, pomyślał.

Umysł płata najróżniejsze figle.

* * *

— Czuję się okropnie — stwierdziła Becca. — Beznadziejnie. Naprawdę podle.

Na drugim końcu świata Bill zaśmiał się słabo.

— Pestka — rzucił.

Po jednym słowie Becca się zorientowała, jak źle się czuł jej mąż. Mówił, jakby go kompletnie wypatroszono.

— Przepraszam, kochanie — powiedziała.

— Za co przepraszasz?

— Za to, że musiałyśmy wrócić do domu. Przepraszam, że musisz sam przez to przechodzić. Powinam być przy tobie.

— Nic nie poradzisz na to, że twój tata się rozchorował.

— Wiem, ale... chcę, żebyśmy byli szczęśliwi. Naprawdę. Tylko tego pragnę. Chcę, żebyśmy znowu byli razem.

— Ja też.

To było takie proste i oczywiste życzenie. Becca nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, jak kiedykolwiek mogli pragnąć czegoś innego.

— Jak się czuje twój tata?

— Bez zmian — odparła. — Badania niczego ostatecznie nie rozstrzygnęły. Stwierdzili nieregularną pracę serca, ale nie wiedzą, co jest przyczyną. Nagle bardzo się postarzał.

— A Holly? — zapytał.

Becca przypomniała sobie ich ostatnią awanturę. Nie chciała dopuścić do następnej.

— Wszystko dobrze, Bill — zapewniła go szybko. — Jest zadowolona, że mieszka z Sarą i jej dziećmi. — Cisza. — Proszę, kochanie, uwierz mi. — Celowo nie wspominała o mężczyźnie

Sary. Wiedziała, że to czuły punkt. — Obiecuję, że to tylko na chwilę, dopóki tata nie zacznie sobie radzić sam.

— To dobrze — powiedział, starając się, aby to zabrzmiało jak najspokojniej.

— Jak się czujesz? Kiedy wrócisz do pracy?

— Już lepiej, naprawdę, nie martw się. Devlin kazał mi odpoczywać. Nie ma problemu, jest kupa rzeczy, które mogę robić poza biurem.

— Mimo to może jednak powinnam przyjechać — stwierdziła. — Porozmawiam z doktorem Khanem.

— Nie, nie — zaprotestował Bill. — Proszę, nie rób tego.

To nieprawda, że nie miała wtedy wyjścia, pomyślała Becca, kiedy się rozłączyli. Mogła z nim zostać w Szanghaju. Tylko że teraz nie miało już sensu się nad tym zastanawiać. Najgorsze minęło, doszła do wniosku, idąc do kuchni, żeby zrobić dla siebie i ojca makaron z sałatką. Tata drzemał przed telewizorem. Becca obudziła go, kiedy jedzenie było gotowe. Dużo się zachwycał i rozpływał, ale prawie nic nie tknął.

Po kolacji Becca zadzwoniła do Sary, żeby powiedzieć Holly dobranoc. Potem oglądała z ojcem telewizję, ale to raczej ona przeskakiwała z kanału na kanał, bo tata co chwila zapa- dał w drzemkę.

Dziwne, bo w nocy nie mógł spać. Becca często słyszała, jak tłucze się po mieszkaniu, za to nie miał najmniejszego problemu z zasypianiem na sofie o zupełnie niestosownych po- rach.

Obudziła go około północy i poczekała, aż pokona schody, umyje się i zgasi światło. Dopiero wtedy sama położyła się spać.

Uśmiechnęła się smętnie, myśląc, jak dziwnie się sprawy układają, że teraz ona z kolei kładzie się spać w pokoju go- ścinym, i śpi sama na jednoosobowym łóżku.

* * *

Herbata pomoże mu wrócić do zdrowia, powiedziała JinJin. I świeże powietrze. I spacer.

Tak więc po kilku dniach od powrotu ze szpitala, jednego z tych poranków, kiedy ani *ayi*, ani Tygrys nie przywieźli mu zakupów, ani Shane nie wpadł zobaczyć, jak się czuje, a może również po to, aby odwlec powrót do domu, do drzwi zadzwoniła JinJin i oświadczyła, że zabiera go na spacer. Zaleciła Stare Miasto, Ogrody Yu i herbaciarnię na jeziorze.

Pojechali jej czerwonym minicooperem, a Bill nie mógł się zdecydować, czy ta dziewczyna jest najgorszym kierowcą na świecie, czy po prostu typowym szanghajskim piratem drogowym. W każdym razie dojechali w jednym kawalku, JinJin wzięła go pod ramię i poszli przez Stare Miasto do zygzakowatego mostu na jeziorze. Poczł, jak jej długie ciało przytula się do niego i przystanął, żeby na nią popatrzeć. Spuściła oczy na wodę bulgoczącą od złotych rybek, a potem z powrotem podniosła je na jego twarz.

— Dobry tata, dobry mąż, dobry człowiek — powiedziała, po czym skinęła głową, jakby podjęła ważną decyzję. Patrzyli na siebie przez długą chwilę. — Tak, tak myślę.

Kiedy ją pocałował, ich usta dopasowały się do siebie idealnie. Z ustami zwykle jest tak, że coś w nich do siebie nie pasuje — języki zbyt ruchliwe albo zbyt bierne, wargi za twarde albo zbyt wilgotne, zęby wchodzą w drogę, przeszkadzają nosy. Ale nie z nią.

— Nie, nie, nie. Nie pozwolę na to — powiedział.

Czuł, jak natychmiast zareagował na jej ciało, jak zapragnął ją przy sobie przytrzymać i cofnął się, żeby na to nie pozwolić.

— Nie pozwolę na to, ponieważ jeśli do tego dojdzie, to nie będę taki, jak przed chwilą powiedziałaś. Prawda? Dobry ojciec, dobry mąż, dobry człowiek. Wszystko to będzie można wyrzucić na śmietnik, JinJin.

Skinęła z namysłem głową, jakby się z nim zgodziła.

— Donikąd nie pójdziemy — stwierdziła.

Nie wiedział, czy chciała powiedzieć, że ich związek donikąd ich nie doprowadzi, czy też, że nie powinni nigdzie chodzić, aby ich nie widziano razem. Herbaciarnia na jeziorze

była znacznie bardziej opustoszała w środku tygodnia niż w weekend, istniało niewielkie prawdopodobieństwo spotkania tu dzisiaj kogoś z firmy, ale jednak istniało. A może miała na myśli to, że nie mogą ciągnąć romansu w żadnym z ich mieszkań. Może miała na myśli wszystkie te rzeczy naraz.

— Nie, nie, nie — powiedział z desperacją, cofając się od brzegu przepaści. — Nie zabiorę cię w miejsce, gdzie sypia moja żona i bawi się moja córeczka. I nie możemy iść do ciebie, bo mógłby nas zastać twój przyjaciel. — Nie udało mu się zamaskować w głosie goryczy. — On ma klucze, prawda?

JinJin przytaknęła tym swoim dobijającym, rzeczowym tonem.

— Tak, ma klucze. To jest jego mieszkanie. — Ruszyli wolno w stronę herbaciarni. Uśmiechnęła się, jakby z jakiegoś dobrego, niewinnego żartu. — Nie ma kochania się w mieszkaniu Williama. Nie ma kochania u JinJin.

Nie potrafił odwzajemnić uśmiechu. To wszystko zaszło już za daleko. Ten pocałunek był błędem. Tylko że ona była taka dobra i taka ładna, a on od dawna czuł się taki samotny.

— Uważam, że jesteś wspaniała, JinJin, wiesz, że tak myślę. Ale jak moglibyśmy coś takiego zrobić?

Potem żadne z nich się nie odzywało, dopóki kobieta nie przyniosła im herbaty i nie napełniła dwóch filiżanek. I kiedy czekali, aż ostygnie wrzątek, JinJin otworzyła torebkę i bez słowa podała mu kopertę, w której znajdowały się dwa bilety linii Dragon Air na ich nazwiska. Przyjrzał się im bliżej. Z Szanghaju do Guilinu, odlot nazajutrz rano. Niemożliwe, pomyślał. Nie ma mowy.

— Nie — powiedział. — Nie polecę do... gdzie to jest? Do Guilinu. Wracam do pracy. — Patrzył na bilety, kręcąc głową. — Nigdy w życiu nawet nie słyszałem o Guilinie.

Wyciągnął do niej rękę z biletami, ale ona nie zrobiła żadnego gestu, żeby je wziąć. Dmuchała na herbatę. Bill pochylił się do niej.

— Posłuchaj mnie, JinJin. Popatrz na mnie. Ja nie jestem

wolnym mężczyzną. Trzy słowa, zanim cokolwiek się zacznie:
NIE JESTEM WOLNY.

— Tobie podoba Guilin — odpowiedziała trzema własnymi słowami i podniosła filiżankę do ust, ale ostrożnie, ponieważ była tak gorąca, że trudno ją było nawet utrzymać w palcach.

Potem nie rozmawiali aż do czasu, kiedy wracali czerwonym minicooperem z chińską flagą na dachu w stronę Nowego Gubei i JinJin odwróciła się do niego i opowiadała, jak jej ojciec przyjechał z Guilinu, więc miała mamę z dalekiej północy i tatę z dalekiego południa, aż przy granicy z Wietnamem. Naciskała klakson tylko po to, aby oznajmić światu swoją obecność, wyprzedzała po wewnętrznej, wjeżdżała samochodom prawie na sam zderzak, mrugała światłami i nie okazywała przy tym absolutnie żadnego strachu.

Tego się najbardziej bał. Tego jej braku strachu, jakby nie zdawała sobie sprawy, że to się może źle skończyć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na drewnianym moście wysoko nad rzeką kulili się pod parasolem z nazwą hotelu i obserwowali rybaka z kormoranem.

Po zmierzchu łódzie wozily turystów, aby mogli oglądać ludzi łowiących ryby z ptakami. Bill i JinJin wypłynęli na tę wycieczkę pierwszego wieczoru w Guilinie. Reflektory z łodzi oświetlały rybaków kucających w małych płaskodennych łódkach. Naprzeciwko nich siedziały kormorany, a w środku świeciły lampy naftowe. Wyglądało to, jakby ludzie i ptaki kulili się przy ognisku.

Ptaki wypuszczone na polowanie wpadały błyskawicznie do wody i natychmiast wystrzeliwały z powrotem z rybą w dziobie. Rybacy, małutcy mężczyźni w nieokreślonym wieku, wrzucali większość ryb do wielkich wiklinowych koszy. Co siódmą rybę pozwalali ptaku połknąć, rozluźniwszy metalową obręcz na jego szyi. Nocą, przy widowni oniemiałych chińskich turystów, cały proceder sprawiał wrażenie sprytniej sztuczki cyrkowej, ale w dzień obserwowano się mężczyzn z kormoranami z góry, z wysokiego drewnianego mostu, za darmo, i wiedziało się, że ci ludzie po prostu łowią ryby i nie ma to nic wspólnego z kokietowaniem publiczności. Bill pomyślał, że to widok sprzed tysiąca lat.

Guilin to były Chiny, jakie Bill widywał na zdjęciach. Za miastem góry z wapienia ciągnęły się w nieskończoność, jakby świadome swej malowniczości, niektóre z nich tak idealnie trójkątne jak na obrazkach jego córki, a cały widok zamalowany mgłą pozował i czekał, aż ktoś go uwieczni dla potomności.

Czuło się, że to kraniec Chin. Bill prawie podejrzewał, że znaleźli się na skraju świata, chociaż wiedział, że to Wietnam zaczyna się po drugiej stronie gór. Chociaż jednak był to najbardziej zachwycający krajobraz, jaki widział w życiu, ten pocztówkowy urok Guilinu nie zauroczył go tak jak rybak ze swoim kormoranem.

— To są dla mnie prawdziwe Chiny — powiedział. Daleko pod nimi na szklistej wodzie rzeki Li, rzeki, z którą JinJin dzieliła nazwisko, samotny rybak rozluźniał metalową obręcz na szyi swojego ptaka. Ryba, którą zwierzę trzymało w dziobie, w mgnieniu oka znikła w przełyku. — Ten rybak. I ten ptak.

JinJin wzruszyła ramionami. Uśmiechnęła się do niego i ścisnęła go za ramię, ale światło w jej oczach prawie się nie zmieniło, jak gdyby widok rybaka i kormorana nie zasługiwał na tyle uwagi, jakby z pobłażaniem patrzyła na nastroje Billa, a jej kraj i cały świat był dużo prostszym miejscem, niż mu się zdawało.

— To tylko praktyczne — powiedziała, kiedy ptak zanurkował po raz kolejny do wody i wypłynął z rybą w dziobie, której tym razem nie będzie mu wolno połknąć. — Po prostu praktyczne.

* * *

Był to okres, kiedy nie mógł się nią nasycić.

W ciągu dnia spacerowali po Guilinie. Późnym popołudniem wywieszali znaczek na drzwiach, żeby pokojówka i cała reszta świata poszli sobie precz, a on kochał ją i jęczał i spał w jej ramionach.

To wszystko było doskonale logiczne, a zarazem obłąkane, ponieważ świat wyciekł gdzieś niepostrzeżenie i liczyło się

tylko to, żeby być tam w pokoju razem z nią. Nie miał pojęcia, jak by to mogło być możliwe, ale jakoś to wymyśla. W jakiś sposób sprawi, że ich dni w Guilinie będą trwały w nieskończoność nawet w prawdziwym świecie. Jakoś sprawi, że ten urlopowy romans będzie trwał wiecznie. Musi tylko wykombinować, jak to zrobić.

Jednocześnie wyrzuty sumienia dręczyły go niemal tak samo fizycznie jak przedtem choroba — przytłaczające poczucie winy i wstydu, które spadały na niego, kiedy leżał z otwartymi oczami, a JinJin spała, jakby go ktoś grzmotnęła kijem baseballowym w tył głowy. A jednak obok niezaprzeczalnych wyrzutów sumienia trawiących go jak gorączka równie okropna była świadomość, że gdyby musiał jeszcze raz podjąć decyzję, zrobiłby dokładnie to samo: wzięłby JinJin za rękę i pojechał na lotnisko, a potem wszedł do samolotu lecącego do Guilinu i obserwował rybaków z kormoranami, i zrobił krok prosto w przepaść.

* * *

Zdumiało go, że chce się zobaczyć z ojcem.

Pierwszego ranka w Guilinie, pod wpływem bliskości rodzinnego miasta swego ojca, JinJin opowiedziała mu lekkim tonem ciąg przerażających historii o dorastaniu w cieniu jego napadów gniewu, i Bill uznał za oczywiste, że zerwała wszelkie kontakty z ojcem po tym, jak jej rodzice się rozwiedli. Mieszkał w małym miasteczku pod Guilinem, dokąd można było dojechać taksówką, i podobno podupadał na zdrowiu, więc JinJin uznała za naturalne, że powinni go odwiedzić.

— Z takim ojcem — powiedział oburzony Bill — na Zachodzie nie chciałabyś mieć w ogóle do czynienia.

JinJin wzruszyła ramionami.

— Nie jesteśmy na Zachodzie — przypomniała mu.

Tak więc wzięli taksówkę i pojechali w góry z wapienia, nad szklaną rzekę, między pola ryżowe umykające za oknami samochodu, podczas gdy Billowi przesuwały się przed oczami

okropne sceny z dzieciństwa JinJin na drugim końcu kraju: ojciec bijący ją i jej siostrę po rękach, kiedy rozdrażniły go przy obiedzie; wlokący ich matkę, żeby ją zbić, i krzyczący: „Pożegnaj się z dziećmi, bo więcej ich nie zobaczysz!”; a potem, już po rozwodzie, kiedy nie chciał ich zostawić w spokoju, przekonujący JinJin na ulicy; ona miała piętnaście lat, on czterdzieści, a przechodnie brali ich za kochanków.

Był nałogowym hazardzistą. To stąd się brała jego brutalność. Pracował, potem grał, i kiedy wszystko tracił, wracał do domu, aby zrzucać całą winę na żonę i córki, i wyładowywać na nich złość.

Miasteczko leżało w dolinie między dwoma przysadzistymi wzgórzami. Białe pnie drzew ściętych przed laty pięły się pod górę jak masowe groby z dawno zapomnianej wojny. Mieścina przypominała częściowo slumsy, częściowo pole kempingowe. Obok chałup z drewna i blachy falistej stały obskurne brązowe namioty, z których wybiegały bosonogie dzieci zaciekawione przyjazdem taksówki.

To coś trudno w ogóle nazwać miasteczkiem, pomyślał Bill.

— Co tu się stało? — zapytał.

JinJin popatrzyła na wzgórze.

— Powódź — odparła. — Dawno temu wycięto dużo drzew.

— Szukała odpowiedniego słowa. Gleba? Kiedy nadchodzi tajfun, gleba zsuwa się ze wzgórze, jeśli nie ma drzew. — Powoli uniosła drobną dłoń wnętrzem do dołu. — Nadchodzi deszcze, rzeka rośnie. Rozumiesz?

Pokiwał głową.

— Jak długo ci ludzie mieszkają w namiotach? — spytał. — Kiedy była ta powódź?

Zastanowiła się.

— Trzy lata temu. Chodź, poszukajmy mojego taty.

Mieszkał niedaleko dworca autobusowego, gdzie pracował. Nosił wąsy à la Clark Gable i miał prawie kwadratową sylwetkę. Tak bardzo się różnił posturą od swojej smukłej, wysokiej córki, że Billowi trudno było uwierzyć, aby w ich żyłach płynęła

ta sama krew. Uśmiechał się nieśmiało do gościa, kiedy gawędzili z córką, i może właśnie dlatego, że JinJin czuła się przy nim tak swobodnie, Bill nie miał serca, aby tego człowieka nienawidzić.

— Ja ojciec ta dziewczyna — oznajmił.

Bill skinął głową i obaj uśmiechnęli się po tej wstrząsającej nowinie. Dwaj koledzy ojca JinJin rechotali rozbawieni jego biegłą znajomością języków obcych.

— On nie mówi po angielsku — powiedziała lekceważąco JinJin.

Jej ojcu nie wiodło się lepiej od czasu, gdy opuścił matkę JinJin i córki. Przez hazard i swoją porywczosć zniszczył jeszcze dwie inne rodziny i mieszkał teraz samotnie w drewnianej szopie, nękanym przez wilgoć i swoje płuca, i żył na diecie składającej się z *congee*, skrętów i Bóg wie jakiej herbaty, która zostawiała na jego zębach brązowe plamy.

Nieopodal dworca autobusowego mieścił się barek, w którym podawano zupę z makaronem, Bill jednak, nauczony ostrożności wobec tutejszych potraw, siedział tylko i patrzył na JinJin i jej ojca siorbiących przy jedzeniu. Nawet nie rozumiejąc ani słowa z ich rozmowy, widział, jak bardzo zmienił się między nimi rozkład sił od czasu dzieciństwa JinJin. Ojciec odpowiadał na pytania córki prawie zawstydzony, nie umiał wytrzymać jej spojrzenia przez dłuższą chwilę. To ona teraz dyktowała warunki.

— Tata mówi, że miejscowe władze są bardzo złe — powiedziała JinJin do Billa. — Po powodzi rząd utworzył fundusz pomocowy dla miasta, ale mieszkańcy nawet się o tym nie dowiedzieli, dopóki nie wysłali swoich przedstawicieli z protestem do Pekinu.

Ojciec zażenowany wyszczerzył zęby pod wąsikiem Clarka Gable'a.

— Mówi, że chciałby cię zaprosić do swojego domu — tłumaczyła JinJin — ale oni tu są wszyscy bardzo biedni i tata wstydzi się zapraszać cię do takiego nędznego miejsca.

Bill zaprotestował podniesieniem dłoni.

— Ależ, proszę pana, nie ma powodu do wstydu — powiedział. — Bardzo mi było miło pana poznać.

Uścisnęli sobie dłonie i zanim Bill się zorientował, co właściwie robi, wyciągnął portfel i wcisnął mężczyźnie do ręki zwitek RMB. Ojciec JinJin z początku zaprotestował dla formalności, ale po chwili uszczęśliwiony unosił brwi, wpatrując się z niedowierzaniem w plik pieniędzy.

— Ja ojciec ta dziewczyna! — ogłosił, a JinJin odwróciła wzrok, jakby nie mogła patrzeć na nich obydwu.

* * *

W wypadku jego rodziców wydawało się to takie łatwe. Znajdujesz kogoś, a potem trzymasz się z nim i nie widzisz nikogo innego, dopóki nie rozłączy was grób. Dotrzymujesz wszystkich wielkich przysiąg składanych w łóżku i w kościele i nie zapominasz o nich po wsze czasy. Tak uczyniłeś i twoje życie było proste, a przyszłość rysowała się jasno. Nie wydawało się to niczym niemożliwym, niczym niewyobrażalnym.

Więc czemu tego nie potrafił? Co z nim było nie tak?

Wsiadli do samolotu na szokująco nowoczesnym lotnisku w Guilinie i Bill czuł się obrzydliwie. Nie chciał żadnego romansu, nie chciał się stać mężczyzną, który ma kogoś na boku. Nie chciał być facetem w srebrnym porsche. Nie chciał żadnych konspiracji, planów, wspólnych tajemnic. Chciał kogoś, kto sprawi, że zapomnisz o wszystkich innych. Tego pragnął. Tylko tego zawsze pragnął.

Jeśli znajdziesz kogoś takiego, wszystkie inne kobiety przestają istnieć i w jednej chwili rozwiązują się wszystkie problemy, wszystko staje się proste i znika wszelkie pragnienie, ponieważ jeśli raz zaczniesz pragnąć, nigdy nie będziesz miał dosyć, dopóki serce nie przestanie bić, i nie zaznasz wytchnienia ani spokoju, ani prawdziwego szczęścia. Jedyne, co musisz zrobić, to znaleźć kogoś takiego, kto uczyni cię ślepy na całą resztę świata. Tylko tego w życiu pragnął, tak jak wszyscy

inni. Nie wydawało się to wygórowanym pragnieniem.

Ta dziewczyna, która siedziała obok niego przy oknie i ze zmarszczonymi brwiami oglądała jakieś czasopismo, ta bajeczna dziewczyna wypełniła mu serce. Kiedy jednak wrócił do swojego mieszkania i włączył telefon, zobaczył nieodebrane połączenia. NIEODEBRANE POŁĄCZENIE. DOM, informował aparat. NIEODEBRANE POŁĄCZENIE. DOM.

U jego rodziców wydawało się to takie łatwe i może w efekcie było łatwe. Dopóki dotrzymywało się przysięg. Kiedy łamałeś przysięgę, wszystko inne okazywało się nietrwale.

* * *

Po pierwszym dniu pracy wrócił do domu późno wieczorem i zobaczył, że w jej mieszkaniu jest ciemno. Wiedział, że nie śpi. Wiedział, że przyjechał po nią samochód.

Był zły i zazdrosny, i zadowolony. To dobrze, niech już będzie po wszystkim i niech to się skończy. Co on sobie myślał? Że będzie siedziała przy telefonie i czekała, aż zadzwoni? Że po tym, co się wydarzyło w Guilinie, nikt inny nie ma do niej prawa? Spodziewał się, że będzie siedzieć w domu z tymi nieskończenie długimi nogami podkulonymi pod siebie i spędzać wieczory nad *Krzyżówkową gimnastyką*? Tak, tak, tak, w swoim szaleństwie, w zamkniętym hotelowym pokoju z wywieszką „nie przeszkadzać”, tego właśnie oczekiwał, chociaż wiedział, że może go spotkać tylko rozczarowanie. JinJin spędzała wieczór poza domem i Bill był z tego zadowolony. Trzeba to natychmiast skończyć, chociaż czuł się, jakby ktoś go kopnął w żołądek.

Kiedy o północy wróciła do domu, siedział na schodach przed jej mieszkaniem. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wróciła ze swoim facetem. Nie byłoby to przyjemne. Ale Porsche wysadziło ją przed blokiem i odjechało, a Bill wstał ze schodów, kiedy wyciągała z torebki kluczyki.

— Ja tego nie zrobię — powiedział. — Nie mogę. Kocham żonę i naszą córeczkę. Nie odejdę od nich. I nie chcę mieć kobiety na boku. Dziewczyny na stałe. To nie dla mnie. Nie potrafię tak, wychodzisz z nim, a ja czekam, aż wrócisz. Jak to wygląda? Jak ja się czuję? — Zaczął podnosić głos i zza zamkniętych drzwi jakaś kobieta krzyknęła na nich po chińsku.

Oboje spojrzeli w tamtą stronę, a potem z powrotem na siebie. — Jak by to miało działać? Mam cię mieć z nim na zmianę, co drugą noc?

JinJin weszła do mieszkania, nie patrząc na niego. Wszedł za nią, złapał ją za ramię i odwrócił.

— A może masz zamiar spotykać się z nami obydwoma tej samej nocy? — zapytał. Nigdy w życiu nie widział jej takiej smutnej. — Wiesz, kim byś się stała, prawda?

— Ja kończę to — powiedziała. Zawsze przechodziła na czas terażniejszy, kiedy była zmęczona, zdenerwowana albo urażona. — Kończę z tym mężczyzną.

Bill wytrzeszczył na nią oczy. Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, że po raz kolejny osądził ją pochopnie i po raz kolejny się pomylił.

— Mówię mu dzisiaj wieczorem: „Nie możemy dalej być razem”. — Spojrzała na Billa. — Ponieważ nie chcę tak żyć. — Pokręciła głową. — Nie chcę tak żyć. I ponieważ cały czas cię kocham.

I nagle trzymał ją w ramionach i całował jej twarz, scalał wywał jej łzy, żeby więcej nie płynęły, żeby więcej nie płakała i szalał za nią, pragnął jej, jęczał, że ją kocha, że przeprasza, za wszystko przeprasza, że jest mu przykro i dziękuje jej, bez końca jej dziękuje, i wszystkie jego mądre decyzje pierzchły pod dotknięciem jej warg na jego ustach i wszystko miało słony smak.

Nie chcę tak żyć.

Cały czas cię kocham.

On też ją cały czas kochał.

* * *

Za jej oknem słyszeli nieprzerwany gwar miasta zajmującego się swoimi codziennymi sprawami, ale Bill w pokoju JinJin czuł, jakby świat wkroczył w inny czas.

Wszystko w niej było cudowne. Obejmował dłońią jej kolano, a potem jego dłoń wędrowała po jej udzie do góry i zdawało się, że trwa to całe wieki. I chciał, aby to trwało całe wieki.

— Znowu mnie mierzysz — roześmiała się.

Dużo się śmiali. To długie popołudnie wydawało się razem bez troskie i śmiertelnie poważne. Kręciło im się w głowach od radości, upijali się szczęściem. Przyciskała usta do jego ust, jej brązowe oczy jaśniały, a potem się zamykały i wiedział, że czuje to samo co on. Głód, który był więcej niż głodem, łaknienie, którego nie można było nasycić, choćby nie wychodzili z tego pokoju do końca życia.

Wstawała naga z podłogi, gdzie leżeli, i patrzyła na siebie w lustrze, na swoje długie, niezdarne ręce i nogi, na małe dłonie obejmujące jeszcze mniejsze piersi.

— Za małe. — Skrzywiła się. — Ja brzydula.

— Jasne. — Uśmiechnął się — Stara i brzydka.

— Nie mam nawet miseczek A — powiedziała.

A kiedy wygięła plecy, zobaczył bruzdy między jej żebrami i nappełniło go to tęskną czułością. To tylko zebra, wiedział o tym, ale widząc te rowki odznaczające się na skórze, przeżywał prawdziwe katusze, pragnął ich dotykać i pragnął, żeby żaden inny mężczyzna nigdy więcej ich nie dotknął.

— Rozmiar AA! — zawołała z szeroko otwartymi oczami, jak gdyby dopiero co odkryła, że ma piersi jak użądlenie pszczoły. — Tak, masz rację, stara i brzydka.

— Każdy ma jakieś defekty — rzekł, opierając się na łokciu.

Wyciągnął rękę i gładził leniwie jej stopę, patrząc na nią z dołu, a ona patrzyła na niego z góry z poważną miną, rękami zwieszonymi wzdłuż boków. To prawda, że miała bardzo małe piersi. Nawet teraz, w tym pokoju widział, że nie była doskonała

— pośladki miała zbyt płaskie, piersi za małe, cera twarzy pozostawiała wiele do życzenia.

Ale dla niego była doskonała. Nie chciałby w niej zmienić niczego. Kochał wszystkie jej niedoskonałości tak samo jak jej największe atrakcje — te oczy, te nogi i... czemu nie? Te piersi rozmiaru AA. Taka była i upajał się nią od początku do końca.

— Weź na przykład mnie — powiedział, siadając po turecku i spuszcżając oczy. Zawahał się. — Nie wiem, czy chcę o tym mówić. — Uklęła obok niego, objęła go pocieszająco za szyję i zachęciła, żeby mówił dalej. — Martwię się, że... że jestem za duży — powiedział, podnosząc wzrok i zaglądnając w jej zatroskane brązowe oczy. — No wiesz, tam... na dole. Za duży dla jakiegokolwiek kobiety.

Wstała i klepnęła go w ramię.

— Ha! — wykrzyknęła. — Angielski żart!

Przetoczył się na plecy, chichocząc do siebie.

— Źle byś wyglądała z dużymi piersiami, JinJin. Masz za długie nogi. Wyglądałabyś u góry za ciężko. Jak Jessica Rabbit.

Zaśmiała się krótko.

— A tak. Beatrix Potter.

Kiedy podniósł na nią oczy, uśmiechała się. Tym swoim zębatym, trochę gamoniowatym uśmiechem, na który nie mógł się napatrzeć. Kiwnął głową.

— Bardzo dobrze — stwierdził. — Chiński dowcip.

Kiedy zapadł wieczór, nie wychodzili z pokoju. Leżeli spleceni, owinięci w swoje ciała, jakby byli sobie bliżsi niż wszystkie inne pary na świecie, bliżsi niż ktokolwiek był przed nimi, jakby złączyli się w jedno. Widział, jak na niego patrzy i miał pewność, że nikt na świecie nigdy nie patrzył na niego tak jak ona.

Jakby był kimś wyjątkowym.

Jakby był kimś — nie mógł powstrzymać uśmiechu — egzotycznym.

Bo to była prawda. On był mężczyzną innego gatunku, ona innego rodzaju kobietą. Odkrywał jej długie, prawie zupełnie bezwłose ciało i czuł się tak, jakby odkrywał inną planetę. Ona mierzwiła palcami miękkie jasne włosy na jego przedramionach, jakby był nieznanym zwierzęciem.

— Bardzo włochaty — powiedziała. — Mój Boże. Jak małpa. Ratunku, ratunku, w moim pokoju jest małpa.

— Tam, skąd pochodzę, to wcale nie jest gęste owłosienie — powiedział.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ona tak naprawdę nie ma pojęcia o miejscu, skąd on pochodzi. Wiedziała, jak odmieniać czasowniki, знаła kilku pisarzy i umiała używać niektórych przestarzałych idiomów, ale to wszystko. Miał zwykle, zielonkawę oczy, lecz ona patrzyła na nie niczym na skarb króla Salomona.

I wiedział, że Becca nigdy nie patrzyła i nie umiałaby tak na niego patrzeć. Kochała go, nie miał co do tego wątpliwości, ale patrzyła na niego tak, jak siostra patrzyłaby na brata, z wyrazem wesołej zażyłości, z uczuciem pozbawionym tajemniczości.

JinJin patrzyła na niego innymi, nowymi oczami, tak bardzo brązowymi, że prawie czarnymi, i tak ogromnymi, że świeciły jej z twarzy. Uwielbiał, kiedy tak na niego patrzyła.

Jego pierwsza azjatycka kobieta. Jej pierwszy europejski mężczyzna. I podczas gdy noc płynęła, a miasto spało, żadne z nich nie miało najmniejszej wątpliwości, że będą również ostatnimi. Czego więcej można było pragnąć poza tym pokojem?

JinJin spała, a on położył jej dłoń na brzuchu. Był płaski i twardy jak stół. Uśmiechnął się do siebie. Mógłby na tym brzuchu grać w ping-ponga, pomyślał. Zamiast tego jednak delikatnie przyłożył doń usta i pocałował najdelikatniej jak mógł, po czym objął ją ramionami i przytulił się do jej smukłego, kochanego ciała i wkrótce on także zanurzył się w głębokim, szczęśliwym śnie.

Gdyby podszedł do okna pokoju JinJin, mógłby po drugiej stronie podwórza Rajskich Rezydencji zobaczyć swoje własne mieszkanie i okna swego drugiego życia. Ale nie zobaczył.

Kiedy się zbudził w mlecznym szanghajskim poranku, patrzył, jak JinJin śpi, obserwował jej skórę, ręce, nogi i twarz tak długo, aż znał je lepiej niż swoje własne. Nie podszedł do okna.

Zatracił się w niej bez reszty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— Dziadzius umrze, prawda? — chciała wiedzieć Holly.

— Nie, aniołku — odparł Bill. Odległość, która ich dzieliła, bolała jak świeży siniec. — Dziadzius nie umrze. Twój dziadzius jest jeszcze młody. Opiekują się nim bardzo dobrzy lekarze.

— Martin mówi, że każdy kiedyś umrze.

Martin był najstarszym synem Sary. Bill poczuł do niego nagłą nienawiść, a zaraz potem ukłucie sumienia. Sara — bardzo się starał myśleć o niej „Sara”, a nie „siostra” — dokładała wszelkich starań, żeby wyjść naprzeciw jego częstym telefonom do córki i kazała Holly czekać niedaleko telefonu, ilekroć wiedziała, że ma zadzwonić.

— Posłuchaj mnie, aniołku — odezwał się łagodnie. — Nic nie trwa wiecznie. Kwiatek też nie żyje wiecznie, prawda?

Holly myślała przez chwilę. Słyszał, jak myśli.

— Pingwiny nie żyją wiecznie — powiedziała w końcu.

— To prawda — przytaknął Bill. — Nie pomyślałem o tym.

— Dinozaury też nie żyły wiecznie.

— Masz rację.

— Zmieniła się temperatura na Ziemi i zabiła dinozaury.

— Ojej! — zawołał zachwycony. — Gdzie się tego nauczyłaś, kochanie?

- W szkole.
- To ślicznie.
- I dziadki nie żyją wiecznie — myślała na głos.

To była całkiem nowa filozofia. Rok temu, kiedy miała trzy latka, rozmowa z Holly sprowadzała się do niekończącej się serii pytań i rozkazów, zdań, które zaczynały się od „Dlaczego...?”. Albo od „Musisz...”. Na przykład: „Dlaczego tygrysek Tony nosi śliniaczek, skoro jest duży?”. Albo: „Musisz być księciem, tatusiu”. W wieku czterech lat natomiast Holly zmagala się z wielkimi zagadnieniami i Bill nie bardzo wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Prawda wydawała się zbyt okrutna, a kłamstwo niestosowne.

— Wszyscy umieramy — powiedział. — Ale dopiero po bardzo, bardzo długim czasie. — Cisza. — Słuchasz mnie, aniołku?

Lecz coś już odwróciło jej uwagę. Bill słyszał w słuchawce, że gdzieś w mieszkaniu gra telewizor i właśnie nadają reklamy. Najpierw rozległ się bardzo przekonujący dorosły głos, po czym odpowiedziały mu podniecone dziecięce piski. Bill czekał cierpliwie. Dochodziły go też inne odgłosy tłoczego, nieznanego domu Sary. Klóciły się dzieci. Trzaskały drzwi. Sara błagała przy stole: „Jeszcze tylko jeden... no zjedz jeszcze jeden... tylko jeden kawałek”. To go właśnie łączy z Holly, pomyślał. Wszystko wygląda inaczej, kiedy się jest jedynakiem. Nie otacza cię zgiełk i jazgot rodzeństwa. Zostajesz sam na sam ze swoimi myślami.

- Czy ty umrzesz, tatusiu?

Wyjrzał przez okno swojego gabinetu na światła Pudongu i wsłuchał się w odgłosy po jego stronie świata. Szanghaj też przepełniały charakterystyczne hałasy, zwłaszcza w nocy: niecichnący metaliczny szum samochodów, rzeki i życia dwudziestu milionów ludzi.

— Pewnego dnia umrę. Ale jeszcze długo będę żył. I wiesz co, aniołku? Jeśli tylko będę mógł wtedy wrócić, żeby być przy tobie, to wrócę i nigdy cię nie opuszczę. Wszędzie gdzie pójdziesz,

nawet kiedy będziesz zupełnie dorosła, nie odstąpię cię na krok. Będę w promieniach słońca na twojej buzi i kropelkach deszczu na twoich bucikach, i wietrze w twoich włoskach. Będę przy tobie codziennie rano, kiedy się zbudzisz, i wieczorem, kiedy się położysz spać. A w nocy będę stał na straży przy twoim łóżeczku, a ty będziesz wiedziała, że się uśmiecham. I nigdy nie poczujesz się samotna, ponieważ będę przy tobie zawsze i na wieki. W telefonie coś zatrzeszczało, a potem zapadła cisza.

— Słyszysz mnie, aniołku?

Holly go nie słuchała. Oglądała w telewizji reklamy.

* * *

Coś dziwnego kryło się oczach JinJin. Te szeroko rozstawione, brązowe oczy skrywały tajemnicę, której Bill nie potrafił odkryć, chociaż wpatrywał się w nie całymi godzinami.

Zorientował się teraz, że nie malowała tuszem czarnych kresiek wokół oczu. Pomylił się. Nigdy nie nosiła makijażu, a jednak sprawiała wrażenie, jakby go miała na twarzy nieustannie. Nie rozumiał tego. Był żonatym mężczyzną i od dawna przywykł do kobiecych rytuałów, do kosmetyków, ceremonii nakładania makijażu, poprawiania go i usuwania. Jego żona wyglądała zupełnie inaczej, kiedy się nie malowała, niż wtedy, gdy nakładała na siebie te wszystkie niepojęte specyfiki. Kiedy wychodzili, jej uroda nabierała wytworności i połysku. A kiedy wracali i zmywała to wszystko z twarzy, uroda pozostawała, ale stawała się świeższa, nieozdobiona, naturalna, piękna w zupełnie inny sposób.

Całkowicie inaczej było z JinJin.

Przyglądał się jej wciąż na nowo i cały czas nie mógł zrozumieć, skąd się biorą te czarne, grube i zupełnie niepotrzebne kreski, których nie musiała poprawiać ani odświeżać. Tajemnica wyjaśniła się, gdy ją o to zapytał.

— Makijaż permanentny — powiedziała którejs nocy, kiedy

leżeli wyciągnięci na sofie, twarzami do siebie, a on po raz kolejny przyglądał się tym oczom, które nie potrzebowały żadnej pomocy, aby tak ślicznie wyglądać.

— Permanentny? — powtórzył, niezdolny ukryć rozczarowania. — Chyba nie masz na myśli tatuażu?

Dokładnie to miała na myśli.

— Zmienię go — powiedziała, wyczuwając jego niesmak.

Poderwała się z sofy, żeby popatrzeć na siebie w lustrze. Jej długie, smukłe ciało błyszczało blado w świetle księżyca. — Usunę. — Jej angielski podupadał, im dłużej patrzyła w lustro. — Zdejmę.

Podszedł do niej od tyłu i odciągnął ją od lustra, mówiąc, że nie musi niczego zmieniać, że wszystko jest jak należy, że wygląda bosko, że tylko go to zaskoczyło. Nie wspomniał, że nigdy przedtem nie widział kobiety z wytatuowanymi oczami. Kobiety z Zachodu. Ale JinJin nie była kobietą z Zachodu, a on chwilami o tym zapominał.

— Byłam młoda — wyjaśniła, a Bill pomyślał, że mówi jak aktorka, której nagle przypomniano sesję zdjęciową z zamierzchłych czasów: „Byłam młoda, potrzebowałam pracy”. — W szkole średniej. Nie mamy pojęcia o takich rzeczach. I stać nas. I chcemy wyglądać jak te kobiety w magazynach.

— Przepraszam. Wszystko w porządku — przekonywał ją.

Poprowadził ją delikatnie do sofy. Żałował, że zaczął o tym mówić. Obiecywał sobie nigdy więcej o tym nie wspominać ze strachu, że pewnego dnia ona pójdzie i usunie ten makijaż chirurgicznie. Na samą myśl o tym, ciarki przeszły go po całym ciele.

Mimo to przykro mu było, że te czarne kreski pozostaną wokół jej prześlicznych oczu do końca życia. Każda permanentna rzecz prędzej czy później okazywała się w życiu błędem.

* * *

— Żony są jak płomień — powiedziała Tess Devlin. — Gasną i nikną, kiedy się ich nie podsyca.

Patrzyli, jak Rosalita lawiruje przez tłum w stronę zespołu muzycznego w hotelowym barze osiemdziesiąt pięter nad miastem. Zespół składał się z Filipińczyków, jak większość zespołów muzycznych w Szanghaju, ale nie okazał Rosalicie nadmiernej braterskiej życzliwości, kiedy podeszła do nich z mohito w rękę, kołysząc biodrami.

Piosenkarka zespołu, śliczna, chuda jak kij dziewczyna w sukience bez pleców, miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Usunęła się na bok, kiedy Rosalita pojawiła się raptownie na scenie, żeby porozmawiać z muzykami, wychlapując po drodze alkohol ze szklanki. Chłopcy z zespołu kiwali niechętnie głowami, jakby wiedzieli, że to się może skończyć tylko płaczem.

— Shane poświęca jej mnóstwo uwagi — odparł Bill. — Wcale jej nie zaniedbuje, naprawdę. Szaleje za nią.

Australijczyk siedział po drugiej stronie stołu i rozmawiał z jednym z partnerów firmy z Londynu, który zatrzymał się w Szanghaju w drodze do Hongkongu i usilnie mrugał oczami, aby odpędzić senność po podróży. Shane nie odwrócił się nawet, kiedy jego żona zaczęła śpiewać *Right Here Waiting for You*. Wyglądał jak ktoś, kto zbiera siły, czekając na coś złego, co się ma wydarzyć.

Rosalita śpiewała słodko i czysto jak zawsze, ale przestępowała niepewnie z nogi na nogę, w przód i w tył, bez dawnej profesjonalnej zmysłowości, którą stłumiła ciasnota na scenie i mocne mohito. Kiedy nastąpiła basiście na stopę i wbiła mu w podbicie szpilkę od Jimmy'ego Choo, aż zaskrzeczał i zaczął podskakiwać na jednej nodze, Shane w dalszym ciągu się nie oglądał. Jeśli słyszał śmiech, który wybuchnął przy barze, to nie dał tego po sobie poznać.

— Nie wiem, co jej poświęca — powiedziała Tess Devlin — ale to ewidentnie nie wystarcza.

Devlin i Nancy siedzieli po przeciwnych końcach stołu

i przynosili wzrok z Shane'a na jego żonę i z powrotem. Australijczyk nie zareagował, kiedy Rosalita zaczęła śpiewać następną piosenkę. Opowiadał swemu rozmówcy z Londynu interesującą historię o restauracji Bao Luo, która powstała jako stoisko z chińskimi zupkami w warsztacie rowerowym. Devlin wstał z miejsca i podszedł do Billa.

— Powiedz mu, żeby pilnował swojej żony, dobrze? — mruknął ze złością.

Bill wzruszył bezradnie ramionami, ale kiedy zobaczył, że Nancy idzie w kierunku małej sceny, gdzie Rosalita, kręcąc biodrami, nuciła *I Will Always Love You*, chociaż zespół grał zupełnie co innego, wstał i ruszył, aby jej pomóc. Oboje dotarli do sceny dokładnie w momencie, kiedy żona Shane'a straciła równowagę i klapnęła na tyłek. Wzięli ją z obydwu stron pod ramiona i postawili na nogi, gdy tymczasem w różnych ciemnych zakamarkach baru rozległy się złośliwe owacje.

— Koniec występu, Rosalito — powiedział pogodnie Bill. — Chodźmy napić się kawy.

— Nigdy nie pozwala mi się zabawić — narzekała Rosalita.

Zespół z ulgą patrzył, jak Bill i Nancy sprowadzają ją ze sceny. Niewidoczni mężczyźni wołali o bis. Kobiety się śmiały. Oczy Rosaliti pałały gniewnym rozgorzyczeniem.

— Taki tandetny z niego facet — dalej narzekała.

Doszli do stolika i kiedy zespół zaczął grać stonowaną wersję *The Girl from Ipanema*, Rosalita krzyknęła prosto w tył głowy Shane'a:

— Tani palant!

Shane drgnął, ale się nie odwrócił.

Bill zaprowadzili Rosalitę do baru i zamówili kawę. Powiedziano im, że przy barze nie podaje się kawy. Kawę można dostać tylko u obsługi pokoi. Bill ze zniecierpliwieniem rzucił na kontuar plik RMB i barman poszedł po obsługę pokoi.

Rosalita położyła Billowi głowę na ramieniu i powiedziała mu, że jest miłym facetem i że zawsze go lubiła. Potem trochę

rozdygotanym głosem zaśpiewała zwrotkę *Yesterday Once More*, otarła łzę rozrzewnienia, oparła głowę na rękach i zasnęła. Kobieta siedząca na sąsiednim stołku spojrzała na nią, po czym odwróciła głowę, prychając pogardliwie.

— The Carpenters — powiedziała Alice Greene. — Nigdy nie znosiłam cholernych Carpentersów.

Bill odwrócił się, kiedy zwałiste ciało Shane'a zaparkowało obok niego na stołku. Australijczyk popatrzył na swoją śpiącą żonę i wyciągnął rękę. Jego dłoń zawisła nad czarnym gąszczem błyszczących włosów, ale nie ośmieliła się ich dotknąć.

— Nic jej nie będzie — uspokoił go Bill.

— To prawda, co mówią — stwierdził smutno Shane. — Możesz wyrwać dziewczynę z baru, ale nie uda ci się wyrwać baru z dziewczyny.

— Shane, ty nie wyrwałeś jej z baru — powiedział Bill. — Ona jest normalną dziewczyną.

Shane bardzo chciał mu wierzyć.

— Jasne — mruknął, patrząc na swoją żonę z mieszaniną strachu i tęsknoty. — Normalną dziewczyną.

Kiwnął głową i odwracając się, klepnął Billa po ramieniu. Nie patrzył mu w oczy.

— No i jak tam interesy w Butterfield, Hunt and West? — spytała Alice.

— Lepiej niż twoje — odparł Bill.

Szukał w Internecie artykułu Alice o mężczyźnie, który stracił rękę w fabryce Happy Trousers, ale artykuł się nie pojawił. O ile zdążył się zorientować, żaden tekst spod pióra Alice nie ukazał się nigdzie od wielu miesięcy.

Roześmiała się.

— No tak — powiedziała, a Bill uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie widział jej zakłopotanej. Poczul dla niej trochę współczucia. — Moja gazeta przechodzi etap moralnego przemęczenia — wyjaśniła. — Sam wiesz... jak długo można drukować historie o grabieży ziemi albo zanieczyszczeniu środowiska, albo jakimś biednym sukinsynu, który padł w fabryce

z wycieńczenia. — Popatrzyła na swoją szklanę, jakby ta mogła zawierać odpowiedź. — Albo o kimś, kto traci rękę w maszynie, ponieważ tak naprawdę wszyscy mają w nosie zasady bhp. No, ile? To tak jak z głodującymi dziećmi w krajach Trzeciego Świata albo z zamachami bombowymi na Bliskim Wschodzie. Wszyscy już o tym słyszeli. I wszyscy mają tego po dziurki w nosie. — Spojrzała na Billa znad brzegu szklanki. — Pamiętasz, co ci mówiłam? Kiedy Becca znalazła to dziecko?

Bill skinął głową. Pamiętał. „To żadna nowina”.

Alice też pokiwała głową.

— Żadna z tych rzeczy nie jest nowiną. Od dawna. Gazety chcą dziennikarzy, którzy będą informować ludzi o cudach. O kwitnących Chinach. O kolorowym Szanghaju. Będą ogłaszać, że Pekin jest Waszyngtonem, a Szanghaj Nowym Jorkiem Azji. I tym podobne pierdoły. Radosne, migoczące bzdury.

Uniosła szklanę w ironicznym toaście. Wrócił barman z trzema kawami cappuccino.

— Prosiłem o czarną kawę — zauważył Bill. — Nie o cappuccino.

Barman pokręcił smutno głową.

— Nie ma już czarnej kawy — odparł. — Tylko cappuccino.

Na wierzchu spienionego mleka w każdej filiżance usypano serduszka ze startej czekolady.

— Wygrałeś — powiedziała Alice. — Ty i tobie podobni wygraliście. Zdrowie.

— Mnie podobni? — zapytał Bill, obserwując, jak Nancy próbuje delikatnie obudzić Rosalitę. Odsunął na bok swoją kawę. — To nie są żadni „mnie podobni”.

Lecz Alice go nie słuchała

— Powinnam się była urodzić wcześniej — mówiła, dając barmanowi znak, żeby napełnił jej szklanę. — Powinnam być na placu Tiananmen. — Czy jej się zwięzły, kiedy popatrzyła

na Billa. — Czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Tam się to wszystko zaczęło. Chciwość. Korupcja. Zatrucie u źródła.

Nancy wpatrywała się w nią, lecz Alice jakby tego nie zauważała. Stała przed nią szklanka ze świeżym drinkiem. Rosalita popijała cappuccino, które podsunęła jej Nancy. Czekoladowe serce rozpadło się i roztopiło pod dotknięciem ust.

Alice dźgnęła Billa palcem.

— Myślisz, że to przypadek, iż ten sam facet, który wysłał czołgi na Tiananmen, stoi za ekonomicznym cudem? — spytała. — Uważasz za przypadek, że Deng Xiaoping jest odpowiedzialny za jedno i drugie? To nie jest przypadek. Na placu Tiananmen władze wysłały ludziom wiadomość, każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku: „Poprzyjcie nas, a uczynimy was bogaczami. Spróbujcie się przeciwstawić, to was zniszczymy. — Upiła drinka i potrząsnęła głową. — Powinnam tam być.

— Nic straconego — odezwała się nagle Nancy.

Popatrzyli na nią wszyscy. Alice. Bill. I nawet Rosalita spojrzała na nią czerwonymi oczami, zamglonymi przez mohoito. Wokół ust miała ciemny pierścień z czekolady.

— Nic straconego, tylko się nie oddalaj. — powtórzyła Nancy i w jej ustach zabrzmiało to jak zwrot zapożyczony z przewodnika Berlitz. „Nic straconego. Nie oddalajcie się”. — Może przegapiłaś poprzednią masakrę — ciągnęła, uśmiechając się życzliwie — ale jeśli cierpliwie poczekasz, zdążysz na następną.

* * *

Zamiast wrócić do domu, Bill szedł piechotą przez Bund. Lawirował pomiędzy turystami wytrzeszczającymi oczy na światła, żebrakami trzymającymi na rękach niemowlęta, pijanymi biznesmenami, dziewczętami, które skończyły pracę w barach, i młodymi chińskimi modniami w coraz większej

liczbie zapelniającymi starą ulicę i traktującymi ją jak swoją własność. Umówił się z JinJin w barze w hotelu Peace, ale dopiero kiedy siedział w zatłoczonym lokalu i popijał tsingtao, a zespół grał *I'll Be Seeing You* uprzytomnił sobie, że dokonał beznadziejnego wyboru.

Co on sobie myślał? Hotel Peace jest wspaniałym miejscem, gdzie można przyjść z żoną, aby uczcić rodzinne święto. Niewielu ludzi wiedziało, że wiekowi muzycy z hotelu Peace bardzo chętnie grają utwory na życzenie. Można więc było przesiedzieć tu całą noc, słuchając swoich ulubionych melodii. Na taką noc było to wymarzone miejsce. Ale nie dla kłamcy.

W barze jak zwykle przesiadywało mnóstwo ludzi spoza miasta, Bill miał świadomość, że w każdej chwili może tu wejść ktoś znajomy. Każdy ekspatriant, do którego przyjechał w odwiedziny krewniak z Anglii, prędzej czy później zagląda do tego baru. Każdy biznesmen, który zabawia w Szanghaju nowego klienta, przyprowadza go tu na drinka. Kto wie nawet, czy jeśli zegar biologiczny ich gościa z Londynu nie wyrwie go w środku nocy ze snu, Devlin i Tess nie przywiozą go tu osobiście.

Bill obserwował drzwi z walącym sercem i pił stanowczo za szybko. Zobaczył wchodzącą JinJin. Stała w wejściu i szukała go w tłumie z poważną miną. Uśmiechnął się, ponieważ uwielbiał ten moment, kiedy mógł ją obserwować, a ona o tym nie wiedziała. Lubił również chwilę, kiedy go zauważała i tę nieskazitelną urodę rozpraszał poczciwy, gamoniowaty uśmiech i zamieniał ją w coś jeszcze lepszego, co mógł uważać za swoje własne coś. Twarz jego dziewczyny.

JinJin ruszyła przez tłum w jego stronę.

To nie jej wina, pomyślał w nagłym przypływie wstydu. Ona nie musi się przed nikim ukrywać. Nie musi obserwować drzwi. To on jest kłamcą, nie ona.

Pocałowała go w usta i wzięła za dłoń, która leżała na barze obok butelki z piwem. Barman zapytał, czy ma jej coś podać do picia.

— Musimy stąd iść — powiedział Bill, trzymając jej drobną dłoń i ściskając mocno, ale nisko, tak, aby nikt nie widział.

* * *

Usiedli przy stoliku w głębi Suzy Too i kiedy JinJin pośpiesznie konferowała z obydwiema Jenny, Sugar i Annie, Bill obserwował parkiet.

Wszystkie dziewczęta pracujące w Suzy Too miały w sobie coś — może dar, może umiejętność, a może była to jakaś sztuczka — co sprawiało, że kiedy podchodziły do mężczyzny, wywoływały wrażenie takiej troski i wielkoduszności, że mimowolnie czuł się wybrańcem, kimś bardzo szczególnym i wyjątkowym. Zupełnie jakby ta hałaśliwa, zadymiona spelunka przy Tong Ren Lu mogła mu zapewnić wszystko, za czym tęsknił, jakby mógł tu znaleźć kogoś, komu na nim naprawdę zależy. Jeśli mężczyzna odrzucił propozycję, dziewczęta z Suzy Too odchodziły z uśmiechem żalu na twarzy, jakby je to miało zabić. To jest prawie magiczna sztuczka, pomyślał Bill: nie wypaść z roli, nawet kiedy się zostało odrzuconym. Kiedy jednak mężczyzna okazywał zainteresowanie i odpowiadał jakimś znaczącym gestem — drinkiem, tańcem lub fizycznym kontaktem — wyraz oczu kobiety zmieniał się w mgnieniu oka i choć wymalowany uśmiech ani na moment nie zadrżał, delikatność ustępowała miejsca zimnemu, niezłomnemu profesjonalizmowi, który zapierał człowiekowi dech w piersiach. Bill zastanawiał się, co się działo z tymi mężczyznami, którzy nieopatrznie pomylili zawodowość z uczuciem, pożądaniem lub miłością.

Zrozumiał, że w Suzy Too nie sprzedaje się seksu, tylko marzenia, i doszedł do wniosku, że za wyrachowanym handlem, który unosił się w powietrzu równie gęsto jak dym, alkohol i największe przeboje Eminem, zaskakująca liczba mężczyzn, którzy tu przychodzili, próbowała kupić marzenie na sprzedaż — marzenie o wielkiej niespełnionej miłości, marzenie, że spotka się kogoś, komu na tobie naprawdę zależy i że

nazajutrz rano obudzisz się u boku kogoś tak pięknego i nie-
tkniętego, i niezmiennego jak JinJin.

Oczy go piekły od dymu. W uszach mu dzwoniło od *The Way I Am* i *Lose Yourself* i wielu innych piosenek, których nie znał. Powinni byli pójść do JinJin i zamknąć za sobą drzwi. Bill nigdy nie zabrał jej do swojego mieszkania i bez żadnych dyskusji na ten temat oboje wiedzieli, że nigdy tego nie zrobi. Zbliżało się jednak Święto Wiosny i JinJin chciała się zobaczyć z przyjaciółkami, zanim wszystkie rozjadą się do domów na wielkie chińskie obchody świąteczne.

Rozmowa przy ich stoliku wydawała się ciągnąć bez końca i sprawiała wrażenie bardzo skomplikowanej. Nie potrafił się nawet domyślić jej treści. JinJin i Jenny Jeden sprzeczały się z Annie, która chyba ze łzami w oczach broniła swej niewinności. Bill nigdy przedtem nie widział, żeby Annie okazywała jakieś emocje poza zwykłą lodowatą wyniosłością. Jenny Dwa i Sugar kiwały mądrze głowami i trzymały ją za ręce, ale Annie się im wyrwała i płacząc, podciągnęła do góry rękaw.

Wstrząśnięty Bill zobaczył na prawym ramieniu dziewczyny świeżo zrobiony tatuaż — imię wypisane chińskimi literami mniej więcej dwucentymetrowej wielkości. W świetle lokalu znaki na jej gładkiej jasnej skórze wyglądały niczym fluorescencyjny atrament.

— Bardzo się rozzłościł, kiedy go zobaczył. — Mówiąc to po angielsku, JinJin włączyła Billa do rozmowy.

Nie musiał pytać, kim jest „on”.

— I powiedział, że Annie musi odejść — dodała Jenny Dwa. — A ona to zrobiła dla niego. Tylko dla niego!

— A on jej odmówił — stwierdziła Jenny Jeden.

Tak to zawsze nazywały, ilekroć któraś z nich została rzucona. „On jej odmówił”. Annie patrzyła na swoją oszpeconą skórę, na swoją fatalną w skutkach próbę związania się z mężczyzną, który ją sprowadził do Rajskich Rezydencji, i wszystkie patrzyły błagalnym wzrokiem na Billa, jak gdyby on mógł

im wyjaśnić dziwaczne, tajemnicze i nieprzewidywalne zachowania męskiego serca. Pokręcił przepraszająco głową.

— Musimy już iść — powiedział.

* * *

Po powrocie do jej mieszkania Bill zaproponował, żeby sobie gdzieś usiadła, a on w tym czasie przygotowuje herbatę.

Kiedy doszły go w kuchni odgłosy telewizyjnych wiadomości, otwierał drzwiczki, szukając filiżanek i herbaty. Odsunął paczkę na bok i zaczął grzebać głębiej, ponieważ nie przepadał za chińską herbatą, chociaż miał wrażenie, że pił ją codziennie przez całe swoje życie.

Z chińską herbatą było tak jak z jazzem i krykietem — bardzo starał się polubić, ale nigdy nie rozumiał, jaki w tym sens. Tak naprawdę uważał, że chińska herbata jest po prostu taka sobie. Bardzo się więc ucieszył, kiedy znalazł w szafce nieotwarte pudełko angielskiej herbaty śniadaniowej, którą JinJin kupiła kiedyś w miejscowym Carrefourze jako coś egzotycznego, ale nigdy jej nie użyła. Pełno było tu takich dziwacznych pamiątek: zakurzona butelka wody Perrier, słoik bezkofeinowej kawy rozpuszczalnej, zapomniana paczka musli, sześciopak coca-coli. Przypominały wiadomość zamkniętą w butelce i wysłaną z dalekiego wybrzeża, o którym czytała tylko w magazynach.

Wszedł do pokoju z tacą i dwoma parującymi filiżankami angielskiej herbaty, mlekiem w kartonie i miseczką z nierafinowanym cukrem trzcinowym, którego czasami używała do gotowania. JinJin wpatrywała się pożądlivym wzrokiem w spikerkę czytającą wiadomości w telewizji. Spojrzała na niego, drgnęła i cofnęła się.

— Angielska herbata — oznajmił. — Dla małej odmiany. JinJin uniosła brwi.

— Herbata z mlekiem?

— Tylko spróbuj. — Uśmiechnął się. — Proszę. — Ostrożnie

postawił tacę na stoliku. — JinJin? — powiedział niepewnie.

JinJin z powrotem patrzyła na młodą kobietę czytającą wiadomości. Wiedział, o czym myśli. „Ja też potrafiłabym to robić”.

— Słucham, Williamie.

— Cały czas tu mieszkasz — stwierdził oczywistą rzecz i poruszył tym samym temat, który go od dłuższego czasu nurtował. — W tym mieszkaniu. Cały czas mieszkasz w tym mieszkaniu.

JinJin odwróciła się do niego. Kobieta z teleprompterem natychmiast poszła w niepamięć.

— Tak.

— Dlaczego? — zapytał, siadając obok niej. — Przecież to nie twoje mieszkanie. — JinJin patrzyła na niego wyczekująco. — Przecież ono należy do tego mężczyzny. Twojego byłego... chłopaka. — Nie potrafił się zmusić, aby powiedzieć „męża”. — Zastanawiałem się, dlaczego cię stąd nie wyrzucił, kiedy z nim zerwałaś.

JinJin wyglądała na zaszokowaną.

— On nie jest takim człowiekiem — oświadczyła. — Może zawsze wiedział, że kiedyś kogoś poznam. Że nadejdzie taki dzień. — Spróbowała herbaty i skrzywiła się. — Wiem, że nie mogę tu zostać na zawsze. Ale on nigdy by mnie — sięgnęła po dosadne sformułowanie Billa — nie wyrzucił.

Bill objął dłońmi filiżankę, a potem ją puścił.

— Musiał cię bardzo kochać — powiedział.

— Zależy mu na mnie — odrzekła JinJin.

Nie nazywa tego miłością, pomyślał. Tego, co z nim miała. Nigdy nie nazywa tego miłością.

— Nie brakuje ci pieniędzy? — zapytał.

— Wystarcza mi — odparła. — Na razie.

— Jak ci smakuje herbata?

Skrzywiła się.

— Herbata z mlekiem. Okropność!

Rozeźmiał się i sięgnął po cukiernicę.

— Niektórzy potrzebują trochę słodczy — stwierdził, wsypując jej do filiżanki czubatą łyżeczkę cukru trzcinowego i mieszając.

JinJin spróbowała ostrożnie posłodzonej herbaty.

— Lepsza? — spytał Bill. Kiwnęła głową.

— Trochę słodczy — powiedziała.

* * *

Nazajutrz rano Bill wyszedł na podwórze, gdzie za kierownicą samochodu siedział Tygrys ze swoim nowym laptopem na kolanach. Jego palce śmigały po klawiaturze. Tak go pochłonęły obrazki na monitorze, że nie zauważył Billa kulącego się przed porannym styczniowym chłodem w nowiutkim płaszczu od Armaniego, nie zauważył, jak naciska kławkę od strony pasażera. Usłyszał dopiero, kiedy Bill zastukał palcami w przednią szybę.

— Możesz to sobie robić w wolnym czasie — upomniał go Bill, wsiadając do samochodu i wskazując głową laptop, który Tygrys usiłował położyć na tylnym siedzeniu. — A swoją drogą, co tam masz takiego fascynującego?

— Nic, nic, szefie — odpowiedział szybko Tygrys, rumieniąc się.

Bill pokręcił głową, wziął komputer od Chińczyka i otworzył pokrywę. Spodziewał się zobaczyć nagie kobiety albo nowe samochody, ale na ekranie widniało kolorowe zdjęcie fotela wielkości i kształtu budki telefonicznej. Było to jakieś zażytkowe chińskie krzesło z twardego drewna, pomalowane na czerwono i polakierowane, z wymyślnymi rzeźbieniami po jednej stronie i wykaligrafowanymi napisami po drugiej. Wokół niego stały bosonogie dzieci, a podpis po angielsku głosił: „Hongkong 1963. Młodzi krewni próbują zobaczyć pannę młodą niesioną do ślubu”.

— Co to jest? — spytał Bill.

— Mój interes, szefie — odparł Tygrys i uśmiechnął się niepewnie. — Moja strona internetowa. Pokazać?

Bill uśmiechnął się zachęcająco i Tygrys wziął od niego laptop. Jego palce zatańczyły na klawiaturze i na monitorze zaczęły się pojawiać i znikać zdjęcia mebli bardziej przypominających rzeźby. Czarne lakierowane szafki nocne, kufry podróżne, ręcznie malowane parawany, stoliczki do kawy, skrzyneczki-poduszki i łóżka z baldachimami, czerwone lampiony niczym z filmów z Gong Li. Było w nich wszystkich surowe piękno.

— Tak się wzbogacę — powiedział Tygrys, uśmiechając się nieśmiało. — To moja droga. Mam kontakty w Hongkongu i na Tajwanie. A na południu są fabryki. Dużo fabryk, szefie.

— Duży jest rynek zbytu na te rzeczy?

— Ogromny, szefie. Coraz większy. Przez ostatnie złe lata mnóstwo tradycyjnych chińskich mebli zniszczono. Teraz w Chinach jest dużo bogatych ludzi. Oni nie chcą zachodnich mebli. Nie interesują ich. Chcą chińskich mebli. — Tygrys popatrzył na niego błagalnie. — Zły pomysł, szefie?

Bill pokręcił głową. Był pod wrażeniem i trochę smutny, ponieważ wiedział, że prędzej czy później straci Tygrysa. Ale to był Szanghaj. Każdy tu chciał spróbować szczęścia.

— Bardzo dobry, Tygrysie. Życzę ci powodzenia. Czy te rzeczy są oryginalne, czy podrabiane?

— I klasyczne, i współczesne — odparł Tygrys, kiwając z zapalem głową. — Dużo prawdziwych arcydzieł z czasów dynastii Ming i Qing. Mam dużo dobrych ludzi do renowacji. Ale są też niezłe repliki z fabryk na południu.

Jak zawsze w tym kraju zacierała się granica między oryginałami i rzeczami fałszywymi. W dużym stopniu zależało to od tego, w co się chciało wierzyć i ile gotowym się było zapłacić. Rzeczy można było znaleźć albo odrestaurować, albo skopiować. Gdy jednak na monitorze wyświetlały się kolejne zdjęcia ręcznie rzeźbionych, ręcznie malowanych czarnych i czerwonych mebli z twardego drewna, Bill stwierdził, że

niełatwo je było skopiować. Trzeba było nie lada geniusza, żeby podrobić takie arcydzieła i to tak doskonale, że nie sposób było stwierdzić, czy się kupuje oryginał, czy falsyfikat.

* * *

Słyszał, jak tłucze się po kuchni. Kazała mu zostać na sofie i oglądać BBC World, podczas gdy ona przygotowywała mu herbatę. Ale Billa nie interesowało BBC World.

— Mogę ci pomóc?! — zawołał.

Znowu walenie i tłuczenie.

— Twoja pomoc jest niewskazana — usłyszał i natychmiast rozległ się łomot czegoś, co spadło i się roztrzaskało.

— Rany boskie — mruknął.

Gdyby wyciągnął szyję, zobaczyłby, co robi. Zagotowała wodę dawno temu, na długo zanim zaczęła szukać saszetek z herbatą. To wstrzymało proces przygotowywania napoju, ale teraz już wlała wodę do filiżanki. Dodała mały wodospad mleka i zakończyła trzema łyżeczkami nierafinowanego cukru trzcinowego. Następnie z dumą zaniosiła filiżankę do pokoju i postawiła przed Billem.

— Angielska herbata śniadaniowa — oświadczyła. — Napój królowej.

— A ty? — spytał Bill. — Nie napijesz się ze mną?

JinJin potrząsnęła głową i skrzywiła się.

— Ja sobie zrobię porządną herbatę.

Obserwowała, jak ostrożnie podnosi filiżankę do ust i upija łyk. Były to letnie, mleczne pomyje, tak słodkie, że oczy zaszczyły mu łzami.

— Mmm — zamruczał, a wtedy jej uśmiech wyjrzał na twarz jak wschodzące słońce. — Wyśmienita.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lotnisko było zatłoczone. Wyglądało to tak, jakby wszyscy Chińczycy wyjeżdżali nagle do domu, jakby cały kraj wyruszył w drogę opatulony przed mrozem, objuczony wypchanymi walizkami. Wszędzie, gdzie tylko spojrział, wisiały czerwone lampiony.

Na poboczach piętrzył się czarny lutowy śnieg. Czangczun był brzydkim, surowym miastem i ludzie tu różnili się od pewnych siebie mieszkańców Szanghaju. Stanowili nędzniejszą, mniej światową, starą część Chin. Gapili się na Billa i JinJin i odsłaniali zęby przypominające zdewastowane nagrobki.

Bill wynajął pokój w Trader's Hotel w śródmieściu i JinJin przyjechała z nim, żeby się zameldował. Ona miała nocować u rodziny w mieszkaniu na obrzeżach miasta. Powiedziała, że jej matka by nie zaaprobowwała, gdyby zamieszkała z Billem w hotelu, a jego z jakiegoś powodu to ucieszyło. Chciał, aby się nią opiekowano, aby była bezpieczna.

Zostawiła go samego na kilka godzin, a kiedy po niego wróciła, miała na sobie jaskrawoczerwony sweter, a policzki zaróżowione od zimna. Szare miasto czerwieniało na Święto Wiosny.

W holu hotelowym panował wyraźnie podekscytowany nastrój, podobnie jak w kolejce na postój taksówek i na ulicach

miasta. Wyglądało to tak, jakby Boże Narodzenie, Nowy Rok i pierwszy dzień wakacji złączyły się w jedno święto. Twarz JinJin promieniała z podniecenia i kiedy para z ich oddechów zmieszała się i utworzyła małą białą chmurkę na tylnym siedzeniu taksówki, zamachała w niej ręką ubraną w rękawiczkę i roześmiała się z zachwyty.

Taksówka wiozła ich ze śródmieścia między pudełkami ni-jakich mieszkań, które ciągnęły się w nieskończoność. Było to komunistyczne miasto zbudowane bez najmniejszej troski o pojedynczego człowieka — mężczyznę, kobietę czy dziecko — ale w każdym z tych brzydkich mieszkań świecił szkarłatny lampion, kolorowe rozpryski światła migotały między ponurymi komunalnymi domami.

Podczas gdy Czangczun przepływał za oknami, Bill trzymał JinJin za rękę i rozmyślał o tym, jak dorastała w tym mieście. Widział ją jako małą dziewczynkę w twarzach dzieci na ulicy, opatulonych jak małe Eskimoski, z buźkami zaróżowionymi od zimna i podniecenia, kiedy wracała do domu z rodzicami. Ale może ona w niczym nie przypominała tych dzieci. Może jej życie było dużo cięższe. Wiedział mniej więcej, jak biedna była jej rodzina. Dowiadywał się tego w chwilach, kiedy pragnął poznać każdy jej centymetr i nauczyć się go na pamięć. Widział to w jej palcach u nóg.

Małe palce u jej stóp były skarłale, mniejsze od wyrośniętych sąsiadów. Napawało ją to dumą. Zawsze chętnie i wesoło przypominała o tym oszpeceniu, ilekroć zachwycał się, jaka jest piękna. Utrzymywała, że to od urodzenia, że wyszła z łona matki z takimi niedorozwiniętymi palcami, ale Bill wiedział, że to nieprawda. To przez biedę jej palce nie urosły. Kiedy była mała, nie zmieniano jej bucików na tyle często, jak się powinno. Za małe obuwie, noszone, kiedy już z niego wyrosła, zahamowało wzrost stóp. To było piętno ubóstwa jej rodziny.

Tyle pieniędzy napłynęło do Chin, pomyślał Bill, i ani trochę z tych wszystkich bogactw nie dosięgło dzieciństwa JinJin.

Nie mogła nawet dostać nowej pary butów, kiedy wyrosła ze starych.

Dojechali do osiedla bloków, gdzie się wychowywała. Tak jak wszędzie, również tutaj w każdym oknie błyszczwały wesołe czerwone lampiony, ale kiedy weszli do środka, Bill stwierdził, że nie jest to nic innego jak gigantyczne betonowe pudełko zapalek zbudowane w sowieckim stylu dla niekochanych mas, które w pocie czoła harowały w czangczuńskich fabrykach, w czasach gdy państwo chciało robić jakiś użytek z mas, a Czangczun miał fabryki pracujące przez okrągłą dobę.

W blokach panował brud, jakiego Bill nigdy dotąd nie widział na oczy i z trudem udało mu się ukryć szok. Szare ściany, kamienne schody, łuszczące się sufity — wszystko czarne od brudu wydychanego z fabryk przez dziesiątki lat.

Delikatnie, lecz z zachowaniem oficjalnych form, od których serce mu się krajało, JinJin wzięła go za rękę i poprowadziła do mieszkania swojej rodziny. W bloku nie było windy i Bill poczuł się głupio, że się jej spodziewał.

Rodzina JinJin czekała na niego: matka cała w uśmiechach niczym pulchny, szczęśliwy, mały Budda o koźlich zębach, w obcisłych legginsach i z butelką tsingtao w ręku, oraz młodsza siostra JinJin, Ling Yuan — nieśmiała i ciekawa, i śliczna jak aniołek, ale nie tak wysoka i smukła jak JinJin, raczej niska i krępa jak jej matka.

I kiedy tak krzątały się koło niego, podawały herbatę, matka mówiła do niego swobodnie po mandaryńsku, córka nieśmiało strzępkami angielskiego, Bill wyczuwał, jakie życie było dla tych trzech kobiet trudne. Ling Yuan urodziła się niedługo po wprowadzeniu w 1978 roku polityki jednego dziecka, co oznaczało brak nadziei na syna. Jak przyjął to ich ojciec?

Ich ojciec był jednym z *xiagang*, milionów zwolnionych urzędników państwowych, od których roilo się Czangczunie, i kiedy ostatecznie odszedł z domu, JinJin miała trzynaście lat i matka wychowywała dziewczynki sama, pracując na trzech etatach, żeby przetrwać. Młodsza córka zostawała pod opieką

starszej siostry. W tym maleńkim, czystym mieszkanku matka spała na sofie, a dziewczynki razem na łóżku. Nawet teraz, po wielu latach, Bill czuł w tym domu smak dawnej nędzy.

Matka JinJin nie знаła angielskiego ani w zęb. Siostra mówiła troszeczkę i zacinając się, tłumaczyła Billowi rytuały Święta Wiosny, a w tym czasie matka nalewała mu tsingtao. Sprawiały, że czuł się jak w domu, a ich wielkoduszność i życzliwość chwyciły go za serce.

Czy wiedziały, że jest żonatym mężczyzną? Czy wiedziały o Becce i Holly? JinJin mu tego nie mówiła, a on nie pytał. Wystarczyło, że był tu dzisiaj, pomagał im robić pierożki *jiaoz* z mięsem, rybami i warzywami, z monetą włożoną w jeden pierożek na szczęście, tak samo jak matka Billa zwykła wrzucać pięćdziesięciopensówkę do świątecznego puddingu.

Nagle usłyszał płacz dziecka.

Ling Yuan poszła do sypialni i wróciła z płaczącym dzieckiem na rękach, mniej więcej dwuletnim, z włoskami jak Elvis u szczytu kariery, ubranym w niebieski pajacyk w granatowe serduszka, dzięki czemu Bill się zorientował, że to chłopczyk. A więc rodzina miała w końcu swojego syna. Ling Yuan kołysała go na rękach i uspokajała i wkrótce chłopczyk przestał płakać, chlipnąwszy na koniec kilka razy. Potem jednak dziecko zobaczyło Billa, przyglądało mu się przez chwilę szeroko otwartymi oczami i znów wybuchnęło płaczem. Wszyscy się roześmiali, a Ling Yuan dała dziecko JinJin.

— ChoCho — powiedziała, podrzucając go lekko. — Nie płacz, mały ChoCho. Ten groźny Anglik jest miłym człowiekiem. Bardzo lubi dzieci.

To był dobry, cudowny wieczór. Mały ChoCho biegał wokół nich na czworakach, kiedy robili pierożki, i wszyscy trzymali go na zmianę i bawili się z nim, nawet Bill, z którym dziecko się w końcu oswoiło, chociaż ten obcy wyglądał tak dziwnie.

O północy wybuchły sztuczne ognie. Ciepło odziani przed mrozem wyszli na osmalony korytarz, żeby obejrzeć fajerwerki i strzelające petardy. Dziecko wyglądało spod sztucznego

futra Ling Yuan i z zamkniętymi oczkami kwiliło od szczypiącego zimna. Matka JinJin miała na sobie stary zielony płaszcz wojskowy, o kilka numerów za duży, a JinJin ocieplaną żółtą kurtkę narciarską, podniesiony kołnierz i nałożony kaptur, spod którego widać było tylko jej wielkie brązowe oczy. Trzymała Billa za rękę.

Kiedy zrobiło się za zimno dla dziecka, wrócili do środka, zjedli pierożki i złożyli sobie życzenia noworoczne. I gdy na dworze ucichły w końcu ostatnie fajerwerki, Bill miał wrażenie, iż naprawdę zaczął się nowy rok, mimo że była połowa lutego.

JinJin chciała go odprowadzić do hotelu, ale Bill kazał jej zostać z rodziną. Jeśli z nim pojedzie, będzie chciał, aby została na noc, a wiedział, że to niemożliwe.

Pożegnał się więc z jej matką i siostrą, i małym ChoCho. JinJin włożyła żółtą kurtkę i wyszła z nim na korytarz, gdzie Bill uderzył się z całej siły o rower zostawiony przez kogoś na szczycie schodów. Upewniła się, że ma przy sobie kartkę z nazwą hotelu napisaną po chińsku dla taksówkarza. Bill rozpiął jej żółtą kurtkę, aby wsunąć ręce do środka, i pocałował ją na pożegnanie. Ich ciała drżały przytulone, na dworze strzelały ostatnie sztuczne ognie.

— Jest zimno — powiedział Bill. — Wracaj do domu. Zobaczymy się rano.

— Dobrze, Williamie — odrzekła JinJin, podnosząc na niego oczy.

Całowała go długo, później puściła i Bill ruszył na dół, stając się nie skręcić sobie karku na ciemnych schodach, nie dotykać czarnych od brudu ścian i omijać rowery zaparkowane na każdym piętrze.

Stał w ciemności między betonowymi blokami, jego oddech zamieniał się w kłęby pary, a szeroką ulicą nie przejeżdżała ani jedna taksówka. Popatrzył w górę, gdzie na półpiętrze żółta kurtka JinJin tworzyła rozmazaną plamę. Pomachała mu i on odpowiedział jej tym samym. Chciał, żeby wróciła do mieszkania. Prostokątne bloki mieszkalne ciągnęły się we

wszystkie strony jak okiem sięgnąć. Nigdy w życiu nie był tak blisko takiej nędzy, nie miał nawet pojęcia, że mogła istnieć. Ale w każdym oknie tych brzydkich betonowych domów jaśniał czerwony lampion Święta Wiosny i narodzin nowego roku księżycowego.

Księżyc skrył się za chmury. Bill ruszył na piechotę w kierunku śródmieścia, a kiedy podniósł głowę na te nieprzeliczone mieszkania skrywające w swych murach życie nieprzeliczonych, nieznanych istnień, nie widział brudu ani nędzy, ani betonu.

Widział tylko śliczne czerwone światełka.

* * *

Zasypiał w łóżku hotelowym, myśląc o dziecku.

Przez jej twardy płaski brzuch biegła ciemna kreska zaczynająca się od pępka, a kończąca prawie pod samą kępką włosów łonowych. To była następna tajemnicza historia jej ciała, tak jak palce u stóp, jak ciemne kreski wokół oczu, jak blizny na kolanach po dziecięcych wspinaczkach na mury, ale tej jednej jedynej tajemnicy Bill nigdy nie miał ochoty odkrywać, ponieważ wiedział, co się za nią kryło.

Była kiedyś w ciąży.

W przeciwieństwie do historii skarłałych palców u stóp i zdartych kolan nie chciał wiedzieć, skąd się wzięła ta blizna na brzuchu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że bez względu na odpowiedź, prawda będzie bolesna.

Z początku sądził, że to pozostałość po usuniętej ciąży. Po dzisiejszym wieczorze wszystko wskazywało na to, że się mylił. Uznał z góry, że dziecko, które nosiła kiedyś w brzuchu, nie przyszło na świat. Ojcem mógł być jakiś chłopak z Czangczunu albo mężczyzna z Szanghaju, albo jeszcze ktoś inny; Bill nie chciał się tego dowiedzieć. To nie miało znaczenia.

W tym kraju aborcja była dostępna powszechnie i bez ograniczeń. Jak to powiedział doktor Khan? Łatwiej tu przerwać ciążę, niż usunąć ząb.

Jakże bardzo się mylił. Dziecko wyjaśniało, czemu musiała rzucić pracę w szkole. Miała na utrzymaniu całą rodzinę — matkę, siostrę i dziecko — i rachunki, których za żadne skarby nie udałoby się jej popłacić z pensji nauczycielki gimnazjum numer 251. Kreska na brzuchu wyjaśniała wszystko — czemu musiała zostawić uczniów, których kochała, i czemu mieszkała w Rajskich Rezydencjach, i czemu musiała być praktyczna.

Wiedział nawet, jak się nazywa ta kreska na brzuchu: *linea alba*, czyli biała linia, kiedy była niewidoczna, i *linea nigra*, czarna linia, kiedy można ją było zobaczyć.

Widział ją już przedtem, w innym łóżku, w innym czasie, na innej kobiecie.

Widział tę ciemną kreskę na śnieżnobiałym, twardym brzuchu swojej żony, i z bliska, kiedy delikatnie muskał ustami skórę napiętą jak na bębnie, w głowie mu się kręciło z zadziwienia.

* * *

JinJin przyniosła mu do pokoju parę kaszmirowych kalesonów. Jej matka się martwiła, jak Bill poradzi sobie z zimą. Szli wyludnionymi ulicami i kiedy już mieli wejść do parku, JinJin przystanęła, złapała go za rękę i opowiedziała mu o żonatym mężczyźnie, który był ojcem jej dziecka.

Bill domyślał się jakiegoś ukochanego z czasów młodości, biednego chłopaka w tym samym wieku co ona. I pod tym względem też się mylił. Opowiedziała mu o tym, jak pokochała pewnego mężczyznę całym sercem i jak jej matka przyszła do banku, gdzie pracował, i zaczęła krzyżeć na cały głos, że wykorzystuje jej córkę. Ich związek się skończył, a mężczyzna nigdy nie odszedł od żony. Ale JinJin nie usunęła ciąży.

— Zawsze wiedziałam, że zatrzymam moje maleństwo.

Wymówiła to słowo „maleństwo”. Serce się Billowi ścisnęło.

Na początku, kiedy zamieszkał w Rajskich Rezydencjach, kiedy była jeszcze dziewczyną mężczyzny w srebrnym porście, zadawał sobie pytanie: Czy taka kobieta jest zdolna do miłości?

Było jednak zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał. Inaczej niż wyobrażał sobie świat. Inaczej niż sądzili mężczyźni, którzy pobili jego i Shane'a. To nie był seks dla pieniędzy. Nigdy. Może dla przetrwania, owszem, związała się z mężczyzną dla pieniędzy, bo musiała nakarmić kilka osób. To było praktyczne. Pochodziła z miejsca, gdzie niczego nie mogła się od życia spodziewać, gdzie nie miała żadnej nadziei. Była praktyczna, ponieważ nie miała innego wyjścia.

Doszli do parku. Tuż za bramą stały stragany zjedzeniem. JinJin kupiła coś, co wyglądało jak jabłko w polewie toffi na patyku.

W parku na zamrożonym stawie ludzie ślizgali się na drewnianych skrzynkach, odpychając się czymś, co wyglądało jak obcięte narty. Podobnie jak tor wrotkarski w Szanghaju ta archaiczna rozrywka przetrwała w jakiś sposób w nowym stuleciu.

Wypożyczyli kilka zniszczonych starych pudeł i ruszyli na lód. Kiedy się obejrzał przez ramię na JinJin, zakochał się w niej bez pamięci. Zakochał się w niej dokładnie w tym właśnie momencie w Czangczunie. Zobaczył jej żółtą kurtkę na tle wszechobecnej mroźnej bieli, jej roześmianą twarz, jej błyszczące wielkie brązowe oczy i nie mógł zrobić nic innego, jak tylko się zakochać. Patrzył na nią i uczył się jej na pamięć, ponieważ chciał to wszystko mieć w sobie, dokładnie tak jak teraz, aby pamiętać o tym w najbliższej przyszłości, kiedy będzie myślał o wszystkich rzeczach, dla których warto żyć.

— Williamie! Uważaj, gdzie jedziesz!

Odwrócił się w samą porę, żeby uniknąć czołowej kolizji z dwoma nastolatkami. Skręcił raptownie i wypadł z lodowiska na zmrożoną, twardą trawę i poczuł, jak JinJin wpada mu na plecy, a jej śmiech po chwili zamienia się w stłumiony okrzyk bólu, kiedy jedna ze złamanych nart Billa wbiła się jej w rękę.

Bill zmartwiał, ściągnął jej rękawiczkę i przycisnął usta do kropelki czerwieni. Poczuł na wargach słony smak jej krwi. Uśmiechała się, powtarzała, że to nic takiego, a on nie mógł

sobie wyobrazić, aby nastał kiedyś dzień, w którym nie będzie jej w jego życiu. Po prostu ją kochał.

Wrócili do hotelu. Kiedy JinJin pojechała do domu, Bill włączył swój telefon.

„Dwanaście nieodebranych połączeń...”.

Spodziewał się telefonu — wiadomości o nagłym pogorszeniu stanu zdrowia, jeździe do szpitala, diagnozie lekarza. Ale to nie ojciec Becki umierał, tylko jego.

Odsłuchiwał wiadomości, a potem jeszcze raz, i minęły długie, długie minuty, zanim przyjął fakty do wiadomości. Płuca. Z płucami jego ojca było bardzo źle i wyglądało na to, że działało się tak od dłuższego czasu. Becca dzwoniła do niego, kiedy był z JinJin. Zajmowała się jego rodziną i usiłowała się do niego dodzwonić przez cały czas, kiedy on nie śmiał włączać telefonu, żeby nie musieć kłamać.

Spakował rzeczy i zadzwonił do Li JinJin w drodze na lotnisko, tak aby nie zdążyła pojechać z nim do Szanghaju. Nie chciał jej psuć Święta Wiosny.

Bo zaczynał wierzyć, że psuje wszystko każdemu, kto się do niego zbliży.

W taksówce, w drodze na lotnisko, odsłuchiwał jeszcze raz nagrane wiadomości. W tonie głosu swojej żony usłyszał coś, co sprawiło, że wszystko w nim w środku zadrżało. Mówiła cierpliwie, głosem podenerwowanym, duszonym przez emocje — głosem kobiety, która znała go aż za dobrze i kochała go dużo, dużo bardziej, niż na to zasługiwał.

* * *

Kiedy się leci z Azji do Europy, czas się cofa. Zaciera się terazniejszość, człowiek pędzi na łeb na szyję w swoją przeszłość, a jego dawne życie wybiega mu na spotkanie. I nie można się zatrzymać.

Bill spędził noc w lodowato zimnej hali lotniska w Czangczunie, usiłując złapać jakiś lot do Szanghaju, i rano leciał trzęsącym się, zatłoczonym samolotem linii Dragon Air

na południe. Potem trzy godziny czekał w poczekalni lotniska w Pudongu na najbliższy lot do Londynu.

W hali w Pudongu dziewczyna przyniosła mu filiżankę angielskiej herbaty. Piętnaście minut później doniosła mu spodeczek. Był to jedyny moment, kiedy się uśmiechnął w ciągu dwudziestu czterech godzin podróży z miejsca, gdzie był, do miejsca, gdzie musiał być.

Bez względu jednak na to, ile się godzin roztrwonilo i ile życzeń pomyślało, Azja zawsze była i będzie wyprzedzać Europę, i długi lot do miejsca, gdzie zaczynał, nie mógł niczego zmienić.

* * *

Becca i Holly czekają na niego w hali przylotów i kiedy Bill widzi ich twarze i je obie w różowych T-shirtach z Couture Juicy pod kurtkami narciarskimi z North Face i w zielonych wojskowych spodniach, wyglądające niczym dwie wojowniczkę — mała i duża — coś go dusi w gardle. Próbuje to ukryć i żałuje z całego serca, że nie umarł i nie spalono go, a jego szczątków nie rozsypano na wietrze, zanim pokochał kogośkolwiek poza nimi, poza swoją żoną i córeczką.

Kiedyś wszystko było proste i dobre, a on to wszystko skomplikował i zatrul, i sprawił, że stało się nie do zniesienia. Wszystko to teraz widzi i pojmuję w jednym okamgnieniu, nareszcie rozumie to, co jest tak oczywiste, że aż razi w oczy. Bierze w objęcia Beckę i Holly i z całego serca pragnie, aby wszystko było tak proste jak kiedyś, gdy mógł zostawiać włączony telefon; marzy o miłości bez kłamstw i o tym, by móc patrzeć na te dwie twarze bez uczucia wstydu.

A potem trzyma żonę za rękę, a córeczkę na kolanach, patrzy, jak dziewczynka śmieje się zachwycona tym nagłym objawieniem się taty, widzi jej równiutkie białe zębki. Jada czarną londyńską taksówką do szpitala, a Bill Holden może tylko myśleć, że oto spadła na niego kara.

CZĘŚĆ TRZECIA

Zew domu

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Bill odsunął zasłonę i zobaczył ojca leżącego na szpitalnym łóżku. Pocałował staruszkę w policzek, starając się ukryć szok.

Co się stało z moim staruszką? — zapytał siebie, tłumiąc łzy i bojąc się, że narobi sobie wstydu.

Po raz pierwszy w życiu jego ojciec wyglądał niechlujnie. Twarz miał nieogoloną, rzadkie włosy za długie, oczy przekrwione i zamglone od lekarstw i niedowierzania. Nie wyglądał już jak Picasso. Przelotny pocałunek w nieporządną siwą brodę był niczym pocieranie ust papierem ściernym. Jakby się całowało śmierć.

W ciągu kilku krótkich miesięcy coś staruszką przeżarło od środka, strawiło i spustoszyło. Wyglądał jak łupina człowieka, którym był kiedyś, sama skorupa silnego, dumnego mężczyzny, jakim pamiętał go Bill. Barczyste ciało boksera straciło całą siłę, energię i wolę, i kiedy młoda pielęgniarka z Filipin poprawiła mu poduszki, aby mógł przyjąć nowych gości, a przy łóżku pojemnik z tlenem stał niczym czarny strażnik, wyglądał jak chore dziecko — słabe, bierne, boleśnie niezdolne wykonać samemu nawet tej prostej czynności.

Bill go uściskał, potem się wyprostował i ich oczy się spotkały. A kiedy Becca i Holly witały się z dziadkiem, coś przemknęło między ojcem i synem, coś niewypowiedzianego

i nieopisanego, lecz po chwili znikło, zastąpione wysiloną wesołością sali szpitalnej.

— Co my tu mamy? — powiedział Bill, zaglądając do toreb, które trzymał w ręku.

— Prezenty! — zawołała Holly.

Na stoliku przy łóżku Bill postawił pudełko cukierków z widokiem Pudongu, torebkę ze strefy wolnocłowej z przenośnym odtwarzaczem DVD i zestawem płyt. Tryskał taką sztuczną wesołością niczym Święty Mikołaj w Wigilię w domu handlowym.

— Wszystko, co lubisz, tato — powiedział. — Mieszanka z lukrecją i westerny. — Z braku czegoś lepszego do roboty, zaczął wyciągać filmy z torebki. — Zobaczmy, co tu masz...

Dzika banda... Jeździec znikąd... Człowiek, który zabił Liberty Valance... Prawdziwe męstwo... W samo południe...

Staruszek obejrzał pudełko ze słodyczami.

— Gary Cooper i Bertie Basset na pudełku z cukierkami — powiedział cierpko chrypiącym i świszczącym głosem przypominającym podziurawiony zbiornik. — Czego można chcieć więcej? — Jego dawny głos zniknął. Miał teraz nowy. Odwrócił się do pielęgniarki. — To mój syn. Prawnik, gruba ryba.

Pielęgniarka, uśmiechając się do Billa, odsłoniła białe zęby.

— Pana tatę odwiedza mnóstwo osób, więcej niż wszystkich innych pacjentów — powiedziała, po czym podnosząc głos do staruszka, jakby był głuchy albo ograniczony, albo jedno i drugie, dodała: — Jest bardzo lubiany.

— Nie znają mnie, moja droga — powiedział ojciec.

Pielęgniarka była dobrą kobietą, Bill to widział, ale coś w jej tonie głosu, jakieś połączenie życzliwości i protekcyjności w równych miarach, nie podobało się Billowi, ponieważ uprzytomniło mu, że choroba ojca izoluje go od reszty świata.

Becca i Holly usiadły na łóżku, dziewczynka z zapalem zaczęła przekazywać najnowsze plotki ze swoich lekcji baletu,

a ojciec i Becca słuchali z uśmiechem jej szczebiotu. Bill starał się zajmować wypakowywaniem prezentów, wyrzucaniem starych kwiatów, a potem poszedł po herbatę.

Gdy wrócił, przy łóżku ojca siedziało dwóch starszych sąsiadów. Przynieśli kwiaty kupione na stacji benzynowej i rzucali żarciki o tym, że wokół starego uwija się tyle młodych pięknych pielęgniareczek. A kiedy nagle staruszek nie mógł oddychać, patrzyli w milczeniu, jak nakłada sobie maskę z tlenem na nos i usta, i z trudem próbuje zmęczonymi płucami złapać chociaż jeden haust powietrza.

Becca wyszła z Holly do łazienki. Gdy ojciec zdjął maskę, opadł na poduszki i trzymając ją w rękę, potrząsał głową. Po chwili wróciła Becca z córką i szara, zarośnięta twarz starca od razu uśmiechnęła się szeroko.

Pielęgniarka miała rację, ojca odwiedzało mnóstwo osób. Ciągłe dochodził ktoś nowy. Przynosili winogrona na oddział nowotworów i wkrótce mała kabina oddzielona zasłonami wypełniła się ludźmi. Bill zorientował się, jaką głupotą było myśleć, że jego ojciec umrze w samotności. Nie było o tym mowy.

Przez długi czas tworzyli taką małą rodzinę, tylko on i ojciec. Kiedy Bill dorósł i stworzył własny dom, zastanawiał się, czy to w ogóle można było nazwać rodziną — bez matki, bez żadnej kobiety. Ojciec i syn.

Ale przez te wszystkie lata staruszek miał własną rodzinę — braci, którzy jeszcze żyli, i wdowy po tych, którzy już umarli. I Bill przekonał się, że ci ludzie kochali jego ojca za to, kim był, bez żadnych zobowiązań krwi. Przychodzili do niego w odwiedziny i te ostatnie dni ojca w szpitalu przepełniało jakieś dostojeństwo, jak gdyby wszyscy ci przyjaciele i sąsiedzi, i koledzy z pracy czuli wielką potrzebę zebrania się w tym szczególnym miejscu i pokazania, że był im drogi, i pożegnania się.

Kto przyjdzie oplakiwać mnie? — pomyślał Bill. Być może to właśnie ta myśl dręczyła jego niespokojne sny w czasie lotu

do Londynu: nie to, że ojciec odejdzie w samotności, lecz to, że gdy przyjdzie jego kolej, na pewno zostanie sam.

Kiedy nadeszła pora, aby Becca i Holly wróciły do domu, pocałowały ojca na do widzenia i Bill odprowadził je do holu. Przy szklanych drzwiach starszy mężczyzna w piżamie w paski i kapciach palił papierosa. Becca podniosła Holly do góry i Bill objął je obie ramionami.

— Jesteś wykończony, Bill — powiedziała Becca. — Wróć do domu.

Ale ich dawny dom został wynajęty prawnikowi z Nowego Jorku i jego rodzinie, aby można było spłacać hipotekę, i kiedy ojciec Becki poczuł się lepiej, zamieszkała razem z Holly u siostry. Poza tym Bill chciał zostać przy ojcu.

— Nie mogę go zostawić — odrzekł, a ona nie dyskutowała.

Pocałował je, i Becca z Holly poszły, a on wrócił do ojca otoczonego przez odwiedzających. W maleńkim, odgradzonym zasłonami pomieszczeniu panowała isticie świąteczna atmosfera. Zobaczył ludzi, których nie widział od lat i tych, których w ogóle nie znał. Przedstawiali się, ściskali sobie dłonie, całowali w policzki.

W końcu jednak wszyscy poszli, ponieważ robiło się późno, a nie można przecież siedzieć przy szpitalnym łóżku w nieskończoność. Na takie rzeczy nie ma terminarza, zdał sobie sprawę Bill. Usiłował się oswoić z okrutnym faktem, że w tym wypadku zakończenie może być tylko jedno i chociaż lekarze dawali ojcu raczej tygodnie życia niż miesiące, tak naprawdę nie potrafili powiedzieć, jak długo to potrwa. Bill nie był w stanie w to uwierzyć, nie umiał objąć myślą tego, że ten świat będzie się kręcił dalej bez jego starego ojca.

Zrobiło się późno i Bill obserwował pielęgniarkę, ale inną, wysoką, młodą Czeszkę, jak przykłada ojcu do twarzy maskę z tlenem. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie poważnie, a potem ojciec zamknął oczy. Bill widział, że jest przerażony, i z jakiegoś powodu go to zaskoczyło. Ale kto by nie był? — pomyślał.

— To mój syn — powiedział staruszek, kiedy pielęgniarka zabrała maskę tlenową. — Przystojny diabeł, prawda?

Bill nigdy przedtem nie słyszał, żeby ojciec się nim chwalił, i wydawało się to niedorzeczne, sztuczne i zupełnie nie w jego stylu.

Pielęgniarka wsunęła brzegi kołdry pod materac. Na łóżku pod prześcieradłem ojciec miał podłożoną gumową płachtę, taką jak Holly, kiedy była małutka.

— Przyjdę później, żeby pana umyć — oznajmiła pielęgniarka.

— Mamy dużo do nadrobienia — powiedział staruszek, walcząc znowu o powietrze i drżąc z wysiłku, aż Bill zaczął się zastanawiać, czy nie skończył się tlen w zbiorniku.

Pielęgniarka zostawiła ich samych. Zgaszono światła. Ciszę wypełniały dźwięki szpitalnego życia, które nigdy do końca nie cichły — dalekie głosy, niespokojne sny.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie i Bill wziął ojca za rękę; i wydało mu się to najnaturalniejsze pod słońcem, chociaż nie robił tego, od kiedy skończył pięć lat.

Dłonie starego budowlańca. Dłonie twardego mężczyzny, który przez całe życie pracował rękami, a nie umysłem. Dłonie człowieka zawsze fizycznie sprawnego.

— Nie umieraj, tato — powiedział Bill i lzy napłynęły mu do oczu, i zaczęły piec. — Proszę, nie umieraj.

Tyle mieli do nadrobienia.

* * *

Staruszek obudził się w środku nocy i zaczął się skręcać w łóżku. Bill oprzytomniał w mgnieniu oka, poderwał się z krzesła i nacisnął guzik wzywający pomoc. Nie mógł znieść tego bólu. Stał przy łóżku i patrzył, jak czarnoskóra pielęgniarka, której przedtem nie widział, spokojnie podaje ojcu białą tabletkę z plastikowego pojemniczka. Potem poprawiła mu kołdrę, posłała Billowi zmęczony uśmiech i wyszła. Na sąsiednim łóżku mężczyzna wykrzykiwał przez sen imię kobiety. Bill

pogładził ojca po dłoni. Staruszek leżał na plecach z zamkniętymi oczami, rozchyłonymi ustami, walcząc o każdy następny oddech.

— Szkoda, że między nami nie układało się lepiej — powiedział Bill bardzo cicho, prawie do siebie. I nagle weszły w nim wszystkie emocje, które tłumił od długiego czasu. — Zawsze byłeś moim bohaterem. Zawsze cię podziwiałem. Zawsze uważałem, że jesteś najprzystojniejszym człowiekiem, jakiego znałem. — Poklepał ojca po dłoni tak delikatnie, że prawie jej nie dotykał. — Zawsze tak bardzo pragnąłem tego, co was łączyło z mamą. — Milczał przez chwilę. W sali panowała teraz głęboka cisza, ale Bill wyczuwał obecność tych wszystkich ludzi śpiących w ciemności za kotarami. Nabrał powietrza. — I zawsze cię kochałem, tato. Może nie było to widoczne, ale nigdy nie przestałem cię kochać.

Ojciec spał.

* * *

Kilka godzin później w sali zaczął się ruch. Słysząc było głośniejsze, roznosił się zapach jedzenia, rozwidniało się. Przed ojcem stała taca z nietkniętym jedzeniem.

— Kiedy się o tym dowiedziałeś? — spytał go Bill.

— Jakiś czas temu — odparł staruszek. — Nie chciałem cię denerwować. — Odsunął od siebie tacę ze śniadaniem jeszcze dalej. — Miałeś dosyć własnych zmartwień na głowie. — Bill słyszał jego ciężki oddech w spustoszonych płucach. — Opowiedz mi, jak żyjesz — poprosił, zamykając oczy. — Chcę wiedzieć, co tam u ciebie słychać.

— Jasne. — Bill podsunął sobie krzesło bliżej łóżka. — Wszystko dobrze, tato. Gdy się lepiej poczujesz, znowu do mnie przyjedziesz. Kiedy Becca i Holly wrócą. Przylecisz do nas, a ja ci tym razem kupię bilet pierwszej klasy.

Przypomniały mu się wszystkie sytuacje, kiedy ojciec go nudził albo irytował, kiedy się za niego wstydził, i pragnął teraz

to wszystko naprawić, wszystko cofnąć, ale było już za późno i zawsze już będzie za późno.

— Wyjedziemy po ciebie na lotnisko. Będzie wspaniale. Zamieszkaś z nami, tato — powiedział Bill i łzy znowu napłynęły mu do oczu, ponieważ wiedział, że równie dobrze mógłby obiecywać mu podróż na Księżyc. — Zamieszkaś ze mną, tato. Zamieszkaś z nami i wszystko się ułoży.

Staruszek dotknął delikatnie jego dłoni, jak gdyby to jego młody syn, a nie on potrzebował pocieszenia.

* * *

W ciągu dnia nie mogli rozmawiać, nie przy tych wszystkich odwiedzających, tych pogaduszkach i przejawach współczucia. Za to w nocy, jeśli nie za bardzo rozpraszał ojca ból albo nie oszołamiały leki przeciwbólowe, mogli spokojnie rozmawiać.

— I wszystko u was w porządku? U ciebie i Becki?

Bill żałował, że nie ma dość odwagi, aby skłamać. Kłamstwo go brzydziło, dlatego nigdy nie był z niego dobry łgarz. Zżerało go od środka, odbierało mu jakąś część duszy i nigdy nie będzie jej mógł odzyskać.

— Sam nie wiem — powiedział.

Staruszek popatrzył na niego spod przymkniętych powiek, a Bill poczuł nagle ten sam popłoch, który go zawsze opadał, ilekroć wywołał niezadowolenie.

— Masz kogoś innego, prawda? — rzekł ojciec, domyślając się prawdy.

A Bill się zastanawiał, skąd ten monogamiczny mężczyzna wie tyle o kruchych nowoczesnych związkach, i pomyślał, czyby nie skłamać. To była jego ostatnia szansa. Skinął głową. Czekał na następne pytania, ale starzec milczał.

Bill popatrzył na niego.

— Ty i mama byliście ze sobą do końca. Gdyby żyła, bylibyście razem do dziś. Jak to się robi? Jak to się robi, żeby być ze sobą przez całe życie?

Ojciec skrzywił się z bólu. Wypuścił powietrze i zaczął się wiercić. Bill poderwał się z krzesła, myśląc, że wije się z bólu, ale staruszek dał mu znak, żeby usiadł z powrotem.

— Nie byliśmy idealną parą — powiedział. — Dzieciom się zawsze zdaje, że ich rodzice są ulepieni z innej gliny niż oni sami. Nie byliśmy ulepieni z innej gliny. Mieliśmy swoje złe chwile.

Bill próbował wyobrazić sobie złe chwile swoich rodziców i umieścić ich we współczesnym świecie, próbował zobaczyć ich w miejscu takim jak Rajske Rezydencje, w chaosie, który on sam uczynił ze swojego życia. Ale to przerastało jego wyobraźnię.

— Ale zostaliście ze sobą do końca — stwierdził. — Bez względu na to, co się wydarzyło, zostaliście razem.

Ból się nasilił. Starzec miał to wypisane na twarzy. Bill znowu poderwał się na nogi. Ojciec trzymał w ręku metalowy prostokąt z czerwonym guzikiem, ale go nie naciskał, jakby się zastanawiał, czy powinien już wezwać pielęgniarkę, czy jeszcze chwilę wytrzymać.

— Bo nie zostawia się dziecka dla kobiety — rzucił i popatrzył na Billa takim wzrokiem, jakby ten nie miał o niczym pojęcia. — Nikt nie jest w łóżku aż taki dobry.

* * *

Uwielbiał przechwalać się przed pielęgniarkami, zupełnie jakby odczuwał nieodpartą potrzebę zaimponowania ostatniej młodej kobiecie, jaką w życiu poznał. Chwalił się wszystkim.

— Niech pani tylko popatrzy — powiedział, głaszcząc swoje przenośne DVD, kiedy pielęgniarka z Czech oglądała jego kartę. — Jeden z najnowszych gadżetów. Tata mi kupił.

Bill roześmiał się z niedowierzaniem. Tata mu kupił? Najwyraźniej staruszek tracił zmysły. Bill się przestraszył. Dotknął ręki ojca pokrytej sińcami od kroplówek, pobierania krwi i zastrzyków przeciwbólowych.

— Tato, ja ci kupiłem to DVD — przypomniał Bill i uśmiechnął

się, aby zamaskować niezręczność. — Nie pamiętasz? Przywiozłem ci.

Niespodziewanie łyzy trysnęły staruszkowi z oczu, zażenowanemu i upokorzonemu tym niedbałym sprzeciwem.

— Ale mój tata tu był — rzekł gniewnie. — Widziałem go.

Pielęgniarka spojrzała na Billa i na jej niewzruszonej twarzy wyczytał wyraźną wiadomość: „Wie pan, ich umysły odpływają. To przez chemię. W tym stadium żyją już w swoim małym świecie snów i marzeń”.

— Ogolić pana? — spytała, podnosząc głos. — Chce pan, żebym pana ogoliła

— Ja go ogolę — stwierdził Bill.

* * *

Siódmego dnia Bill z trudem otwierał oczy. Kiwał się na krześle przy łóżku, głowa kołysała mu się na piersi, nie dowiedział, że może być taki zmęczony.

— Jedź do domu — wysapał staruszek. — Jedź do domu i wyśpij się porządnie.

Bill przyzwyczaił się już do nowego głosu ojca. Prawie zapomniał, jak mówił kiedyś. Teraz wydawało mu się to normalne — ten świszczący dźwięk z płuc, w których brakowało powietrza, nieznośny ból przy każdym wdechu i wydechu. Wszystko najzupełniej normalne. Słyszał każdy żalony oddech. Starał się za wszelką cenę nie zamykać oczu, za to ojciec sprawiał wrażenie przytomniejszego, niż był od długiego czasu. Ból na razie minął, a razem z nim wycofano chwilowo morfinę. Staruszek wyglądał prawie tak jak dawniej. Wydawał synowi polecenia, wiedział, co jest dla niego najlepsze i nie miał ochoty słuchać sprzeciwów.

— Mówię poważnie — zakomenderował. — Idź się zdrzemnąć.

Bill wstał, wyprostował plecy.

— Może rzeczywiście pójdę trochę się przespać — powiedział. — Wrócę tu rano, tato.

— Dobry pomysł.

Ojciec siedział na łóżku. Ale przecież zawsze siedział, nawet kiedy spał. Kiwnął głową zachęcająco, już nie tak surowo jak poprzednio. Po prostu pragnął dla swego syna tego, co najlepsze.

— Tylko kilka godzin — zapewnił Bill i popatrzył na świeżo ogoloną twarz ojca, gładką jak niemowlę, i nagle przypomniało mu się, co miał ojcu do powiedzenia. — Tato.

Staruszek opadł z powrotem na poduszkę. Nie widać było bólu, który nagle paraliżował każdy mięsień na jego twarzy. Wyglądał spokojnie, jakby właśnie zamierzał zamknąć oczy i też się przespać.

— Słucham?

To było takie proste i takie oczywiste. I konieczne.

— Kocham cię, tato — wyznał Bill.

I roześmiał się zakłopotany. Staruszek otworzył oczy i uśmiechnął się.

— Wiem o tym. Ja też cię kocham. Ty też o tym wiesz.

Bill zwiesił głowę.

— Przepraszam, tato.

— Za co?

— Że nigdy przedtem ci tego nie powiedziałem.

Staruszek uśmiechnął się do swego dorosłego syna.

— Jeden raz to bardzo dużo.

* * *

Rano zadzwonili na komórkę Billa i powiadomili, że ojciec zmarł. Wiedział, co się stało, zanim odebrał telefon w pokoju gościnnym w domu Sary. Już wiedział.

Świat bez ojca.

To była minutowa rozmowa z kimś, kogo nie znał i kogo nigdy więcej w życiu nie spotka. Ten ktoś mówił głosem pełnym współczucia, jak przystało na okoliczności. Bill siedział na brzegu łóżka i wpatrywał się w telefon. Była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, a jednocześnie najdonioślejsza. Koniec

życia starego człowieka. Wydawało się to zarazem takie zwyczajne i takie wzniosłe.

Podszedł do małego okna, wyrztał na podmiejską ulicę i próbował coś poczuć. Ale żadne uczucie nie przychodziło. Nie mógł nawet zapłakać. Jedyne, co czuł, to smutną ulgę, że ból się wreszcie skończył i dręczące wyrzuty sumienia, że nie wytrzymał do końca, i wdzięczność, że ten starzec był jego ojcem.

Zszedł na dół, skąd dochodziły głosy. Nie miał ochoty na towarzystwo, ale Becca była z Sarą w kuchni. Becca spojrzała na męża i wstała, i od razu wiedziała, co się stało, a Bill podszedł do niej i pozwolił się jej przytulić, a potem odsunął się z przepaszającym uśmiechem. Sara dotknęła jego ramienia i po cichu wyśliznęła się z kuchni.

Becca przyciągnęła go do siebie i Bill wsparł się na niej, wtulił twarz w jej jasne włosy, przylgnął ustami do jej skóry i upajał się swoją żoną, pragnął się w niej zatopić.

— Był wspaniałym człowiekiem — powiedziała. — Tak mi przykro, Bill. — Spojrzała mu w twarz. — Powinieneś się jeszcze trochę przespać.

— Ale Bec, tyle rzeczy jest do zrobienia.

W głowie mu się kręciło na myśl o tym wszystkim. Musi odebrać rzeczy ojca ze szpitala. Musi zorganizować pogrzeb. Musi poinformować o śmierci ojca wszystkich, którzy go znali i kochali. Musi zgłosić jego śmierć w urzędzie. Musi wykonać całą tę przyziemną papierkową robotę. I nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

— To wszystko może poczekać. — Poglądziła go po plecach, kiedy ją przytulił. — Wiem, Bill — wyszeptwała. — Wiem. Ale masz nas.

Kiwnął głową i odwrócił się od niej, aby ukryć twarz. W korytarzu wpadł na Sarę, która zgarniała wokół siebie dzieci. Żeby je wyprawić z domu, pomyślał Bill. Aby stworzyć nam trochę spokojnej przestrzeni. Dziewczynki miały sześć i osiem lat, chłopczyk dziesięć. I nagle Sara trzymała go w objęciach.

Wzruszyły go jej łzy... łzy, których nie mógł sam wypłakać.

Sara była starszą, sportową wersją Becki w T-shircie reklamującym szkołę pilates. Tylko czerwone, krótko ostrzyżone włosy mogły świadczyć o tym, że kiedyś prowadziła inne życie.

Becca miała rację co do swojej siostry, to Bill ją źle ocenił. Sara przeżyła wszystkie swoje przygody i przemiany i wyszła z nich jako prawdziwa siostra Becki i kochająca ciotka Holly, i przyjaciółka całej rodziny Billa, chociaż o tym do tej pory nie wiedział.

Z góry zszedł jej aktualny narzeczony. Ucisnął Billowi rękę, złożył mu kondolencje i powiedział dzieciom Sary, że idą do parku. Był to wysoki, spokojny mężczyzna, ubrany w dres, pracował jako osobisty trener. Co do niego Bill również się pomylił.

Tak więc ta mała rodzina opiekowała się Holly, kiedy Becca zajmowała się ojcem. Wszyscy oni robili wrażenie tak przyzwoitych ludzi, tak zauroczonych Holly i tak szczerze zmartwionych wieścią o śmierci jego ojca, że Billa ogarnął wstyd. Nie tylko za to, co o nich myślał, ale również za to, co myślał o swojej żonie. Jak w ogóle mógł podejrzewać, że Becca zostawiłaby córkę gdzieś, gdzie nie byłaby bezpieczna i kochana. Jak mogło mu coś takiego przyjść do głowy? Co się z nim działo?

— Dziękuję wam — powiedział Bill. — Za wszystko.

Pójdę do Holly.

Holly oglądała na DVD *Wonder Pets*. Bill wziął ją na rękę, ale dziewczynka wyrywała mu się, nie odrywając oczu od telewizora.

— Chcę to obejrzeć — powiedziała.

W pokoju było chłodno i ciemno, jedyne światło dawał ekran telewizora, na którym jakieś zwierzaki ratowały czyjeś jajko.

— Tylko kiedy wreszcie będzie to szczęśliwe zakończenie? — spytała.

Uśmiechnął się.

— Na pewno w końcu im się uda — rzekł, wstając i biorąc Holly na rękę.

Jest ciężka, pomyślał. Coraz cięższa. Ale zawsze jego ma-
lutka dziewczynka. Zerknęła na telewizor nad jego ramieniem.
Bill chciał już mieć tę chwilę za sobą.

— Kochanie, twój dziadzius jest już w niebie. — Nie wie-
dział, co jej powiedzieć. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć
śmierć czteroletniemu dziecku. Nie wiedział nawet, od czego
zacząć. — Dziadzius bardzo cię kochał. Bardzo. I zawsze bę-
dzie patrzył na ciebie z góry. I nigdy nie przestanie cię kochać.

— Wiem — stwierdziła, odrywając niebieskie oczy od tele-
wizora i przenosząc je na ojca. — Dziadzius tu był.

— Tak, dziadzius Joe też cię bardzo kocha — odrzekł Bill.
— Ale ja nie mówię o tatusiu mamy. Nie mówię o dziadku Joe.

Holly niecierpliwie potrząsnęła główką.

— Ja też nie. Nie mówię o dziadziusiu Joe, tylko o tym
drugim. O tym, co umarł. — Patrzyła prosto na Billa i nie od-
rywała od niego spokojnego spojrzenia. — O twoim tatusiu.
Był tutaj. I uśmiechnął się do mnie. — Pokiwała główką, jakby
wszystko już było ustalone. — Naprawdę, wiesz?

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem przyci-
snął ją do siebie mocniej niż kiedykolwiek dotąd. Do pokoju
wlewało się zimowe światło, okna podmiejskiego londyńskie-
go domu zamieniły się w prostokąty złotego, oślepiającego
blasku, aż Bill musiał zamknąć oczy.

— Wiem, kochanie — szepnął do córki.

Serce przepelniały mu miłość i żal, a także strach, którego
nie potrafił się wyprzeć.

* * *

Bill przekręcił klucz i musiał mocno popchnąć drzwi, żeby
przesunąć stertę poczty, głównie ulotek, zalegającą podłogę
po drugiej stronie.

Becca weszła za nim do ciemnego, zatęchłego wnętrza domu jego ojca. Obserwowała go, kiedy przystawał, rozglądał się, jakby pierwszy raz widział na oczy miejsce, gdzie się wychowywał i dorastał.

Znalazła kontakt i zapaliła światło.

— Wszystko w porządku? — zapytała, dotykając jego ramienia.

Skinął głową.

— Nie da się tu oddychać — powiedział.

— Otworzę okna — zaproponowała.

Rozejrzała się za kluczem do tylnych drzwi i znalazła go pod wycieraczką z ozdobnym, wytartym napisem „Nasz dom”. Otworzyła drzwi na podwórze i wyjrzała do zaniedbanego ogrodu zarośniętego krzakami. Wciągnęła w piersi powietrze, które nie pachniało dymem ani chorobą.

Bill stał przed biblioteczką w dużym pokoju. Pod jednym ramieniem ścisnął złożone kartonowe pudła, w drugiej ręce trzymał czarny rulon worków na śmieci. To było ich zadanie na dzisiaj — zdecydować, co idzie do instytucji charytatywnej, a co na śmietnik.

— Pamiętasz to? — zapytał.

Becca z radością zobaczyła jego uśmiech na twarzy.

Patrzył na zdjęcie Holly. Miała na nim trzy latka, ścisnęła w rączce różową kredkę niczym maleńki oszczep i uśmiechała się szeroko do drobniutkiej czarnoskórej dziewczynki.

— Pierwszy dzień w przedszkolu — powiedziała Becca.

Przeszukiwali wzrokiem biblioteczkę, w której nie było książek, tylko kilka zniszczonych numerów „Reader's Digest” i „National Geographic”, trochę pamiątek z wakacji za granicą — hiszpańskie kastaniety, chińska lalka i całe półki rodzinnych zdjęć.

Fotografie ślubne rodziców Billa. Bill jako niemowlę na rękach matki. Bill jako krótko ostrzyżony szkrab stojący na nodze ojca klęczącego na jednym kolanie. Zdjęcie ślubne Billa i Becki. I wszędzie Holly, od dnia urodzin do dziś.

Kiedy Becca spojrzała szybko po półkach, poczuła się tak, jakby patrzyła na swoją córeczkę rosnącą jej przed oczami.

— Był samotny — stwierdził Bill.

— Miał wokół siebie dużo ludzi, którzy go kochali — przypomniała mu Becca. — Sam widziałeś na pogrzebie.

Bill wziął do ręki gazetę z programem telewizyjnym, leżącą na stoliku do kawy, otwartą na stronie z dniem, kiedy ojca zabrano do szpitala. Śledził palcem ulubione programy starych zakreślone czerwonym flamastrem — seriale kryminalne, medyczne, sport.

— Zaczynamy? — spytała Becca. — Czy może chcesz odłożyć to na kiedy indziej?

Bill pokręcił głową.

Kiedy zapełniła kilka worków na śmieci rzeczami z szafek kuchennych — większość wyrzucanych produktów nosiła datę ważności z ubiegłego stulecia — poszła na piętro. Bill siedział na łóżku w sypialni, na jego kolanach leżało zielone pudełko z dokumentami. Usiadła obok niego. Trzymał w ręku wycinek z gazety ze zdjęciem: on w czarnym garniturze, a obok niego Becca w sukni wieczorowej; oboje trzymali w rękach wysokie kieliszki z szampanem i uśmiechali się niepewnie.

— Urodziny Burnsa w twojej firmie. Wyglądamy tak młodo.

Skinął głową, ale się nie odezwał, a Becca zauważyła, że pudełko, które trzyma na kolanach, pełne jest wycinków z gazet prawniczych. Bill nie uczynił żadnego gestu, żeby ich dotknąć, więc Becca zaczęła je przeglądać bardzo ostrożnie, jakby się bała, że rozsypią jej się w palcach.

— Popatrz.

To mówiąc, pokazała mu podarty i sklejonny taśmą przezroczystą dyplom: NAGRODA LEGAL WEEK — ZDOBYWCA DRUGIEGO MIEJSCA.

— Zbierał te wszystkie śmieci — rzekł Bill. Potrząsnął głową

i zakrył twarz dłońmi. — Ja tylko chciałem, żeby był ze mnie dumny.

Becca objęła go ramieniem.

— Rozejrzyj się — powiedziała. — Udało ci się.

Bill nie odrywał rąk od twarzy.

— Nie skreślaj mnie, Bec — poprosił.

Becca się roześmiała.

— Dlaczego miałabym cię skreślić?

* * *

Stali we trójkę u stóp wzgórza i czekali. Słyszeć było tylko daleki szum ruchu ulicznego, głosy dzieci bawiących się w parku i wiatr smagający nagimi gałęziami drzew na Primrose Hill.

Holly ziewnęła. Bill spojrzał na Beccę.

— Nic z tego nie będzie — rzekł. — Chodźmy.

Becca potrząsnęła głową.

— Poczekaj. Zaczekajmy jeszcze chwilę.

Holly westchnęła z egzaltacją.

— Och, chodź, mamusiu — poprosiła, zwieszając teatralnie ramionka na znak, że jest wykończona. — Błagam!

— Jeszcze minutkę — powiedziała Becca, nie ruszając się z miejsca.

Czuła, jak jej mąż i córeczka wymieniają zniecierpliwione spojrzenia, ale zignorowała je. Ona nie traciła wiary.

Wreszcie ją zobaczyła. Podczas gdy Bill i Holly gmerali czymś ze zniecierpliwieniem i patrzyli w inną stronę, Becca zobaczyła, jak nad czubkami drzew kołysze się głowa żyrafy i zwierzę zerka na nich kątem oka, w zadumie żując liście, i zanim zdążyła krzyknąć, pojawiła się druga, a potem jeszcze jedna i wszystkie trzy patrzyły na małą rodzinę z zaciekawieniem i wyższością.

— Patrzcie! Patrzcie! — wołała Becca, bojąc się, że jej zręczliwi towarzysze przeoczą oczekiwany widok, ale Bill i Holly

śmiali się już i mrużyli oczy w bładym zimowym świetle i wiatowali radośnie na widok czarodziejskich żyraf.

* * *

Bill wolał zatrzymać się w hotelu, ale Sara nie chciała nawet o tym słyszeć.

Holly spała razem z jej dwiema córkami, a Becca i Bill w pokoju gościnnym. Becca wiedziała, że Bill chciałby jak najszybciej zostać znowu sam ze swoją rodziną i zamknąć drzwi przed całą resztą świata. Ostatniej nocy patrzył na nią, kiedy podchodziła do łóżka w samych majtkach i koszulce, a Becca знаła to spojrzenie. Stała koło łóżka i uśmiechała się do niego.

— Bill, za tydzień będę w Szanghaju — powiedziała. — A te ściany są naprawdę bardzo cieniutkie.

Wzruszył ramionami.

— Moglibyśmy się tylko przytulić.

— Jasne, już ja znam to przytulanie.

Wśliznęła się do łóżka obok niego, a on objął ją ramionami, jakby czekał na to od długiego czasu. Wyszeptał jej imię, a potem jeszcze raz.

— Musielibyśmy być naprawdę bardzo, bardzo cicho — wyszeptala ze zduszonym śmiechem w głosie. — Mówię poważnie, Bill.

Pokiwał głową, gotów przyrzec wszystko, co tylko zechce, ściągając z niej koszulkę.

— Założę tłumik — oświadczył.

Poczuła jego wargi na ustach, na twarzy, na żebrach. Czowała, jak bardzo jej pragnął i wydawało się to takie dobrze znajome, a zarazem nowe.

Później Bill leżał na plecach, a ona na boku w jego ramionach i oboje zasypiali tak jak kiedyś.

Becca się zastanawiała: kiedy właściwie przestali tak spać? Po ślubie? Kiedy urodziła się Holly? Od jak dawna nie spała w jego ramionach?

— Wróćcie ze mną — szepnął. — Jutro rano. Obie. Dokupimy wam bilet na mój lot. Jeszcze nie jest za późno, Bec.

— Już niedługo — powiedziała, klepiąc go delikatnie po piersi. — Bardzo niedługo.

— Dlaczego nie jutro? — zapytał z desperacją.

— Z wielu powodów, Bill: przedszkole Holly, mój tata, nasz dom. Ci ludzie, którym go wynajęliśmy. Mam tysiące rzeczy do załatwienia. Daj mi tylko kilka dni. W przyszłym tygodniu przyjadę. Dobrze?

Rankiem wyleciał do Szanghaju sam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Z tylnego siedzenia samochodu Ling Yuan obserwowała robotników wychodzących przez bramę fabryki. Starła się ukryć strach na ładnej twarzyczce, kiedy jej siostra, siedząc za kierownicą, mówiła do niej po mandaryńsku. Zachęca ją, pomyslał Bill. Dbą o nią, nawet kiedy przygotowuje ją do samodzielnego życia.

Dźwięczał dzwonek ogłaszający koniec zmiany. W fabryce pracowały głównie młode kobiety, większość opuszczała fabrykę w tych samych niebieskich fartuchach, w których stały przy maszynach. Niektóre, idąc, jadły, nabierały pałeczkami makaron z plastikowych miseczek trzymany kilka centymetrów od ust. Wyglądały na wyczerpane, zgłodniałe, niczym uchodźcy we własnym kraju.

— Co oni robią? — spytała JinJin, odwracając się do niego.

— Ozdoby bożonarodzeniowe — odrzekł Bill. Siostry patrzyły na niego pytająco. — Figurki Świętych Mikołajów, renifery, aniołki, dzwoneczki. No wiecie, zabawki, które wieszają się na choince.

Nie wiedziały. W każdym razie niezbyt dokładnie. Choinki widywały tylko w centrach handlowych — wesołe olbrzymy obwieszane lampami stroboskopowymi. Ale obydwie pamiętały mgliście bardziej swojskie drzewka oglądane na filmach hollywoodzkich. W każdym razie zrozumiały, o co chodzi.

— Jakby fabryka zabawek — podsumowała JinJin.

Tak naprawdę nie miało znaczenia, co tu produkują. Wszystkie fabryki wyglądały tak samo.

Ling Yuan coś powiedziała i jej wysoka siostra warknęła na nią gniewnie. Bill spojrzął na JinJin.

— Znowu gada o modelkach — powiedziała dziewczyna i skierowała potok gniewnych upomnień w stronę swojej siostry. — Ciągłe jej mówię, że ma o tym na razie zapomnieć.

Ling Yuan chciała zostać modelką. To jedno z tych nowych chińskich marzeń, pomyślał Bill. Była młoda i ładna, ale nawet on widział, że jest za niska i zbyt pulchna, aby coś w tym zawodzie osiągnąć. Mogła co najwyżej zwrócić JinJin pieniądze, które siostra dała jej na miesięczny kurs dla modelek w Shenyang. Kurs ukończyła, otrzymała dyplom z wyróżnieniem, ale żadne oferty nie spływały. Tak więc siedzieli teraz przed bramą fabryki, strumienie robotnic mijały ich samochód, a JinJin powiedziała coś do siostry, tym razem łagodniejszym tonem. Ling Yuan pochyliła się do przodu, twarz miała bladą i zatroskaną.

— Dziękuję ci, Williamie — rzuciła cicho.

Bill potrząsnął głową. Żałował, że nie może zrobić nic więcej, że nie może znaleźć jej lepszej pracy. Ale dla młodych, niewykształconych dziewcząt trudno było w Chinach o ekonomiczny cud.

— Chcecie, żebyśmy wszedł z wami do środka? — zapytał.

JinJin pokręciła głową.

— Mam nazwisko — powiedziała, przyglądając się skrawkowi papieru.

Wysiadły z samochodu i ruszyły w stronę bramy zakładu — jedna siostra wysoka i szczupła, druga niska i okrągła. Ling Yuan niosła małą torbę Hello Kitty. Na Zachodzie chodziłaby do klubu fitness, pomyślał Bill. Tutaj wstępuje w nowe życie. Nic dziwnego, że jest przerażona.

Żałował, że nie może porozmawiać z młodszą siostrą w jej języku i powiedzieć, że wie, co to znaczy być tak przerażonym,

tak sparaliżowanym ze strachu przed nowym. Ale to jeszcze dzieciak, pomyślał. Jest za młoda, żeby się z tym pogodzić. Siostry znikły za bramą fabryki, a Bill siedział i obserwował zniszczone twarze robotników, dopóki nie wróciła JinJin.

* * *

Kochali się w nowym mieszkaniu. JinJin wynajęła je za pieniądze, które Bill przelał jej na konto. Potrzebował JinJin i kochał ją, i wstydził się za nią, tak bardzo było mu wstyd, że rzuciła swoje dawne życie i pracę nauczycielki dla innego mężczyzny, mężczyzny, którego miała przed nim, mężczyzny, który płacił za jej mieszkanie w Gubei i wszystko, co w nim było, łącznie z nią. Wstydził się za siebie, i nawet kiedy się zatracali w sobie w nowym wielkim łóżku, w pięknym, nieumeblowanym mieszkaniu, wiedział, że nie czeka ich szczęśliwe zakończenie nawet za milion lat, bez względu na to, jak bardzo się kochali, ponieważ wstyd im na to nie pozwoli.

— To nasze mieszkanie — mówiła z uporem.

I ten jej niewinny optymizm łamał mu serce. To nie było ich mieszkanie. Najem opiewał na jej nazwisko. Przynajmniej tyle mógł uczynić. Tylko tyle i aż tyle. Ponieważ on miał już dom.

Byli szczęśliwi. To było w tym wszystkim najniezwyklejsze. I szalone. Śmiali się ze wszystkiego i z niczego. Zawsze czuli się szczęśliwi, kiedy byli razem. Potem jednak nadchodziła chwila, kiedy musiał wstać, ubrać się i iść do domu. JinJin zagrzebywała twarz w poduszkę, czarne włosy opadały jej na oczy, ale nigdy mu się nie przeciwstawiła, nigdy nie stawiała ultimatum, i to jeszcze bardziej pogarszało sytuację.

— Nie mogę zostać — mówił, przygotowując się do wyjścia na prawdziwy świat. — Przecież wiesz o tym.

Wiedziała. Chciało jej się spać. Mogłaby zasnąć jak każdy normalny człowiek. I on też był zmęczony. Ale nadchodził czas, aby się ubrać i wyjść w noc. Miał za sobą długi dzień —

jazda poza miasto do fabryki na północnych przedmieściach, pożegnanie z jej siostrą, powrót do Szanghaju, seks, trzymanie się w objęciach, tykający zegar.

Każdy normalny człowiek mógłby już zasnąć.

I kiedy zaglądał do swojego dawnego pokoju i patrzył na córeczkę opatuloną w sny, a potem wchodził do małżeńskiej sypialni i wślizgiwał się do łóżka obok swojej śpiącej żony, wiedział, że już nigdy w życiu nie będzie się czuł jak normalny człowiek.

* * *

Zapukała do jego drzwi.

Po powrocie Becki i Holly JinJin zrobiła rzecz nie do pomyslenia. Chociaż wiedziała o ich przyjeździe, przyszła do Rajskich Rezydencji i z uśmiechem na twarzy zapukała do jego drzwi. To nim zresztą najbardziej wstrząsnęło, kiedy otworzył i zobaczył ją na korytarzu, ten uśmiech na jej twarzy.

— Zaprzeczenie — orzekł później Shane. — Psycholodzy nazywają to zaprzeczeniem, stary.

Bill nie wiedział, czy to było zaprzeczenie. Jak można zaprzeczyć obecności żony i dziecka? Ale nie mógł uwierzyć, że zrobiła to ze złej woli. JinJin była uosobieniem niewinności, bez względu na to, co widziała na świecie. Prawdopodobnie pragnęła go po prostu zobaczyć. Tak zwyczajnie. Poszła za głosem serca. I zachowała się niepraktycznie.

— Ależ JinJin — powiedział, naprawdę nie rozumiejąc, co ona tu robi, i zastanawiając się, co by się stało, gdyby Becca otworzyła drzwi, co by się stało, gdyby jego żona i córka nie spały zmęczone po podróży. — Nie możesz wejść.

I nie weszła. Poszła sobie. Później przez kilka dni płakała. To był czysty obłęd. Czego się spodziewała? I kiedy wreszcie przyjechał do jej nowego mieszkania, musiał ją wziąć w ramiona i powiedzieć jej najłagodniej, jak umiał, to, co powiedział jej dawno temu i o czym nie wolno jej było zapomnieć: „Nie jestem wolnym mężczyzną, JinJin”. A potem jeszcze

trochę potrzymać ją w objęciach i poczekać, aż złamie jej serce i będzie mógł ją zaprowadzić do łóżka.

— Kto to był? — zapytała Becca.

— Nikt — odparł Bill.

Jego przyjaciel miał rację. Nazywają to zaprzeczeniem.

* * *

Nie widział jej przez miesiąc.

Jego rodzina wróciła i Bill miał dosyć tajemnic. Każdą chwilę tygodnia, kiedy nie był w pracy, spędzał z Beccą i Holly. W sobotę po południu oglądali delfiny w Changfeng Parku, a w niedzielę rano chodzili na lodowisko w Zhongshan Parku, a potem jedli razem lunch w Four Seasons albo w Ritz-Carltonie albo w M na Bundzie. Raz wydawało mu się, że ją zobaczył, ale w Szanghaju było milion dziewcząt podobnych do niej. Żadna jednak nie była nią.

W końcu znalazł się znowu w wynajętym mieszkaniu i nie nawidził siebie za to, że zostawił ją samą na tyle nocy, drgnął na widok rozwiązanych krzyżówek i wiedział, że każdego z tych minionych wieczorów mógł przyjechać do niej po pracy, i kiedy jedli makaron, który ugotowała przed jego przyjściem, zastanawiał się, jak by mógł wykraść ze swego życia chociaż maleńki okrawek czasu.

Miasto się nagle odmieniło. Podzieliło się na miejsca bezpieczne i niebezpieczne, a takie miejsca, gdzie można zaryzykować, chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Nowe Gubei było absolutnie zakazane. Bund nie wchodził w grę. Hongqiao, gdzie wynajęli dla niej mieszkanie, stanowiło bezpieczne, obce terytorium, ale Billowi szybko znudziły się tutejsze restauracje rojące się od bogatych mężczyzn, którzy ulokowali tutaj swoje lalkowate utrzymanki w luksusowo anonimowych osiedlach. To nie dziewczęta budziły w nim odrazę, tylko mężczyźni. Nie znosił przebywać między nimi. Nie znosił myśli, że jest jednym z nich.

Najlepiej się podróżowało. W podróży nikt ich nie mógł

zobaczyć. Kiedy zaczęło im dokuczać zamknięcie w jakimś otoczeniu nowej dzielnicy, JinJin zaproponowała krótką wyprawę łodzią po Chang Jiang, Długiej Rzece, na Zachodzie znanej jako Jangcy.

Zarówno w domu, jak i w pracy wiarygodnie brzmiała wiadomość, że Bill ma do załatwienia pilny interes w Chongqing, dużej, brzydkiej stolicy południowo-zachodnich Chin, a zarazem miejscu, gdzie zaczynał się ich rejs po Jangcy. Kiedy przylecieli do starego brudnego portu, Bill spotkał się nawet przelotnie z ich chińskimi klientami z firmy przewoźowej, a w tym czasie JinJin kupiła bilety na łódź.

Najlepsze kłamstwa to te, które trzymają się najbliższej prawdy, uznał Bill, te, w które nieledwie samemu można było uwierzyć.

A może te były najgorsze?

* * *

Za iluminatorem ich kajuty deszcz smagał zielone, wapienne góry.

Na skałach widać było białe znaki wykonane ludzką ręką, wyżej niż strzępiaste obłoki mgły przylegające do skalnych zboczy. Znaki te wskazywały, do jakiego poziomu podniesie się poziom wody, kiedy ukończona zostanie budowa Zapory Trzech Przełomów. Trudno było uwierzyć, że za kilka lat całe to nieprzebrane piękno zniknie bezpowrotnie, jakby nigdy nie istniało. Równie dobrze można by wybetonować Wielki Kanion, aby zrobić z niego największy parking na świecie. Z jakiegoś powodu jednak Chińczycy uważali, że widok ten powinien robić wielkie wrażenie na turystach. Z megafonów na łodzi płynął nieprzerwany potok mandaryńskich przechwałek relacjonujących postępy w budowie. A niszczyli nie tylko środowisko naturalne. Z domów wysiedlono dwa miliony ludzi. Całe miejscowości znajdują się pod wodą. Billowi było niedobrze, kiedy na to patrzył. Czuł się tak bardzo daleko od domu.

Podróż po Jangcy od samego początku okazała się nieudanym pomysłem.

— Nie rozumiem, dlaczego nie możesz wrócić do uczenia w szkole — zagadnął Bill, chodząc w tę i z powrotem po maleńkiej kajucie. — Byłaś dobrą nauczycielką. Dzieci cię uwielbiały.

JinJin siedziała na jednym z pojedynczych łóżek i wpatrywała się w uśmiechniętą twarz telewizyjnej prezenterki.

— Dobry koń je, idąc naprzód — powiedziała, nie podnosząc wzroku.

— Nie wiem, co to ma znaczyć — odparł, chociaż wiedział doskonale. Znaczyło to, że nie można zawrócić. — Co to? Kolejna stara chińska mądrość?

— Tak — odrzekła tym wyraźnym, cichym głosem, którym mówiła zawsze, gdy wywiązywała się między nimi sprzeczka. — Kolejna stara chińska mądrość. To prawda, że jest ich tak dużo.

Odwrócił się i popatrzył na stromą zieloną skałę za oknem, na całe to bezużyteczne piękno, pomyślał. Co komu z tego przyjdzie? Zaleją wszystko betonem i hektolitrami wody, a durne sukinsyny i tak będą tu przyjeżdżać i robić zdjęcia.

Statek był beznadziejny. Jak pływający blok mieszkań komunalnych, pomyślał Bill. M/s *Kongling*, jest luksusowym statkiem wycieczkowym wyposażonym w najnowocześniejsze udogodnienia i zapewniającym szeroką gamę rozrywek”, głosiła ulotka, którą z dumą pokazała mu JinJin, kiedy czekali przed wejściem na pokład. „Trzy Przełomy słyną ze swych majestatycznych stromych grani, dzikiego, ustronnego uroku, niebezpiecznych ławic oraz wspaniałych widoków. Po ukończeniu Zapory Trzech Przełomów skarby te znajdą się pod wodą, więc witajcie w nieskażonych, dziewiczych Trzech Przełomach, niepowtarzalnej, naturalnej galerii krajobrazu, pięknej, groźnej i pełnej spokoju, dokąd możecie uciec od świata, odzyskać świeżość i zdrowie wśród Natury i Piękna”.

W rzeczywistości rzadko czuli się świeżo i zdrowo wśród

Natury i Piękna na tym żalonym, pełnym turystów wraku. W mesie przy każdym posiłku musieli siedzieć przy jednym stoliku z dwoma milkliwymi Tajwańczykami, którzy wpychali sobie do ust jedzenie trzymane dwa centymetry od twarzy i nie odrywali przy tym oczu od Billa i JinJin, jakby nigdy w życiu nie widzieli takiego widoku.

Statkiem płynęło także kilkoro starszawych amerykańskich turystów w czapkach baseballowych i krótkich spodenkach khaki, a jeden z nich pierwszego wieczoru pożyczył od JinJin aparat fotograficzny, aby zrobić jej zdjęcie, kiedy tańczyła z Billem. Wydzielony skrawek pokładu w restauracji wyznaczono na parkiet do tańca, Faye Wong śpiewała piosenkę o miłości, a Bill trzymał JinJin w ramionach, jak sobie wyobrażał, bardzo po staroświecku, tak jak jego tata zapewne trzymał mamę. Kiedy miły amerykański staruszek robił im zdjęcie, oboje nie mogli powstrzymać uśmiechów. To były najwspanialsze chwile.

Poza Billem i starszymi Amerykanami statkiem płynęli włącznie Chińczycy i Bill się domyślił, że na tym polega zasadniczy problem. M/s *Kongling* mógł uchodzić za luksusowy statek, pod warunkiem że się było Chińczykiem. Jeśli nie byłeś Chińczykiem, to czułeś się jak w więzieniu, tylko z gorszym jedzeniem i większą litanią zakazów i przepisów.

Zadzwieczał dzwonek na lunch i nad ich głowami słyhać było rejwach turystów przepychających się do jedzenia. Bill podupał na duchu na myśl o dwóch Tajwańczykach przy wspólnym stole. JinJin odrzuciła na bok czasopismo i skrzyżowała nogi. Miała na sobie białą spódniczkę mini, botki i czarny golf. Włosy związała w kucyk. Bill lubił, kiedy się tak czesała, ponieważ widać było jej twarz. Bez względu na to, jak prosto się ubierała, zawsze wyglądała prześlicznie. Popatrzyli na siebie, ona się uśmiechnęła, i oboje wiedzieli, że nie pójda na lunch.

Łódź przepływała przez Trzy Przełomy pośród strug padającego deszczu, a Billowi umysł nakazywał: zapomnij, ale serce szeptało, że nigdy tego nie zapomni.

Nie zapomni nawet, kiedy Trzy Przełomy znikną niczym Atlantyda, gdy wody się podniosą, a góry upadną, nie zapomni nawet za tysiąc lat.

* * *

Jedna chińska litera wryła mu się w pamięć i potrafił ją zawsze rozpoznać. Była to litera oznaczająca jej nazwisko. Zawsze umiał przeczytać „Li”, jeśli zobaczył je napisane po chińsku. Tak więc kiedy wyszli do hali przylotów krajowych na lotnisku w Pudongu i Bill zauważył, że jeden z dziesiątków kierowców trzyma w górze tabliczkę z jej nazwiskiem, wziął ją za ramię i wskazał głową znak, a wtedy oboje wybuchnęli śmiechem.

Potem zobaczył Tygrysa.

Stał bezczynnie na końcu szeregu i obserwował drugie wyjście. Podczas gdy JinJin śmiała się z biznesmena w średnim wieku podchodzącego do kierowcy z jej nazwiskiem wypisanym na tabliczce — „Popatrz, Williamie, to pan Li!” — Bill rozglądał się po tłumie, zastanawiając się, na kogo czeka Tygrys.

W końcu ich zobaczył.

Najpierw wyszli chłopcy, te trzy jasnowłose małpiątka, z których najmłodszy bawił się iPodem, a dwaj starsi kłócili się i popychali. Za nimi pojawili się rodzice — Devlin pchał wózek z bagażami i podnosił rękę do Tygrysa, a Tess obok niego pouczała chłopców i niosła reklamówkę z napisem: „Lotnisko Chek Lap Kok”.

Wracając z długiego weekendu w Hongkongu, przypomniał sobie Bill dokładnie w chwili, kiedy Tess Devlin odwróciła głowę i popatrzyła prosto na niego.

Potem Bill zniknął szybko, ale o wiele za wolno, żeby nie zostać zauważonym. Odwrócił się, ruszył w przeciwną stronę i wmieszał się w tłum. JinJin trzymała się jego ramienia i usiłowała za nim nadążyć, a on wiedział, że stało się coś bardzo złego, i nie znosił tej narastającej paniki, od której palił go

wstyd, ale nie zatrzymał się i nie zwolnił, dopóki nie wyszli z lotniska i nie stanęli na końcu szczęśliwie krótkiej kolejki do taksówek.

— Co się stało? — spytała JinJin, nie rozumiejąc. Naprawdę chciała wiedzieć. — Powiedz mi.

— Nic — odparł.

Nie popatrzył na nią, nie ośmielił się w ogóle nigdzie patrzeć, pragnął tylko, żeby już dostali się do taksówki i mógł bezpiecznie ukryć się na tylnym siedzeniu, i tylko czekał, kiedy usłyszy za plecami angielski głos i swoje imię.

Kolejka poruszała się szybko i w końcu wsiedli do starego volkswagena santany, a JinJin dała mu spokój. Znała go wystarczająco dobrze i była na tyle bystra, aby się domyślić.

* * *

— Williamie, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się stało? Może mogłabym ci pomóc?

Siedziała na łóżku w koszulce i majtkach i przerzucała kartki książeczki z krzyżówkami. To było dla nich coś egzotycznego, zdał sobie sprawę Bill, zupełnie nowe uczucie. Kręcili się po mieszkaniu jak normalna para, jakby zwyczajnie spędzali czas w zwyczajnym świecie. Jakby on był dobrym mężczyzną, właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

— Już ci mówiłem — powtórzył sztywno z napięciem w głosie. Nie chciał się na niej wyładowywać, nie zasługiwała na to, ale nie potrafił się powstrzymać. — Nic się nie stało! W porządku?

— Czy chodzi o tę kobietę na lotnisku? Tę, która na nas patrzyła? To była kobieta z herbaciarni, prawda?

Chryste, pomyślał. Co teraz będzie?

Stał przy oknie i patrzył na samochody na Zhongshan Xilu i światła na stadionie i nie widział ani jednego, ani drugiego.

Nie powinno go tu być. Powinien pojechać do domu. Wymyślić nową wymówkę. Zmienić swoje życie. Ponieważ czekała na niego córka. Ponieważ widziała go Tess Devlin. I teraz

wszyscy się mogą dowiedzieć. Jego brudna tajemnica wyjdzie na światło dzienne.

Wszystko, dzięki czemu przedtem czuł, że żyje, sprawiało, że teraz pragnął umrzeć. To nie było tego warte. Aby czuć się tak jak on w tej chwili, to nie było tego warte. Czuł się rozdarty na dwoje.

— Williamie? — Usłyszał, jak odkłada na bok krzyżówkę. — Jesteś na mnie zagniewany?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Czy jestem na ciebie zagniewany? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że w Anglii nikt tak nie mówi? Poza może powieściami Enid Blyton nikt nie mówi: „Czy jesteś na mnie zagniewany?”. — Odwrócił się z powrotem do okna. Nienawidził siebie. — Twoje podręczniki są przestarzałe o jakieś pięćdziesiąt lat.

— Proszę, nie bądź zagniewany. — Bill zakrył oczy dłonią. Potrząsnął głową i prawie się roześmiał. Jej głos był łagodny i pełen zrozumienia. Wybaczyłaby mu wszystko. Kochała go i on o tym wiedział. — Lepiej chodź do łóżka — zaproponowała.

Spojrzał jej w oczy.

— A może lepiej ty zniknij w cholerę z mojego życia!

Poszedł do łazienki z braku lepszego miejsca, dokąd mógłby wyjść, i trzasnął za sobą drzwiami. Popatrzył na siebie w lustrze. Było mu wstyd za to, że wyładował się na niej, chociaż nie zrobiła nic złego. Zaklął, ochlapał twarz zimną wodą. To on. To wszystko przez niego. To on był winien całego zła. Wrócił do sypialni, żeby ją przytulić i przeprosić i żeby zrozumiała, że nie chciał jej urazić.

Lecz przez ten czas JinJin wstała, ubrała się i znikła z jego życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

— Powinieneś to zobaczyć — powiedziała Becca.

Stała przy oknie i patrzyła na podwórze Rajskich Rezydencji. Bill podszedł do niej. Przypomniało mu się, kiedy powiedziała to samo pierwszego wieczoru po przyjeździe do Szanghaju. Patrzyła wtedy na dziewczęta wsiadające do samochodów. Tamtego wieczoru po raz pierwszy zobaczył JinJin wypacykowaną na sobotni wieczór z mężczyzną w srebrnym porście. W głosie jego żony brzmiała teraz ta sama nuta rozbażwionego niedowierzania. „Powinieneś to zobaczyć”. Potem odwróciła się do niego i zobaczył na jej twarzy wyraz troski.

— Co ci jest? — spytała, dotykając palcami jego nieogolonego policzka. — Boże, Bill, wyglądasz, jakbyś był wykończony.

— Nic mi nie jest.

Stanął obok niej przy oknie i Becca oplótła go w pasie ramieniem. Z podwórza dochodziły podniesione głosy. Starsza-wa Chinka po pięćdziesiątce wyrzaskiwała obelgi z okna w bloku naprzeciwko i ciskała na podwórze różne rzeczy. Sukienki, bielizna, prześcieradła spadały na ziemię i unosiły się na wietrze. Na dole Annie, popłakując gorzko, rozpaczliwie zbierała swoje rzeczy.

— Żona się dowiedziała — stwierdziła Becca, wskazując kobietę w oknie.

— Możliwe — rzekł Bill i odwrócił się od okna. Nie mógł patrzeć na tę rozdzierającą rozpacz. — A może przez cały czas wiedziała, tylko przyszedł moment, że nie wytrzymała.

Becca uśmiechnęła się szerzej.

— Patrzcie go. Mówisz jak prawdziwy ekspert w tych sprawach.

Skrzywił się.

— Nie mam o tym pojęcia — oświadczył.

Na podwórzu rozległy się głucho uderzenia. Zawodzenie Annie przybrało na sile, słyhać w nim było żal i strach. Żona znalazła kolekcję torebek od Louisa Vuittona. Spadały na ziemię jak kamienie, a każda, upadając, wywoływała nową falę cierpienia w głosie Annie.

Bill przypomniał sobie tatuaż na ramieniu dziewczyny — początek końca. Zastanawiał się, czy mężczyzna wyznał żonie prawdę i pozwolił jej odwalić brudną robotę wyeksmitowania Annie z mieszkania, czy też żona dowiedziała się z innego źródła. Poczł nienawiść do tego nieznanego faceta.

— Zastanawiam się, po co to robią — powiedziała Becca, odwracając się od okna. — Mam na myśli te dziewczyny.

Bill stał cały czas przy oknie. Pragnął pomóc Annie, ale wiedział, że nic nie może zrobić.

— Pragną lepszego życia — odrzekł. — Wszyscy tego pragniemy, prawda?

Becca potrząsnęła głową i usiadła na sofie. Wzięła do ręki błyszczące czasopismo.

— Z kobietą, która wdaje się w romans z zonatym facetem, musi być coś nie tak — stwierdziła. — Trzeba nie mieć obraźni albo serca, żeby zrobić coś takiego. Albo być jakąś obłąkaną optymistką.

Prześlizgiwała się wzrokiem po zdjęciach krzesel, stołów i kieliszków do wina z wytłoczonymi chińskimi symbolami. Na dole na podwórzu Annie zbierała swoje ukochane torebki.

Lekki wiatr poderwał z chodnika prześcieradło i owinał je wokół jej nóg. Kobieta w oknie pokazywała na dół palcem i śmiała się. W oknach pojawiły się inne twarze i przywoływały swoich małżonków, żeby też popatrzeli.

— To takie cholernie okrutne — stwierdziła Becca.

— No cóż — powiedział Bill. — Przypuszczam, że jest naprawdę zła. To pewnie dla niej niełatwe. Dowiedzieć się o czymś takim.

Becca popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

— Nie mówię o żonie, Bill. Mówię o tej głupiej dziwce, która uganiała się za żonatym mężczyzną. Czy ty tego nie rozumiesz? To ona jest okrutna.

* * *

Chodzili na zakupy. Zupełnie niespodziewanie rozbudowujący się grafik zajęć towarzyskich Holly stwarzał im coraz więcej okazji do spędzania czasu we dwoje. Być może tak się będzie działo przez całe jej dzieciństwo, pomyślał Bill, aż w końcu przestanie ich potrzebować w ogóle.

— A te? — spytała Becca, biorąc do ręki kieliszek do wina elegancko ozdobiony chińskimi znakami. — Podobają ci się?

Kiwnął głową.

— Bardzo ładne — odparł. — Wiesz, Bec, Devlin powiedział, że powinniśmy zabrać Holly do Królestwa Dzikich Owadów na Fenghe Lu. Zaprojektowali je specjalnie dla dzieci. Mogą brać do ręki wielkie włochate pająki. Najwyraźniej chłopcy to lubią.

— Nie wątpię — stwierdziła, podnosząc kieliszek do światła. — Małe szkaradzieństwa. Nie wiem tylko, czy to na pewno spodoba się Holly. Uciekłyby, gdzie pieprz rośnie, gdyby jej pokazano tarantulę. — Dotknęła jego ramienia. — Wiesz, Bill, nie musimy zawsze gdzieś wychodzić.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Wiem, że się bardzo starasz od naszego przyjazdu — powiedziała. — Delfiny, samochody w wesołym miasteczku, królestwo owadów... — Uśmiechnęła się. — Czasami możemy

po prostu pójść z nią do parku na rowerek. Nauczyć ją jeździć na dwóch kółkach. Albo możemy zostać w domu. Uwielbia rysować i malować i inne takie rzeczy. — Dotknęła twarzy swojego męża. — Czasami możemy być po prostu razem. — Odstawiła kieliszek na miejsce i spojrzała na zegarek. — Trzeba ją niedługo odebrać z baletu — przypomniała.

— Ja po nią pojedę — zaoferował się Bill.

— Na pewno nie masz nic przeciwnego? — spytała Becca, przesuając dłonią po lakierowanym drewnie czerwonej lampy. — Mogłabym tu spędzić cały dzień. — Znowu wzięła do ręki kieliszek i obróciła go w palcach. Chiński znak wyglądał, jakby go wyryto w lodzie. — Masz jakieś pojęcie, co to może znaczyć? — spytała.

— Podwójne Szczęście — powiedział Bill. — To znaczy szczęśliwe zakończenie dla obojga.

* * *

— Pełnia — powiedziała nauczycielka tańca i dzieci podniosły rączki nad głowę.

Bill przyglądał się Holly, jej bladej twarzyczce zmarszczonej w skupieniu, i wyobraził ją sobie na scenie Baletu Królewskiego, przyciskającą do piersi bukiet i wsłuchującą się, jak widownia wznosi owacje na stojąco, a jej dumny ojciec wyciera łzę w oku na teatralnym parterze.

— Półksiężyc — powiedziała nauczycielka.

Wtedy wszystkie dziewczynki w różowych spódnickach tutu, a także jeden dziwaczny chłopczyk z kręconymi czarnymi włoskami w białych krótkich spodenkach i kamizelce opuścili prawe rączki wzdłuż boków. Tylko Holly opuściła lewą rękę.

Bill się uśmiechnął, widząc, jak jego córka rozejrzała się po dzieciach i szybko zmieniła rączki.

— Nów — poleciała nauczycielka i klasa opuściła drugą rączkę wzdłuż boków.

A Bill aż się zdumiał, jak ta mała, słabowita dziewczynka, jaką pamiętał jeszcze rok temu, zamienia się w szkraba

o niewyczerpanej energii. Była szczuplutka i blada, i drobniejsza od swoich rówieśniczek, ale ataki astmy zdarzały się coraz rzadziej i coraz lżejsze, a ona nie wyglądała już, jakby mógł ją zmieść najłżejszy powiew wiatru.

Kiedy na komendę nauczycielki dzieci zaczęły biegać w kółku z twarzyczkami promieniejącymi z zachwytu, trzepocząc rączkami przy bokach niczym malutkimi skrzydełkami, Bill pomyślał, że dziewczynka wyrasta na osobę, którą zostanie w przyszłości — staje się sobą.

Po skończonych zajęciach pomógł jej się rozebrać z różowego trykotu, różowej tutu i różowych baletek i włożyć wojskowe bojówki, T-shirt i sportowe buciki.

— Sama to mogę zrobić, tatusiu — powiedziała zniecierpliwiona Holly, jakby był największym idiotą pod słońcem.

Patrzył, jak wciska lewą stopkę w prawy bucik. Mieli się spotkać z Beccą w barze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Międzynarodowej Szkoły w Gubei.

— Potrzebuję moich kredek, tatusiu — oznajmiła Holly, kiedy Bill rozglądał się za stolikiem.

— Wyjmę ci kredki i jakąś kartkę, aniołku — odparł.

Trzymając ją za rączkę, ruszył szybko w stronę jedynego wolnego stolika. Błat zasypany był okruszkami i niedojedzonymi kawałkami ciastek i kleił się od okrągłych śladów po filiżankach. Bill uprzątnął stół, po czym wyjął z plecaczka dziewczynki kredki i blok z kartkami do rysowania.

— Może być? — spytał.

— Może być — odrzekła dziewczynka, nie patrząc na niego.

Zdjęła skuwkę flamastra i pogrążyła się w twórczym akcie. Bill poszedł zamówić dla nich coś do picia. Kiedy wrócił, Holly powiedziała:

— Popatrz, tatusiu.

I pokazała mu rysunek patykowatej postaci z przekrzywionym uśmiechem, szopą żółtych włosów i różową sukienką. Rysowała coraz lepiej. W dalszym ciągu stawiała proste kreski

w miejscu rąk i nóg, ale twarze nabierały coraz więcej wyrazu, oczy i usta w kluchowatych głowach wyrażały prawdziwe uczucia. Może zostanie malarką. Wyrośnie z niej drugi Matisse. Może jego córeczka będzie najszynniejszą malarką w historii.

— Prześliczne, aniołku — pochwalił, zdejmując papierek ze słomki i wkładając ją do kubka z sokiem pomarańczowym. — A co to jest?

Holly spojrzała nań z oburzeniem.

— To ja — oznajmiła zdumiona, jak może być taki tępy, żeby się od razu nie domyślić. — Nie widzisz?

— Teraz widzę, kiedy mi powiedziałaś.

Siedzieli przy ostatnim stoliku. Przed nimi dwaj młodzi mężczyźni w garniturach sprzeczali się zawzięcie.

— Nie możesz porównywać Bangkoku i Manili — mówił jeden. — To tak, jakbyś porównywał zaprawioną w bojach drużynę zawodowców z bandą beztroskich amatorów.

— Właśnie o to mi chodzi, tłumoku — oświadczył drugi.

Bill zorientował się, że obaj byli Anglikami, chociaż nie mógł sprecyzować akcentu. Na pewno nie pochodzili z Londynu.

— Różnica jest taka, pacanie, że w Manili wydmuchają cię prawie za frajer, a w Bangkoku musisz im pokazać kartę kredytową, żeby w ogóle na ciebie spojrzeli.

— Popatrz na to, tatusiu. — Holly się uśmiechnęła, podnosząc do góry rysunek. Widniał na nim duży patykowaty mężczyzna z głupawym, wyszczerzonym uśmiechem w kąciку twarzy. — To ty — oznajmiła. — Czekasz na mnie.

W drzwiach Coffee Planet zjawiała się Becca. Podeszła do stolika uśmiechnięta promiennie i ucałowała oboje.

— No i jak tam było? — spytała, podsuwając sobie krzesło. Po chwili zobaczyła jego skurczoną twarz. — Co się stało?

— Ani Bagkok, ani Manila nie umywają się do Hongkongu z dawnych czasów — ciągnął jeden z garniturów przy sąsiednim stoliku. Mówili tak głośno, że słyhać było wyraźnie każde słowo. Holly nie przestawała rysować. Becca przyglądała

się Billowi, a Bill patrzył w pustkę. — Mój dziadek Pete był w Hongkongu pod koniec wojny. Obciągały mu wtedy łaskę przez druty. Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Że jak? — spytał drugi garnitur, nie do końca dowierzając. — To znaczy, że miał wacka...

— No, mówię ci, mój dziadek patrolował granicę po stronie Hongkongu, pilnował, żeby się żółtki nie przedostawały na saksy z kontynentu. Przeciskał wacka przez siatkę, a one mu go obciągały po drugiej stronie. Za szylinga.

— Za szylinga? — spytał drugi garnitur. — Co to jest szyling?

— Bill? — powiedziała Becca.

Ale Bill poderwał się z krzesła, potykając się o torbę Simply Life, którą postawił sobie między nogami.

Obaj mężczyźni w garniturach podnieśli głowy i zobaczyli Billa pochylonego nad nimi, podpierającego się pięściami o stolik.

— Możecie się przymknąć? — rzucił. Starał się mówić spokojnie, ale na próżno. Słysząc go było w całym lokalu. — Obok was siedzi mała dziewczynka.

Młodzieńcy w garniturach popatrzyli na niego, a potem na siebie. Uśmiechnęli się niepewnie. Przywykli do robienia tego, co im się podobało. Potem jeden z nich się roześmiał.

— To wolny kraj — powiedział.

Po tych słowach obaj zaczęli rechotać na całego i nie przestawali, dopóki Bill nie złapał dużej szklanej cukiernicy i nie cisnął nią między nimi o ścianę. Obaj mężczyźni poderwali się z siedzeń jak oparzeni, cali obsypani cukrem.

Przez chwilę Bill sądził, że będzie się musiał z nimi bić. Perspektywa była nieprzyjemna — tarzać się po podłodze Coffee Planet z dwoma krajanami. Ale co mu tam. Pobije ich albo raczej oni jego. Było mu wszystko jedno. Zależało mu tylko na tym, żeby przestali gadać, żeby jego córka nie musiała tego słuchać. Ale tamci nie mieli ochoty się bić i Bill

odwrócił się i patrzył za nimi, jak wychodzą. Zdawał sobie sprawę, że w całym lokalu zaległa cisza. Jego żona trzymała córkę i obie patrzyły na niego, jakby go zobaczyły pierwszy raz w życiu.

— Rany boskie! — krzyknął jeden z garniturów, idąc do drzwi. — Tatuśku, od dzisiaj lepiej pij tylko bezkofeinową.

Bill usiadł obok Becki i Holly i usiłował się napić kawy, ale ręce mu drżały jak nigdy dotąd. Odstawił filiżankę. Nie odzywał się i niczego nie dotykał. Za bardzo był roztrzęsiony. Wpatrywał się po prostu w stół i czekał, aż uspokoi mu się oddech. Chciałby, aby Becca powiedziała: „Dziękuję, że stanąłeś w naszej obronie. Dziękuję, Bill, że zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna”. Wiedział jednak, że niewielkie ma na to szanse.

— Wiesz, co się robi z takimi facetami? — spytała Becca.

Bill spojrzał na nią i z trudem przełknął ślinę, kiedy zobaczył

Holly wtulającą twarz w pierś matki, chowającą się za jej włosami, patrzącą na niego przez jasnowłosą zasłonę.

— No, słucham, co? — odrzekł.

— Ignoruje się ich — powiedziała. — Tacy jak oni są zerem, a jeśli znizasz się do ich poziomu, to sam też się stajesz zerem.

Wytarł oczy. Był taki zmęczony. Pragnął zwinąć się kłębek przy tym stoliku i zasnąć. Nagle zauważył, że podrywając się z krzesła, kopnął torbę i wysypał z niej zakupy Becki.

Podniósł pudełko i położył na stoliku niczym ofiarę dla swojej żony i córki, i patrzył, jak Becca drgnęła, słysząc delikatny brzęk stłuczonego szkła.

* * *

Szukał jej prawie przez całą noc. Jakżeby mógł jej nie szukać?

Szukał jej na Mao Ming Nan Lui na Tong Ren Lu, przepychając się przez uparty tłum, który nie chciał iść do domu. Zdawało mu się, że widzi jej twarz na zatłoczonym parkiecie

Prawdziwej Miłości, na tle czerwonego neonu w kształcie serca pulsującego na ścianie. Potem wydawało mu się, że to ona siedzi w BB na czerwonym skórzanym siedzeniu poplamionym piwem: młodą Chinkę z włosami związanymi w kucyk zasłaniała głowa krótko ostrzyżonego blondyna. Bill pochylił się z sercem walącym w piersi, a wtedy całująca się para odwróciła się w jego stronę, a mężczyzna uniósł pięść. Bill z westchnieniem ulgi stwierdził, że to nie ona.

W najczarniejszych zakątkach wyobraźni widział ją pobitą na tylnym siedzeniu samochodu, zgwałconą w ciemnej uliczce, zamordowaną za zamkniętymi drzwiami. Porzuconą na ulicy. Albo z powrotem w ramionach swego żonatego Chińczyka, zmęczoną niekończącymi się scenami ze swoim żonatym Anglikiem, zadowoloną z powrotu do znajomego łóżka, mruczącą słodkie słówka i obietnice na temat jeszcze jednej szansy we własnym, rodzimym języku, i jęczącą z rozkoszy.

Och, wszystko to widział jak na jawie.

Ale jej szukał i nie znalazł.

Poszedł na posterunek policji na placu Renmin, aby zgłosić jej zaginięcie. Nikt nie mówił tam po angielsku. Nikt nawet w przybliżeniu nie zrozumiał, o co mu chodzi.

Zaciągano do cel mężczyzn wyglądających na robotników sezonowych. Na krześle siedział dziesięcioletni żebrak i płacząc, wycierał o rękaw zakrwawiony, złamany nos. Jakiś taksówkarz klócił się na cały głos ze swoim pasażerem, aż policjanci rozdzielili ich ze śmiechem.

Bill wyszedł z posterunku. Nagle się domyślił, dokąd mogła pójść.

Na torze wrotkarskim zdawało mu się, że ją zobaczył — rozwiane włosy, uroczy, gamoniowaty uśmiech, długie nogi w spranych dżinsach, świetnie jeździła na wysłużonych wrotkach. Ale to nie była ona, tylko dziewczyna do niej podobna. W mieście było takich pełno.

Na brzegu toru jakaś dziewczynka, nie więcej niż piętnastoletnia, pociągnęła go za rękaw. Odwrócił się do niej z nagłym

przyływem nadziei. Może to jej dawna uczennica? Miała rumianą twarz, jaką widywało się u robotników sezonowych.

— Szukasz dziewczyny, szefie?

— Tak — skinął głową Bill. — Li JinJin, znasz ją? Była nauczycielką...

Dziewczyna kiwała energicznie głową.

— Zabierz mnie ze sobą, szefie. Jestem miłą dziewczyną.

Inna próbowała z nim rozmawiać po mandaryńsku, jeszcze inna strzępkami angielskiego, a kolejna potrafiła tylko powiedzieć: „miła dziewczyna”, jak gdyby nauczyła się tego jednego zwrotu na nocnych lekcjach angielskiego. Prostytucja dla początkujących, pomyślał Bill, czując, jak brudne dłonie wślizgują mu się do kieszeni, żeby zbadać, co tam ma, aż zaczął się przepychać, bo czuł, że się dusi.

Na dworze zobaczył tabliczkę z angielskim napisem przyczepioną do ściany brzydkiego betonowego budynku, w którym mieścił się tor wrotkarski. TEREN KUPIONY DO ZAGOSPODAROWANIA. LUKSUSOWE LOKALE DO WYNAJĘCIA.

Potem zauważył, że wszędzie na budynkach stojących przy bocznej uliczce wisiały tabliczki. DO ROZBIÓRKI, informowały. DO ROZBIÓRKI. DO ROZBIÓRKI. DO ROZBIÓRKI.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Czasami wieczorem przyjeżdżał do mieszkania na Hongqiao, otwierał drzwi swoimi zapasowymi kluczami i czekał na nią mniej więcej do północy, a kiedy nie przychodziła, wracał do Rajskich Rezydencji o godzinie, o której spodziewano się go w domu, chociaż wiedział, że Becca i Holly będą spać.

Pierwszej nocy krążył po wynajętym mieszkaniu i z udręką patrzył na przedmioty i ślady jej obecności — kamerę Sony kupioną, aby mogła rozpocząć karierę telewizyjną; stertę książeczek z krzyżówkami; płyty CD i DVD: koncert Faye Wong, jakiś kiepski film z Zhng Ziyi; zdjęcia na stoliku nocnym. Wśród nich była fotografia ich dwojga na moście w Guilin, w padającym deszczu, a także jego zdjęcie z Londynu, gdzie siedzi przy biurku w firmie, w białej koszuli i krawacie i wygląda dużo młodziej niż teraz. Dał jej to zdjęcie na samym początku ich znajomości. Na trzeciej fotografii JinJin kończyła szkołę, stała pomiędzy matką i siostrą — swoją kobiecą rodziną.

Po tym pierwszym wieczorze już tych rzeczy nie dostrzegał — ani krzyżówek, ani zdjęć. Już go nie bolały. Przed drugą wizytą przestał dzwonić na jej komórkę, która zawsze była wyłączona, i przestał zostawiać wiadomości. Za trzecim razem

stał przed jedną z jej przepelnionych szaf, trzymał w ręku zielone qipao, wtulił w nie twarz, chociaż czuł się idiotycznie, i próbował wydobyć z sukienki jej wspomnienie, gdy nagle usłyszał dźwięk klucza przekręcanego w zamku i raptownie podniósł głowę.

Weszła do mieszkania z małym ChoCho na rękach. Oboje sprawiali wrażenie zaskoczonych jego widokiem. Podszedł do niej i objął ich oboje ramionami.

JinJin uśmiechnęła się, skinęła głową i zaczęła podrzucać małego ChoCho na kolanie.

— Musiałam pojechać do domu — wyjaśniła. — Moja siostra pracuje, a mama jest chora. W szpitalu.

— Co jej się stało?

Zacisnęła pięść.

— Sztywna — powiedziała. — Cała sztywna. Boli.

— Artretyzm? — zapytał. — Reumatoidalne zapalenie stawów?

JinJin się skrzywiła.

— Robi się stara — powiedziała. — Starsza pani.

— Przykro mi. Tak mi przykro za to, co powiedziałem.

Ścisnął ją mocno. Roześmiała się i pocałowała go. ChoCho powoli prznosił wielkie poważne oczy z jednego na drugie. Wtedy do mieszkania wszedł młody mężczyzna ze złożonym wózkim spacerowym i zniszczoną walizką w ręku.

— Och, dziękuję, Brad — powiedziała z uprzejmą formalnością i wdzięcznością.

Brad? Kto to jest Brad, do kurwy nędzy?

Patrzył, jak chłopak wnosi do mieszkania jej rzeczy. Nie był typowym szanghajskim garniturem. Nosił T-shirt, szerokie lewisy i okulary. W typie Liama Nelsona, umięśniony inteligent. Okulary nadawały mu wygląd wrażliwca, ale ze względu na atletyczną budowę nie można mu było przypiąć łatki gryziopiórka. Może jeden z tych próżniaków, którzy uczą angielskiego jako języka obcego, zamiast zarabiać na życie, pomyślał Bill, mrużąc oczy na Brada — cholerny Brad — a potem na JinJin.

— Brad, to jest mój chłopak Bill — powiedziała JinJin, uśmiechając się to do jednego, to do drugiego.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Twarz Billa zastygła w wyrazie grzecznej obojętności. „Nie obchodzisz mnie — starała się mówić. — Nic dla mnie nie znaczysz”.

— Mieszkam piętro wyżej — powiedział Brad. Australijski akcent. Nie, trochę bardziej urywany. Nowozelandczyk, domyślił się Bill. — Wracalem z siłowni, kiedy zobaczyłem tych dwoje wysiadających z taksówki. — Miał tyle bezczelności, żeby pogłaskać ChoCho włochatym palcem po policzku.

— No, to zostawię was samych — stwierdził, uśmiechając się promiennie do JinJin.

Już Bill dobrze wiedział, co on chciał robić z JinJin, i nie było to noszenie jej bagaży. Pieprzony Brad...

Kiedy wyszedł, Bill wziął ChoCho i obserwował, jak JinJin krząta się po mieszkaniu. W miejsce ulgi w jego serce wkradła się teraz podejrzliwość. Kiedy ona tłukła się po kuchni, a on kołysał dziecko, zaczął przypominać sobie szczegółowo przebieg spotkania: to, jak Brad uśmiechnął się do niej, kiedy wnosił rzeczy do mieszkania; to, jak dotknęła jego ramienia, kiedy go przedstawiała Billowi; to, jak powiedziała „mój chłopak”. Co to było? Kusila miłego faceta do mieszkania? Chciała mu dać do zrozumienia, że jest w potrzebie? Pokazać, że te najlepsze są zawsze zajęte?

Uśmiechnęła się na widok Billa trzymającego na rękach jej syna, a on odwzajemnił uśmiech. Wiedział, że miły Nowozelandczyk będzie miał mnóstwo okazji, żeby zapukać do drzwi, kiedy jej „chłopaka” nie będzie w pobliżu, i wiedział, że nie może jej ufać... ten mężczyzna, który sam zawiódł czyjeś zaufanie i który wiedział, że na koniec też ją zdradzi.

Ponieważ jakiś wewnętrzny głos szeptał mu do ucha, że Li JinJin jest taka sama jak on.

* * *

— Pojechaliśmy obejrzeć Yangdong. To będzie prześliczne miejsce — powiedziała Tess Devlin, podnosząc głos, żeby

przebić się przez wrzawę w restauracji. — To doprawdy niewiarygodne, co tam zrobili, te wspaniałe rezydencje wznoszące się z kozich ferm, czy co tam było... — Zerknęła na męża. — Zastanawiamy się nawet nad kupieniem jednego z tych domów, prawda? Jeśli w przyszłym roku premie okażą się tak wysokie, jak wszyscy mamy nadzieję. — Uniosła kieliszki w stronę Shane'a i Billa. — Musicie ciężko pracować, chłopcy. Bill i Shane roześmiali się posłusznie.

— Staramy się, jak możemy — odparł Shane.

— Czy powietrze jest tam lepsze? — spytała Becca. — Musi tam być świeższe niż tutaj.

— I tak miło wyrwać się z miasta na weekend. — Tess pokiwiała głową, dając znak kelnerowi, żeby doniósł następną butelkę szampana. — Chłopcy mogą się wyszaleć.

— Zaiste — potwierdził Devlin ze sztywną formalnością. Był pijany jak wszyscy. Kolację wydano, aby uczcić powrót jednej żony i rozpocząć poszukiwania innej, ale impreza trwała o kilka butelek za długo, jak zwykle z kolacjami na Bundzie bywało. — Niech się małe gałgany zmęczą — zarechotał.

Było ich sześcioro. Bill i Becca. Tess z mężem. I Shane usadzony obok blondynki z Afryki Południowej, którą Tess znalazła na swoich zajęciach pilates, a która pracowała w jednym z tych nowych zawodów nagle mnożących się w Szanghaju — stylistka, chociaż wątpliwe, czy ktokolwiek z nich wiedział, co to znaczy. Może Becca i Tess miały jakieś pojęcie. Shane jednak i południowoafrykańska stylistka nie przypadli sobie do gustu. Z niego był za bardzo macho w garniturze, jak na jej upodobania, z kolei Shane nie przestał jeszcze oplakiwać swej ognistej młodej małżonki. Siedział z początku ponury, nieśmiały i nie w nastroju na te wszystkie rodzinne pogaduszki. W miarę jednak przybywających butelek na stole, stylistka niezwykle zyskiwała na atrakcyjności.

— Jakież szanse na dmuchanie dziś wieczorem? — spytał Shane.

— Jasne, zawsze są szanse na dmuchanie — odparła stylistka, piorunując go spojrzeniem. — Ale nie z tobą.

— Widzieliśmy miejscowych — mówiła Tess do Becki. — Prawdziwe brudasy. Dzieci wyglądają jak mali kominiarze. Nieletni ulicznicy żywcem wzięci z Dickensa. I gapią się na człowieka z tymi małymi czarnymi buziami. Gapią to naprawdę jedyne odpowiednie słowo.

Południowoafrykańska stylistka odwróciła się do Tess.

— Widziałam tych robotników sezonowych, sprzedawali fałszywe zegarki pod Plażą sześćdziesiąt sześć — powiedziała nagle z ozywieniem. — Są odrażająco brudni. O mało się nie porzygałam.

Bill się uśmiechnął i pokręcił głową.

— Wiesz, Tess — odezwał się łagodnie — połowa z tych dzieci nigdy w życiu nie widziała szkoły na oczy. Dlatego są takie brudne. Całymi dniami pracują w polu. Wiesz, na co szkoły wydają tam połowę swojego budżetu? Na przekupywanie i żywienie inspektorów. Nie mogą powiedzieć tym ważnym ludziom, że nie ma nic na obiad...

— Och, Bill — roześmiała się Tess i potrząsnęła głową, jakby ją nabierał.

— To prawda — upierał się. Chciał, żeby mu uwierzyła, lecz on też za dużo wypił. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego wszczynać. Ale przypomniał mu się bity chłopiec, którego widział w Yangdongu, i nie potrafił utrzymać języka za zębami. — Dzieci tych farmerów z Yangdongu są zacofane, nikt się nimi nie przejmuje, i to się nigdy nie zmieni. Nie ma żadnej różnicy między nimi i zwolnionymi robotnikami w Dongbei. Chiny ich nie potrzebują.

Becca wstała od stołu, żeby wyjść do toalety. Bill zauważył, jak uchwyciła jego spojrzenie i postukała palcem wskazującym w zegarek. Musieli wracać do Holly, żeby zwolnić *ayi* do domu.

— To prawda, że są w tym kraju pewne nierówności, na które należałoby zwrócić uwagę — rzekł Devlin.

Podniósł kieliszek do ust, ale szkło było puste. Spróbował jeszcze raz. Co się stało z jego drinkiem?

— Zgadza się — przytaknęła południowoafrykańska stylistka, nie rozumiejąc do końca, co Devlin miał na myśli. — Począwszy od tych handlarzy ulicznych. Policja powinna się nimi zająć.

Bill poczuł, jak Becca, przechodząc za jego plecami, delikatnie muska go po głowie.

— „Pewne nierówności”? — zapytał Devlina, nie zważając na południowoafrykańską gęś.

— Napij się jeszcze jednego, stary — zaproponował Shane, biorąc do ręki świeżą butelkę i próbując napełnić przyjacielowi kieliszek, a zarazem odwrócić jego uwagę od tematu rozmowy.

Bill nie zwracał na niego uwagi.

— Wszystko tu jest zbudowane na nierównościach — ciągnął. — W połowie wieku Chiny będą miały większą gospodarkę niż Ameryka i dalej pięćset milionów ludzi żyjących za dwa dolary dziennie. Są skazani na pieprzony komunizm.

— Oni od dawna przestali już być komunistami — stwierdził z irytacją Devlin. — Sam o tym dobrze wiesz.

— A tak w ogóle, to po czyjej ty jesteś stronie, Bill? — roześmiała się Tess.

— Można by się spodziewać przynajmniej symbolicznego ukłonu w stronę równości, nie sądzisz? — ciągnął Bill. Zależało mu na tym, żeby Devlin go zrozumiał. Wychylił swój kieliszek. — Choćby dla zachowania pozorów, jakiegoś gestu na znak walki z niesprawiedliwością, jakiegoś szczątkowego zainteresowania tymi najbardziej pokrzywdzonymi. Takimi jak te dzieciaki z Yangdongu. Tylko że tu nikt nie chce równości. Tutaj równość by się nie sprawdziła.

Devlin zrobił zboląłą minę. Shane rozejrzył za kelnerem i zamówił kolejną butelkę.

— Bez milionów tych biednych skurczybyków, którzy pracują za miskę klusek — perorował Bill — to miejsce traci swoją

atrakcyjność. Chiny mogą się bogacić tylko pod warunkiem, że większość ich mieszkańców żyje w nędzy. — Spojrzał ze zniecierpliwieniem na Shane'a. — Gdzie ten szampan?

— Och, Bill — roześmiała się Tess. — Bill, Bill, Bill...

Shane napełnił im kieliszki. Bill upił szampana. Miał dosyć szampana. Zaczynała go męczyć jakaś wymuszona wesołość tego trunku.

— Och co, Tess? No co?

Tess pochyliła się nad stołem, jakby byli tu teraz tylko we dwoje.

— Bez tej całej okropnej nierówności, Bill — powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szeptu — straciłbyś wszystko, co masz.

Bill również pochylił się w jej stronę i uśmiechnął.

— A to niby jak, Tess?

Żona Devlina potrząsnęła głową z nagłym niesmakiem.

— Oszczędź mi tych swoich łez nad Wielkim Brudasem, Bill. Wszystko, co mamy, zbudowane jest na tym, jak się rze- czy mają. Wszystko to, co masz teraz, to co będziesz miał, kiedy zostaniesz współnikiem, i... to co miałeś do tej pory.

— Co masz na myśli?

Przy stoliku panowała cisza.

Bill doskonale wiedział, co miała na myśli.

— Bez tych brudasów, Bill, bez tych niezmiernych zasobów spragnionych pracy i jedzenia, gotowych rozkładać nogi, czyścić nam toalety, nie mielibyśmy tego życia, które prowadzimy: kolejnych domów, premii... — Zawahała się, po czym jakby podjęła decyzję i brnęła dalej. — Wszystkich tych rzeczy, które nam teraz umilają życie. A ty przegapiłbyś swoją śliczną małą przygodę.

Czekał.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Bill rzucił jej milczące wyzwanie: niech powie to na głos.

— Chyba już czas, no nie? — zapytał Shane.

Warknął po mandaryńsku na najbliższego kelnera. Devlin

położył dłoń na ramieniu żony, ale ona jakby tego nie zauważyła.

— Nie wiem, o czym mówisz, Tess — powiedział Bill, ale pod powierzchnią pokrzepiającego pijackiego otępienia czuł narastającą panikę.

— Nie rozumiesz, Bill? — spytała Tess. — Nie płacz nad Wielkim Brudasem, ponieważ to wszystko jest fałszywe. Wszystko, co mają na sprzedaż.

— Te zegarki są z całą pewnością fałszywe — orzekła stylistka. — Zastanawiałam się, czy nie kupić jednego mojemu bratu w Durbanie, ale powiedziałam mu: „Peter, wyglądają tak badziewnie”.

Tess Devlin nie ukrywała pogardy.

— Fałszywe DVD, fałszywe programy i fałszywe zegarki. Fałszywe orgazmy? Bez cienia wątpliwości. Fałszywa miłość? Oczywiście. — Wypiła szampana do dna i z impetem odstawiła pusty kieliszek na stół, nie spuszczać z niego wzroku. — Miłość po chińsku, Bill.

— Nie wiesz, o czym mówisz — burknął. — Nie masz błędnego pojęcia. Myślę, że tak naprawdę nigdy nie znałaś żadnego Chińczyka.

— W sensie biblijnym? — spytała Tess.

— Och, odczep się, dobrze?

— Hamuj się, Holden — odezwał się Devlin. — Rozmawiasz z moją żoną.

Shane poderwał się na nogi, klaszcząc w ręce.

— Chodź, stary, odwieziemy cię do domu — powiedział do Billa. — Tygrys czeka.

— Czy ktoś może mi wezwać taksówkę? — spytała stylistka. — Na Bundzie roi się od żebraków.

Bill nawet nie drgnął. Tess wyciągnęła palec w jego stronę przez cały stół.

— Ostrzegałam cię, kiedy zaczynałeś — powiedziała. — Ostrzegałam cię, kiedy zaczynałeś kręcić z tą mandzurską zdzirą. Nie posłuchałeś mnie, Bill. Mówiłam ci, że to się może

skończyć tylko na dwa sposoby. Albo odchodzisz od żony, albo nie. Mówiłam, do cholery jasnej, mówiłam ci, Bill, a ty mnie nie chciałeś słuchać. To się kończy tylko na dwa sposoby, i zawsze źle.

Potem podniosła wzrok, i Bill też podniósł wzrok, i oboje zobaczyli Beccę stojącą na końcu stołu. Krew odpłynęła jej z twarzy. W końcu wszystko zrozumiała.

Gdzieś stłukł się kieliszek od szampana i rozległ się śmiech, i Shane krzyczał po chińsku.

— *Qing bang wo jiezhang, hao ma?* — spytał, pstrykając palcem wskazującym i kciukiem.

Czas zapłacić rachunek.

* * *

Tygrys wszystko to już widział.

Odwoził ich do Gubei i zerkając w lusterko wsteczne, zastanawiał się, czemu kiedykolwiek uważał, że z tymi dwojgiem będzie inaczej. Niewielu małżeństwom Szanghaj wychodził na zdrowie.

Jedyna różnica w zachowaniu tego szefa i jego żony polegała na tym, że się nie odzywali. Żadnych wybuchów bólu ani złości, żadnych słów wyrzucanych z ust, jakby miały zgnily smak.

Szef i jego żona siedzieli w kompletnej ciszy przez całą drogę do domu, jak gdyby słowa, które mieli sobie do powiedzenia, były zbyt okropne, aby je wymówić, i zbyt przerażające, aby je usłyszeć.

* * *

Niczym całkiem normalne małżeństwo weszli do mieszkania, oboje zachowali się grzecznie i przyjaźnie wobec *ayi*, która powiedziała im, że Holly spała niespokojnie, a kiedy *ayi* wyszła, Becca znikła w drugim pokoju i w sypialni małżeńskiej Bill słyszał, jak uspokaja ich córeczkę.

— Już dobrze, kochanie, już dobrze. Jestem już, już wszystko dobrze.

Kiedy Becca weszła do sypialni, Bill siedział na łóżku. Spojrzał na nią i nie mógł tego znieść.

— Kto to jest? — spytała rzeczowym tonem, wchodząc do pokoju i odgarniając z twarzy włosy. — Dziwka z tego osiedla czy dziwka z Suzy Too? — Uśmiechnęła się gorzko na widok jego wyrazu twarzy. — A tak, wiem wszystko o tej spelunie. Myślisz, że żony niczego nie wiedzą o takich miejscach? Więc kto to jest? Dziwka stąd czy dziwka stamtąd?

Wymamrotał coś i Becca podeszła bliżej do łóżka.

— Słucham? — Przytknęła zwiniętą dłoń do ucha. — Nie słyszę, co mówisz.

Bill podniósł oczy.

— Powiedziałem — w dalszym ciągu mówił cicho — że to nie jest dziwka.

Zaczęła go wściekle bić po twarzy.

— Ty idioto... ty idioto... ty idioto...

Lewą, prawą, lewą, prawą okładała go po ustach, po oczach, po nosie. Spuścił głowę, ale nie próbował się zasłaniać. Poczul, jak jej pierścionek wbił mu się w nos i łyzy stanęły mu w oczach.

— Pieprzę cię. I pieprzę ją — rzuciła Becca lekceważąco. — Idź sobie do niej. Jesteście siebie warci. Co jej mówiłeś? — Zaczęła parodiować romantyczne trajkotanie: — „Moja żona mnie nie rozumie... Od lat nam się nie układa... Nie zawsze tak będzie, skarbie... Uwierz mi, skarbie, poradzimy sobie... Jesteś największym szczęściem, jakie mnie w życiu spotkało...”.

I być może to właśnie takie było, pomyślał Bill, i zawsze takie będzie — groteskowa parodia prawdziwego związku. Siedziała obok niego na łóżku i zakryła twarz dłońmi.

— Złamałeś mi serce — powiedziała dławiącym się głosem. — Złamałeś mi cholerne serce, Bill.

— Przepraszam — rzekł, kładąc jej dłoń na ramieniu. — Tak mi przykro. — Wymówił jej imię. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz, tym razem tonem pytania. — Proszę, nie przestawaj mnie kochać.

— Nie dotykaj mnie — warknęła i Bill cofnął rękę. Wzięła głęboki oddech, przestała płakać, wytarła nos i odezwała się nagle z lodowatym spokojem. — Nie próbuj mnie dotykać po tym, jak jej dotykałeś. — Zabrzmiało to jak nowa zasada obowiązująca w ich nowym życiu. — I nie próbuj całować Holly ustami, które dotykały tej brudnej zdziry z Trzeciego Świata.

— Mam nie całować swojej córki?

Becca skinęła głową.

— Trzymaj się od niej z daleka. — Zwęziła oczy, aż zamieniły się w szparki pełne płonącej nienawiści. — Trzymaj się z daleka od mojej córki, ty pieprzony sukinsynu.

Wpatrywał się w swoje ręce i wymamrotał słabo coś, czego nie zrozumiała, ale spojrzała na niego pałającym wzrokiem, z twarzą zalaną łzami i smarkami.

— Co mówiłeś?

— Mówiłem, że to również moja córka.

W odpowiedzi Becca odsłoniła w grymasie zęby.

— No cóż, może powinieneś być o tym pomyśleć wcześniej, zanim zacząłeś tamto. Jak to działa, Bill? Masz prawo wyłączności na pieprzenie? Czy jako współwłasność? — Potrząsnęła głową. — Wyprowadzasz się teraz czy rano?

Zwiesił głowę.

— Nigdy.

— Słucham?

Wstała i krążyła po sypialni z rękami splecionymi na piersi.

— Nie wyprowadzam się. — Z jego głosu odpłynęło całe życie. Wypowiadał słowa, ale nie było w nich woli. Jakby jego żona przejęła całą władzę. — Nigdy się nie wyprowadzę.

Becca mówiła głosem rzeczowym, tylko lekko zniecierpliwionym, jakby tłumaczyła coś wiejskiemu głupkowi.

— Ale my cię tu nie chcemy, Bill.

— To znaczy, ty mnie tu nie chcesz.

— Tak. Ja cię tu nie chcę.

— Ale ja nie chcę odejść.

- Dlaczego nie, Bill?
- Ponieważ cię kocham.
- Śmiechu warte.
- I kocham moją córkę.

Pomyślał, że jest to jedyna rzecz, której nie może zaprzeczyć ani podać w wątpliwość. A jednak. Zaprzeczyła nawet temu. Stała przed nim i z satysfakcją wyjaśniała mu, dlaczego musi odejść.

— Kochasz ją, ale byłeś gotowy rozbić jej rodzinę. I złamać jej serce. I zostawić w jej sercu ranę, którą będzie nosić do końca życia. I to wszystko dla jakiejś brudnej chińskiej dziwki. Twoi rodzice się nie rozwiedli, Bill. Twoja mama umarła. To łatwe, kiedy jedno z nich umiera. Czujesz tylko smutek. Kiedy ktoś umiera, jesteś smutny. Ale kiedy jedno z nich odchodzi, kiedy cię zostawia, czujesz się bezwartościowy. I obawiam się, że nic nigdy nie jest w stanie zatrzeć tego uczucia. Myślę, że jakaś częśćka w człowieku zawsze czuje się bezwartościowa. Jakby na to zasługiwał. Jakby to się stało przez ciebie, jakby stało się tak, ponieważ byłeś zły.

— Więc pozwól mi zostać. Pozwól mi zostać dla Holly, jeśli nie dla siebie.

— Ale ty sam uczyniłeś to niemożliwym. Nie rozumiesz tego? — Sprawiała wrażenie roztopiającej się przed nim, jakby coś się w niej załamało. — Jak mogłeś być taki okrutny? Dla nas obu. Jak mogłeś być taki okrutny dla tych, którzy cię kochali bardziej niż... psiakrew, Bill! — Usiadła udręczona bólem, a on nie śmiał jej więcej dotknąć. Wzięła się w garść i otarła oczy wierzchem dłoni. — Pozwól, że cię o coś zapytam.

— Słucham?

Przełknął ślinę. Bał się tego, co powie jego żona, bał się tego, co go czeka.

— Czy to było tego warte?

Wiedział, że go teraz nienawidzi. Wiedział, że zepsuł wszystko, co go łączyło z Beccą, i że to, co zrobił, może zmienić

na zawsze życie jego córki. I wiedział, że bez względu na to, ile razy powtórzy, że je kocha, i ile razy będzie błagał, aby móc z nimi zostać, ich mała rodzina nigdy już nie będzie taka sama.

— Nic nie jest tego warte — odparł i wierzył w to z całego serca.

Becca popatrzyła mu w twarz, usiłując go zrozumieć i nie pojmując, zdumiona człowiekiem, którego poślubiła.

— Czy my tak mało dla ciebie znaczyliśmy? Ja i ty. Nasze małżeństwo. Czy ty tego nie rozumiesz? Małżeństwo to czas. To zaufanie. Małżeństwo to jest... nie wiem, co to jest, ale wiem, że nie znajduje się tego u babki poderwanej w barze. Uważasz, że jesteś sprytny, bo knujesz za moimi plecami, ukrywasz swoje małe świństwa. Uważasz się za takiego bystrego.

Bill pokręcił głową.

— Nie, nie uważam się za bystrego.

— Ale jesteś głupi — ciągnęła, nie słuchając go. Głos jej się łamał. Oddychała ciężko, starała się trzymać w garści. Miała mu do powiedzenia tyle rzeczy, zanim się całkiem rozsypie. — Taki głupi, Bill, taki banalny palant. Teraz Holly będzie musiała się wychowywać z jednym rodzicem, będzie jednym z tych biednych dzieciaków, które mają tylko jednego rodzica, ponieważ drugi pieprzył się żonie za plecami. I będzie nosiła bliznę do końca życia, do końca życia będzie miała w sercu ranę i nigdy się z tego nie podźwignie. — Myślał, że znowu go uderzy, ale ona tylko pokręciła głową. Nigdy sobie nie wyobrażał, że może być taka smutna. I to było jeszcze gorsze. — I to wszystko będzie twoja wina — powiedziała i Bill wiedział, że ma rację. — Zdradziłeś mnie. Kochałam cię i ufałam ci, a ty to zmarnowałeś. Potraktowałeś to, jakby moje uczucia nic dla ciebie nie znaczyły. Wszystkie chwile spędzone razem, to, co razem przeszliśmy, nic dla ciebie nie znaczyły. Zniszczyłeś wszystko, co było w moim życiu dobre.

— Bec? — powiedział. — Och, Bec, nie płacz.

Ale ona płakała i płakała. Próbował ją przytulić, lecz podniosła ręce, żeby nie próbował tego robić.

— Ona nie jest miłością twojego życia, Bill. Czy tak właśnie uważasz? Ona jest tylko twoim brudnym małym sekretem. To nie jest namiętność. Myślisz, że to namiętność? Wprost przeciwnie. Wszystkie kłamstwa, spiskowanie, do tego wszystkiego trzeba bardzo zimnego serca. Musisz być draniem o bardzo zimnym sercu, Bill. — Znowu ukryła twarz w dłoniach, ale przestała już płakać. Czemu wybrałam akurat ciebie? Czemu wybrałam takiego zimnego drania jak ty? Kiedy sobie pomyślę o wszystkich miejscach, w których mogłabym teraz być...

— Becca, ja ci to wszystko wynagrodzę, przysięgam — mówił z rozpazą w głosie. — Wszystko ci wynagrodzę. Zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

— Nigdy nie potrafiłbyś mi tego wynagrodzić — stwierdziła. Wstała i podeszła ciężko do drzwi. — Będę spała z Holly. Nie mogę znieść twojej obecności. Tak bardzo cię kochałam, a teraz nie mogę znieść, kiedy jesteś blisko. Jak ci się to udało, Bill?

— Przynieś tu Holly — rzekł. — A ja pójdę do małego pokoju.

Ale Becca miała już tego dosyć.

— Po prostu wynoś się z mojego życia — powiedziała cicho, ledwie trzymając się na nogach, jak gdyby jedynym, co teraz czuła, było wycieńczenie. — Po prostu pakuj swoje rzeczy i wynoś się. Nie mogę na ciebie patrzeć.

Bill wstał, ale nie uczynił żadnego ruchu w jej stronę.

— Tak mi przykro, Becco.

Westchnęła ciężko.

— Ile razy zamierzasz to jeszcze powtarzać? — zapytała ciężko.

— Aż mi uwierzysz.

Oparła się o futrynę sypialni i wydawała się taka smutna i wyczerpana, jakby przywdziała żałobę po ich małżeństwie, jakby było ono żywą istotą, która właśnie umarła.

— Trochę na to za późno — odparła.

Potem wyszła. Usłyszał, jak kładzie się do łóżka obok Holly. Rozebrał się, położył i leżał, patrząc w sufit i nasłuchując, jak w sąsiednim pokoju jego żona i córka budzą się i kręcą co jakiś czas. Zawsze pierwsza odzywała się Holly. Słyszał, jak pojękuje, jak płacze, wyrwana ze złego snu, a potem łagodne, uspokajające słowa Becki, po których następowała długa chwila ciszy — albo zasypiała, albo przynajmniej próbowała zasnąć.

Bill nie spał, ale musiał zapadać w jakiś półsen, bo w pewnej chwili zorientował się, że Becca stoi nad nim przy łóżku.

Ona również nie spała. Rozmyślała, a teraz chciała usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań.

— Kto to jest? — spytała głosem schrypniętym od płaczu.
— Czy to któraś z tutejszych dziewczyn?

Kiwnął głową.

— Ale już jej tu nie ma. Nie mieszka tu.

Oczami wyobraźni zobaczył Beccę stojącą w oknie mieszkania JinJin i wyrzucającą jej rzeczy na ulicę. Wiedział jednak, że nic takiego nigdy nie mogłoby się zdarzyć. Jego żona miała na to za dużo dumy, zbyt dużą klasę. Po prostu wyrzuciliby go ze swojego życia i za nic w świecie nie uznała JinJin za rywalkę. Nikt jej nie ukradł męża. Jej mąż wydał się dobrowolnie.

— Która? — spytała Becca. Oczy miała zaczerwienione i spuchnięte od bólu i gniewu, które przeżywała na zmianę w ciągu tej nocy, ale mówiła spokojnym głosem. Chciała tylko wiedzieć. — Nie, nie mów mi — zdecydowała, jakby uprawiała jakąś dziwną grę. — Sama zgadnę. Ta z nogami, w czerwonym minicooperze. Tak? — Popatrzyła mu w twarz i kiwnęła głową. Nie potrzebowała nawet odpowiedzi. — Och, Bill, przecież to żadna rewelacja. Żadna gwiazda. Na ulicy jest pełno młodszych i ładniejszych.

Zobaczyła jego minę. Oczywiście, że zawsze były gdzieś młodsze i ładniejsze. Taki jest świat. Zawsze są gdzieś młodsze i ładniejsze, ale to nie znaczy, że się ich pragnie.

— Nie obchodzi mnie, co zrobisz, ale masz ją trzymać z daleka od Holly. Żeby nie odważyła się zbliżyć do mojej córki — ostrzegła Becca. Usłyszała odpowiedź na swoje pytanie. Wściekłość ogarniała ją teraz jak gorączka, gniew ścisnął za gardło, nabiegał do twarzy. — Uważasz się za dobrego ojca, prawda, Bill?

Potrząsnął głową.

— Nie ośmieliłbym się tak o sobie myśleć.

— Ale nigdy nie będziesz dobrym ojcem, jeśli nie postawisz swojego dziecka ponad wszystkim innym — stwierdziła tak, jakby nie słyszała, co powiedział. — Łącznie z kobietą, z którą zamierzasz spędzić resztę życia. Łącznie z kobietą, którą zamierzasz pieprzyć. Ze swoją chińską suką.

Idąc do drzwi, zaczęła zdejmować obrączkę, siłując się przez chwilę, aby ją przeciągnąć przez kostkę, po czym cisnęła nią w jego stronę. Złoto odbiło się od ściany, a potem potoczyło z brzękiem po podłodze.

W dniu, kiedy brali ślub, myślał, że te obrączki, które sobie nawzajem wkładają, starczą im na całe życie. Teraz widział, że obrączki można zgubić, można je wykraść, można nimi rzucać w gniewie. Teraz się przekonał, że można w małżeństwie przeżyć mnóstwo obrączek. Trudno mu było teraz uwierzyć, że był kiedyś tak młody jak w dniu, gdy brał ślub, tak młody, aby wierzyć, że człowiek potrzebuje tylko jednej ślubnej obrączki.

* * *

Przyszła do niego rano, owinięta szlafrokiem, trzęsąc się, jakby zamarzała na mrozie. Patrzyła, jak pakuje walizkę.

— Tak bardzo cię kocham — powiedział, nie patrząc na nią, nie podnosząc wzroku znad walizki. — Jesteś dla mnie najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. Nie zasługujesz na to. — Płakał, ale powściągając się, tak jak się płacze, zaciskając zęby i szczęki ze strachu, że jeśli się tego nie powstrzyma, to

człowiek rozsypie się na kawałki. — Przepraszam, że cię zraniłem. Wiem, że masz dosyć słuchania tego, ale naprawdę jest mi przykro.

Usiadła na łóżku obok jego walizki. Oczy miała prawie zamknięte od płaczu. Oparła jedną bosą stopę o krawędź walizki.

— Jak ja ci mogę wybaczyć, Bill?

Wzruszył ramionami, pokręcił głową.

— Nie wiem — powiedział. — Sam nie widzę sposobu, żebyś mi mogła wybaczyć.

— Prawda jest taka, że nie potrafię.

Wyglądała ślicznie, nawet z tą twarzą zalaną łzami, spuchniętą i nabrzmiałą żalem. I Bill pomyślał o tych wszystkich mężczyznach, którzy się o nią starali, i on także się zadziwił: „Czemu wybrała akurat mnie?”

— I nie potrafię ci już wierzyć — dodała. — Nawet gdybyśmy... Jak mogłabym ci kiedykolwiek zaufać? Tyle że w tym małżeństwie nie chodzi już o nas, prawda? Chodzi tylko o dziecko, które śpi w sąsiednim pokoju.

Popatrzył na nią i zdał sobie sprawę, co właściwie mówi. Co mu oferuje. Podniosła dłoń na znak, żeby się nie dał ponieść.

— Zniszczyłeś wszystko, Bill. Na zawsze. — Jej usta wykrzywił grymas urazy za jego głupotę i za wszystko, co jej zrobił, za ten najprawdziwszy, nieznośny, fizyczny ból. — Wiem, że mogę znaleźć lepszego męża. — Kiwnęła głową.

Ta kwestia nie podlegała dyskusji. Wiedziała, że tak jest i kropka. — Lepszego człowieka. Wiem, że znalazłabym lepszego mężczyznę niż ty. Myślisz, że jesteś wyjątkowy? — Wybuchnęła śmiechem, potrząsnęła głową i przeciągnęła rękami po twarzy. — Tylko że nie jestem pewna, czy znalazłabym mężczyznę, który byłby lepszym ojcem dla Holly. Nie wiem, czy znalazłabym lepszego tatę dla mojej córki. Kogoś, kto by ją kochał tak jak ty i którego ona by pokochała tak jak ciebie. Obawiam się, że nie. Obawiam się, że nikogo takiego nie znajdę.

— Pokręciła głową. — Wielka szkoda, psiakrew. Szkoda dla nas wszystkich, prawda?

— Nie przestawaj mnie kochać — błagała. — Proszę, nie przestań mnie kochać.

— Może to się po prostu zużyło — ciągnęła. — Między tobą i mną. Może tak jest ze wszystkimi, zużywają się, wyczerpują. Nie czułam, żeby to, co nas łączyło, się wyczerpało, Bill. Kochałam cię. Byłeś mężczyzną, z którym chciałam spędzić resztę życia. Ckliwy banał, no nie? Idiotyczne.

Bill potrząsnął głową.

— Ale może to się tak zmienia, że wszystkie związki kończą się jak małżeństwo nieznajomych — mówiła dalej. — Kompletnie obcych ludzi. I jeśli masz trochę szczęścia, to lubisz tego drugiego człowieka. Może nawet kochasz. Ale nie możesz udawać, że to ta sama osoba, z którą brałeś ślub.

Dotknął jej ramienia i wymówił jej imię, ale ona nie dała żadnego znaku, że to zauważyła. Czuł się, jakby ją zabił.

— Małżeństwo zaczyna się jako związek z miłości, a kończy... sama nie wiem... jako ekonomiczne partnerstwo — podjęła. — Dom. Miejsce, gdzie się wychowuje dzieci. Zaczyna się jako romans, a kończy jako rodzina. — Spojrzała na niego szybko, jakby się bała, że nie zrozumie sensu tego, co mówi. — To nie znaczy, że przestałam cię kochać. Ale kocham naszą córeczkę w inny sposób, większy, i ze względu na nią pozwalam ci zostać. Pokochałam ją od jej pierwszego oddechu i będę ją kochać do ostatniego tchnienia. Zgadzam się, żebyś został ze względu na nią. Czy jestem rozsądna? Jestem dojrzała? Myślę o swoim dziecku? Pieprz się. Mam ochotę nauczyć cię, jakie to uczucie. Chcesz, żebyś to zrobiła, Bill? Chcesz, żebym sobie kogoś znalazła i pokazała ci, jakie to uczucie? — Popatrzyła na niego, jakby coś jej nagle przyszło do głowy. — Cemu przestałeś mnie kochać?

— Nigdy nie przestałem cię kochać.

— Najciekawsze w tobie, najciekawsze we wszystkich

facetach jest to, że każdy z was uważa się za tego jedyne-
Tego jedyne, który ma prawo wybierać.

O czym ona mówiła? O kim mówiła? Nie powiedziała tego jednak, a on nie zapytał. Bał się odpowiedzi. Pozwalała mu zostać, to było najważniejsze i tylko to się liczyło.

Spuścił głowę, a ona wzięła go w ramiona, ale nie przycisnęła do siebie. Jej ciało było sztywne i drżące, i kruche jak kieliszki do wina Podwójne Szczęście. Położyli się na łóżku i płakali razem nad tym, jak to bliskie, znajome ciało leżące obok zmieniło się na zawsze.

Wiedział, że to nie koniec. Wiedział, że ta noc będzie im towarzyszyć do końca życia, chociaż nie miał pojęcia, jak głęboka i trwała okaże się rana, i czy będą potrafili z nią żyć. Pewnego dnia, niebawem, zaczną się pytania — okropne, bolesne pytania o rozdarte serce. Na razie jednak, kiedy Becca wstała, gdy do sypialni wlał się nowy dzień, a w sąsiednim pokoju Holly zaczęła się kręcić w łóżku, jego żona miała tylko jedno pytanie:

— Czy to już skończone?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Helikopter wystartował pionowo i znaleźli się nagle na linii dachów Hongkongu. Nie patrzyli na nie, ale wisieli między nimi nieruchomo niczym gigantyczny owad nad stalowo-szklanym zboczem Banku Chińskiego, a poniżej zwarły szereg wieżowców maszerował w kierunku Wzgórza Wiktorii, zielonego szczytu sterczącego nad dryfującym naszyjnikiem perłowej mgły i krążących orłów.

W linii dachów Hongkongu nie było nic banalnego. Nie to, co w Szanghaju, gdzie dostojne budynki Bundu zawsze przypominały, że są tylko pięknymi relikdami kolonialnych marzeń. To było miejsce nietknięte żadną ideologią, miasto, które nigdy nie czciło żadnego innego boga poza pieniądzem. Nawet teraz, po powrocie na ojczyste łono, Hongkong reprezentował sobą wszystko, czym chciało być każde wielkie miasto na kontynencie.

Siedmioro ich leciało do Makau. Bill i Shane siedzieli razem na tylnych fotelach śmigłowca, a Mitch i Nancy przed nimi pochyleni nad laptopem. Dalej Wolfgang i Jurgen z DeutscherMonde, ostatnio coraz bardziej do siebie podobni, od czasu gdy zarówno stary rockandrollowiec, jak i weekendowy golfista nabrali owego dojrzałego, rozwodnionego wyglądu biznesmena, który widział zbyt dużo azjatyckich nocy. Prze-

wodniczący Sun siedział z przodu obok australijskiego pilota i przez swoje lustrzane okulary patrzył władczo na rozpościerający się w dole Hongkong. Pilot powiedział coś przez radio, co zatrzeszczało Billowi w uszach kompletnie niezrozumiale, po czym helikopter spuścił dziób, wskazał na zachód i bucząc, poleciał nad portem i ruchliwą połącią wody, zatłoczoną drewnianymi dżonkami, wielkimi statkami wycieczkowymi i zielono-białymi promami *Star Ferry* kursującymi między Koulunem i wyspą Hongkong.

Wkrótce sunęli nisko nad Morzem Południowochińskim, woda uciekała im pod nogami, stare łodzie rybackie wyłaniały się nagle z mgły niczym statki widma, po czym równie nagle znikaly.

Żółte woskowe zatyczki do uszu w niewielkim stopniu tłumiały warkot silnika i hałas pogrążył wszystkich w milczeniu, a Billa pozostawił własnym rozmyślaniom. W ostatnich dniach chodziła mu pogłowie tylko jedna myśl, myśl, która wyrывała go ze snu w środku nocy obok żony śpiącej u jego boku, ta sama myśl, która nie pozwalała mu zasnąć podczas leniwej, sennej godziny po tym, jak kochał się z JinJin, a ona leżała w jego ramionach, dopóki nie musiał wyjść.

„Czy to już skończone?”

Było skończone, ponieważ wiedział już teraz dobrze, że nigdy nie odejdzie od żony i dziecka. Becca może go wyrzucić z domu, taka możliwość istniała zawsze, ale on nigdy od nich nie odejdzie. „Czy to już skończone?”

Doszedł do wniosku, że nie będzie skończone, dopóki nie przestanie myśleć o czerwonych lampionach Święta Wiosny i twarzy JinJin na lodowisku i o tym, jak wyglądała w żółtej kurtce narciarskiej. Nie będzie skończone, dopóki te wszystkie rzeczy tkwią mu w pamięci; był pewien, że pośród innych obrazów one staną mu przed oczami, kiedy będzie umierał.

„Czy to już skończone?”. Może jej nigdy więcej nie ujrzeć w życiu na oczy, a to i tak nie będzie skończone. „Czy było

skończone?”. Ona może wyjść za mąż za innego mężczyznę i urodzić mu dziecko, a potem jeszcze następne, a to i tak nie będzie skończone. „Czy to skończone?”.

Nie, dopóki nie będzie potrafił uzbroić serca i przestać się z nią widywać, dopóki ona nie przestanie go kochać, jak gdyby był kimś wyjątkowym, dopóki nie przestanie go kochać, jakby był dobrym człowiekiem.

Nie, dopóki nie przestanie go „cały czas kochać”. Dopóki nie nabierze pewności, że będzie jej bez niego dobrze. Nie, dopóki nie nauczy się myśleć o tym, co się z nią stanie, nie zamartwiając się do nieprzytomności.

Aż do tej pory to nie będzie skończone.

* * *

Zeszłego wieczoru wrócił z pracy do domu po północy. Becca nie spała i czekała na niego zwinięta z książką na sofie w szlafroku i pantoflach. Twarz miała pobladła i ściągniętą. Kiedy wszedł do mieszkania, a ona podniosła na niego wzrok, wydawało mu się, że przeszedł ją dreszcz. Chwyliła pod szyję szlafrok, a ten gest przywiódł mu na myśl szpital i chorobę.

Pragnął ją wziąć w ramiona, ale wiedział, że się nie ośmieli.

— Nie musiałaś na mnie czekać — powiedział, nie cierpiąc tej sztuczności i napięcia, które nagle wkradły się między nich.

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Ale czekałam, Bill, ponieważ nigdy nie mogę wiedzieć, gdzie jesteś, prawda? Ani z kim.

W jej słowach nie słychać było prawdziwego oskarżenia. Było to tylko łagodnie wypowiedziane stwierdzenie okrutnego faktu. Lecz czuł jej ból i rozumiał, dlaczego nie może spać. Nie ufała mu i być może nigdy w życiu już mu nie zaufa. I nie miał pojęcia, jak będą mogli z tym żyć.

— Cały czas mamy tę sprawę z Yangdongiem — rzekł, chroniąc się pod zasłonę przyziemnych obowiązków. — Czeka nas strasznie dużo pracy, zanim to utworzą. — Spojrzał jej w

oczy i wzruszył bezsilnie ramionami. — Byłem w pracy, Bec.

Roześmiała się i potarła oczy wierzchem dłoni.

— Wiem — odparła. — Wiem, ale tak naprawdę nie potrafię w to uwierzyć.

Usiadł na sofie, a wtedy ona wstała z książką w jednej ręce, drugą przytrzymując szlafrok pod szyją.

— Przykro mi — powiedział, gotów powtórzyć to milion razy, dopóki nie będzie potrafiła w to uwierzyć.

Skinęła głową i westchnęła.

— To nie wystarczy.

Zanim się odwróciła, zobaczył w jej dłoni książkę i uprzytomnił sobie, że poznaje tę zieloną miękką okładkę. To było coś, co pamiętał ze szkoły. *Żdźbła trawy* Walta Whitmana.

Nie miał pojęcia, że jego żona lubi poezję.

* * *

Pojechał do JinJin i powiedział jej, że wszystko skończone. Obejmowali się, a on czuł lzy na ich twarzach i wiedział, że należą do nich obojga.

— Czy ty nie rozumiesz? — tłumaczył. — To by mogło trwać i trwać przez następne pięć lat albo dziesięć, i co potem? Chcesz się zestarzeć, czekając na coś, co się nigdy nie wydarzy? Tego chcesz?

JinJin się zastanawiała. Wytarła oczy i myślała. Pierwszy raz, uznał. Zobaczyła siebie jako czterdziestoletnią utrzymankę. Samotną, śpiającą w pojedynczym łóżku, wiele lat po tym, kiedy miała jeszcze szansę na szczęśliwe zakończenie.

— Nie chcę krzywdzić twojej rodziny — powiedziała. Urwała kawałek ręcznika papierowego i wytarła twarz. — Twojej małej dziewczynki. Twojej żony. Nie zrobiła mi nic złego. Nie chcę cię kraść.

— Ludzi nie można ukraść — odrzekł. Nie chciał, aby brała na siebie całą odpowiedzialność.

Rozmawiali i płakali, dopóki oboje nie poczuli się całkiem wyczerpani. Potem wreszcie wstał, żeby wyjść, ale ona złapała go za rękę i położyła ją sobie na twarzy, a potem na szyi i na udzie.

Pokręcił głową i próbował się wyrwać. Tylko nie to. Nie teraz.

Wtedy położyła sobie jego dłoń na piersi, a on pokręcił głową jeszcze gwałtowniej i znowu próbował się wyrwać, ale ona przytrzymała go, dopóki tego nie poczuł. Po prawej stronie piersi.

Guz wielkości piłki golfowej, twardy jak rzeczywistość.

* * *

Śmigłowiec wyleciał z mgły i nagle zobaczyli blask neonów Makau, portugalską architekturę przypominającą forty z klocków w wiktoriańskich przedszkolach i górujące nad wszystkim płonące światła wielkich kasyn.

Makau leżało na samym czubku półwyspu i zarazem na samym końcu Chin albo może na początku. Neon na hotelu Lisboa, najbardziej krzykliwym ze wszystkich kasyn, świecił niczym latarnia morska w szarym zmierzchu, świątynia religii, która znaczyła dla Chińczyków więcej niż komunizm czy kapitalizm i wzywała masy na modlitwę.

— Kiedyś w Chinach zalegalizują hazard — orzekł Devlin.
— Może nieprędko, może nie stanie się to, dopóki nie przestanie istnieć partia. Może dopiero po Tajwanie.

To była ulubiona teoria zachodnich biznesmenów w Szanghaju na temat tego, w jaki sposób zniknie Komunistyczna Partia Chin: starszycy w Pekinie doprowadzą w końcu do długo zapowiadanej wojny patriotycznej na Tajwanie i przegrają z kretesem. Ich samoloty zostaną zestrzelone, pociski przechwycone albo chybią celu, armia ludowowyzwoleńcza utknie na plażach. Po tym upadku starszycy w Pekinie już się nie podniosą i znikną na zawsze, razem ze swoją zgniłą ideologią i pomnikami przewodniczącego Mao — równie nagle

i ostatecznie jak mur berliński zamienił się w stertę cegieł.

— Chińczycy uwielbiają hazard, mają go w genach — powiedział Devlin przed wyjazdem. — Pewnego dnia na kontynencie powstaną kasyna, a Las Vegas i Atlantic City będą przy nich wyglądać jak rząddek automatów do gry. — A na razie mamy Makau.

Bill pomyślał o ojcu JinJin, który wracał do domu po pracy bez pieniędzy, boje przegrał w madżonga, za to przepelniony gniewem pokonanego hazardzisty. Wyobraził go sobie, kiedy z twarzą niczym chmura burzowa powolnym gestem zdejmował przy śniadaniu pas.

Nigdy nie dostała szansy, pomyślał.

* * *

Mamma-san przywodziła po sześć dziewcząt naraz. Teraz zostało tylko pięć. Bill i Shane, ich klienci oraz przewodniczący Sun siedzieli na popękanych skórzanych sofach, przed nimi stały drinki. Wszyscy patrzyli na dziewczęta. Nancy wróciła do hotelu natychmiast po kolacji. Mitch zniknął gdzieś między restauracją a barem karaoke. Wieczór zbliżał się do punktu kulminacyjnego i Bill po raz pierwszy zrozumiał, po co przyjechał z nimi przewodniczący Sun. Przyjechał tu po swoją premię.

Dziewczęta miały po kilkanaście, góra dwadzieścia parę lat. Były za młode, aby ukryć swoje prawdziwe uczucia. Próbowaly je zamaskować wystudiowaną obojętnością, ale nie do końca im się to udawało. Widać było po nich na przemian znużenie, pogardę, zmęczenie, rozbawienie, strach i słodycz, chociaż Bill wiedział, że ta słodycz mogła przejść w cyniczny profesjonalizm w tej samej chwili, gdy transakcja zostanie zawarta.

Odwrócił wzrok od ich twarzy na wielki plazmowy telewizor. Na ekranie para kochanków szła plażą, w oddali majaczyły brzydkie wieżowce, a na brudnym piasku przesuwaly się

podświetlone słowa piosenki. Parze towarzyszyła cikliwa melodia. Bill jej nie znał, nie znał żadnej piosenki, którą puszczano w tym barze. Nic dziwnego, ponieważ nie był to lokal przeznaczony dla białych mężczyzn.

— Mówię ci, stary, zawsze bądź tym, któremu mniej zależy — mówił Shane. — Mnie zawsze zależało bardziej niż jej. Bardziej niż mojej żonie. To był wielki błąd. Pamiętaj o tym stary: ten, komu najmniej zależy, trzyma władzę.

Bar karaoke, w którym siedzieli, przeznaczony był wyłącznie dla chińskich klientów: wygrywających hazardzistów z kasyna mieszczącego się piętro niżej albo przegranych hazardzistów wylizujących rany w drodze do hotelu cztery piętra wyżej.

Sprzedaż tu była agresywniejsza niż gdziekolwiek w Szanghaju, dziewczęta najpiękniejsze, jakie Bill w życiu widział, ale bar karaoke wywoływał uczucie, że seks z jego pracownikami przypominałby kupowanie pizzy. Po cichu podzielił się swoimi wrażeniami z Shane'em.

— A co jest złego w pizzy? — spytał Australijczyk.

W małej, zamkniętej salce dziewczęta stały i czekały, podczas gdy mężczyźni siedzieli i patrzyli. Na wielkim ekranie telewizyjnym leżały dwa mikrofony. Mężczyźni spoglądali na kobiety, kobiety zerkwały na mężczyzn.

Shane odezwał się do *mamma-san* po kantońsku i kobieta konferowała z nim przez chwilę, odsłaniając w zastygłym grymasie żółte zęby z plamami od herbaty. Musiała być kiedyś piękna, ale jej twarz szpeciły stare blizny po ospie wietrznej, a Bill nie mógł się opędzić od skojarzenia, że ma oczy trupa. Pomimo wyćwiczonych, niezawodnych manier wieloletniej *mamma-san* kobieta najwyraźniej czuła się nieswojo w obecności tyłu ludzi z Zachodu.

Tylko płynna chińszczyzna Shane'a, a także fakt, że Australijczyk był tu już wcześniej gościem i to niezwykle hojnym, w połączeniu z wyniosłym zachowaniem przewodniczącego Suna

uczyniły ich obecność do zniesienia. Niemniej kobieta coraz bardziej się niecierpliwiła.

Zgodnie z zasadą praktykowaną w barze *mamma-san* wprowadzała do salki pięć dziewcząt, po jednej dla każdego klienta. Dziewczęta zostawały na drinku i kilku piosenkach, po czym *mamma-san* zabierała je z powrotem. Zostawała z mężczyznami sama, tak jak teraz, i uśmiechając się odrażająco konspiracyjnie, czekała, aż zdecydują, które dziewczęta mają wrócić, które należy zastąpić innymi, a które ma wysłać do ich pokojów hotelowych.

W ruchliwy wieczór — a ponieważ ostatnimi czasy Chińczycy zamienili się w największych podróżników na świecie i każdy wieczór był teraz ruchliwy — asortyment dziewcząt nie był niewyczerpany. Bar składał się z labiryntu maleńkich, dusznych pomieszczeń, a każde domagało się stałego dopływu młodych dziewczęcych ciał. Za zastygłym uśmiechem *mamma-san* Bill widział jej narastającą frustrację. Kiedy się wreszcie zdecydują?

— Zostajesz z tą, którą miałeś? — spytał Billa Shane. Bill kiwnął głową.

Przez ostatnią godzinę siedział z młodą dziewczyną z Zhuhai, miasta leżącego tuż po drugiej stronie granicy. Większość kobiet w tym barze opatrzonym nad wejściem tylko dwoma chińskimi neonami nie mówiła ni w żąb po angielsku ani nie nosiła przybranych, cukierkowych zachodnich imion, niemniej Shane'owi i *mamma-san* udało się znaleźć dla Billa miłą, cichą i trochę przestraszoną dziewczynę — jedną z nowych nabytków lokalu — która wzięła kilka lekcji angielskiego.

Wyjął z portfela zdjęcie Holly i pokazał jej. Dziewczyna, popijając sok pomarańczowy, wydawała zachwycone odgłosy. Nie mógł się nauczyć jej imienia, chociaż kilkakrotnie próbował je wymówić, po prostu nie był w stanie go zapamiętać i chociaż powiedziała, że jej barowe imię brzmi Ślicznotka, Bill nie potrafił się zmusić, aby ją tak nazywać.

Nadawali im takie idiotyczne imiona.

Próbowała w grubym menu wyszukać mu piosenkę, którą by znał — „Elvisa” — powiedział — spróbuj znaleźć coś z Elvisa — ale ona nigdy nie słyszała o Elvisie, a w tym miejscu nie było piosenek dla takich jak on. Takich jak on tolerowano, ale nie widziano tu mile. To stulecie nie należało do nich. Biali ważniacy, którzy rządili tu przez tyle lat, nie byli im potrzebni.

Dziewczyna знаła wystarczająco dużo angielskich słów, żeby Bill zrozumiał, że uczy się, aby zostać kosmetyczką, a jej młodszy brat bulił kupę pieniędzy, bo chce zostać aktorem. Zanim wyszła z sali, Bill dyskretnie wsunął jej do kieszeni zwitek hongkońskich dolarów. Żał mu było dzieciaka.

— Chcesz za nią zapłacić? — zapytał Shane.

Sam znał odpowiedź, ale *mamma-san* niecierpliwie go indagowała. Oczy jej błyskały, kiedy patrzyła, jak Bill kręci głową. Seks z nieznajomą, tylko tego mu było trzeba.

Wieczór dobiegał końca. Bill czuł na swoim garniturze smród dymu papierosowego z kilkunastu kasyn, a w głowie zbyt dużą ilość tsingtao. Drinki były wręcz obraźliwie drogie, ale *mamma-san* nie życzyła sobie, żeby siedzieli tu przez całą noc. Mogą kupić jeszcze jedną kolejkę, ale potem niech zapłacą za dziewczęta i idą spędzać resztę nocy gdzie indziej.

Shane konferował z *mamma-san*. Jeden z Niemców, Jurgen, ten, który wyglądał, jakby przez całe weekendy ćwiczył tylko uderzenia golfowe, dokonał wyboru. Drugi, Wolfgang, czterdziestolatek w skórzanej kurtce, powiedział, że zamówi jeszcze jednego drinka, ale wraca do hotelu sam, jak zawsze. Tak jak Wściekły Mitch kilka godzin wcześniej Wolfgang wykazywał lekkie zmieszanie, jakie ogarnia cnotliwych mężczyzn w takich miejscach jak to.

Shane'owi towarzyszyła dziewczyna, którą znał z poprzedniej wizyty i zamierzał zamówić ją do hotelu, ale Bill widział, że nie sprawia mu to zbytnej przyjemności.

Przewodniczący Sun bawił się przez cały wieczór w towarzystwie jednej dziewczyny. Popisywał się przed nią senty-

mentalnymi mandaryńskimi balladami, które wyśpiewywał głosem ryczącej żaby, ale w którymś momencie dziewczyna naląła mu do kieliszka czerwone wino i nie poszła po sprite'a i teraz w przypiływie irytacji postanowił ją nagle wymienić na inną. Był bardzo pijany.

Rozczapierzył poźółkde od nikotyny palce przed piersią i pokazując w ten sposób wielki biust, dawał *mamma-san* do zrozumienia, czego oczekuje, niczym koneser wina tłumaczący barmanowi swoje upodobania.

— W takim razie jeszcze jedną kolejkę — zarządził Shane.

Mamma-san wyszła i po chwili wróciła ze wszystkimi dziewczętami, które im towarzyszyły poprzednio, z wyjątkiem partnerki Suna. Bill wytrzeszczył oczy na jej zastępczynię i nie mógł oderwać od niej wzroku. Dopiero po drugiej chwili oszłomienia i niedowierzania rozpoznał, kim jest ta dziewczyna.

Mamma-san wyszczerzyła zęby w uśmiechu i wyciągnęła ręce niczym asystentka sztukmistrza na koniec numeru. Dziewczyna była niska, dość przysadzista, ale miała ładną buzię i — zgodnie z zamówieniem złożonym niczym na potrawę wegetariańską — duże piersi.

Oczy przewodniczącego zwężyły się z zadowolenia, a Bill cały czas wpatrywał się w nowo przybyłą, ubraną jak wszystkie pracownice baru w umiejętnie porozdzierane tutu, drepcząca niepewnie w źle dopasowanych szpilkach niczym baletka w burdelu. Wpatrywał się jeszcze przez chwilę, aż nagle poderwał się na równe nogi ze sflaczałej sofy i pociągnął dziewczynę do drzwi.

Nową towarzyszką przewodniczącego Suna miała być Li Ling Yuan, siostra JinJin.

— Co ty tu robisz? — zapytał, a zadając to głupie pytanie, słyszał gniewne protesty *mamma-san* i niezadowolony ryk Suna za swoimi plecami.

Ling Yuan spojrzała na niego i dopiero teraz go poznała. Po pierwszym zaskoczeniu spochmurniała, ale nie przestraszyła

się jego obecności, tak jak powinna, pomyślał. Szczerze mówiąc, w ogóle się nie przestraszyła. To Bill był tu nie na miejscu.

— Co ty wyprawiasz? — Potrząsnął nią gniewnie. — Odpowiedz mi, Ling Yuan.

Shane położył mu dłoń na ramieniu i próbował go uspokoić. Ling Yuan usiłowała mu się wyrwać, ale Bill, trzymając ją mocno za nadgarstek, odwrócił się do pozostałych, aby się wytłumaczyć.

— Ja znam tę dziewczynę — oznajmił, jakby to wszystko wyjaśniało. — Ja znam tę dziewczynę.

— Ona nazywa Cherry — powiedziała *mamma-san*. — Dobra dziewczyna.

— To nie jest żadna cholerna Cherry — zaprotestował ze złością Bill. — Ja ją znam.

Przewodniczący pstryknął dwukrotnie palcami i Ling Yuan ruszyła w jego stronę, ale Bill wyciągnął rękę i zatrzymał ją. Sun zaczął krzyczeć po mandaryńsku, *mamma-san* burczała po kantońsku, a do chóru dołączyła Ling Yuan, zawodząc i użalając się nad sobą jak rozpieszczona nastolatka, której niesprawiedliwie zarządono szlaban.

— Wychodzimy — rzucił Bill do Ling Yuan. — Odwrócił się do Shane'a. — Nie będę o tym dyskutował. To jest siostra JinJin. On nie będzie jej pieprzył, jasne? — Popatrzył na *mamma-san*. — Ta dziewczyna odchodzi. — Podniósł głos na przewodniczącego Suna. — Znajdź sobie kogoś innego!

— Ale ona nie może tak po prostu odejść — zaprotestował cicho Shane ze zboląłą miną. — Tu obowiązują inne zasady.

— W takim razie zapłać za nią barowe — powiedział Bill. — Nie obchodzi mnie, co zrobisz. W każdym razie ona wychodzi ze mną, i to natychmiast. Mówię poważnie, Shane. Idzie się przebrać i wychodzimy.

Przy drzwiach stało dwóch bramkarzy. Shane rozmawiał z przewodniczącym Sunem i usiłował go udobruchać, a jednocześnie targował się z *mamma-san*. Ani jedno, ani drugie nie

wyglądało na przekonane. Sun wściekle potrząsał głową, nie odrywając oczu od biustu Ling Yuan. *Mamma-san* zrobiła krok w tył i stanęła pomiędzy bramkarzami. Zastygły herbaciany uśmiech zniknął.

— Co ty tu robisz? — spytał Bill, zwracając się do Ling Yuan, jakby byli tylko we dwoje.

— Pracuję — odparła, przewracając oczami ze zniecierpliwieniem na teplotę tego pytania.

Spodziewał się, że zapyta: „A co ty tu robisz?”, ale nie zapytała. Nie powiedziała niczego więcej, jakby wszystko było tak oczywiste, że nie trzeba było słów.

Shane skonsultował się z *mamma-san* i dobił targu.

— Możesz za nią zapłacić barowe — oznajmił Billowi. — Ale umowa jest taka sama jak za pozostałe dziewczęta. — Podniósł rękę, kiedy Bill zaczął protestować. — Przykro mi, stary. Zostawiamy pieniądze, nazwę hotelu, numer pokoju i godzinę. Wtedy dziewczyna zapuka do twoich drzwi.

— Ale to jest...

Shane potrząsnął głową, tracąc w końcu do niego cierpliwość.

— Albo płacisz barowe i przywożą ci ją później, albo pozwalam jej wrócić do pracy. Wybieraj.

Złagodniał i uśmiechnął się, kiedy Bill puścił nadgarstek Ling Yuan. Popatrzyła na niego jak obrażone dziecko. Shane otoczył przyjaciela ramieniem i popatrzył na niego z niewymownym smutkiem.

— Widzisz, to inne czasy, stary — powiedział łagodnie. — Albo gramy według ich zasad, albo nie gramy w ogóle.

* * *

Z okna hotelu widział Chiny, chociaż niewiele było do oglądania: tylko droga biegnąca wzdłuż wybrzeża do najbliższego miasta na kontynencie, Zhuhai, z rzadka rozsiane białe wille, w większości ciemne i opuszczone, ogromne palmy kołyszące się pod sznurami żółtych lamp, kiedy wiatr wzmagął

się wściekle. Raz na jakiś czas niebo przecinała błyskawica i oświetlała ten widok. Zaczęło padać.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do JinJin. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Becki. W końcu jednak nie zadzwonił do nikogo. Stał i czekając na Ling Yuan, obserwował ruch uliczny na drodze do Zhuhai i spoglądał na zegarek.

Potem pomyślał: może ona nie przyjdzie? I im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to prawdopodobne. Po co miałyby przychodzić? Nie wyrzucą jej, jeśli się nie pokaże. Po co ma przychodzić do pokoju, gdzie nakrzyczy na nią chłopak jej siostry? Nabral pewności, że nie przyjdzie.

I właśnie wtedy zapukała do drzwi.

Wyglądała jak zupełnie inna dziewczyna. Wyzywający majkijaż zniknął. Miała na sobie czarny T-shirt, sportowe buty i dżinsy z napisem „Juicy” z tyłu, co zobaczył, kiedy weszła do pokoju. Tak ubrałyby się jej starsza siostra. Kto wie, może nawet były to stare dżinsy JinJin. Nie, niemożliwe, zupełnie nie ten rozmiar. Sama sobie kupowała teraz ciuchy. Koniec z odziedziczonymi ubraniami. Miała własne pieniądze. Weszła do pokoju, a kiedy przechodziła obok Billa, zauważył paski od stringów wystające ze spodni pod krótką koszulką odsłaniającą brzuch. Stała na środku pokoju i odwróciła się do niego. Bill pokręcił głową.

— Nie mogę w to uwierzyć — rzekł. — Co by powiedziała twoja matka? Co by powiedziała twoja siostra?

Ale ona była na wszystko przygotowana. Teraz zrozumiał, czemu tu przyszła. Żeby się przed nim usprawiedliwić.

— Moja siostra kogoś ma — odparła ze złością. Miała tę chińską zdolność zapalania się nagle gniewem, przechodzenia jednym płynnym ruchem od cichej obojętności do wściekłego szału. — Moja siostra zawsze kogoś ma, zawsze ktoś o nią dba. Ten mężczyzna z Szanghaju. Teraz ty. Bogaty obcokrajowiec. A ja nie mam nikogo.

Bill potrząsnął głową. To nie był wystarczający powód. Nic nie mogło usprawiedliwić czegoś takiego.

— Ling Yuan, jeśli potrzebowałaś pieniędzy, mogłem ci je dać. Albo twoja siostra. — Mówił łagodnym głosem. Ciągłe wierzył, że może ją uratować. — Nie w ten sposób, Ling Yuan. To jest niewłaściwa droga. Przecież musisz o tym wiedzieć.

Odsłoniła drobne białe zęby w wyzywającym uśmiechu.

— Ta fabryka, gdzie ty mnie zabrałeś, jest zła — powiedziała. — Pieniądzy starcza tylko na jedzenie. Szef zły człowiek. Robi dziewczętom złe rzeczy. Za mało pieniędzy, żeby wysłać do domu. Rozumiesz? Mama chora. Rozumiesz?

— Wiem, że twoja mama jest chora.

Podniosła w górę dłoń i potrząsnęła palcami

— Pieniądze w barze karaoke cztery razy, pięć razy lepsze niż w fabryce. A kiedy dobra noc, dziesięć razy lepsze.

— Sprzedajesz siebie. Czy tego właśnie chcesz? Nie wierzę, że możesz tego pragnąć.

— Fabryka bardzo zła — powtórzyła.

Odwróciła się od niego i podeszła do okna. Obserwował ją, jak patrzy na dalekie światła. Deszcz świstał i wyl między gałęziami palm. Rozpadało się jeszcze mocniej. Coś sunęło po drodze. Z początku Bill myślał, że to jakiś wielki pojazd z popsutymi hamulcami, ale to był billboard wyrwany z ziemi przez wiatr. Na plakacie uśmiechnięta dziewczyna trzymała w ręku różowy telefon komórkowy. Zdawało się, że uśmiecha się do Billa, kiedy wiatr poderwał billboard w powietrze, wyginał go, aż w końcu zdjęcie znikło w ciemności na drodze do Chin dostojnie niczym olbrzymi latawiec.

— Zaczyna się pora tajfunów — stwierdziła Ling Yuan jak apatyczna spikerka w prognozie pogody. — Zaczyna się w czerwcu. Zawsze to samo. Tajfuny przychodzą w czerwcu, lipcu i sierpniu. Ten rok bardzo zły. Może być dużo tajfunów.

Podszedł do okna i stanął obok niej. Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, jakby szkody zostały już wyrządzone, chociaż nawet się jeszcze nie zaczęły.

— To droga do Zhuhai — powiedział cicho. Widać stąd kontynent.

— Wiem — odparła. Wprawiała go w zdumienie i szok, i najwyraźniej jej się to podobało. — Byłam już w tym hotelu. — Rozejrzała się, jakby szukała czegoś, co tu zostawiła. — Może nawet w tym pokoju. — Uśmiechnęła się, widząc jego minę. — Jestem w Makau miesiąc i znam już każdy hotel. — Zaczęła wyliczać na palcach jak dziecko. — Lisboa, Tin Tin Villa, Fortuna, Mandarin Oriental...

Ta litania hoteli przepełniła go rozpaczą.

— Obracasz się po świecie, co? — powiedział.

Z dumą kiwnęła głową.

— Mam duże powodzenie. *Mamma-san* mówi: „Dobra dziewczyna, Cherry. Najlepsza dziewczyna w barze”.

Podniósł dłoń.

— Bądź tak miła i nie nazywaj siebie Cherry, dobrze? To nie jest twoje imię.

Popatrzyła na niego z prawdziwym oburzeniem.

— To śliczne imię. Cherry. Amerykańskie imię.

Bill zapłonął gniewem.

— To idiotyczne imię. Nikt na Zachodzie nie nazywa się Cherry. Nikt w prawdziwym świecie nie nazywa się Cherry. Żadna matka nie da swojemu dziecku takiego imienia. To imię dla dziewczyny z azjatyckiego baru. Tak niektóre *mamma-san* nazywają małe głupie dziewczątka jak ty. Posłuchaj mnie wreszcie, dobrze?

Wziął ją za rękę. Zależało mu, żeby to zrozumiała. Ale zaciął się, ponieważ Ling Yuan wyglądała trochę jak jej siostra — młodsza, pulchniejsza wersja JinJin.

Pod wieloma względami były kompletnym przeciwieństwem: jedna wysoka, smukła, z małymi piersiami, druga niska i pulchna, jakby składała się z samych krągłości. Jedna przypominała tancerkę, druga starodawną dojarzkę lub karczmarkę. Popatrzył na tę młodszą siostrę, kiedy wziął ją za rękę

i nie mógł zaprzeczyć, że ujrzał w niej cień kobiety, którą kochał.

— Masz na imię Ling Yuan — upominał ją.

Upominał w ten sposób również wszystkich mężczyzn z hotelowych pokoi, upominał samego siebie.

Znowu błysnęła białymi, drobniutkimi ząbkami w tym na wpół uśmiechu, na wpół grymasie.

— Może i tak, ale w tym miejscu w nowym życiu nazywam się Cherry.

Bill potrząsnął głową.

— Nie wiem, co z tobą począć — stwierdził.

Uświadomił sobie nagle, jakie ma chłodne dłonie, pulchne, inne. Coś go ścisnęło za gardło. Ling Yuan uniosła jedną, nadmiernie wyregulowaną brew i uśmiechnęła się szerzej, jak gdyby to, co powiedział, nie było do końca prawdą. Bill puścił jej ręce i cofnął się, ale patrzyli na siebie, jakby zobaczyli się pierwszy raz w życiu.

Przestała się uśmiechać i przez długą chwilę milczeli, a kiedy się wreszcie odezwała, jej głos ledwo przebijał się przez szum klimatyzacji.

— Dobrze się baw — powiedziała i z emfazą pokiwała głową.

I zabrzmiało to tak niepodważalnie i rzeczowo jak uderzenie młotem.

To była tylko chwila i możliwe, że nigdy nic więcej nie istniało niż chwila i nigdy nie istnieje, a wszystkie jego myśli o miłości i wieczności były tylko paczkowanym zachodnim urojeniem.

Tylko chwila, dziewczyna i półmrok hotelowego pokoju, i pragnienie. Wziął ją w ramiona i poczuł, jak narasta w nim gorączka, a ona szła powoli do tyłu i prowadziła go w stronę łóżka.

A potem odepchnął ją nagle od siebie i prowadził za łokieć do drzwi i wyprowadzał na korytarz, zanim się zdąży rozmyślić.

— Wracaj do domu, do matki — rzucił ze złością.

Ling Yuan uniosła prawie nieistniejące brwi i śmiała się z niego, jakby powiedział dobry żart albo okazał się skończonym głupcem.

Trzasnął za nią drzwiami i podszedł do okna i patrzył, jak burza wzbiera nad kontynentem, i próbował uspokoić walące serce i gwałtowny oddech. Elektryczne wyładowania rozdzierały noc i oświetlały każdą kroplę deszczu. Nacisnął guzik na stoliku nocnym i z ulgą patrzył, jak zasłony zaczęły się zasuwąć.

Miał serdecznie dosyć patrzenia na Chiny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nadciągnęły deszcze i padały bez ustanku.

Przez trzy tygodnie słyszało się tylko o tym. Rzeki wystąpiły z brzegów na wschodzie i południu Chin. Milion ludzi straciło dach nad głową w Zhejiangu, Fujianie, Kiangsi, Hunanie i Kuangsi. Na południe od Szanghaju aż do granicy z Wietnamem szalały wichury i deszcze i zdawało się, że nie ma temu końca.

Tylko o tym się słyszało. Powodzie, osuwiska, zatopione pola, zniszczone domy. Wojskowe śmigłowce zrzucające wodę w butelkach i zupki w proszku dla wysiedleńców. Zarejestrowany przypadek tyfusu w Hunanie. Ostatnie liczby zabitych i zaginionych.

Shane siedział na parkingu w podziemiach bloku, gdzie mieszkał. Na siedzeniu pasażera leżała torba podróżna spakowana na dwudniowy wyjazd. Garnitur przemókł mu do suchej nitki po krótkim biegu z parkingu do terminalu lotniska.

Miał znowu lecieć z Niemcami do Hongkongu, ale żaden samolot nie lądował ani nie startował z Pudongu. „Proszę przyjść jutro”, powiedziała kobieta w kasie biletowej linii lotniczych Dragon Air. Jutro może będzie lepiej.

Tak więc siedział w samochodzie w mokrym garniturze i

odwlekał chwilę powrotu do mieszkania. Bał się, że może tam być jego żona i bał się, że może być gdzie indziej.

* * *

Bill przyciskał twarz do szyby oddziału położniczego.

W Międzynarodowym Szpitalu Rodzinnym przychodziły na świat dzieci o różnym kolorze skóry, ale wszystkie w Chinach zawijano ciasno, jak paczuszki, z maleńkimi rączkami przyciśniętymi do boków. Czy Billa cały czas powracały w stronę jednego noworodka.

Dziewczynka. Był pewien, że to dziewczynka, chociaż nie mógł tego wiedzieć. Półkrwi Chinka, półkrwi Europejka. Dziecko na wpół spało. Maleńkie usteczka jak pączki kwiatu poruszały się w jakiejś niewyrażonej skardze. Widok śpiącego niemowlęcia wywołał uśmiech na jego twarzy. Z jakiegoś powodu dzieci mieszanej krwi charakteryzowały się uderzającą urodą, pomyślał. Śpiąca dziewczynka ucieleśniała w jego oczach całe piękno świata.

Spojrzał na zegarek i odwrócił się od szklanej ściany oddziału położniczego w tej samej chwili, gdy z windy wysiadł doktor Sarfraz Khan. Lekarz minął go ze spuszczoną głową, studiując jakieś dokumenty. Ułatwił im obu sytuację.

JinJin siedziała w swojej sali, ze spakowaną torbą na łóżku. Była prawie gotowa do powrotu. Twarz miała bladą po narkozie. Pocałował ją w policzek.

— Czekam jeszcze tylko na receptę — oznajmiła. — Przepisz mi antybiotyki i leki przeciwbólowe, a potem mnie zwolnij.

Usiadł na łóżku i wziął ją za rękę. To było całkiem nowe słownictwo, pomyślał. Leksykon szwankującego zdrowia. Świadomość, że pewnego dnia twoje własne ciało może cię zdradzić.

W chińskim szpitalu, dokąd pojechała w pierwszej kolejności, powiedziano jej, że guz jest łagodny i że powinna się nauczyć z nim żyć. To były stare Chiny. Zmagać się z rzeczami, z

którymi człowiek wcale nie musi się zmagać. Bill namówił ją, żeby pojechała do Międzynarodowego Szpitala Rodzinnego, gdzie usunięto guz i zapewniono, że bliźny prawie nie będzie widać. Jednak sama konieczność operacji była dla nich obojga wstrząsem. Jakby twarda rzeczywistość w końcu się o nich upomniała.

Objął ją ramionami, ale delikatnie, ponieważ wiedział, że jest bardzo obolała i mdli ją po narkozie. To nie jest objęcie kochanków, pomyślał. Zupełnie nie jak kochanków. Ten etap mieli za sobą.

Znowu pocałował ją w policzek i znowu pomyślał, że to nie był pocałunek kochanka. Raczej najbliższego przyjaciela, jak pocałunek mężczyzny i kobiety, którzy ugrzęźli razem w zdrowiu i w chorobie, niczym para małżonków, i to małżonków od wielu, wielu lat.

* * *

Spotkali na schodach sąsiada. Faceta z mieszkania na górze. Brada.

— Wszystko w porządku, JinJin? — zapytał z troską w głosie. Jakby można było tak po prostu wkroczyć w czyjeś życie i udawać, że się człowiek przejmuje, pomyślał Bill.

Jakby jakaś więź mogła się zrodzić ot tak sobie, w jednej chwili. Jakby to nie wymagało czasu. I jeszcze miał czelność wziąć ją za rękę. — Dobrze poszło? — zapytał.

A więc musiała mu powiedzieć. Byli ze sobą tak blisko, że mu powiedziała o guzie na piersi. I teraz stał na schodach w drodze do wyjścia i zachowywał się, jakby go to wszystko obchodziło. Wcisnął się plecami w ścianę, podczas gdy JinJin uśmiechnęła się, kiwnęła głową i zabrała dłonie. Bill przecisnął się koło niego z torbami w obydwu rękach.

— Nic jej nie jest — rzucił, nie zatrzymując się.

Potem byli w mieszkaniu i podczas gdy JinJin brała prysznic, Bill stał w drzwiach i patrzył na nią, jak stara się omijać opatrunek na lewej piersi z czarną kropką zakrzepłej krwi

przesiłekającej przez gazę. A kiedy skończyła, położyli się do łóżka i leżeli obok siebie.

Nie mógł zostać na noc nawet dzisiaj, kiedy wróciła ze szpitala. Wisiał między nimi niewypowiedziany smutek. Oboje wiedzieli, że około północy nadejdzie moment, kiedy on wstanie i zostawi ją, i wróci do domu. Chciał jej pokazać, że zrobiłby dla niej wszystko. Pragnął nie tylko o tym mówić, ale udowodnić to swoimi uczynkami. Lecz koniec końców nie mógł nawet zostać z nią na noc i to, czego pragnął, nie miało najmniejszego znaczenia. Leżał przy niej, słuchał jej głosu, jej cudownego głosu dźwięczącego w ciszy nocnej jakby myślała na głos.

— Mówisz sobie, że idziesz z nieżonatym mężczyzną — powiedziała. — A potem widzisz, że patrzy co rusz na zegarek. Potem, że sprawdza w lustrze i martwi się, czy nie widać gdzieś śladów szminki. A potem zdajesz sobie sprawę, że nie może zabrać do domu prezentu urodzinowego i gwiazdkowego od ciebie, a jeśli zabierze, to musi go ukrywać. I zastanawiasz się, ile prezentów wyrzucił do śmieci, tych, które długo wybierałaś, ponieważ one mówiły, jak bardzo go kochasz. A kiedy jesteście razem, to czujesz, że jest... pięknie. Naprawdę. To jest właściwe słowo. Pięknie i... słusznie. Lecz kiedy siedzisz sama, kiedy on pójdzie i wszystkie noce spędzasz sama, to wszystko wygląda brzydko. I to też jest właściwe słowo. — Odwróciła do niego twarz. — Co ja teraz zrobię, Bill? Co się ze mną stanie?

Odwrócił się na bok, przelożył rękę przez jej brzuch i przytulił ją i nie potrafił nic powiedzieć. Pewnej granicy wypowiedzianych kłamstw nie mógł przekroczyć. Poczul to właśnie w tej chwili.

— Muszę iść — stwierdził, wstając.

— Zanim wyjdiesz — powiedziała, a on wiedział, że planowała to od początku — chciałabym ci pokazać kilka zdjęć.

Fotografie przedstawiały jej siostrę z nowym chłopcem.

Wielki wyszczerzony Niemiec oplatał ramieniem uśmiechniętą Ling Yuan, która od jego wizyty w Makau zyskała kilka kilogramów i pierścionek zaręczynowy.

— Jest bardzo przystojny — stwierdziła JinJin, mówiąc o tym wyjątkowo przeciętnym mężczyźnie. — Nie uważasz, że jest bardzo przystojny?

— Boski — rzekł Bill, po czym urwał z wahaniem. — A co z tym okresem, kiedy... jej nie było? — Popatrzyli na siebie. — Co z tamtym?

JinJin potrząsnęła głową, szybko przerzucając zdjęcia niczym krupier nową talię kart.

— Nikt o tym nie mówi — odparła. — To już jest nieważne. — Oglądała uważnie zdjęcia. — Ale myślę, że byłam dla niej lepszą siostrą niż ona dla mnie.

Wyciągnął do niej rękę, a ona się nie cofnęła, jak się spodziewał, nie odsunęła. Pod tym względem należeli do dwóch różnych światów. Ona nie potrafiła dać za wygraną tak łatwo jak on.

— Chcę jednej rzeczy — powiedziała. — Chciałabym mieć nasze dziecko. Nie obchodzi mnie, że będziesz z żoną— dodała, ale zaraz się poprawiła: — To znaczy, obchodzi mnie, lecz nic nie powiem. — Przerwała. — Ale chcę mieć nasze małżeństwo. — Znowu wymówiła to „nasze małżeństwo”. — Tak, tego właśnie chcę.

I jakaś część Billa też tego chciała. Nawet teraz. Ponieważ byłoby to prześliczne dziecko. Ale to by go zabiło. Początek tego nowego życia oznaczałby koniec jego własnego. Ponieważ miałby wtedy dwa domy, dwie żony i dwa życia i te dwa życia rozdarłyby go na pół. Lubił myśleć, że uczyniłby dla JinJin wszystko. Lubił to sobie powtarzać. Ale koniec końców nie mógł zrobić nic. Ponieważ miał już żonę i dziecko i wypełniały jego serce. I nawet gdyby żona go nie chciała, to i tak wypełniałyby jego serce. Robiło się późno.

— Muszę już iść.

JinJin kiwnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu, bo teraz

już nie było sposobu, aby zawrócić, ani sposobu, aby iść naprzód. I nie było o czym rozmawiać. Dopiero przy drzwiach zatrzymał go jej głos.

— Słyszałam w telewizji, że mężczyźni nigdy nie żenią się z kobietami, które naprawdę kochają. Myślisz, że to prawda?

Bill potrząsnął głową.

— Nie. Uważam, że to nieprawda — odrzekł ze smutkiem.

— Ale miło byłoby tak myśleć, nie sądzisz?

* * *

W mieszkaniu grała muzyka. Shane usłyszał ją, zanim wyjął klucz z zamka. To nie była jego muzyka. Nie Eddie and the Hot Rods, nie Thin Lizzy, tylko jeden z tych piosenkarzy, których lubiła jego żona — z ogoloną głową, łańcuchami, tatuażami. Jeden z tych, którzy uwodzą w taki sposób, że brzmi to jak groźba fizycznej przemocy. To nie przypominało *96 Tears* ani *Do Anything You Wanna Do*. Rosalita ze swoim przyjacielem nie puszczała piosenek Shane'a. Puszczała nowe, swoje własne piosenki.

W pierwszej chwili Shane nie rozpoznał mężczyzny, który leżał w łóżku z jego żoną. Dopiero po chwili. To był właściciel baru na Mao Ming Nan Lu, kilka metrów obok Suzy Too, lokalu z muzyką na żywo. To go zdumiało, ponieważ gotów byłby postawić duże pieniądze na basistę z zespołu Rosality. Zawsze podejrzewał basistę, który od samego początku patrzył na niego z taką nienawiścią, jakby Shane swoim zjawieniem się wszystko mu popsuł. I miał rację. Wszystko się popsuło i nic już nie mogło być dobre.

Właściciel klubu leżał rozwalony na stercie poduszek, z koldrą odrzuconą na bok i do połowy zsuniętą na ziemię, a Rosalita klęczała przed nim z głową między jego nogami.

Jej skóra była taka brązowa na tle jego bladego europejskiego ciała. Kim on był? Francuzem? Niemcem? W Szanghaju pełno było Francuzów i Niemców. Nie to co w Hongkongu.

Tym miastem zawładnęły inne nacje. Trzymała go w ustach, ustach, które całowały Shane'a w dniu ich ślubu, ustach, o których myślał kiedyś, że idealnie pasują do jego ust.

Muzyka była bardzo głośna i zagłuszyła jego wejście. A potem go zobaczyli i poderwali się. Mężczyzna wyglądał na takiego wściekłego, że Shane przez chwilę się zastanawiał, czy nie będzie chciał się z nim bić, i poczuł, jak jemu też się zaciskają pięści, i wiedział, że go pokona, mimo że tamtemu krew buzowała w żyłach.

Ale ten facet, właściciel baru na Mao Ming Nan Lu, gdzie grali muzykę na żywo, wściekał się na Rosalitę, wściekał się na jego żonę, nie na niego, bo nie powinna była przyprowadzać do domu mężczyzny, jeżeli jej durny mąż nie został bezpiecznie uziemiony w biurze albo wyprawiony w podróż służbową.

— Ty głupia krowo — burczał, schodząc z łóżka, podczas gdy Rosalita bezsensownie próbowała zasłonić piersi prześcieradłem zaciśniętym w pięściach.

Z jakiegoś powodu ta obelga pod adresem jego żony Shane'owi również zagotowała krew w żyłach.

Bardziej niż oszustwo, bardziej niż widok jego ukochanej brązowej skóry przylegającej do sflaczałego białego cielska, bardziej niż to, co robiła swoimi kłamliwymi ustami, bardziej niż dźwięk obcej muzyki płynący z głośników, ubodła go ta obelga. „Ty głupia krowo”.

Powinien uważać, co mówi, pomyślał Shane.

Mężczyzna i Rosalita zaczęli się kłócić, a Shane poszedł do dużego pokoju, zdjął Mona Lizę i wstukał szyfr w zamku: datę urodzin swojej żony. Wrócił do sypialni z makarowem w rękę.

Wytrzeszczyli na niego oczy. I wytrzeszczyli oczy na stary rosyjski pistolet. Shane westchnął. Nareszcie cisza. Jeśli nie liczyć cudzej muzyki.

Ta muzyka jest taka pełna nienawiści. Prawdziwej nienawiści. Był bardzo spokojny, chociaż wiedział, że chyba w ogóle nie oddycha.

Nagle właściciel baru wybuchnął śmiechem.

— Nie zastrzelisz mnie — powiedział pewnym siebie głosem, wciągając spodnie i zasuważąc zamek rozporoka. — Rosalita jest twoją przyjaciółką i tak samo moją, więc nie zastrzelisz mnie.

I wtedy Shane strzelił mu w brzuch, jednym drobnym ruchem prawego palca wskazującego wywołał nagły huk i widok mężczyzny odrzuconego do tyłu, trzymającego się ze zdumieniem za ranę w brzuchu, ranę, która go zabije, ale nie od razu, co nie znaczy, że Shane tak to zaplanował, i mężczyzna zaklął głośno z niedowierzania, i zamachnął się ręką w jego stronę, kiedy osuwał się do przodu na kolana, z głową spuszczoną, jakby ze wstydu, i w końcu poczuł wstyd, a krew rozlewała się po białej pościeli.

Shane jednak tego nie widział, ponieważ patrzył na swoją żonę, która wrzeszczała, wzywając pomocy: „Ratunku, niech mi ktoś pomoże, on chce mnie zabić”, z tym dziwnym hiszpańskim akcentem, który wnosiły do angielskiego osoby mówiące językiem tagalog, i czołgała się po łóżku, potem po podłodze, a on znowu poczuł palec na spuście, mięśnie i kości naciskające na wypustkę z taniego czarnego metalu. A potem poczuł, jak się zatrzymuje.

Włosy miała rozpuszczone, niezwiązane i przerzucone przez jedno ramię jak zwykle, ale zwisały luźno, tak jak zawsze tylko w łóżku, kiedy spała albo się kochała. A pod zwisającymi włosami Shane zobaczył atramentową plamę na jej szyi, ostatni raz, znamię, które ciągle tak usilnie starała się ukryć. W tym momencie Shane nie miał już wątpliwości: kochał ją i cieszył się, że ją poślubił, i zrobiłby to jeszcze raz, w każdej chwili.

Zobaczył jej znamię i wiedział, że słońce wschodzi i zachodzi razem z nią. Więc opuścił pistolet, a potem uniósł go i przycisnął lufę do własnej, pulsującej skroni i wreszcie nacisnął spust.

W ostatniej chwili, zanim zapadł w nicość, przypomniał

sobie, jak wyglądała, kiedy ją zobaczył pierwszy raz: taka pełna życia; nigdy nie widział kogoś tak pełnego życia, i był wdzięczny, wdzięczny za to wszystko. I przypomniał mu się pewien dawno zapomniany poranek z jego wczesnej młodości w Australii: słońce wschodziło, brodził w morzu z deską surfingową w rękach, a woda była taka chłodna od pasa w dół, że raptownie głośno wciągnął powietrze, chociaż słońce grzało twarz i ramiona; i przypomniał sobie jedną ze swych pierwszych nocy w Azji, chyba w Hongkongu, po stronie Koulunu, było wspaniale, jadł swoją pierwszą kaczkę po pekińsku i sos *hoysin*, i pił pierwsze tsingtao; kto kiedykolwiek próbował takiej kaczki albo takiego piwa, albo w ogóle wiedział, że istnieją: sos śliwkowy na niedowierzającym języku, miasto na horyzoncie błyszczące jak gwiazdy; i przepęniała go za to wszystko wdzięczność, a potem wszedł głębiej w morze i na deskę, i woda na jego skórze już wysychała, a słońce wschodziło i prawie go oślepiało.

Był to tylko ostatni króciutki moment w jego życiu, ale pamiętał wszystkie dobre rzeczy, które znał, i wiedział, że wszystkie były przelotne; jak można czuć coś poza ukłuciem smutku, którego się doświadcza, kiedy coś tak słodkiego i dziwnego, i cudownego nigdy więcej się nie powtórzy.

CZĘŚĆ CZWARTA

Do zobaczenia

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Powiedziano mu, że to miasteczko, ale to niezupełnie pokrywało się z prawdą — raczej bezładna zbieranina chałup otoczona z jednej strony poletkami ryżowymi smaganymi deszczem, z drugiej szeroką, wzbierającą rzeką. Brzegi pokrywał gęsty, czerwony szlam. Dlatego właśnie przyjechała tu Nancy Deng.

Samochód podskakiwał na ubitej drodze, nowy kierowca firmy — starszy mężczyzna, którego mniej od Tygrysa ciągnęła gorączka złota — ścisnął kierownicę i usiłował ominąć starszkę pchającą rower, bosymi nogami chlupiącą po błocie. Żaden inny samochód nie jechał tą drogą.

— Widzę ją — odezwał się Bill. — Zjedź na bok.

Zobaczył Nancy na polu. Otaczała ją grupka miejscowych — małych postaci w przezroczystych płaszczach przeciwdeszczowych. Wyglądali jak duchy na tle soczystej zieleni krajobrazu. Bill wysiadł z samochodu i ruszył w ich kierunku jedną ze ścieżek wijących się przez pole ryżowe. Jego parasol wyginał się na wietrze. Na polu płynęły strumienie koloru rdzy. Nancy odwróciła się do niego, kiedy zawołał ją po imieniu.

— Tak mi przykro z powodu... Shane'a — powiedziała.

Po raz pierwszy wymówiła jego imię.

Bill skinął głową. Wieśniacy zaczęli się rozchodzić z głowami schylnymi na deszczu. Szli gęsiego ścieżką między polami w stronę swoich domów. Bill pomyślał, że wygląda to jak procesja pogrzebowa. Popatrzył na pomarańczową wodę pod ich stopami.

— To jest to? — zapytał. — Z fabryk?

Nancy wskazała ręką rzekę.

— Mam naukowca, który mi pomaga. Pro bono. — Zdjęła okulary i wytarła je palcami. — Znalazł ślady ciężkich pierwiastków w wodzie z fabryk. — Nałożyła z powrotem okulary. — Wylewają odpady do rzeki i nikt ich nie może powstrzymać.

Rdzawa woda przesiąkała mu przez buty.

— Co tam produkują?

— Pestycydy. Środki owadobójcze. Fluorki. Plastik. Wieśniacy muszą brać z rzeki wodę do nawadniania pól ryżowych, do picia. Ryż nie obrodził przez zanieczyszczoną wodę w rzece. Dzieci przychodzą na świat z wadami wrodzonymi. Tu mieszka kilka tysięcy ludzi, a setki z nich umierają.

Bill popatrzył na żalosne małe chałupy. Wioska raków, tak ją nazwano.

— Ale co ty możesz w tej sprawie zrobić, Nancy? — spytał.

— Powstrzymać ich — odrzekła. — Ustalić związek między fabryką i chorobami. Zmusić rząd, żeby zastosował wobec nich swoje prawo. Udowodnić, że fabryki pracujące w górze rzeki zatrują tych ludzi. Chronić żyjących. Wymusić rekompensaty dla poszkodowanych. Zadbać o chorych. Tu żyją dzieci pozbawione rodziców. Umierający ojcowie i matki. Wszyscy ich opuścili. Nie mają nikogo. Ani partii, ani rządu, nikogo, kto by o nich walczył.

— Teraz już mają — zauważył Bill.

Nancy pokręciła głową.

— Ja nic nie znaczę, wiem o tym. Ale są inni podobni do mnie. W centrach pomocy prawnej. Prowadzą gorące linie. Pracują na uniwersytetach. W całym kraju.

Zawsze kiedy patrzył na Nancy, widział w niej nadzieję na przyszłość. Zdawał sobie sprawę, że w całym kraju są niezliczone takie wioski jak ta, ale wiedział też, że są młodzi prawnicy, tacy jak Nancy, oferujący swoją pomoc za darmo albo za symboliczne grosze, nierzadko wykorzystujący własną pracę w prywatnej firmie prawniczej na utrzymywanie ich działalności pro bono, przynajmniej dopóki nie będą mogli sobie pozwolić na to, by odejść i robić coś poza zarabianiem tłustej pensji i migotliwej przyszłości. Bill domyślił się, że to właśnie robiła Nancy przez te wszystkie lata pracy w Butterfield, Hunt and West. Oszczędzała pieniądze na czasy, kiedy będzie pracować za darmo.

— Chcę, żeby najbiedniejsi ludzie w tym kraju mogli korzystać z obowiązującego prawa. — Popatrzyła w dół na rdzawoczerwoną wodę na swoich butach. — Będzie ci go bardzo brakowało — powiedziała. — Twojego przyjaciela.

Bill odwrócił wzrok.

— Brakuje mi go. Wszystkim go nam brakuje. — Spojrzał z powrotem na Nancy. — Dlatego tu jestem. Devlin mnie przysłał. Mamy tyle pracy, że sobie nie radzimy. Z Londynu przylatują nowi ludzie, ale to też nie wystarczy. Firma chce, żebyś wróciła do pracy. Potrzebujemy cię.

Nancy pokręciła głową i pokazała plastikowe duchy znikające w swych skromnych domach.

— Oni mnie bardziej potrzebują.

Nie naciskał. Wiedział, że Nancy za nic nie wróci do firmy. Mówił to Devlinowi od początku. I w głębi serca nie chciał, żeby wróciła. Chciał, żeby tu została i walczyła dla tych ludzi. Nie chciał, żeby była taka jak on.

— Musisz na siebie uważać, Nancy. — Słyszał, co się mogło przytrafić młodym, idealistycznym prawnikom, którzy pracowali za darmo dla biedaków. — Masz do czynienia z ludźmi, którym morderstwa uchodzą na sucho.

— Nic mi nie będzie — powiedziała, jakby wierzyła, że nie może jej spotkać nic złego. Ale Bill wiedział, że to złudna wiara.

— To nie ma znaczenia, jacy będziemy bogaci. Chiny na zawsze pozostaną krajem Trzeciego Świata, dopóki sądy nie zaczną bronić maluczkich. Dopóki nie nastaną u nas rządy prawa, dopóty pozostaniemy narodem wieśniaków.

— Jakbym słyszał Wściekłego Mitcha — zauważył Bill.

— To on mi opowiedział o rządach prawa. Nie zauważyłeś tego? „Rządy prawa oznaczają, że przepisy stosują się do każdego człowieka w takiej samej mierze. Tam, gdzie nie istnieją rządy prawa, prawne rozwiązania muszą być niedoskonałe. Rządy prawa stanowią korzeń i zarazem gałąź demokracji”. Mitch wierzy, że to, co robimy, jest uświęconą profesją. Jak lekarz. Mitch jest bardzo dobrym prawnikiem.

— Tylko trochę nie pasuje do tego miejsca — stwierdził Bill. — W Chińskiej Republice Ludowej żyje niewiele świętych.

— A co u ciebie? — spytała Nancy. Bill poczuł się prawie zażenowany.

— Robią ze mnie współnika.

Pogratulowała mu i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Naprawdę się ucieszyła, ponieważ wiedziała, że tego pragnął i że po to tu przyjechał i że na to pracował.

Bill jej podziękował i stali we dwójkę pod jej parasolem i patrzyli na pola ryżowe i wytrawioną na czerwono rzekę, i wiedział, że jego już tu dawno nie będzie, kiedy jej wody wystąpią z brzegów, ale Nancy będzie tu nadal.

* * *

Rodzice Shane'a byli starzy, wstrząśnięci i otepiali z rozpaczy.

Bill pojechał z nimi do australijskiego konsulatu na dwudziestym drugim piętrze CITIC Square i łagodnie pomógł im przebrnąć przez wszystkie papierkowe procedury wymagane przez obydwa kraje do przewiezienia zwłok.

Zatrzymali się w Portman Ritz-Carlton w Shanghai Centre, niedaleko australijskiego konsulatu, ale Bill stwierdził, że w

tym deszczu lepiej będzie pojechać samochodem. Popełnił błąd. Ruch na Nanjing Xilu stał w miejscu i podczas gdy rodzice Shane'a siedzieli z tyłu w oszołomionym, czerwonoookim milczeniu, Bill tkwił tak samo nieruchomo z przodu i wpatrywał się w tłum. Wtedy ich zobaczył. Swoją żonę z mężczyzną. Siedzieli przy oknie w barze Long.

Becca i doktor Sarfraz Khan.

Pierwszą myślą, jaka zaświtała Billowi w głowie, była Holly. Rozmawiają o Holly i jej astmie. Ale mogło nie chodzić o astmę. I nie tylko o Holly. Nie miał pojęcia. Siedzieli przy stoliku naprzeciwko siebie, pochyleni ku sobie. Doktor Khan mówił coś z ożywieniem, a Becca słuchała. Jego żona tylko słuchała.

I wiedział, że miała rację — zawsze są różne opcje, każdy z nas ma możliwość wyboru. I po raz pierwszy Bill zrozumiał, że magią nie jest szukanie i błędzenie, i rozchodzenie się, ale pozostanie razem.

* * *

Stali na płycie lotniska w Pudongu i obserwowali mężczyzn, którzy ładowali trumnę do samolotu.

Rodzice Shane'a kulili się pod parasolem z nazwą hotelu, w którym mieszkali. Nie powinno się tego robić, pomyślał Bill. Człowiek nie powinien chować swojego dziecka. Nikt nie powinien musieć robić tego co oni. Nie potrafił sobie wyobrazić życia po stracie dziecka. Co to za życie?

Bill stał z jednej strony rodziców Shane'a, z drugiej towarzyszył im człowiek z konsulatu australijskiego. Musiał zajmować jakieś niższe stanowisko, miał zaledwie dwadzieścia parę lat, mimo to jego obecność nadała uroczystości charakter ceremonii.

Kiedy trumnę ładowano do samolotu za pomocą tego samego taśmociągu co bagaże, urzędnik stał wyprostowany, sztywny, pełen szacunku. Bill cieszył się z jego obecności, chociaż kiedy trumnę wsuwano w uchwyty, prawie słyszał kpiący

śmiej Shane'a. „Jakieś widoki na awans, stary? Bo mnie zapakowali z pieprzonymi walizkami”.

Matka Shane'a — potężna, siwowłosa starsza pani — zadrżała, kiedy trumna ze zwłokami jej syna znikła w samolocie, i Bill miał ochotę ją uściskać. Do ojca — niższego i drobniejszego od żony, umiejętnie trzymającego swoje emocje na wodzy — trudniej było nabrać cieplejszego stosunku. Bill jednak wiedział z doświadczenia, że z ojcami zawsze tak było.

Trumna znikła w samolocie. Obserwowali, jak zamyka się ładownia. To był ostatni akt przed odlotem. Młody człowiek z konsulatu spojrział na zegarek. Matka Shane'a odwróciła się do Billa i objęła go ramionami, jakby go zamierzała podnieść. Potem szybko się cofnęła.

— Niech pan przyjedzie do nas — powiedziała. — Do Melbourne. Z żoną i córeczką.

— Dziękuję, na pewno przyjadę — odrzekł Bill i skinął głową, chociaż wiedział, że prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkają.

U stóp kobiety leżała zniszczona skórzana torba, którą Shane woził ze sobą w podróże. Bill widział ją setki razy: wrzuconą do bagażnika samochodu Tygrysa; w śmigłowcu do Makau; na biurku w gabinecie Shane'a, zawsze gotową, by towarzyszyć swemu właścicielowi w podróży po kraju lub kontynencie. Matka podniosła torbę i wyciągnęła ją w stronę Billa.

— Znaleźli to w samochodzie — powiedziała. — To jakieś jego rzeczy związane z pracą.

— Nie chcemy tego — dodał ojciec.

Torba była niedomknięta, jakby ktoś ją otworzył, wybebeszył, ale nie znalazł w niej nic ciekawego. Bill zobaczył akta, wydruk biletu elektronicznego w plastikowej kopercie, laptopa Shane'a, ubrania i etui na przybory toaletowe. I grubą książkę w zielonej miękkiej okładce, *The Rise and Fall of the British Empire* Lawrence'a Jamesa.

— Zajmę się tym — odparł.

Ojciec wyciągnął rękę i Bill ją uściskał. Pomimo drobnej budowy — najwyraźniej Shane swą ogromną posturę przejął po matce — miał staromodny uścisk dłoni mężczyzn, którzy uważają człowieka za zniewieściałego, jeśli nie spróbuje złamać przynajmniej kilku kości. A może to wina żaloby, pomyślał Bill. Może sam nie zdaje sobie sprawy, co robi.

— Jak to się mogło stać? — spytał starszek. Głos mu w końcu zaczął drżeć. — Nie mogę tego zrozumieć.

Bill pokręcił głową. Nie znał odpowiedzi. Śmierć była jedyną odpowiedzią.

— Czuł się samotny — powiedział. — Myślę, że był po prostu bardzo samotny.

Ojciec Shane'a wybuchnął.

— Bzdury! — zawołał z taką złością, że Bill aż się cofnął o krok. — Jak mógł się czuć samotny? Przecież miał żonę, prawda?

* * *

Siedział na łóżku i patrzył na ich śpiącą córeczkę, kiedy usłyszał, jak Becca otwiera kluczem drzwi. Holly zrzuciła nogą koldrę i Bill ostrożnie przykrył ją z powrotem. Piąstki trzymała zaciśnięte nad głową niczym ciężarowiec.

Usłyszał, jak Becca po cichu wchodzi do pokoju, ale nie spojrzał na nią. Dotknęła jego ramienia. Bill wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z czoła Holly.

— Co się stało z *ayi*? — spytała głosem, który zawsze łagodniał w pokoiku śpiącej córeczki.

— Odesłałem ją do domu — powiedział cicho.

— Mogła położyć Holly do łóżka.

W dalszym ciągu na nią nie patrzył.

— Lubię to robić — stwierdził.

Oplotła go rękami za szyję. Czuł jej policzek przy swojej twarzy. Jej opadające włosy, jej oddech w swoim uchu. Czuł zapach jej perfum i wina. Zapach dymu z czyichś papierosów.

— Tak mi przykro, Bill — szepnęła.

Przez długą chwilę nic nie mówił.

— Dlaczego ci przykro? — spytał.

— Z powodu Shane'a — powiedziała, prostując się. W jej głosie zabrzmiało zdziwienie. — Przykro mi z powodu Shane'a. To okropne. Jego rodzice... nie wyobrażam sobie, przez co przechodzą.

Holly jęknęła przez sen i Bill wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

— Nikt nie mógł temu zapobiec — stwierdził. Podniósł głowę na stojącą nad nim Beccę i zastanawiał się, jakby wyglądało jego życie, gdyby go opuściła. — Jemu musiało się przydarzyć coś złego. Kochałem go, ale biorąc pod uwagę to, jak żył, taki koniec był nieunikniony.

Becca przeciągnęła palcami po włosach Holly, odgarnęła je z twarzy dziewczynki. I pokręciła głową.

— Nie — powiedziała. — To wina tego miasta. To przez Szanghaj. — Odwróciła się i zostawiła go obserwującego śpiące dziecko. — To miasto wydobywa z ludzi wszystko, co w nich najgorsze. To rzekłszy, zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Znowu pojechał, żeby się z nią zobaczyć.

Pojechał się z nią zobaczyć, ponieważ nie wiedział, co robić. Pojechał do niej, ponieważ nie mógł żyć z dala od niej. Nie widział powodu, dla którego czar miałby kiedykolwiek przysnąć. Taki był wtedy głupi.

Ale JinJin znikła. I nikt nie wiedział, gdzie jest. W jej mieszkaniu w Rajskich Rezydencjach siedziały dziewczęta i robiły pierożki tak jak wtedy, kiedy je poznał.

Z początku odniósł wrażenie, że chcą go spławić. Były chłopak, wieczny nieudacznik, który nie wie, czego chce i kiedy przestać.

Gdy jednak zdjęły z niego mokry płaszcz i dały kilka kawałków ręcznika kuchennego do wytarcia włosów i kiedy

podziękował za pierożki, doszedł do wniosku, że one chyba naprawdę nie wiedzą, dokąd pojechała JinJin. Spakowała się, zadzwoniła do Jenny Dwa i zostawiła wiadomość na sekretarce automatycznej, że zostawia klucze pod wycieraczką i że mogą korzystać z mieszkania podczas jej nieobecności.

— Tam mieszka sąsiad — powiedział Bill, zerkając na sufit. — Facet z góry. Była z nim zaprzyjaźniona. Ma na imię Brad. Może on coś wie. Może jemu coś powiedziała.

Popatrzyły po sobie. Zajęło mu kilka sekund, zanim zrozumiał, ale wiedział już, kiedy Jenny Dwa to z siebie wyrzuciła. Jakimi głupcami są mężczyźni, pomyślał. I jakim ja jestem głupcem! Jak mogłem nie widzieć, na co się zanosi? Jak mogłem wierzyć, że jej serce się nie odmieni?

— Wyjechali razem, Williamie — powiedziała Jenny Dwa i zmrużyła oczy, patrząc mu w twarz, jakby ją to też zabolalo.

Od tej chwili nie było już powrotu, a nie była to dobra chwila. — Tak mi przykro.

Kiwnął głową i uśmiechnął się jak beztrojski kretyn, jakby przez cały dzień słyszał same dobre nowiny. Usiadł między Annie i Sugar, przodem do obydwu Jenny, i zaczął tłumić żalostne łkanie, które narastało mu w gardle. A więc tak to się kończy, pomyślał. Idzie z pierwszym facetem, który jej się nawinie. To prawie śmieszne.

Kiedy po raz drugi zaproponowały mu pierożki, przyjął propozycję. Uprzytomnił sobie, że wcale nie chce od nich uciekać i ukrywać tego, co czuje. Smak, zapach i dźwięk smażonych pierożków przypomniały mu jej głos i dumę, jaką napawało ją to, że jest *Dongbei ho*. „Pierożki *jiaozi* z Shenyang. Podobne do ravioli. Znasz je?”

Opowiedziały mu swoje historie. Annie wróciła do barów po tym, jak ją wykwaterowano z mieszkania w Rajskich Rezydencjach, ale spotkała innego Amerykanina, który zabiera ją na Hawaje.

— Będę jeździła mustangiem i surfowała — oznajmiła z dumą. — Ty patrz. Będę wysyłać do YouTube.

Dawny przyjaciel Jenny Dwa zostawił jej w testamencie wystarczająco dużo pieniędzy, aby mogła otworzyć własny interes. Wahała się pomiędzy budką z jedzeniem a kawiarenką internetową.

— Będę częścią cudu gospodarczego w moim kraju — oświadczyła.

Nagle Bill uprzytomnił sobie, że dziewczyna nie ma na nosie okularów i wskazał ręką jej oczy.

— Operacja laserowa — odparła. — W centrum handlowym.

Do Jenny Jeden wrócił jej Francuz. Bill widział, że tej kobiecie może się jeszcze wszystko ułożyć. Wyobrażał sobie, jak samotny, żonaty mężczyzna w Paryżu może się pewnej nocy zbudzić i zrozumieć, że kobieta, którą brał za przelotny skok w bok, była w istocie miłością jego życia. Wyobrażał sobie bez trudu, że to jest możliwe.

Sugar pracowała w jednym z barów przy Mao Ming Nan Lu, ale nie czuła się z tego powodu przygnębiona, być może dlatego, że ona jedyna z nich wszystkich nie spodziewała się wybawienia.

Od niej się również dowiedział, że bary się zmieniły. Po prawie stu latach dawna anarchia szanghajskich nocy przechodziła z wolna do historii, a dziewczęta będące dotąd wolnymi strzelcami, pod opiekę barów. Kwitnące miasto nie nabierało bynajmniej przyzwoitości, ale coraz ściślej regulowało zasady swojego życia.

— I dostałam awans — oznajmiła Sugar. — Do tej pory byłam pracownicą działu obsługi klienta, a teraz jestem kierowniczką do spraw stosunków z gośćmi.

Na swój sposób wszystkie je spotkało szczęśliwe zakończenie i Bill się z tego cieszył, ponieważ osiągnął w swoim życiu etap, kiedy ze wszystkich sił starał się wierzyć w szczęśliwe zakończenia. W końcu mieszkali w Szanghaju, gdzie samo przetrwanie było szczęśliwym zakończeniem.

Musiał iść. Zebrały się wokół niego przy drzwiach.

— Do zobaczenia gdzieś w okolicy — powiedziała Jenny Dwa i zabrzmiało to jak nowe wyrażenie wyuczone na lekcji języka obcego.

— Tak. — Bill się uśmiechnął i pocałował każdą z nich w policzek, a one uściskały go, jakby bardzo je obchodziło, co się z nim stanie, i jakby było im bardzo przykro, że między nim i JinJin się nie ułożyło, i jakby to jemu, niebawem współnikowi w spółce Butterfield, Hunt and West, należało współczuć. — Do zobaczenia gdzieś w okolicy, dziewczęta.

I wyszedł, wiedząc, że teraz ma swój powód, aby nigdy nie wracać, aby się z nią nigdy więcej nie spotkać i aby raz na zawsze wyrzucić ją ze swojej krwi i ze swego życia. W końcu było to takie oczywiste. Powinien był się tego spodziewać od początku.

Nowy mężczyzna. Oczywiście. Cóżby innego?

Zastanawiał się, jak mógł być kiedykolwiek taki głupi, jak mógł kiedykolwiek uważać, że ona jest dla niego kimś wyjątkowym.

Była po prostu inną dziewczyną. Inną kobietą. Jak mogło się to skończyć inaczej? Poznała nowego faceta. No jasne. O mało nie wybuchnął śmiechem. Z jakiegoś powodu jednak trudno było uchwycić cały banał tej historii. Nowy facet? JinJin z nowym facetem? Tak, zawsze istnieją różne opcje. A jednak nie potrafił w to uwierzyć.

Nowy mężczyzna? Po tym, jak mu powiedziała, że po nim nigdy już nie będzie innego mężczyzny i że będzie go kochała do dnia swojej śmierci? Wszystkie te teksty, które pisało się w piosenkach. Te kłamstwa, które człowiekowi opowiadają i w które tak lubi wierzyć.

Tylko ty na wieki, jak w starych pieśniach. Tak mu mówiła, takie słowa wychodziły z jej ust. A on jej wierzył. I życie stało się dla niego nie do zniesienia, ponieważ wiedział, że nigdy nie potrafi jej porzucić. A to znaczyło, że jakoś, kiedyś, pewnego dnia będą razem, bo nie mogą od siebie uciec. Byli ze sobą związani jak dwaj alpiniści. Ale ona zerwała tę więź.

Wyszedł z powrotem na bębniący deszcz i nie widział go ani nie czuł. Nie czuł go na twarzy ani na butach, nie czuł, że garnitur nasiąka mu jak gąbka. Tak naprawdę żadna kropla po nim nie spływała. Ponieważ widział JinJin w ramionach nowego, nieznanego kochanka i obraz ten był dlań bardziej realny niż przemakające ubranie. Widział ich tak wyraźnie, jakby był z nimi w jednym pokoju. Prawie czuł jej zapach, prawie słyszał jej głos. Jej twarz, jej nogi, jej westchnienia, jej jęki, jej bliznę na lewej piersi. Jej długie, szczupłe ręce oplecione wokół szyi innego mężczyzny. No i dobrze, pomyślał. Świetnie. Jeśli tak musi być. Niech on cię następnym razem odwozi do szpitala. Niech on cię znajduje mieszkanie. Wywróć mu życie do góry nogami i zniszcz ludzi, których kocha. Niech słucha twoich kłamstw. Rozedrzyj mu serce na dwoje.

Ruszył przed siebie żwawo, ale bez określonego celu i kierunku. Deszcz go oślepiał.

Może sobie cię wziąć, pomyślał.

Może sobie cię wziąć, do cholery.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Stał w oknie i patrzył, jak deszcz leje na podwórze Rajskich Rezydencji.

Słyszał odgłos wody w łazience i śmiech. *Ayi* kąpała Holly. A z sypialni małżeńskiej dochodził narastający i cichnący szmer głosu jego żony, jakby chodziła, rozmawiając przez telefon, jakby nie mogła wytrzymać w jednym miejscu. Pewnie jej staruszek, pomyślał Bill. A potem: może jednak nie.

Czuł, jak klucze do mieszkania JinJin wżynają mu się w ciało. Wyjął je, a potem włożył z powrotem. Zastanawiał się, czy ich nie wyrzucić, ale tę myśl natychmiast odsunął. Potem przyszło mu do głowy, aby włożyć je do koperty i zostawić u portiera, lecz to by było prawie jak tchórzostwo, JinJin zbyt dużo dla niego znaczyła, żeby zrobił coś takiego. Mógł je oddać dziewczętom, ale nie chciał, aby widziały, co czuje.

Wiedział dokładnie, co musi zrobić. To było takie oczywiste. Musi oddać je osobiście. Musi jej włożyć w rękę i zobaczyć jej twarz, i uwolnić się.

Becca podniosła wzrok, kiedy wszedł do sypialni z torbą podróżną. Siedziała na łóżku z telefonem komórkowym w rękę, ale już nie rozmawiała.

— Muszę wyjechać — powiedział.

Zaczął otwierać szuflady i wrzucać rzeczy do torby. Koszulę na zmianę, skarpetki, majtki. Przybory do golenia. Paszport brytyjski. Niedużo, wystarczy na jedną noc. To nie potrwa długo.

— Wyjechać? Dokąd?

— Do Czangczunu. To na północy, przy granicy z Koreą.

— Wiem, gdzie jest Czangczun, do diabła.

Wstała i splótłszy ręce na piersi, patrzyła, jak się pakuje.

— Nie możesz teraz nigdzie lecieć.

— Lotnisko jest otwarte — odrzekł, zapinając torbę i kładąc ją na łóżku. — Lecę w przeciwnym kierunku niż zła pogoda, na północ. Największe kłopoty są na południu.

— Popatrz, tatusiu! — zawołała Holly, wbiegając do pokoju w piżamie, z mokrymi, splątanymi włoskami.

Trzymała w ręczce zdjęcie czerwonej pandy. Za nią weszła *ayi* z suszarką do włosów.

— To śliczne, kochanie — pochwalił, biorąc córkę na ręce i całując ją w policzek. Odwrócił się do żony. — Tam nie ma tajfunów, za daleko na północ. To tylko jedna noc. Więcej nie potrzebuję.

Jeszcze raz ucałował córeczkę i Holly wybiegła z pokoju z obrazkiem w ręczce i *ayi* usiłującą za nią nadążyć.

— Nigdzie nie lecisz — oznajmiła Becca.

Rozpięła torbę i zaczęła wypakowywać jego rzeczy.

— Jedna noc i po wszystkim — tłumaczył. Wyciągnął do niej rękę, ale ona się odsunęła. — Proszę, Becco.

— Nie jedź — powiedziała. — Nie chcę, żebyś jechał do tej dziwki z Trzeciego Świata, żeby z nią rozmawiać, dyskutować, czy robić inne bzdury, które ci się roją w głowie.

Odwróciła torbę do góry dnem i wyrzuciła z niej to, co jeszcze tam zostało. Bill powoli zaczął pakować wszystko z powrotem.

— Przykro mi — powiedział.

— Ciągłe ci jest przykro — wybuchła i uderzyła go pięścią

w pierś. — Czy my tu razem żyjemy, czy nie? Chcę, żebyś przeczytał Holly bajki. Chcę, żebyś z nią rysował. Chcę, żebyś spał ze mną dzisiaj w nocy. Chcę, żebyśmy żyli razem normalnie, Bill. Czy ty to rozumiesz?

— Muszę jeszcze tylko zrobić tę jedną, ostatnią rzecz.

— Dlaczego?

— Żeby z tym skończyć.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— I naprawdę sądzisz, że będziemy tu, kiedy wrócisz? — spytała. Pokręciła głową i machnęła na niego ręką, jakby go ostatecznie skreślała.

* * *

Samolot przechylił się na bok przed lądowaniem i Bill zobaczył pod sobą czarne, stożkowe góry — diaboliczną wersję wapiennych skał Guilinu.

Kiedy samolot odwrócił się w stronę lotniska, góry wyrosły nagle po obydwu stronach, a wtedy Bill zobaczył, że to wcale nie są góry, tylko twory wykonane ludzką ręką — ogromne hałdy węgla, po których chodzili schyleni ludzie i wybierali przydatne na opał bryłki.

Potem czarne szczyty znikły i samolot skierował się w dół przez puchowe białe chmury, ale po chwili Bill się zorientował, że to nie były chmury tylko wyziewy z kominów pozostałych tu jeszcze hut żelaza i stali.

W końcu ze zgrzytem dotknęli pasa startowego i Bill znalazł się znowu w rodzinnym mieście JinJin, z kluczami wznajęcymi mu się w ciało, i zastanawiał się, jak mógł kiedykolwiek w tym żalonym miejscu widzieć coś romantycznego.

* * *

Stał przed brzydkim szarym blokiem mieszkalnym i patrzył w górę na okna, w których kiedyś, podczas Święta Wiosny wisiały czerwone lampiony. Teraz okna były puste. Niebo płaskie i szare. Podróż zawiodła go poza granicę deszczu.

Szedł na górę poczerńiałą klatką schodową pokrytą brudem z martwych fabryk i przygotowywał się na tę chwilę, kiedy zobaczy jej twarz i jej nowego mężczyznę, i odda jej klucze.

Drzwi otworzyła matka JinJin i kiedy Bill wszedł do małego mieszkania, stwierdził, że kobieta jest sama.

Cała w uśmiechach wprowadziła go do środka i przygotowując herbatę, nie przestawała trąkotać po mandaryńsku, z rzadka przetykając potok wymowy pojedynczymi angielskimi słowami.

— Ojciec. Chory. Kuangsi.

— Kuangsi?

Przecież to było kawał drogi na południe, na drugim końcu kraju, niedaleko Hongkongu, a jeszcze bliżej Wietnamu. Tam leżał Guilin. Ojciec JinJin był w Kuangsi. Bill podniósł filiżankę do ust i poparzył sobie wargi herbatą. Usiłował to wszystko zrozumieć, w głowie tańczyła mu mapa Chin. Kuangsi? To prowincja, gdzie góry z wapienia patrzyły na Wietnam, gdzie oglądali rybaków z kormoranami na moście. Tam spotkali się z jej ojcem i Bill dał staruszkowi pieniądze, a JinJin odwróciła wtedy wzrok.

— Kuangsi! — powtarzała matka. — Kuangsi!

Miała jakąś gazetę, którą pokazała Billowi. Na pierwszej stronie widniała mapa Chin i artykuł podający najświeższe wiadomości na temat tajfunów i powodzi, i chociaż była to chińska gazeta i Bill nie umiał przeczytać z niej ani słowa, zrozumiał wszystko natychmiast.

Nagłówek na pierwszej stronie sprowadzał się do jednej liczby. 20 000 000, głosił. Dwadzieścia milionów. Liczba ludzi, którzy stracili dach nad głową.

Zhejiang, Fujian, Kiangsi, Hunan, Guangdong, Kuangsi. Nie ostał się nietknięty żaden rejon południowych Chin. To było coś niewyobrażalnego — terytorium większe od zachodniej Europy.

Matka JinJin stuknęła krótkim palcem w dolną część mapy Chin i chichotała ze złośliwą satysfakcją. Bill zrozumiał, że ten

śmiech jest właściwą Chińczykom, osobliwą reakcją na nieszczęście. Kobieta była przerażona.

— Here! Here!

I w końcu do Billa dotarła cała prawda. JinJin pojechała na południe, na drugi koniec kraju. Była dalej, niż mógł sobie wyobrazić, w Kuangsi, ze swym ojcem i nowym mężczyzną. W samym środku szalejących powodzi.

Kobieta uśmiechnęła się i odsłoniła brązowe zęby z płamami od herbaty. Kiedyś doprowadzało go to do szału, ten zwyczaj reagowania zachwytem na tragedię. Teraz jednak rozumiał. Chińczycy owijali swój ból w uśmiechy. Śmiech w obliczu nieszczęścia był jak bandaż nałożony na ranę. Dotknął ramienia staruszki i pokiwał głową. Oboje owinęli swój ból w uśmiechy. To samo robiła JinJin. Oni wszyscy.

Nareszcie to zrozumiał.

* * *

Musiał lecieć trzema samolotami, żeby się dostać do Guili-nu.

Z Czangczunu poleciał na południe i na zachód do Xi'anu, a potem dalej do Chongqingu. W Chongqingu czekał razem z turystami, którzy wrócili znad rzeki Jangcy. Potem turyści złapali samolot do Pekinu, a Bill spędził noc na lotnisku. Kiedy się rano przebudził, naprzeciwko niego siedziały dwie starsze kobiety. Jego wzrok przyciągnęły ich nienaturalnie małe stopy. Wstrząśnięty odwrócił najpierw głowę, ale po chwili spojrzął jeszcze raz.

Kobiety były drobne, ale stopy miały niczym lalki, niczym zabawki — z innej epoki. Wiedział, że zawijają je specjalnie, aby nie urosły. Po chwili jedna z kobiet nieświadomie zdjęła niebieski płócienny pantofel i zaczęła masować zdeformowaną kończynę. Nałożywszy z powrotem but, popatrzyła na Billa jak na powietrze.

Nagle wywołano ich lot. Kobiety wstały i z kartami pokładowymi w rękach pokuśtykały szybko do swojej bramki.

Ich stopy były nie tyle spętane, ile zgniecione. Proces ten bardziej przypominał wkładanie kończyn w imadło niż zawiązanie chustką. W tej bosej, skarłatej stopie Bil ujrzał pamiątkę starożytnych Chin, ale starsza kobieta widziała w niej tylko stopę. Od lat, dziesięcioleci, przez całe życie. To było w tym wszystkim najdziwniejsze — normalność.

Zdawało mu się, że nie przeżyje straty, ale się mylił. Poradzi sobie. Będzie to bolało, ale przeżyje, i ona także. Obserwował staruszki utykające przez bramkę do samolotu.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

* * *

Był jedynym pasażerem w samolocie lecącym do Guilinu.

Stewardesa przypięła się obok niego pasami i złapała go za rękę, kiedy pilot sadzał samolot na ziemi. Dotknęli pasa startowego, podnieśli się z powrotem, potem znowu uderzyli w płytę i wlecieli w coś, co sprawiało wrażenie rozpylonego muru. Bill czuł, jak woda stojąca na pasie startowym ciągnie za podwozie, jak miota samolotem i próbuje go ściągnąć na boki i przewrócić.

Pilot zahamował przy wtórze piszczącej gumy i ściana deszczu osłabła. Kiedy kołowali w stronę terminalu stewardesa po cichu zwymiotowała do papierowej torebki. Bill przycisnął twarz do okna. Deszcz lał, jakby miał nigdy nie przestać.

Na lotnisku panował chaos. Wyglądało to tak, jakby całe miasto postanowiło nagle wyjechać. Wszędzie pełno było zielonych mundurów funkcjonariuszy Biura Bezpieczeństwa Publicznego powstrzymujących panikujący tłum. Bill przeciskał się przez ciżbę napierającą w przeciwnym kierunku.

Stanowisko biura wynajmu samochodu zostało porzucone, więc Bill wyszedł przed terminal na postój taksówek. Również i tutaj było pusto. Stał i nasłuchiwał wycia wichru i nie wiedział, co robić. Wiatr wiał i lamentował niczym ostrzeżenie. Bill nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszał. Podjechała taksówka, stary volkswagen santana, i zaczęła się z niej

wypakowywać rodzina ze stertą walizek. Kiedy zapłacili kierowcy, Bill wetknął głowę przez okno.

— Muszę pojechać za miasto — powiedział Bill. — Do wioski na drodze do Yangshuo.

Uprzytomnił sobie, że nie zna nawet nazwy miejscowości, w której mieszka ojciec JinJin. Może w ogóle nie miała nazwy. Ale pamiętał drogę. Mógł tam taksówkarza pokierować.

— Yangshuo nie — odparł kierowca. — Drogi Yangshuo zamknięte.

Bill wyjął portfel i wyciągnął wszystkie pieniądze, jakie miał. Wcisnął je taksówkarzowi do ręki i zamknął mu dłoń na banknotach. Mężczyzna przyjrzał się plikowi RMB i odsłonił w uśmiechu żółte zęby. Z ust mu cuchnęło.

— Droga zamknięta — powiedział przepraszająco, ale nie uczynił najmniejszego gestu, aby oddać pieniądze.

— Najbliżej jak się da — poinstruował Bill, wsiadając do samochodu.

Kierowca patrzył przed siebie i mamrotał coś pod nosem, a deszcz zaczął z boku w przednią szybę. Deszcz pada poziomo, dziwił się Bill. Z przeciwka w kierunku lotniska ciągnął nieprzerwany sznur pieszych i samochodów. Po ulicach i chodnikach toczyły się gałęzie, kawałki billboardów i walizki — zgubione, porzucone lub zerwane przez wiatr z bagażników dachowych. Drzewa i billboardy pierwsze padają ofiarą tajfunów, uprzytomnił sobie Bill, i kiedy tak wyglądał przez okno, miał wrażenie, że nigdy w życiu nie był w Guilinie, jak gdyby tylko śnił mu się ten czas, który spędzili tu z JinJin.

Wapienne szczyty gór tonęły zduszone we mgle, ale uczucie, że widzi to miejsce po raz pierwszy, wywołała rzeka.

Wystąpiła z brzegów i przeobraziła cały krajobraz. Pola ryżowe zamieniły się w jeziora i wyglądały, jak gdyby od tysięcy lat nie były niczym innym jak tylko jeziorami. Tam, gdzie przyglądali się rybakom z kormoranami, dryfowała porzucona olbrzymia barka załadowana czymś, co wyglądało jak piasek.

Na oczach Billa statek pęki na pół z ogłuszającym trzaskiem niczym grzmot pioruna. Wypatrywał, czy nie zobaczy gdzieś uciekających członków załogi, ale nigdzie nie widać było ani żywej duszy i dwie połówki złamanej barki zaczęły pomału tonąć. Po chwili znikły, jakby ich tam nigdy nie było, a Billowi się wszystko przywidziało.

Tak daleko od lotniska nie docierała już policja, tylko żołnierze armii ludowowyzwoleńczej. Właśnie wyłowili coś z rzeki i ułożyli na brezencie rozłożonym przy drodze. Zwłoki żołnierza.

— Nie ma droga Yangshuo! — wrzasnął kierowca taksówki, wzdragając się na widok napęczniałych zwłok.

— Jedź! — krzyknął mu w odpowiedzi Bill.

Taksówkarz pojechał dalej, a Bill poczuł się głupio, że podniósł na mężczyznę głos, zwłaszcza że potrzebował go, aby znaleźć JinJin.

Nie miał cienia wątpliwości, że im się uda. Wkrótce jednak trafili na blokadę drogową. W poprzek jezdni stała wojskowa ciężarówka i blokowała przejazd. Wszędzie roili się żołnierze, jeden z nich dał im znak, żeby się zatrzymali. Potem wsunął głowę do samochodu i powiedział coś po chińsku. Bill zorientował się, że każe im zawrócić. Za blokadą widział drogę zalaną lawiną błota, jakby ze wzgórza spłynęła gęsta brązowa rzeka. Kierowca wyrzekał sam do siebie.

— Czy jest jakaś inna droga? — spytał Bill. — Czy można inaczej dojechać do Yangshuo?

— To droga Yangshuo — odpowiedział taksówkarz, waląc w kierownicę, kiedy żołnierz na niego krzyczał i machał coraz gwałtowniej. Kierowca zaczął zawracać. — Pieprz się, człowieku, dobra? — zaklął z amerykańskim akcentem.

Bill ściągnął zegarek.

— To jest dobry zegarek. Wart dużo pieniędzy. Dużo pieniędzy, dobra? Weź ten zegarek i znajdź inną drogę.

Kierowca pokazał mu nadgarstek. Miał już zegarek. Roleksa. Może nie był oryginalny, ale zawsze rolex i najwyraźniej innego nie chciał. Bill wyciągnął portfel i zaproponował

kierowcy swoją czarną kartę American Express.

Taksówkarz odwrócił głowę.

Bill wysiadł z samochodu, zostawiwszy swoją torbę na tylnym siedzeniu, i ruszył w stronę żołnierzy. Ktoś go złapał za ramię. Młoda, rudowłosa kobieta mówiła z irlandzkim akcentem. Ktoś z organizacji pomocowych.

— Nie może pan tam iść — powiedziała. — Tam panują choroby. Tyfus, denga, malaria.

Skinął grzecznie głową i szedł dalej. Kobieta coś krzyknęła, ale wiatr zagłuszył jej słowa i Bill nie usłyszał. Doszedł do żołnierzy. Byli bardzo młodzi. Karabiny wisiały im na ramionach. Patrzyli na lawinę błotną. Minął ich. Ze szlamu sterczała dziecięca rączka. Bill poczuł, jak ciarki przechodzą go z grozy, ale się nie zatrzymał. Pochylił się do przodu i brnął pod wiatr. Na sekundę wichura przycichła i doszły go z tyłu głosy, ktoś coś mówił po chińsku, a Irlandka wołała, że nie może tam iść. Szedł dalej. Nagle czyjeś palce zacisnęły mu się na ramieniu. Odwrócił się, przyłożył dłonie do piersi młodego żołnierza i używając tylko tyle siły, ile było niezbędne, odepchnął go w tył. Żołnierz zatoczył się, po czym rzucił się w przód i jednym szybkim ruchem, zdjawszy z ramienia karabin, z całej siły grzmotnęła Billa kolbą po twarzy.

Bill się nie przewrócił, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zaczął się zataczać w kółko jak pijany, a przed oczami migwały mu czerwono-żółte światełka. Dostał w prawy policzek, a ból był tak przeszywający, jakby żołnierz bił go dalej. Okropne łupanie zaczynało się nad brwią i kończyło piętnaście centymetrów niżej, tuż pod kością policzkową. Rozdymało mu głowę, zamieniło ją w jeden balon wypełniony bólem, rozszerzający się z sekundy na sekundę. Ale najbardziej ucierpiało prawe oko. Łuk brwiowy i kość policzkowa przyjęły na siebie większą część uderzenia, lecz cios dosięgnął też oka i kiedy czerwone i żółte plamki znikły, po zamglonym obrazie przed jego oczami pływały czarne gwiazdki.

Posłał żołnierzowi skrzywiony, bolesny uśmiech i ruszył

posłusznie z powrotem. Mężczyzna obserwował go z karabinem uniesionym cały czas w górze jak pałka, na wypadek gdyby Bill próbował zawrócić. Taksówka odjechała, ale Irlandka stała w tym samym miejscu co przedtem.

— To od stojącej wody — powiedziała, jak gdyby ich rozmowa nie została przerwana. — Choroby rozwijają się w stojącej wodzie, a komary przenoszą je na ludzi.

Nie miał pojęcia, o czym mówi. Zapomniał do reszty o chorobach. Bolała go piekielnie cała prawa część twarzy. Czarne gwiazdki szybowwały i pikowały, jakby niósł je wiatr.

— Czy jest jakaś inna droga do Yangshuo? — zapytał, delikatnie macając kość policzkową.

Kiedy odjął dłoń od twarzy, była na niej krew, ale nie za dużo. Zamrugał kilka razy, żeby pozbyć się mgły z oczu, lecz czarne gwiazdki nie przestawały migotać. Przeszkadzały mu i przestraszył się. Zamknął prawe oko. Lewe było w porządku.

— Naprawdę muszę się dostać do wioski, która leży na drodze do Yangshuo.

Irlandka popatrzyła na niego ze współczuciem.

— Ma pan tam rodzinę? — spytała, a on nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

* * *

Szedł w dół po zboczu wzgórza poniżej poziomu błotnej lawiny. Żołnierze stali na drodze w górze. Widział pnie powycinanych drzew i zastygłą brązową rzekę, która ześliznęła się na drogę. Wzgórze wyglądało, jakby się zawaliło. Czarne gwiazdki leniwie dryfowały po krajobrazie, ale mógł zamknąć prawe oko, a wtedy gwiazdki tak bardzo nie przeszkadzały.

Ziemia była śliska od błota. Kiedy schodził po zboczu, pośliznął się i poleciał do przodu na kolana i ręce. Powoli dźwignął się z powrotem na nogi, przytrzymując się sterczącego gołego pnia. Ręce i spodnie wymazał sobie błotem. Ruszył dalej w dół, ale stąpał teraz ostrożniej, szedł zakosami, zapiadając się butami w rozmokłą ziemię.

Kiedy ominął miejsce, gdzie spadła lawina, wrócił na górę do drogi między unieruchomione samochody. W górze słyszał śmigłowiec. Szedł dalej. Zdawało mu się, że zna tę drogę, ale dotarł do wioski, gdzie mieszkał ojciec JinJin, i prawie ją minął, zanim się zorientował, że jest na miejscu.

Rzeka zamieniła się w brązowe, szerokie rozlewisko. Znikły namioty. Znikły pola. Na skraj wioski zsunęła się góra błota, zalała szkołę i oczyściła okolicę z wszelkich charakterystycznych cech krajobrazu. Bill rozglądał się zdezorientowany.

Małeńkie, starannie podzielone poletka ryżowe, które pamiętał, były teraz szklistym jeziorem. Usłyszał jakiś hałas, ale nie potrafił go zlokalizować. Jakby warkot dochodzący ze środka ziemi. Jak podziemny grzmot. Przeraził się. Ale to było na pewno poszukiwane miejsce, mimo że wszystko wokół wyglądało zupełnie inaczej.

Nie mógł znaleźć domu jej ojca. Rozglądał się po tym błotnistym świecie i w końcu go zobaczył. Podparty grubymi pniami. Sąsiedni dom zniknął. Po prostu go nie było. Znowu usłyszał ten odgłos i tym razem zrozumiał. Błoto bulgotało w głębi.

Coś mu usiadło na rękę. Komar w biało-czarne paski. Zabił go uderzeniem ręki. W górze latały śmigłowce, jakby go śledziły. Wszedł do domu. JinJin siedziała na brzegu jedyne go łóżka, na kolanach trzymała ChoCho. Na łóżku leżał jej ojciec. Wstrząsały nim gwałtowne dreszcze, a kiedy Bill podszedł kilka kroków bliżej, stwierdził, że mężczyzna ma wysypkę na całej twarzy. Patrzył na nich zafascynowany. Nie mieściło mu się w głowie, że przyjechała w tych okolicznościach do ojca. Sądził, że lata przemocy zabiły w niej poczucie obowiązku. Jak widać, nic nie mogło go zabić.

— William — powiedziała, jakby się go spodziewała. — Twoja twarz.

Na ścianie wisiało pęknięte lustro do golenia. Spojrzał w nie i zobaczył, że jego prawego oka prawie nie widać spod nabrzmiałego fioletowocznego sińca. Odwrócił się i więcej

tam nie patrzył. Z ulgą stwierdził, że czarne gwiazdki na razie znikły. Zobaczył, że dziecko ma na twarzy taką samą wysypkę jak dziadek.

— Co im jest? — spytał.

— To od komarów — odrzekła. — Od popsutej wody.

Denga. Gorączka krwotoczna. Irlandka miała rację. Objął JinJin ramieniem. Na dworze słyszał dudnienie ton poruszającego się błota. A może mu się tylko zdawało. Bał się tego błota. Na drodze nie czuł strachu, ale teraz tak. I znowu hałas. Głośniejszy. I bardziej rzeczywisty. Mogą dzisiaj wszyscy umrzeć.

— Musimy się stąd wydostać! — zawołał, podskakując do wyjścia. — JinJin, musimy stąd iść.

— Żołnierze po nas przyjadą — odparła, wskazując na sufit. Cały czas słyhać było śmigłowce. — Przylecą samoloty.

— Nikt nie przyleci, JinJin. — Bill rozejrzał się po chacie. Czegoś tu brakowało. Popatrzył na dziewczynę i próbował się skupić. — Posłuchaj mnie — powiedział, klękając przy niej. Czuł chorobę unoszącą się w powietrzu. Dziecko go przeraziło. W ogóle nie płakało. — Nikt tu nie przyjedzie. Śmigłowce tu nie przylecą, ponieważ nie mają gdzie wylądować. — Zdał sobie sprawę, że widzi to wszystko z przerażającą jasnością: helikoptery wiszące w powietrzu, ziemię zamienioną w zdradliwą masę błota. Mogą patrzeć, ale z daleka. — Chcieliby nam pomóc, ale nie mogą. Musimy sami sobie poradzić.

JinJin uśmiechnęła się słabo.

— Żołnierze są tacy wspaniali — stwierdziła.

Była prawdziwą chińską patriotką, prawdziwą wierną. Może oni wszyscy tacy byli.

— Żołnierze są wspaniali, ale nam nie pomogą — powtórzył, wstając. — Nie ma dróg. Wszystko stoi w miejscu. Musimy sobie poradzić sami. Musimy iść albo tu zginiemy. — Rozejrzał się po pokoju. — Gdzie twój przyjaciel?

— Wrócił do Guilinu — powiedziała, kiedy na dworze znowu zawył wicher. — Zostałeś tylko ty, Williamie.

Nie ruszyła się z miejsca. Słyszeli oddech starca, deszcz bębniący o blaszany dach, zawodzący wiatr, a Bill prawie czuł wielkie zwały mułu cychające na zewnątrz, aby ich pogrzebać.

JinJin ani drgnęła i Bill dopiero teraz sobie uprzytomnił, że jest dosłownie sparaliżowana z wyczerpania. Ile nocy spędziła tu bez snu, doglądając ojca i syna? Bill wziął od niej ChoCho i owinął go we wszystkie koce, jakie udało mu się znaleźć. Potem pomógł się podnieść ojcu JinJin. Jeśli wstanie, to znaczy, że będzie mógł iść, a jeśli będzie mógł iść, to przeżyje. Wtedy wszyscy przeżyją.

— Ja ojciec ta dziewczyna — powiedział staruszek do Billa, wspierając się na nim całym ciężarem.

Bill kiwnął głową. Wysypka na twarzy mężczyzny przybrała wygląd rozpryskanych czerwonych obrzęków.

— Posłuchajcie, nie mogę was wszystkich nieść. Nie dam rady. — Wyciągnął ręce z bezwładnym dzieckiem. — Rozumie pan?

Staruszek wziął wnuka na ręce.

Bill podniósł JinJin na nogi, a ona wyciągnęła ręce po syna. Nagle upadła na kolana. Bill przykucnął przy niej, objął ją ramionami i podtrzymał. Przekonywał ją szeptem, dopóki nie skinęła głową, przyznając, że nie da rady nieść swojego dziecka. Popatrzyła na Billa i otarła oczy palcami.

— Zła matka — powiedziała.

— Nie — zaprzeczył Bill.

Wziął ją na ręce i wyniósł z chałupy. Starzec powłókł się za nimi z chłopcem. Bill niósł JinJin przez błoto, z którego wystawały ciała ludzi zagrzebane do połowy lub w trzech czwartych, między zrujnowanymi domami i zrujnowanymi żywotami, i na przemian złorzeczył niebu i modlił się: Błagam, Boże. Błagam, Boże. A potem nie miał już siły nawet na to.

Dowlekli się do drogi. Starzec zostawał w tyle, ale się nie zatrzymywał. Cały czas trzymał ChoCho w ramionach. Bill

usiadł na pniaku, JinJin opierała się o niego, na wpół śpiąc albo zapadając w jakiś inny stan podobny do snu. Poczekali, aż ojciec ich dogoni i odpocznie. Odpoczywali do czasu, aż Billowi wydało się, że słyszy jakiś dźwięk. Dochodził ze wzgórza nad nimi i z głębi ziemi pod nimi, mieszał się z szalejącą wichurą i wokół zrobiło się tak, jakby lada chwila miało coś wyskoczyć z głębi ziemi, żeby ich pożreć. Wtedy Bill wstał i ruszyli dalej. Niebawem staruszek zaczął coraz bardziej zostawać w tyle. Bill krzyknął do niego, żeby się nie zatrzymywał, JinJin zaś trzymała się go ramionami za szyję, czuł na twarzy jej oddech, jakby byli kochankami.

Dotarli do blokady drogowej i tam nogi w końcu odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się w ramiona żołnierza armii ludowowyzwoleńczej, czuł, jak mężczyzna bierze od niego JinJin i ktoś przyciska go mocno do siebie i nie puszcza, jak gdyby ludzki dotyk mógł wszystko uleczyć.

* * *

W namiocie owinęli go kocem i dali butelkę z wodą i miskę zupy instant z makaronem.

Nie było żadnych suchych ubrań, w które mógłby się przebrać, ale w kocu zrobiło mu się cieplej. Łykał makaron łapczywie i za szybko, aż w głowie mu się zakręciło z nudności. Zwolnił, jak dziecko, które uczy się jeść, a kiedy skończył, wylizał plastikową miseczkę do sucha, aby wysączyć tę dobroć do ostatniej kropli.

JinJin pojechała do szpitala z dzieckiem i ojcem. Bill do tej pory nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że ją tu znalazł. Odkrył w niej coś, czego dotąd nie znał i zupełnie się nie spodziewał. Pomimo krzywdy wyrządzonej jej w przeszłości przez ojca pozostała jego córką i nie zawahała się narażać życia, kiedy jej potrzebował. Bill sądził, że zna ją lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Ale może jednak nie znał jej w ogóle.

Uprzytomnił sobie, że ręce mu drżą. Popatrzył na nie swoim

zdrowym okiem i próbował je uspokoić, ale trzęsły się w dalszym ciągu — z zimna i szoku, i ulgi.

Popatrzył na niebo. Z niebem coś było nie w porządku. Zmieniło się. Zdał sobie sprawę, że deszcz przestał padać i wiatr ucichł. Wtedy przypomniał sobie o kluczach.

Pomacał kieszeń, potem wsunął rękę do środka. Nic. Zginęły gdzieś w błocie. Na górze albo przy blokadzie drogowej, albo w taksówce. To nie miało znaczenia. Nie przeleciał tysiąca kilometrów po to, żeby jej oddać klucze. Teraz to rozumiał.

Wmawiał sobie, że jedzie oddać jej klucze, ale teraz rozumiał, że jechał, aby jej powiedzieć, że ją kocha i że jego serce nie odmienia się tak łatwo. I żeby się z nią pożegnać.

* * *

Kiedy nazajutrz wrócił do domu, w mieszkaniu nie zastał nikogo.

Było późne popołudnie, poniedziałek; cokolwiek robiły, powinny już wrócić.

Zdjął z siebie ubranie oblepione błotem, spojrzął na kosz z brudną bielizną, po czym wrzucił wszystko do worka na śmieci. Potem wszedł pod prysznic i puścił sobie najgorętszą wodę, jaką mógł wytrzymać, aż czarne gwiazdki zaczęły mu znowu migać przed chorym okiem i przez chwilę bał się, że zemdleje.

Wszedł z łazienki, znalazł jakieś džinsy i T-shirt i podszedł do okna. Pogoda się wreszcie poprawiała. Góry chmur przetaczały się po niebie, zachodzące słońce walczyło, żeby się przez nie przedostać. Podwórze Rajskich Rezydencji było puste. Próbował zadzwonić do Becki na komórkę, ale włączała się tylko poczta głosowa. Nagrał wiadomość, że już wrócił, a jego łamiący się głos brzmiał dziwnie i słabo w pustym mieszkaniu.

Nadeszła i minęła pora kolacji, a ich wciąż nie było. Nic nie jadł i czuł się tak, jakby unosił się w powietrzu. Oślepiało go

nawet blade światło wpadające przez okno. Usiadł na sofie i zaczął masować sobie skronie, ale łupanie nie ustawało. Nigdy w życiu nie czuł się taki zagubiony. Zamknął oczy i musiał zasnąć, bo aż podskoczył, kiedy obudził go odgłos klucza w zamku. Stała przed nim jego córeczka. Trzymała w ręczce różowy balonik z nadrukiem szanghajskiego zoo.

— Co ci się stało w oko? — spytała.

Bill dotknął swojej twarzy.

— Uderzyłem się, aniołku.

Holly się skrzywiła.

— Wygląda okropnie.

— Jutro będzie lepiej — powiedział.

Uderzała balonikiem o nóżki.

— Widzieliśmy pandę czerwoną — oznajmiła mu. — I złote małpy.

Uśmiechnął się.

— Jesteś pewna, że nie odwrotnie? — zapytał.

Holly zrobiła stropioną minkę.

— Co?

— Jesteś pewna, że to nie była małpa czerwona i złota panda?

Dziewczynka potrząsnęła główką. Nie da się nabrać na te sztuczki.

— Tatusiu — westchnęła — kiedy ty przestaniesz być taki niemądry?

Becca poszła do kuchni i Bill nie widział jej twarzy. Wyjmowała z lodówki napoje. Musiały zjeść na mieście.

Holly pobiegła do swojego pokoju. Słyszał, jak się bawi. Nie, uprzytomnił sobie, ona czyta. Tyle rzeczy przegapił. Wstał i miał wrażenie, że boli go każdy mięsień. Nogi, ramiona, plecy. Zesztywniały mu jak starszuskowi. Podszedł do swojej żony i przyglądał się jej twarzy w świetle lodówki.

— Już myślałem, że odeszłaś.

Odwróciła się do niego. W ręku trzymała trzy kartoniki. Sok pomarańczowy dla Holly, żurawinowy dla siebie i mleko do herbaty dla niego. Coś do picia dla każdego z nich.

Pokręciła głową.

— Nie odeszłam — powiedziała po prostu. — Nie odeszliśmy.

Postawiła napoje i stała przed nim. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego potłuczonej twarzy, a on przytrzymał jej dłoń i nie miał zamiaru puszczać.

Pamiętał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

— To jest Suzy Too — powiedział Bill dwóm nowym chłopakom. — Wszyscy przychodzą do Suzy Too.

Interesy szły dobrze. Tort rósł w oczach. Firma nie nadążała z robotą, więc Devlin poleciał do Londynu i nieco ponad miesiąc później do Szanghaju przyleciało dwóch prawników z dwuletnim kontraktem i marzeniami o wczesnej emeryturze.

Pierwszego wieczoru Devlin i Bill zabrali ich na kolację na Bund, a potem Bill pojechał z nimi na drinka na Mao Ming Nan Lu.

Pijani, oszołomieni zmianą czasu i wyzwoleni z domowych pęt z niedowierzaniem patrzyli po raz pierwszy na Suzy Too. Dziewczęta przy barze. Dziewczęta na parkiecie. Wszędzie dziewczęta. Nawet im się nie śniło, że na świecie jest tyle kobiet.

Pierwsza noc w mieście, pomyślał Bill, i zazdrościł im, kiedy zamawiał dla wszystkich kolejkę tsingtao. Zamrugał w rażącym świetle stroboskopowym. Czarne gwiazdki prawie zniknęły, ale wokół wszystkich świateł rozchodziła się aura niczym mglista aureola. Odwrócił wzrok i przypomniał sobie swój pierwszy wieczór w Szanghaju.

Obok przeszła Jenny Jeden. Wyglądała o wiele starzej.

Wzięła Billa za rękę i ucałowała go najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Uśmiechnęła się smutno i poszła dalej. Bill miał ochotę zapytać: „A co z Francuzem?”

Nowych natychmiast obiegly dziewczęta. Wieszały się im u ramion, wypytywały, skąd przyjechali, kołysały biodrami, zachęcały do tańca, ponieważ wtedy nie trzeba z nimi rozmawiać.

— Bill, te dziewczęta...? — zapytał jeden z nowych.

Bill nie do końca domyślał się, co właściwie chce wiedzieć. Za plecami chłopaka wysoka, wyniosła kobieta oplatała go długimi ramionami w pasie, obok przyklejały się dwie niższe — jedna lalkowata i bardzo ładna, druga pulchna, ale z dumą obnosząca duży biust. Bill ich nie znał. Wszędzie pełno było nowych twarzy. Kobiety trzymały chłopaka za ręce i zachęcały, żeby tańczył z nimi do *Shake That* Eminema. Bill doszedł do wniosku, że bardziej w jego guście jest Elgar. Chłopak sprawiał wrażenie staromodnego Anglika — jabłko Adama, okulary i akcent, który mówił, że gość uczył się w prywatnych męskich szkołach. Harry Jakiśtam. Wyglądał, jakby przez całe życie mocno się wysiłał, aby poznać jakieś dziewczęta. Ale w Szanghaju nawet Harry Jakiśtam nie będzie musiał się wysiłać, pomyślał Bill. Za sześć miesięcy Harry Jakiśtam będzie myślał, że jest Errolem Flynnem. Za sześć miesięcy będzie największym kogutem na Bundzie. Na razie jednak jego okulary pokrywała nerwowa mgiełka.

— Ja ci opowiem o tych dziewczynach — odezwał się drugi chłopak.

Dopiero co wysiadł z samolotu z Heathrow, ale już uważał się za eksperta. Bill zmierzył go wzrokiem z góry do dołu i z dołu do góry. Krótco ostrzyżony blondyn. Wysportowany, w typie niedzielnego sportsmena. Nigel Cośtam. Nie był tak przytłoczony i onieśmielony jak Harry Jakiśtam. Pewnie pojechał na wycieczkę do Tajlandii, pomyślał Bill, kupił sobie brandzlowanie na Patpongu i myśli, że to go czyni Marco Polo.

— Te dziewczyny to dziwki — oznajmił Nigel cynicznie.

Wyciągnął rękę i ścisnął mocno małą pierś. Dziewczyna skuliła się i odsunęła z grymasem bólu i niesmaku na twarzy. Bill wziął głęboki oddech i pohamował złość.

— Nie nazywaj ich tak — powiedział. — Proszę, żebyś nigdy tak nie mówił na te kobiety.

Chłopak popatrzył na Billa zaczepnie, ale nie odezwał się ani słowem. Bill miał właśnie zostać współnikiem. Pracował w firmie więcej niż wszyscy inni. Wkrótce będzie ich szefem. Mógł im poważnie utrudnić życie.

— Więc kim one są? — zapytał Harry Jakiśtam. — Jego maleńkie oczka całkowicie znikły za zaporowanymi okularami. Pulchna dziewczyna trzymała rękę w kieszeni jego spodni i ze śmiechem mówiła do drugiej, że niczego nie może tam znaleźć. Nie jest to szacowne towarzystwo, pomyślał Bill. — Jeśli to nie dziwki, to kto?

Upił duży łyk tsingtao. Zamierzał ograniczyć piwo. Postanowił sobie przestać przychodzić do Suzy Too. Nie jest przewodnikiem wycieczek. Niech sami sobie poszukają rozrywki. Przed oczami rozprysła mu się fontanna czarnych gwiazdek, po czym znikła.

— To po prostu praktyczne kobiety — stwierdził.

* * *

Mówiono mu, że one nie kochają tak jak on, że owszem, odpowiadają na dobroć i szczodrość całym swoim ciałem i sercem, ale to nie jest miłość, mówiono mu, nie miłość w pojęciu zachodnim — jedyna prawdziwa, na całe życie, niespełniona i wreszcie odnaleziona. Nie taka jak u nas, taka jak miała być, prawdziwa miłość wynaleziona na Zachodzie.

One są w miłości po prostu praktyczne, wmawiano mu, aż w końcu uwierzył, aż w końcu zrozumiał, co mieli na myśli i zrozumiał, że my na Zachodzie nie jesteśmy za grosz praktyczni.

My się po prostu zakochujemy, miłość zawraca nam w głowie i rzucamy się głową do przodu tam, gdzie zaprowadzą nas nasze niesforne serca.

Wschód jest praktyczny. Wschód nie może sobie pozwolić na miłość. Zachód jest romantyczny, ponieważ stać go na to, by się zakochiwać.

Bill zaczął jednak wierzyć, że w jakiś sposób on i JinJin zamienili się miejscami. Doszedł do wniosku, że ona przestała być praktyczna i zaraziła się zachodnią koncepcją miłości. Kochała go, mimo że rozsądek podpowiadał jej, aby się ewakuowała, aby znalazła sobie kogoś innego; kochała, chociaż najgłębszy instynkt mówił jej: „bądź praktyczna”; wciąż go kochała, kochała go pomimo bólu i zdrady, i smutku, kochała go na przekór mądrości i szczęściu.

Bill również się zmienił. Kiedy wszystko się zaczęło, uważał się za kogoś lepszego od żonatego mężczyzny w srebrnym porsche, który sprowadził JinJin do Rajskich Rezydencji. Uważał się za lepszego, ponieważ wierzył, że ma dobre serce, ponieważ zależało mu na niej w głębszym sensie niż tamtemu i uważał, że jego miłość była prawdziwa. Ale nawet wtedy, kiedy wierzył, że kocha ją prawdziwie i szlachetnie, nie mógł zaprzeczyć, że rości sobie wyłączne prawo do Li JinJin.

Tyle zainwestował w ten związek, tylu rzeczy musiał się wyrzec, ryzykował utratę tylu osób, które kochał. Wmawiał sobie, że w przeciwieństwie do mężczyzny w srebrnym porsche nie oczekuje niczego w zamian. Ale to była nieprawda. Oczekiwał, że będzie go kochać i nigdy nie przestanie, jak gdyby miał umowę najmu na jej serce. Oboje mieli się rozczarować.

Czy rzeczywiście był lepszy od mężczyzny w srebrnym porsche, który trzymał ją w Rajskich Rezydencjach? Nie, teraz sam widział, że był w istocie dużo gorszy, ponieważ przyozdobił to wszystko w miłość. Gdy jednak JinJin przypomniła

sobie w końcu, że powinna być praktyczna, i odeszła, kiedy kontrakt między nimi został zerwany, poczuł się zdradzony i rozgoryczony i miał wrażenie, że gorycz go zadusi.

Bill, zachowujesz się jak największy romantyczny głupiec z Zachodu, mówił sobie. Zachowujesz się, jakby ona miała tyle władzy, aby wydrzeć ci z piersi serce.

I wiedział, że to jest po prostu niepraktyczne.

* * *

W biurze było ciemno.

Jedynе światło wpadało do środka z migoczącej szkatułki, jaką był Pudong, i z blasku monitora w laptopie Shane'a. Ekran świecił na twarz Alice Greene, kiedy kopiowała pliki, a Bill zastanawiał się, co ona tam widzi. Korupcję i sprawiedliwość, pomyślał, sensacyjny materiał i nagrody. W niej wszystko to jest ze sobą przemieszane. Marzenie o lepszym świecie, potrzeba lepszego życia. Chciwość i sumienie. Może zresztą w każdym człowieku te rzeczy są ze sobą przemieszane.

— Po co on to wszystko trzymał? — zapytała, nie odrywając oczu od monitora. — Nawet jeśli Niemcy musieli opłacać tego Suna, to po co Shane trzymał te wszystkie dokumenty?

— Ponieważ był dobrym prawnikiem — odparł Bill. — I dobrym człowiekiem.

Alice prychnęła.

— Przecież to oksymoron, no nie? — Spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się. — Żartowałam.

— Kończysz już?

Chciał, żeby wzięła to, co jej potrzebne, i jak najszybciej sobie poszła. Miał dzisiaj wieczorem jeszcze coś do zrobienia.

— Skończyłam — powiedziała. — Mówię poważnie, Bill, postąpiłeś słusznie.

— Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz — stwierdził.

Gdy został sam, otworzył swoje biurko i wyjął z niego pudełko na buty. Zaczął przeglądać wszystkie świadectwa wspólnie spędzonego czasu — w Czangczunie, Guilinie, Szanghaju, podczas rejsu po Jangcy. Wszystkie zdjęcia. Pudełko było wypełnione po brzegi. Tyle fotografii. A teraz musi je wszystkie wyrzucić. Poszedł z pudełkiem do niszczarki.

Za dużo ich było. Miała obsesyjną potrzebę uwieczniania każdej szczęśliwej chwili. Czy wszystkie te dziewczyny były takie? Czy tylko JinJin? Nigdy się tak naprawdę nie dowiedział, co było charakterystyczną cechą Chinek, a co typową cechą JinJin. Teraz już się tego nie dowie. Ale to nieważne. Zaczął wkładać swoje wspomnienia do niszczarki. W końcu zostały tylko dwa zdjęcia, których nie potrafił zniszczyć.

Fotografia do paszportu zrobiona latem, zanim poznał JinJin. Jedyne zdjęcie paszportowe, na którym fotografowana osoba wyglądała naprawdę ślicznie. Chłodne, wielkie oczy patrzące w aparat, wilgotne wargi, zamknięte usta, nienaruszone piękno, starannie ukryty gamoniowaty urok. I drugie zdjęcie, którego nie chciał się pozbyć, zrobione przez starszego Amerykanina podczas rejsu po Jangcy. Dla Amerykanów wyglądało to na żart: Europejczyk i Chinka tańczą przy chińskiej muzyce pop na małym parkiecie na statku. Ale ten uroczy turysta powiedział im, że wyglądają na takich szczęśliwych i tak idealnie do siebie pasują, i nalegał, aby JinJin dała mu aparat i mógł uwiecznić tę chwilę. Oboje byli tym wzruszeni i wdzięczni, chociaż Bill zastanawiał się, czy powinien uważać Amerykanina za świętego, czy raczej za niespełna rozumu. Może po trochu za jednego i drugiego. Tak czy inaczej starszek się mylił, ponieważ niedługo po zrobieniu tego zdjęcia wszystko się skończyło. Możliwe, że była to idealna okazja do zrobienia tego zdjęcia. Może stary turysta na nędznym statku wiedział, że to szczęście nie potrwa długo.

Włożył dwie ocalałe fotografie do portfela i patrząc na niszczarkę i stertę błyszczących papierowych pasków pod spodem, zastanawiał się, jak do tego doszło.

To nie miało tak wyglądać. Myślał kiedyś, że w jakiś sposób potrafi zostawić za sobą to, co ich łączyło, a to, co uważał za swoje prawdziwe życie — Becca, Holly, rodzina, dom, żona i dziecko — może pozostać nietknięte przez jego uczucie do JinJin.

Mylił się.

Teraz ze wszystkich dowodów pozostały dwie fotografie: zdjęcie paszportowe i ich dwoje tańczących na statku. Nie zamierzał zachowywać ich na zawsze, tylko na jakiś czas, a kiedy i one znikną, nie pozostanie nic, co by mogło świadczyć o tym, że kiedykolwiek się spotkali, oprócz tego, co nosili w sobie.

Może to, co zabiło jego ojca, pewnego dnia upomni się i o niego. To nie miało znaczenia. I tak będzie miał czas, aby zniszczyć te dwie fotografie. Jak to nazywają? Porządkowaniem swojego życia.

Zrobi to. Uporządkuje swoje życie. Kiedyś. Ale jeszcze nie teraz. Teraz jeszcze nie może. Nie mógłby.

Podszedł do windy i wcisnął guzik. Kabina podjechała, a on nie ruszył się z miejsca. Drzwi się zamknęły. Bill odwrócił się i poszedł z powrotem do gabinetu, gdzie włożył te ostatnie dwa zdjęcia do niszczarki.

Trzeba pamiętać to, co złe. To jedyny sposób, żeby przetrwać, pomyślał. Jedyny sposób, aby iść naprzód. Nie pamiętać o dobrych chwilach. Wyprzeć się ich. Zapomnieć. Tylko tak można sobie z tym poradzić. W ten sposób można dalej żyć.

Zdjęcie paszportowe. Zniszczone. Zdjęcie na parkiecie. Zniszczone. Nie pozostał po niej żaden ślad. Ani po nich. To jedyny sposób.

Pamiętać to, co złe.

* * *

Z pierwszej strony „South China Morning Post”, pierwszy lipca 200—:

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŁAPOWNICTWA

NABIERA ROZMACHU

*Rząd zamierza ukrócić niekontrolowaną grabież ziemi
Song Tiping i Alice Greene*

Najwyższa komisja dyscyplinarna Komunistycznej Partii Chin zwiększa zasięg śledztwa w sprawie korupcji w Szanghaju o największe firmy deweloperskie działające w mieście —podały wczoraj państwowe środki masowego przekazu.

W konsekwencji odkrycia przez dziennikarzy naszej gazety masowej grabieży ziemi w Yangdonie wyższy urzędnik miejscowych władz przewodniczący Sun Yong został aresztowany podczas uroczystego otwarcia luksusowego osiedla Zielone Łany i postawiony w stan oskarżenia. Przedstawiono mu zarzut utraty moralności, przestępstw ekonomicznych i dekadentckiego stylu życia.

Tajna policja, współpracując z Biurem Bezpieczeństwa Publicznego, wyprowadziła przewodniczącego Suna z przyjęcia w kajdankach, protestującego, deklarującego swoją niewinność i niewypuszczającego z ręki kieliszka z szampanem.

Wyprzedzając orzeczenie sądu w sprawie Suna, państwowa agencja prasowa skomentowała: Kara długoletniego więzienia dla przewodniczącego Suna świadczyć będzie o determinacji komitetu centralnego w sprawie oczyszczania partii i walki z korupcją.

Oczekuje się teraz, że coraz więcej przypadków nielegalnej sprzedaży ziemi pod prywatną zabudowę wyjdzie na światło dzienne i pociągnie za sobą coraz

liczniesze śledztwa dotyczące urzędników rządowych i biznesmenów.

Profesor Dong Fan, specjalista do spraw ziem i nieruchomości z Uniwersytetu Pekińskiego, powiedział, że do największej liczby przypadków korupcji dochodzi na etapie zakupu ziemi.

Właścicielem ziemi jest państwo oraz miejscowe władze, i transakcje zakupu terenów i budowa osiedli prowadzone są w nader mętnych i niejasnych okolicznościach, komentuje profesor Dong.

Podczas święta narodowego w przemowie do ponad ośmiuset gości na bankiecie mającym na celu podniesienie rangi miasta burmistrz Szanghaju oraz tymczasowy przewodniczący partii Han Zheng wyraził optymizm i wiarę w przyszłość szanghajskich projektów rozbudowy oraz podkreślił swoje zaangażowanie w walkę z korupcją.

Devlin rzucił gazetę na biurko. Potem położył nogi na blacie, obcasy pantofli oparł na okładce „South China Morning Post”.

— Chodzi o to — powiedział — że rozprawianie się z korupcją nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością i prawdą, a tylko z politycznymi rozgrywkami. Te wszystkie rzeczy, o które oskarżają biednego starego Suna — że urządza swoją rodzinę, że mości sobie gniazdko, że łapie tyle smakołyków, ile mu się zmieści w łakomej jadaczce — dotyczą w równym stopniu każdego innego przedstawiciela władzy lokalnej czy rządowej w tym kraju.

Devlin nie zaproponował Billowi, żeby usiadł.

— Zgadzam się, Sun był głupcem — ciągnął Devlin, wzdychając lekko z żalem. — Za mało miał wysoko postawionych przyjaciół. Powinien był wyrobić sobie więcej znajomości w Pekinie. Prędzej czy później wszystkim dobierają się do skóry. Muszą. To jest w tym wszystkim najzabawniejsze, że tak czy

inaczej by go dopadli. — Oczy błysnęły mu gniewnie, wziął w nim górę gniew człowieka zdradzonego. — Nawet gdybyś mnie im nie sprzedał — powiedział do Billa. — I bez tego hongkońskiego pismaka w spódnicy.

Popatrzył na Billa z mieszaniną urazy i nienawiści. Nad jego głową migąło czerwone światełko kamery przemysłowej niczym węgielek z samego piekła. Naturalnie, przecież w tym budynku nie można się było nawet odlać, żeby ktoś człowieka nie obserwował. Tylko że Bill zdawał sobie z tego sprawę, prawda?

— Więc co, Holden? Uważasz się za lepszego od nas wszystkich — stwierdził Devlin. To nie było pytanie. Usta wykrzywiły mu się szyderczo. — Czystsze. Szlachetniejszego.

Bill pokręcił głową.

— Nigdy tak nie myślałem.

— Ale nie mogłeś zamykać oczu na zepsucie, co? — rzucił Devlin z przebiegłą miną. — Bo jakaś chińska dziwka wydmuchała ci rozum z głowy.

— Uważaj, co mówisz — wycedził cicho Bill.

Przez chwilę Devlin wyglądał, jakby się przestraszył. Ale to był tylko moment. To on miał tu władzę. Wycelował w Billa palcem.

— W tym kraju wygrzebuje się teraz z nędzy więcej ludzi niż kiedykolwiek w historii ludzkości. W całej historii! Pomyśl o tym! A takie dupki jak ty walczą właśnie przeciwko temu. Więc powiedz mi, Bill, kto tu jest idiotą? Kto jest lajdakiem, Bill? Ty czy ja?

Bill nie odpowiedział.

— Co powie twoja żona, kiedy się dowie, że spieprzyłeś sobie szansę na awans? — spytał Devlin. — Co powie twoja córka, kiedy się dowie, że jej tatuś jest zadufanym w sobie bezrobotnym frajerem?

Bill wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Becca będzie rozczarowana, ale moja córka jest trochę za mała, żeby to zrozumieć. — Uśmiechnął się na myśl o niej. — Ona cały czas chce, żebyśmy udawał księcia z bajki.

Devlin prychnął.

— O tak, w tym jesteś dobry. W udawaniu księcia z bajki. Ale w rzeczywistości niczym się nie różnisz od wszystkich innych facetów w tym kraju. Nie znosisz zepsucia u innych ludzi, tylko nie u siebie.

W drzwiach stało dwóch chińskich ochroniarzy. Jeden trzymał pudło, w którym Bill rozpoznał swoje rzeczy, drugi jego aktówkę i marynarkę.

— Zabierzcie go z moich oczu — polecił Devlin.

Aktówka uderzyła Billa w żołądek. Podano mu marynarkę i wciśnięto w ręce pudło. Popatrzył na resztkę swoich rzeczy na biurku.

Czas iść.

Wszyscy w biurze przystanęli i patrzyli, jak wychodzi. Tylko Shane'a nie było. I Nancy. Za to Wściekły Mitch wstał od biurka, kiedy Bill obok niego przechodził, i uściśnął mu rękę. Potem nowi, z wyrazem zdumienia i zadowolenia na twarzach. Harry wyglądał, jakby jeszcze przed lunchem widział siebie w jego gabinecie. Nigel Cośtam miał malinę na szyi, której nie zasłaniał biały kołnierzyk koszuli od Brooks Brothers. Nie wróćcie już tacy sami do starego kraju, pomyślał Bill. Staliście się Mister Charyzmą. Bradem Pittem. Errolem Flynnem. A wszystko za sprawą tego miasta. To ono sprawiło, że uważacie się za kogoś wyjątkowego.

Kiedy chińscy ochroniarze wyprowadzali go z budynku, Bill przypomniał sobie młodego człowieka, który myślał, że świat należy do niego i któremu się nawet nie śniło, że może upaść tak nisko, że może zawieść swoją rodzinę. Myślał o młodym mężczyźnie, któremu zdawało się, że jest kimś wyjątkowym, i zastanawiał się, co się z nim stało.

* * *

W mieszkaniu pachniało farbą, świeżą farbą i klejem. Zapach zmian, zapach życia toczącego się dalej.

Bill zostawił pustą aktówkę koło drzwi i poszedł do pokoju Holly. Becca rozwijała tapetę, a Holly oglądała na podłodze jakąś książeczkę. Ze ścian uśmiechały się setki disnejowskich księżniczek. Śnieżka. Mała syrenka. Kopciuszek. Śpiąca królewna. Pocahontas. Mulan. Piękna z *Pięknej i bestii*. Holly też się do niego uśmiechnęła.

— Tatuś będzie wiedział — powiedziała Becca. — No idź, zapytaj go.

— Tatusiu, jak się mówi na dzieci pingwiny? — spytała dziewczynka.

Bill miał pustkę w głowie.

— Dzieci koniki to źrebaczki — mówiła dalej Holly, marszcząc ze zniecierpliwieniem brwi. — Dzieci krówki to cielątka. Dzieci owiec to jagnięta. A dzieci pingwinów? — Westchnęła ostentacyjnie. — Nie wiem, jak nazywają.

— Nie wiem, jak „się” nazywają — poprawiła ją Becca.

— Ja też nie — oznajmiła Holly i Becca wybuchnęła śmiechem.

Bill podniósł córeczkę do góry i wziął ją na ręce. Robi się coraz cięższa. Coraz mocniejsza i pokaźniejsza. Coraz bardziej uznaje świat za swój. Coraz bardziej zajmuje w nim swoje miejsce.

— Zastanowię się nad tym — odrzekł Bill. — Pomyślę o tych pingwinach, aniołku.

— Wtedy przyjdź do mnie.

— Na pewno to zrobię. — Postawił ją z powrotem na podłodze i odwrócił się do Becki. — Możemy porozmawiać?

— Najpierw chcę ci coś pokazać — powiedziała.

Zachowywała się jakoś niezręcznie. Zastanawiał się, czy od tej pory zawsze już taka będzie. Zaprowadziła go do komputera w dużym pokoju i usiadła przed monitorem.

— Spójrz — rzuciła.

Bill zobaczył na monitorze zdjęcia domów, które oglądała. Lista przepisów na nowe życie w luksusowych mieszkaniach. W mieszkaniach stosownych dla rodziny wspólnika z firmy Butterfield, Hunt and West.

Patrzył nad jej ramieniem, kiedy przewijała kolejne propozycje.

ZACHODNI LAS — OSIEDLE DOMÓW JEDNORODZINNYCH WKRÓTCE GOTOWE DO ZASIEDLENIA — DOM DLA SERCA. To była najwyraźniej międzynarodowa miejscowość dla ludzi lubiących życie na łonie natury. KALIFORNIJSKA MARZENIA NA RANCHOSANTA FE — ELEGANCKO UMEBLOWANE WILLE W STYLU HISZPAŃSKIM Z WŁASNYMI OGRODAMI, PÓŁ GODZINY OD LOTNISKA HONQIAO.

— Nie chcę tu dłużej mieszkać — powiedziała.

To było suche stwierdzenie faktu.

— Becco — powiedział Bill, a ona popatrzyła na niego. To było zupełnie nowe spojrzenie... skrywające gorycz, nieufność i ból, jakby nosiła w sobie świeżą, niezagojoną ranę. — Nic z tego, Becco. Nie będzie nowego domu ani wspólnictwa w firmie. Zwiesił głowę. W ustach czuł kwaśny smak upokorzenia. Było mu tak bardzo wstyd. — Straciłem pracę.

— To o to chodzi? — Odwróciła się z powrotem do monitora, kręcąc głową. — Myślałam, że... chodzi o coś innego.

Popatrzył na nią i po chwili zrozumiał. Myślała, że odchodzi. Ale on już wiedział, że nigdy nie potrafiłby odejść. To ona musiałaby to zrobić.

Jej palce poruszały się zręcznie po klawiaturze.

— Ale przecież miałeś zostać wspólnikiem — powiedziała beznamiętnie.

W jej głosie nie było słyhać rozczarowania. Zachowywali się, jakby ledwo się znali.

Bill pokręcił głową.

— Przykro mi, Bec. Zawiodłem cię. Zawiodłem cię pod każdym względem.

Kasowała pliki. Klikala na kolejne wymarzone domy i przeciągała ikony do kosza u dołu ekranu. Odwróciła się i spojrzała na niego.

— To tylko praca, Bill. Znajdziesz sobie inną.

Zwiesił głowę zrozpaczony. Ona nie rozumiała, co to znaczy.

— Będziemy musieli wrócić. To życie, o jakim marzyliśmy...

— Ktoś ci da pracę. Umiesz ciężko pracować. Jesteś dobry w swoim zawodzie.

Bill potrząsnął głową

— Wyrzucili mnie. Jestem skończony. Sprzątnęli moje biurko i odprowadzili mnie do drzwi. — Zaległa martwa cisza wypełniona szokiem. — A Holly... ona uwielbia swoich kolegów tutaj...

— Holly ma pięć lat — uniosła się Becca zadowolona, że może się na niego otwarcie rozgniewać. — Znajdzie sobie nowych kolegów. Będzie musiała to robić całe życie, tak jak wszyscy inni. — Złagodniała i położyła mu dłoń na sercu. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nasz dom... to nie jest miejsce w Londynie ani tutaj. Zabieramy go ze sobą wszędzie, dokąd jedziemy. Nasz dom to ty, ja i Holly. Nas troje, to jest nasz dom. Teraz to wreszcie rozumiem. — Dotknęła jego twarzy. — Och, Bill, czy ty jeszcze tego nie widzisz?

Bill zamrugał, powstrzymując wstydlivé łzy.

— Myślę, że ludzie muszą się ciągle na nowo w sobie zakochiwać — powiedziała Becca, spokojna, bez jednej łzy w oku. — Kobieta i mężczyzna. Mąż i żona. Myślę, że każdy powinien to właśnie w życiu robić. A jeśli ktoś tego nie potrafi, jeśli nie potrafi się ciągle na nowo zakochiwać, to nie sądzę, żeby miał w życiu szansę.

Później, kiedy Holly spała w swoim pokoju i disnejowskie księżniczki zniknęły w ciemności, Bill poszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Becca się rozbierała. Nie rozmawiali jednak o tym, co się tego dnia wydarzyło, ani jak to będzie po powrocie do Londynu. Oboje mieli dosyć mówienia. Oboje czuli, że na razie dosyć się narozmawiali.

Becca po prostu zdjęła z siebie ubranie i podeszła szybko do Billa, który siedział ubrany i patrzył na nią. Żadne nie odezwało się ani słowem. Zupełnie nie jak małżeństwo. Raczej jak kochankowie.

Moja żona, pomyślał Bill.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zobaczył ją ostatni raz.

Szedł Bundem, mijał właśnie hotel Peace, wracając z banku, gdzie likwidował konto — jedna z wielu upiornych czynności, które musiał wykonać przed odlotem nazajutrz do domu. Wtedy minęła go JinJin ze swoim nowym mężczyzną.

Był to oślepiająco jasny dzień na początku lipca i Bill aż się ponownie obejrzał wyrwany nagle z zadumy. Wyglądała znajomo, ale to chyba nie mogła być ona, bo tylko ją trochę przypominała, nawet nie za bardzo, a przecież gdyby to była ona, ta jedyna, to rozpoznałby ją natychmiast, prawda? Czyż mógłby ją pomylić z kimś innym? Czy wyglądałaby jak imitacja kobiety, którą kochał?

Wyglądała zbyt zwyczajnie, żeby to mogła być JinJin. Przecież taka zwyczajna kobieta nie mogła sprawić tyle szaleńczego szczęścia, tyle niedoli i wstrząsów, i bólu tylu sercom? Przecież to wszystko mógł sprawić tylko ktoś bardzo wyjątkowy.

Gdy jednak tak stał i przyglądał się jej, kobieta popatrzyła na niego przez ramię i mężczyzna również, a oglądając się, otoczył ją ramieniem, jakby chciał powiedzieć: „Nie bój się, kochanie, ja cię ochronię przed tym złym człowiekiem”.

I to była ona.

To była JinJin. Minęli się jak zupełnie obcy ludzie, a Bill o mało nie wybuchnął śmiechem nad absurdalnością tej całej historii. Tyle emocji i wszystko po to, żeby jej w końcu prawie nie poznał na ulicy?

JinJin i jej mężczyzna poszli dalej.

Bill się odwrócił i ruszył za nimi, chociaż nie miał pojęcia, co zamierza zrobić czy powiedzieć. Wiedział tylko, że nie zgadza się na to ramię obejmujące JinJin. Nie zgadza się na samą myśl, że JinJin mogłaby potrzebować przed nim ochrony.

I kiedy przyspieszał kroku i doganiał ich, zrozumiał nagle, dlaczego Li JinJin nigdy nie zostanie prezenterką telewizyjną. Zawsze myślał, że pewnego dnia włączy telewizor na stację CCTV i ją zobaczy. Będzie czytała wiadomości z telepromptera i patrzyła prosto na niego i będzie wyglądała jak na zdjęciu paszportowym zrobionym rok przedtem, zanim go poznała. Teraz jednak zrozumiał, że podobnie do wszystkich innych planów, jakie snuli, to się nigdy nie wydarzy.

Zgasł płomień... czy może blask młodości, może magia, czy też cokolwiek to było. Może zresztą w ogóle tego nie było, może istniało tylko w jego oczach. Może tylko tam paliło się to czarodziejskie światło miłości, ponieważ tego pragnął i potrzebował. Teraz jednak zobaczył JinJin przy zgaszonym świetle: atrakcyjna Chinka po trzydziestce. Ni mniej, ni więcej. I starzejąca się z roku na rok. Nic skomplikowanego.

A najdziwniejsze było to, że kiedy zobaczył ją taką inną, kiedy stwierdził, że jest po prostu zwyczajną kobietą usiłującą jak wszyscy inni odnaleźć swoje miejsce w świecie, usiłującą wyglądać jak najlepiej w oczach swojego nowego mężczyzny i w swoich własnych, Bill Holden w dalszym ciągu ją kochał, a w każdym razie nosił w sobie uczucie, które pozostaje, kiedy miłość wygaśnie. I zawsze będzie je w sobie nosił.

Ale ona nie była dla niego, a on nie był dla niej.

Szczęśliwa para się zatrzymała. Mężczyzna kupował gazetę. Europejczyk, może trochę młodszy od Billa. Nie wyglądał jakoś szczególnie. Wyglądał na pierwszego lepszego faceta, który

się nawinął. Jak ktoś, kogo poznała w barze albo w fitness clubie, albo gdziekolwiek indziej, gdzie spotykają się zwyczajni ludzie.

Zdał sobie sprawę, że nie przestała się uśmiechać od chwili, kiedy go zobaczyła. Był to wymuszony, obronny uśmiech, jak gdyby widziała w nim coś zabawnego albo próbowała przekonać samą siebie, że to wszystko jest bardzo śmieszne.

I może jestem śmieszny, pomyślał. Może jestem istną beczką śmiechu. A może jej uśmiech jest następnym bandażem owiniętym wokół rany. Nie potrafił tego rozstrzygnąć.

Patrzyli na siebie. Oboje mieli nałożone okulary przeciwsłoneczne i Bill był z tego zadowolony, bo nie zniósłby, gdyby jej widok nękał jego nagie oczy. A mężczyzna, pierwszy lepszy facet, który się nawinął, facet z fitness klubu albo baru, znowu otoczył ją ramieniem, „Nie bój się, ochronię cię przed tym złym człowiekiem, kochanie”. Niczego nie wiesz, pomyślał Bill. Nie masz bladego pojęcia.

I nagle się zorientował, że stoi tam i gada wyświechtane frazesy.

— Miło cię widzieć. Miło cię poznać — mówił, ściskając im dłonie, niczym wspaniałomyślny kapitan przegranej drużyny.

Dłoń mężczyzny. Dłoń Li JinJin.

Oto rola, jaką sobie wybrał, jedyna, jaką potrafił dobrze odegrać — rola przegranego. Hip, hip, hurra na cześć faceta z fitness klubu czy baru, czy skąd tam był. Czy kiedykolwiek przedtem ścisnął JinJin rękę? Chyba nie. Usłyszał imię nowego mężczyzny i natychmiast wyleciało mu z głowy, kiedy stał i powtarzał w kółko: „Miło cię widzieć. Miło mi cię poznać”. Miło. Jak miło. Wszystko było tak miłe, że zaczęło go dusić.

Potem się odwrócił, ale JinJin zawołała za nim, kiedy odchodził:

— Moja mama przyjechała do miasta!

Wykrzyknęła radosną nowinę, jakby powinno to mieć dla niego jakieś znaczenie.

Szedł dalej, nie zatrzymując się.

— Więc pozdrów ją ode mnie — rzucił przez ramię.

Powiedział to szczerze. I może ona zawołała za nim, ponieważ czuła to samo co on — okropną ostateczność tego zakończenia, nieuchronność rozstania. I może chciała, żeby został jeszcze chociaż przez kilka sekund, ponieważ oboje zdawali sobie sprawę, że od dzisiaj więcej się nie zobaczą i od tej pory łączyć ich będzie tylko przeszłość i może fotografie, których JinJin nie potrafiła zniszczyć.

Nie była niewinna. Na pewno nie. Żyła w okrutniejszym świecie, niż on był to sobie w stanie wyobrazić, świecie, który zobaczył tylko przelotnie. Jeśli jednak nie była niewinna, to czystość i niewinność w niej żyły i jakaś część jej istoty nigdy nie mogła zostać zdeprawowana czy zawładnięta — ani przez ojca, ani przez mężczyznę, który sprowadził ją do Rajskich Rezydencji, ani przez Billa. Ta część jej istoty była nietykalna i Bill jej tego zazdrościł i kochał ją za to.

Doszedł do końca ulicy, tej słynnej ulicy, gdzie stary kolonialny Szanghaj patrzył na drugą stronę rzeki w swoją własną przyszłość. Zatrzymał taksówkę, a kiedy samochód zawrócił i jechał z powrotem przez Bund, zobaczył ich przed kawiarnią.

Mężczyzna czytał gazetę, a JinJin siedziała naprzeciwko i zignorowana przez swojego chłopaka patrzyła na coś, ale nie w dal, tylko na coś niedaleko przed sobą, i nawet nie próbowała się uśmiechać.

Bill roześmiał się mimo woli. Kłócili się o niego i o to, co powiedziała: „Moja mama przyjechała do miasta!”. I co chciała przez to powiedzieć, a może chciała, żeby zadzwonił i tak dalej, i była to najbardziej bezcelowa kłótnia na świecie — o niego i o coś tak martwego i skończonego.

JinJin wyglądała zupełnie zwyczajnie. Razem wyglądali po prostu jak kobieta i mężczyzna siedzący w kawiarni i usiłujący nadać jakiś sens wspólnemu życiu, i zachowujący się zupełnie bezsensownie. Bill aż się uśmiechnął, bo poczuł, jakby to był dar od jakiejś siły wyższej, pocieszenie dla mężczyzny, który nigdy nie przestanie wierzyć, że kochał tę kobietę pierwszy i

kochał ją najlepiej, a potem stracił. Uniósł dłoń w pozdrowieniu i na pożegnanie, a JinJin, siedząc naprzeciwko swojego gderliwego chłopaka, pomachała mu w odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę znowu się uśmiechnie, i nie miał do niej o to żalu, nawet był zadowolony, mimo że ten uśmiech, najsłynniejszy na świecie uśmiech Li JinJin nie będzie przeznaczony dla niego.

* * *

Plan był taki, że Tygrys zawiezie ich na lotnisko swoim nowym bmw. Niestety, o bmw upomniał się bank kredytowy, kiedy interes Tygrysa upadł.

Na podwórzu Rajskich Rezydencji Holly usadowiła się także na rękach i patrzyła na Tygrysa wysiadającego ze starego czerwonego volkswagena santany.

— Czy Tygrys jest teraz kierowcą taksówki? — spytała, pokazując Chińczyka żółtym plastikowym konikiem, którego trzymała w ręce.

Tygrys roześmiał się zakłopotany, popatrzył na Billa, potem na Beccę, a potem na czubki swoich butów.

— Za dużo ludzi wpadło na ten sam pomysł — oznajmił, odwracając się do Billa, — Za dużo chińskich mebli w Chinach. — Popatrzył nieśmiało na Holly. — Tak, Tygrys jest teraz kierowcą taksówki.

— Ale pomysł mimo wszystko był dobry — orzekła Becca.

Bill położył mu dłoń na ramieniu.

— Wymyślisz coś innego.

Tygrys popatrzył' smutno na czerwonego volkswagena santanę.

— Ale musiałyby być lepszy samochód. Musiałyby być limuzyna, szefie. Jak ta, którą tu przyjechaliście.

Bill postawił Holly na ziemi i podniósł pierwszą walizkę.

— Jesteśmy ci wdzięczni za podwiezienie.

— Limuzyny są przereklamowane — dodała Becca, siadając na fotelu pasażera.

Zadzwonił telefon w jej torebce, potem drugi, a za trzecim sygnałem wyłączyła aparat.

Bill usiadł na tylnym siedzeniu taksówki z Holly na kolanach i kiedy miasto prześlizgiwało się za oknem obok nich, dziewczynka usnęła. Bill patrzył na Bund i przez niebo przemknęła mu pojedyncza czarna gwiazda. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, Holly obudziła się w jego ramionach.

— Dużo jeszcze do domu? — spytała sennie.

Na przednim siedzeniu Becca wybuchnęła śmiechem, odwróciła się do tyłu i popatrzyła na swoją córeczkę i męża. Pewnego dnia ich śliczna córeczka przestanie mówić takie rzeczy. Ale jeszcze nie teraz.

Bill przytulił dziewczynkę do siebie, objął ramionami, główka kiwała jej się na jego piersi. Ani na chwilę nie wypuszczała z rączki żółtego plastikowego konika. Stary volkswagen wyjechał na autostradę i Billowi znikły z oczu ostatnie światła Szanghaju.

— Po prostu zamknij oczka, aniolku — powiedział tak cicho, że mogła go słyszeć tylko jego córeczka. — To cała tajemnica.

Zamknij oczka, a wtedy ani się obejrzysz, jak będziemy w domu.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Bądź księciem..... 9

CZEŚĆ DRUGA

Dziewczyna na stałe..... 139

CZEŚĆ TRZECIA

Zew domu..... 277

CZEŚĆ CZWARTA

Do zobaczenia..... 363